

BESTSELLER W USA

KAREN  
KINGSBURY

*Książka autorki  
bestselleru „W pewien  
wrześniowy poranek”  
i „Cień wrześniowego  
poranka”.*



*Rozdzielił nas*  
**ocean**

*Niewybaczalny błąd. Okropne nieszczęście.  
Nieoczekiwana szansa na wybaczenie...*

Ryfel

**KAREN KINGSBURY**

**ROZDZIELIŁ NAS**

**OCEAN**

# ROZDZIAŁ I

Strach rzadko gościł w sercu Kiahny Siefert. Zwłaszcza za dnia. Jednak dzisiaj, pomimo że była dziewiąta rano, a wiosenne słońce podnosiło się coraz wyżej, Kiahna nie mogła pozbyć się niedobrego przeczucia - dziwnego dławienia w gardle i wewnętrznego niepokoju powodującego cierpienie skóry w okolicach karku.

„O co chodzi, Boże... co chcesz mi powiedzieć?“. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Kiahna postanowiła skupić się na swojej pracy. Piloci zasiedli już w kokpicie, a stewardesy były przygotowane do przyjęcia pasażerów na pokład samolotu. Z promiennym uśmiechem na twarzy Kiahna stanęła przy drzwiach do kabiny pasażerskiej.

Lot numer 45 z Honolulu do Tokio trwał dziewięć godzin. Nie licząc połączonego z noclegiem odpoczynku w Tokio, podróż tam i z powrotem oznaczała osiemnaście godzin spędzonych w powietrzu. Kiahna latała na tej trasie pięć razy w miesiącu i po dziesięciu latach pracy dla Western Island Air zarabiała więcej, niż mogliby jej zaoferować w innych liniach. Wychodziła o siódmej rano i - uwzględniając zmianę czasu - następnego dnia w porze kolacji była już z powrotem w domu. Długo starała się o przydział na tę właśnie trasę, która miała dla niej jedną ogromną zaletę. Mogła spędzać dużo czasu z Maxem.

- Jaki film dzisiaj mamy? - mężczyzna, który zadał jej to pytanie, wyglądał na typowego pasażera klasy biznes. Miał przy sobie aktówkę i jedną sztukę bagażu podręcznego. Niezależnie od tego, co kryło się w jego lekko zużytej skórzanej torbie, zapewne przynajmniej raz w miesiącu leciał w interesach do Japonii.

- Najnowszy z Melem Gibsonem, proszę pana.

- To dobrze - mężczyzna uśmiechnął się, przechodząc dalej. - Lot nad oceanem nie będzie się dłużyć.

Podczas gdy kolejni pasażerowie wchodzili do kabiny, złe przeczucie znowu zaczęło powracać.

W niespełna kwadrans boarding dobiegł końca i Kiahna przystąpiła do wykonywania rutynowych czynności. Mieli na pokładzie prawie komplet i trzeba było pomóc podróżnym schować bagaż podręczny, aby uniknąć niepotrzebnej ciasnoty. Kiahna uprzejmie powitała pasażerów, sprawdziła, czy wszyscy siedzą na swoich miejscach, i przygotowała drinki dla klasy biznes.

Przy prawym skrzydle siedziało małżeństwo z czwórką dzieci, z których najmniejsze głośno płakało. Kiahna przyniosła mu paczkę krakersów, a dla jego starszego rodzeństwa książeczki do kolorowania. Przez cały czas starała się zapanować nad ogarniającym ją lękiem.

- Kiahna?

Na dźwięk swojego imienia wzdrygnęła się i obróciła, by zobaczyć, czego chce od niej koleżanka.

Stephanie doglądająca pasażerów w tylnej części kabiny rzuciła w jej stronę:

- Chyba już czas.

No tak, przecież trzeba powiedzieć kilka słów do pasażerów i zapoznać ich z procedurami awaryjnymi. Całkiem o tym zapomniała.

- Wszyscy już na miejscach?

- Od dwóch minut.

Dzisiaj przypadała jej kolej. Powinna była o tym pamiętać. Kiahna postawiła tacę z napojami na ladzie do przygotowywania posiłków, sięgnęła po mikrofon i zaczęła recytować standardową formułkę.

- Witamy na pokładzie samolotu linii Western Island Air, lot numer 45 z Honolulu do Tokio. Spodziewamy się dziś kompletu pasażerów, a zatem jeśli mają państwo dwie sztuki bagażu podręcznego, proszę schować jedną z nich pod fotelem pasażera siedzącego przed wami - zrobiła krótką pauzę i nagle poczuła pustkę w głowie.

Co dalej? Powinna powiedzieć o zapinaniu pasów, maskach tlenowych i rozmieszczeniu wyjść awaryjnych, ale brakowało jej słów. Stała w bezruchu, czując jak serce łomocze jej w piersi.

- Dobrze - Steph wzięła od niej mikrofon. - Ja się tym zajmę.

Kiahna wzruszyła ramionami i zrobiła dwa kroki do tyłu, opierając się o drzwi kabiny. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Przecież robiła to już tysiące razy. Obudzona w środku nocy powinna z pamięci wyrecytować wszystko, co trzeba.

Steph skończyła mówić i z głośników rozległ się głos drugiego pilota:

- Uwaga personel pokładowy! Proszę przygotować się do startu.

Stewardesy zajęły miejsca w swoich fotelach i zapięły pasy. Właśnie ten moment lotu Kiahna lubiła najbardziej. Tych kilka minut, w trakcie których samolot rozpędzał się na pasie startowym i mozolnie wzbijał w powietrze. Wówczas nikt niczego od niej nie chciał i mogła spokojnie rozmyślać o tym, co przyniesie kolejny dzień.

Jednak tym razem było inaczej. Kiahna myślała jedynie o dzisiejszym poranku, o chwilach spędzonych z Maxem.

\* \* \*

Max miał siedem lat. Był ślicznym i bystrym chłopcem przemykającym przez jej życie z zawrotną prędkością, niczym kometa. Nosił czerwone tenisówki, a jego najlepszym przyjacielem był żółty labrador o imieniu Buddy. W szkole Max cieszył się opinią najszybszego, a czasami też najbardziej zwariowanego malca na placu zabaw. W mówieniu był nawet jeszcze szybszy. Kiahna lubiła z nim dyskutować na poważne tematy. Rozmawiali o karze śmierci - Max był przeciw, o konieczności zwiększenia wydatków na szkolnictwo publiczne - w tym wypadku chłopiec był za. Max był też żarliwym patriotą. W szkole nieraz pomagał organizować biało-czerwono-niebieskie dni na cześć amerykańskich żołnierzy stacjonujących na Bliskim Wschodzie.

Tego ranka był jednak jakiś wyciszony.

- Kiedy kończysz pracę?

Mieszkali w trzypokojowym mieszkaniu. Gdy wślizgnął się do jej sypialni, by zadać jej to pytanie, Kiahna kończyła prasować swój służbowy ciemnogrnatowy żakiet. Spojrzała na syna i łagodnym tonem odpowiedziała:

- Jutro, w porze kolacji. Tak jak zwykle.

- Nie o to mi chodzi.

Max wskoczył na łóżko i usiadł po turecku.

- Kiedy wreszcie będziesz w domu w ciągu dnia? Tak jak mama Devon lub mama Kody'ego?

- Max - odwróciła się w jego stronę i uchwyciła wzrokiem jego wzrok. - Wiesz, że nie mogę.

- Dlaczego? - zapytał, opierając łokcie na kolanach.

- Ponieważ - Kiahna podeszła do niego i usiadła na brzegu łóżka - tamte mamy mają mężów, którzy pracują.

- To dlaczego ty nie masz męża?

- Daj spokój, Max - przekrzywiła głowę i trąciła go palcem w koniuszek nosa. - Już to przerabialiśmy.

Do pokoju wbiegł Buddy i zwinął się w kłębek na podłodze przy łóżku.

- No tak, ale... - Max zacisnął dłonie w pięści, wspierając na nich brodę. W jego zielonych oczach odbijało się padające zza okna światło poranka. - Czy tak będzie już zawsze?

- Tylko na razie - Kiahna objęła go ramieniem, przyciągnęła do siebie i ucałowała w czubek głowy. Na policzku czuła jego włosy, mięciutkie i wciąż jeszcze wilgotne po porannym prysznicu. - Dopóki nie pojawi się ktoś odpowiedni.

- Na przykład mąż? - uniósł głowę, by lepiej się jej przyjrzeć. Droczył się z nią, ale oprócz szelmowskich ogników w jego oczach czaiła się nadzieja. Raz większa, raz mniejsza, ale zawsze była w nich obecna.

Kiahna uśmiechnęła się, poczochnęła go pocieszająco po włosach i wróciła do prasowania. Max wiedział, że nie ma sensu drążyć tematu. Męża nie było w planach. Ani męża, ani taty. Kiahna nie potrafiła oddać swojego serca żadnemu mężczyźnie, a tym bardziej serca swojego ukochanego syna. Poza tym nie było wołą Bożą, by miała męża. Tak przynajmniej zawsze jej się wydawało.

Max zsunął się na podłogę i oplótł rękami szyję Buddy'ego. Pies odwdzieczył mu się solidnym liźnięciem w policzek.

- Buddy wszystko rozumie.

- Tak - Kiahna roześmiała się. - Buddy zawsze wszystko rozumie.

\* \* \*

Delikatny dźwięk dzwonka wyrwał Kiahnę z zamyślenia i sprawił, że nerwowo wciągnęła powietrze do płuc. Lecieli na wysokości trzech tysięcy metrów - należało przygotować wózek z napojami i zrobić pierwszy obchód kabiny. Stephanie podeszła do Kiahny i, wspierając rękę na biodrze, zapytała:

- Wszystko w porządku?

Brwi miała ściągnięte i przyglądała się jej badawczo.

- Co to za historia z tymi informacjami dla pasażerów? Nigdy wcześniej nie widziałam cię w takim stanie.

Kiahna wstała z fotela i wygładziła fałdy spódnicy.

- Sama nie wiem... - obdarzyła koleżankę uśmiechem, próbując w ten sposób zamaskować targający ją wewnętrzny niepokój. - Za dużo roboty jak na jeden ranek.

- Nie trzeba mi tego tłumaczyć - Steph przewróciła oczami. - Wyobraź sobie, że jest czwarta rano, a Ron... znasz Rona, prawda?

- To ten, który wprowadził się do ciebie w zeszłym miesiącu?

- Zgadza się - Steph wyjęła z kieszeni listek gumy do żucia, zgrabnym ruchem odwinęła go z papierka i włożyła do ust. - Dzwonią więc do niego o czwartej nad ranem i...

Nagle samolotem szarpnęło tak gwałtownie, że Steph straciła równowagę i przewróciła się, upadając na kolana. W kabinie zrobił się szum, a gdzieś przy oknie rozległ się płacz dziecka. Ratując się przed upadkiem, Kiahna oparła się o wózek z napojami, strącając na podłogę kilka puszek.

- Co do jasnej... - Steph próbowała właśnie wstać, gdy samolotem ponownie mocno rzuciło, tym razem

jakby w drugą stronę. Znowu znalazła się na podłodze. W dziesiątym rzędzie kilka studentek dziennikarstwa wracających do domu z jakiegoś zjazdu zaczęło piszczeć i krzyczeć.

Turbulencje. Kiahna chwyciła się ściany i poczuła jak krew odpływa jej z twarzy. Nad wyspami zawsze trochę rzucało, zwłaszcza wiosną. Już miała pomóc wstać Stephanie, gdy otwarły się drzwi do kokpitu i stanął w nich drugi pilot.

- Zawracamy - wyszeptał pośpiesznie. Górna warga drżała mu ze zdenerwowania. - Coś jest nie tak z usterzeniem ogonowym - wyjaśnił, z trudem przelękając ślinę. - Nie możemy utrzymać wysokości.

Tracimy wysokość? Kiahna wlepiała w niego zdumione spojrzenie. To nie mogło dziać się naprawdę. Nie dziś. Nie akurat wtedy, gdy każda cząstka jej ciała ostrzegała ją, że stanie się coś złego. Pilot zniknął za drzwiami, a Kiahna przeniosła wzrok na Stephanie. Ta dwudziestotrzyletnia, pochodząca z Nowego Jorku dziewczyna, zazwyczaj tak pewna siebie, wręcz arogancka i zawsze wygadana, była teraz blada jak ściana.

- Co... co robimy?

Kiahna podała jej rękę i pomogła wstać.

- Idziemy do pasażerów. Przeżyłam już jedno lądowanie awaryjne - jej własny głos dobiegał do niej jakby z oddali. - Jeśli tylko zachowamy spokój, wszystko będzie dobrze.

- A co jeśli...

- Żadnych jeśli... - Kiahna nie dała jej dokończyć. - Mamy robotę - rzuciła zdecydowanym tonem i pierwsza ruszyła wzdłuż przejścia.

Zrobiła zaledwie kilka kroków, gdy rozległ się huk i samolot pochylił się do przodu. „Schodzimy z pułapu” - przemknęło jej przez myśl. Starła się jednak zachować spokój.

- Proszę państwa, zmuszeni jesteśmy obniżyć lot. Niech każdy osłoni rękami głowę i pochyli się do przodu.

Kiahna nie miała odwagi się odwrócić, bojąc się, że napotka pytające spojrzenie Stephanie. Przerazająca prawda musiała być wypisana na jej twarzy. Kąt nachylenia samolotu świadczył o tym, że gwałtownie tracą wysokość. Gorzej - spadali jak kamień.

Panika zaczęła ogarniać kolejne rzędy.

- Panie Jezu, pomóż nam! - jęknęła kobieta w ósmym rzędzie, obejmując dwójkę swoich dzieci.

- Zróbcie coś! - krzyczał ktoś z końca kabiny, wywołując reakcję łańcuchową. Pasażerowie przekrzykiwali się nawzajem, wzywając pomocy. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że dzieje się coś złego.

Kiahna ruszyła wzdłuż przejścia. Przystawała przy każdym rzędzie, demonstrując, jak należy przygotować się do lądowania awaryjnego. Należało spleść dłonie na karku i pochylić się jak najmocniej do przodu.

- Proszę zająć pozycję do lądowania awaryjnego... - powtarzała te słowa jak mantrę. - Proszę zająć pozycję do lądowania awaryjnego...

- Co się dzieje? - mężczyzna o orientalnych rysach złapał ją za ramię, patrząc jej prosto w oczy. - Co takiego? Niech mi pani powie!

Kiahna zdołała wyszarpnąć się z jego uścisku. Tymczasem samolot coraz bardziej pochylał się do przodu i po chwili nurkowali już niemal pionowo. Z głośników w kabinie pasażerskiej popłynął głos kapitana, pełen napięcia ale opanowany:

- Proszę przygotować się do lądowania awaryjnego. Powtarzam, proszę przygotować się do lądowania

awaryjnego!

Słysząc było płacz niemowląt. Rodzice rozpaczliwie chwyтали swoje dzieci, ratując je przed spadnięciem z foteli.

- Boże, zlituj się nad nami - krzyknęła jakaś kobieta.

Krzyki ludzkie mieszały się ze sobą, zlewając w przeraźliwy, narastający wrzask. Kątem oka Kiahna dostrzegła przez okno zbliżającą się szybko powierzchnię oceanu. W tej chwili czas jakby się dla niej zatrzymał. Kiahna znów była w domu.

\* \* \*

- No dalej. Max. Łap swój plecak. Jesteśmy już spóźnieni!

Chłopiec wpadł do kuchni z Buddym przy nodze.

- Nie mogę go znaleźć.

- Sprawdź w szafie na ubrania.

Max puścił się pędem do przedpokoju. Słysząc było, jak otwiera drzwi do szafy.

- Jest!

- To na co czekasz? Bierz go i idziemy.

Cała ta scena nie trwała dłużej niż kilka sekund. Ot, codzienny rytuał, nic specjalnego. Nie wydarzyło się nic, co wskazywałoby na to, że ten ranek może być ostatnim, jaki spędzą razem. Nic, z wyjątkiem uczucia nerwowego ucisku w żołądku.

Kiahna zamknęła oczy... Gdzie Max mógł być teraz? Każdego ranka w dni powszednie czekał na przyjazd szkolnego autobusu w mieszkaniu Ramey Aialea, u której też nocował zawsze, gdy Kiahna leciała w długą trasę. Sąsiadka wyprawiała go nazajutrz do szkoły i opiekowała się nim po skończonych lekcjach. Ramey miała prawie siedemdziesiątkę i odchowane wnuki. Pomimo coraz większych kłopotów ze zdrowiem, chętnie zajmowała się chłopcem. Mieszkała na parterze zaledwie przecnicę dalej i była dla Kiahny jak matka. Maxem opiekowała się od czasu jego przyjścia na świat.

Tego ranka jak zwykle Kiahna i Max wsiedli do starego audi i pojechali do Ramey. Część wyspy, w której ona mieszkała, charakteryzowała się gęstą zabudową składającą się niemal wyłącznie z domów wielorodzinnych. To tu mieszkała większość pracowników licznych hoteli i restauracji.

Warunki mieszkalne były takie sobie, nic nadzwyczajnego. W pobliżu znajdował się basen z całkiem czystą wodą, zwirowy plac zabaw z piaskownicą i kilkoma huśtawkami. W sumie pod tym względem żyło się tu lepiej niż na innych osiedlach. Nie było to złe miejsce do wychowywania dziecka. Poza tym o każdej porze roku panowała tutaj wprost wymarzona pogoda. Kiahna mieszkała w Honolulu od urodzenia i nie chciałyby się stąd wyprowadzić.

Gdy dotarli na miejsce, niepokój w sercu Kiahny jeszcze bardziej się spotęgował. Tym razem nie chciała tracić czasu na przyjacielską pogawędkę z Ramey. Wsiadłszy z auta, postanowiła, że pożegna się z synkiem już teraz.

- No, maleńki, bądź grzeczny i baw się dobrze.

Mrużąc oczy od słońca, Max zapytał:

- Naprawdę musisz jechać?

- Muszę - lekko musnęła go w policzek. - Jutro wieczorem zagramy sobie w scrabble, dobrze?

- Jest zbyt ładnie, żeby grać w scrabble.

- To w takim razie zagramy w koszykówkę. Poćwiczymy rzuty. Zgoda? - Kiahna pochyliła się i oparła dłonie na kolanach, by móc patrzeć mu prosto w oczy.

- Naprawdę? - W jego spojrzeniu pojawił się cień powątpiewania. - Będziemy ćwiczyć rzuty?

- Dopóki całkiem się nie ściemni - porozumiewawczo puściła do niego oko.

- Japonia jest daleko stąd... - powiedział smutnym tonem, przygryzając dolną wargę.

- Wiem - odparła Kiahna, przyglądając mu się z ukosa. Dlaczego o tym wspomniał? Latała samolotami na długo, zanim się urodził. - Nie wydaje się tak odległa, gdy lata się tam na okrągło.

- No... - wzruszył ramionami i jakby speszony wbił wzrok w ziemię. - Przepraszam za dziś rano.

- Za co? - zdziwiła się.

- Za tego męża - wyjaśnił, nieśmiało podnosząc na nią oczy. - Po prostu było mi smutno, że przez cały dzień będziesz poza domem. - Przerwał, by po chwili dodać: - A jeśli złamię sobie rękę? Kto mi wtedy pomoże?

- Ramey, głuptasie.

- No tak. Ona się mną opiekuje, kiedy ciebie nie ma - czubkiem tenisówki dotknął jej skórzanych mokasynów. - Chodzi mi o to, kto mnie przytuli i będzie śpiewać piosenki?

Kiahna zawahała się przez moment, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Tego właśnie obawiała się najbardziej jako matka samotnie wychowująca dziecko. Lękiem napawała ją myśl, że nie zdoła zastąpić Maxowi obojga rodziców, zwłaszcza że musiała chodzić pracy.

- No cóż? - kucnęła i ujęła jego buzię w dłonie. - Ja to zrobię.

- Ty będziesz gdzieś nad oceanem... - Max starał się jej coś uświadomić. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że oboje obawiają się tego samego.

- Nawet wtedy, gdy rozdziela nas ocean, zawsze będę przy tobie - mówiąc to, opuściła jedną rękę i położyła ją na jego piersi.

- Wiesz o tym, najdroższy, prawda? Pamiętasz naszą piosenkę?

Max westchnął cichutko. Była to bardziej oznaka smutku niż niezadowolenia, po czym wyciągnąwszy przed siebie ramiona rzucił jej się w objęcia.

Przytuliła go mocno i, gładząc go czule po włosach, szepnęła mu do uszka:

- Już dobrze, maleńki, już dobrze.

- Mhmm.

Nie brzmiało to przekonująco, ale musiało jej wystarczyć.

- To jak? Wybierzemy się jutro do Taco Bell?

- No pewnie.

- Mógłbyś okazać więcej entuzjazmu - wyprostowała się i zrobiła głupią minę w nadziei, że zanim się rozstaną, zdoła go rozweselić. Z nadąsanym wyrazem twarzy, naśladowując jego głos, burknęła pod nosem: - No pewnie...

Na buzi Maxa pojawił się cień uśmiechu, a po chwili, nie mogąc się już powstrzymać, parsknął głośnym śmiechem.



- Dobrze, zgadzam się. Taco Bell!

Odzyskawszy dobry humor, Max uśmiechał się od ucha do ucha.

- Już lepiej?

- Znacznie lepiej.

Nachyliła się nad nim i jeszcze raz pocałowała go w policzek.

- Głowa do góry - patrząc w oczy chłopca, starała się zajrzeć w głąb jego duszy. - Kocham cię, Max. Do jutra.

\* \* \*

Dobiegający z zewnątrz świst, który przenikał poszycie samolotu, wyrwał Kiahnę z zamyślenia i przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Zmierzali prosto na spotkanie z falami Pacyfiku, a piloci nie byli w stanie zapanować nad maszyną. Zostało im nie więcej niż pół minuty. Gdyby Kiahna nie trzymała się kurczowo foteli, poleciałaby wzdłuż przejścia, uderzając w drzwi kabiny pilotów.

Obowiązek zawiadomienia Maxa o jej śmierci spadnie na Ramey... Będzie musiała mu to powiedzieć i dopełnić wszystkich formalności. Zaraz po urodzeniu Maxa Kiahna na wszelki wypadek spisała ostatnią wolę. Oczywiście przygotowała również list do syna. Co roku w dniu jego urodzin pisała nowy. Pomimo swej przezorności, nigdy nie przeszło jej przez myśl, że będzie musiała go opuścić.

„Pamiętaj, co ci mówiłam, mój mały... Jestem przy tobie... Zawsze będę z tobą... Na zawsze pozostanę w twoim sercu”.

Przez moment jej myśli zwróciły się ku Bogu, w którego wierzyła przez całe życie. Ufała Mu, choć nie zawsze rozumiała Jego wolę. Jeśli to miał być koniec, za kilka chwil go spotka. „Boże, spraw cud... Uratuj nas... przez wzgląd na Maxa. Boże, proszę”.

Rozbrzmiewające wokół krzyki i płacz nasilały się z każdą mijającą sekundą. Kiahna ostatkiem sił spróbowała się wyprostować, by uspokoić oszalałych ze strachu pasażerów.

Może mimo wszystko im się uda, może jednak? Może piloci zdołają wyprowadzić maszynę z lotu nurkowego i posadzić ją bezpiecznie na wodzie. W końcu samolot ma na wyposażeniu tratwy i kamizelki ratunkowe. Straż Wybrzeża na pewno już wie, że muszą wodować i pomoc nadejdzie. Wszystko będzie dobrze. Jeszcze dziś wieczorem będą w domu. W razie awaryjnego lądowania na morzu poduszki foteli mogą być użyte jako podręczne pontony. Czyż nie to właśnie mówiła pasażerom przed każdym rejsem na tej trasie?

„Kocham cię, Max... nie zapomnij o mnie”. Myśli kłębiące się w jej głowie nagle uleciały gdzieś daleko.

Gdy samolot uderzył o powierzchnię oceanu, a do rozdartego kadłuba gwałtownie zaczęła wdzierać się woda, myślała tylko o synku i martwiła się, co z nim teraz będzie.

## ROZDZIAŁ II

Wstając z łóżka, Connor Evans wiedział, że zaczyna się dla niego kolejny pracowity weekend.

Była pierwsza sobota kwietnia i jego córki wybierały się na dwa przyjęcia urodzinowe. Michele obarczyła go zadaniem spakowania prezentów i podrzucenia dziewczyn na pierwszą imprezę. Druga rozpoczynała się kilka godzin później na drugim końcu miasta i wtedy w roli taksówkarza dziewcząt miała go wyręczyć jedna z

sąsiadek. Connor miał je potem tylko odebrać.

Michele zajęta była przemalowywaniem kuchni. Pomiędzy jednym podwiezieniem a drugim, Connor zamierzał wstąpić do hipermarketu budowlanego Home Depot, żeby kupić kosiarkę samojezdną. Jesienne nawożenie ogrodu dało nadspodziewanie dobre rezultaty, których skutkiem ubocznym była trawa po kolana. Jednak na Florydzie nie powinno to nikogo dziwić.

Jego sąsiad nieraz dla żartu przykładł rękę do ucha i mówił:

- Evans, czy ty to słyszysz?

- Niby co?

- Ten poświst.

Po czym, wskazując na ogród za domem, dodawał:

- Tak wschodzi trawa na Florydzie.

Było w tym ziarno prawdy. Po rekordowych marcowych opadach w West Palm Beach, tego roku trawa rosła nawet szybciej niż zwykle. Connor mógłby wynająć kogoś do jej skoszenia. Wielu jego kolegów-pilotów tak właśnie robiło. Ale to byłoby pójście na łatwiznę. Poza tym lubił kosić trawę i spędzać wolny czas w ogrodzie. W ten sposób relaksował się. Mógł się wyciszyć po całym tygodniu spędzonym za sterami samolotu pasażerskiego.

Connor wsiadł do swojej srebrnej toyoty tundry i nacisnął klakson. Uchyliwszy boczną szybę, donośnym głosem zawołał:

- Dziewczyny, zbierajcie się. Przyjęcie zaczyna się za pięć minut.

Dziesięcioletnia Elizabeth i o dwa lata młodsza Susan różniły się pod każdym względem, niemal w takim samym stopniu, jak on i Michele, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Elizabeth była grzeczną i skromną dziewczynką, a najbardziej lubiła urządzenie podwieczorków dla lalek. Żyła w świecie sukienek, wstążek i koronek. Zawsze chciała mieć zakręcone loczki.

Susan z włosami zaplecionymi w warkoczyki początkowo miała być chłopczykiem. Tak przynajmniej twierdził technik obsługujący USG, gdy Michele była w piątym miesiącu ciąży.

- Gratuluję. Wygląda na to, że żona urodzi panu dorodnego syna - oznajmił z szerokim uśmiechem na twarzy, zwracając się do siedzącego obok Connora.

Zamiast chłopca przyszła na świat dziewczynka, drąc się wniebogłosy. Czesanie Susan i utrzymywanie jej garderoby w czystości było isticie syzyfową pracą. Michele już dawno pogodziła się z tym stanem rzeczy.

Connor w głębi serca ucieszył się z narodzin drugiej córki. Skoro nie mógł mieć syna, o którym zawsze marzył - Michele stanowczo stwierdziła, że nie chce mieć więcej dzieci - przynajmniej miał Susan. Córka chętnie grała z nim w piłkę lub ping-ponga i bez oporu chodziła na sparingi zespołów ligi bejsbolowej MLB, które wiosną tłumnie zjeżdżały na Florydę na przedsezonowe obozy treningowe.

Tymczasem Elizabeth i Susan najwyraźniej nie spieszyło się. Zniecierpliwiony Connor zwinął dłonie w trąbkę i ponownie zawołał:

- Dziewczyny! Odjeżdżam.

Była to oczywiście groźba bez pokrycia. Nie mógł pojechać na przyjęcie bez nich, tak samo jak nie potrafił oduczyć ich paskudnego nawyku spóźniania się zawsze i wszędzie. Ale w końcu były nieodrodnymi córkami

Michele. W oczekiwaniu na ich przyjście, oparł się wygodnie w fotelu i zaczął bębnić placami po kierownicy.

Niemal w tej samej chwili obie wypadły z domu jak burza. Susan pędziła przodem, długonoga i roześmiana, trzymając prezent pod pachą. Connor tylko uśmiechnął się pod nosem. „Wygląda zupełnie jak miniaturowy skrzydłowy biegnący z piłką na pole punktowe rywali”.

Elizabeth biegła za nią w radosnych podskokach, przyciskając prezent do piersi. Dziewczynki zgrabnie wskoczyły na tylne siedzenie i zapięły pasy. Elizabeth uśmiechnęła się przepraszająco.

- Nie gniewaj się na nas, tato.

- Nie gniewaj... - jak echo powtórzyła Susan. - Nic się nie stanie, jeśli spóźnimy się kilka minut.

- Niech zgadnę... - Connor z trudem zdławił śmiech. - Mama wam to powiedziała.

- Powiedziała coś jeszcze - odparła Elizabeth swoim śpiewnym głosem. W jej oczach pojawiły się znajome isierki świadczące o tym, że ma ochotę się trochę podroczyć.

- No... - zachichotała Susan, zakrywając buzię rączkami. - Kazała ci powiedzieć, że jest w tobie zakochana.

Dziewczynki wybuchnęły śmiechem, po czym zaczęły rozmawiać na bardziej interesujące je tematy, przerywając sobie nawzajem. Kto będzie na przyjęciu? W co się będą bawić? Jakie będą prezenty?

Tymczasem Connor pozwolił swoim myślom błądzić swobodnie. Coś takiego... A więc Michele była w nim zakochana? Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech, a serce zabiło mocniej dla jego najdroższej Michele. Wyobraził sobie, jak w kuchni żona prosi córki, by przekazały mu tę wiadomość. Jej ciemne włosy sięgające ramion, luźno upięte na czubku głowy, zabrudzony farbą fartuch i pędzel w dłoni. Gdyby była tu teraz przy nim, najchętniej objąłby ją i pocałował.

Tyłem wytoczył się swym wozem z podjazdu i pojechał wzdłuż Oak Street w stronę przelotówki. Na pierwszych światłach wpatrywał się przez chwilę w niebo, które było miejscem jego pracy. Był pilotem. Niezliczoną ilość razy przewoził ludzi samolotami i bezpiecznie sprowadzał je na ziemię. Życie na ziemi i wysoko ponad nią dawało mu satysfakcję, było spełnieniem jego marzeń. Miał szczęśliwą.

kochającą rodzinę i udany związek małżeński, którego zazdrościł mu niejeden kolega.

Znowu skręcił w prawo i zjechał na lewy pas.

Michele w odróżnieniu od większości żon pilotów nie była chuda jak patyk. Średniej budowy ciała - jak sama o sobie mówiła - tu i ówdzie przyjemnie zaokrąglona. Od czasu do czasu narzucała sobie dietę lub zwiększoną dawkę ćwiczeń, żeby zrzucić parę kilogramów. Utrzymywała taką samą figurę jak przed pierwszą ciążą i przeważnie była zadowolona z tego faktu.

Dla Connora było to bez znaczenia. Podobała mu się taka, jaka była. Poza tym nadmiernie szczupłe kobiety brzydko się starzeją. Michele tryskała energią i potrafiła cieszyć się życiem. W jej przypadku piękno oznaczało coś więcej niż tylko ładną buzię. Bez wątpienia była najjaśniejszym punktem w całym jego życiu.

Przed sześcioma laty zlecił dobudowanie aneksu do ich domu, w którym Michele mogłaby wykorzystywać swoje zdolności i wyczyniać cuda z fryzurami znajomych z sąsiedztwa. Był to strzał w dziesiątkę. Nie dość, że mogła teraz cały czas być w domu z dziewczynami, to jeszcze miała wieczorami wystarczająco dużo energii, którą w całości poświęcała jemu.

- Tato, jesteśmy już prawie na miejscu! - Susan radośnie klasnęła w dłonie.

- Jeszcze tylko dwie przecznice - oznajmił Connor, patrząc na nie przez ramię i uśmiechając się szeroko.

Susan, choć bardziej przebojowa niż jej siostra, była lustrzanym odbiciem Michele - kobiety, która sprawiła, że zapomniał o swoim postanowieniu, iż nie zakocha się przed dwudziestym piątym rokiem życia, i która pokazała mu, co naprawdę znaczy miłość.

Była dowcipna, pełna uroku i ponętna. Mąż i córki byli dla niej ważniejsi niż praca. Prowadzenie przydomowego salonu fryzjerskiego to była dla niej niewątpliwie wielka kariera. Connor zaśmiał się w duchu, równocześnie dostrzegając w oddali dom udekorowany różowymi balonikami. Michele gotowa była spierać się z każdym, kto nie uznawał tego za karierę.

Była kobietą z charakterem. Miała swoje zdanie, lubiła się śmiać i była jego najlepszym przyjacielem. Prowadzenie zakładu fryzjerskiego pozwoliło jej osiągać całkiem przyzwoite dochody. Wystarczająco wysokie, by bez pomocy męża finansować wakacyjne wyjazdy dwa razy w roku: rodzinne rejsy statkami Disneya po Karaibach, czy też kowbojskie wakacje na ranczo, wyjazdy tylko we dwoje na południe Francji lub w egzotyczne miejsca, takie jak Bora Bora i Tahiti.

Tak, był zakochany w Michele. Postanowił, że powie jej to wieczorem.

- Dziewczyny, jesteście na miejscu. Pani Reed zawiezie was na drugie przyjęcie.

- A ty nas potem odbierzesz - weszła mu w słowo Elizabeth, uśmiechając się nieśmiało. - Zgadza się?

- Lepiej bym tego nie ujął.

Gdy znaleźli się na znajomym podjeździe, z domu wysypała się rozszczebiotana gromadka dziewczynek. Przekrzykiwały się nawzajem, piszczały i machały im na powitanie. Elizabeth i Susan posłały ojcu całusy i wygramoliły się z auta, dołączając do koleżanek.

Wypadek zdarzył się niecałe pięć minut później.

Connor czekał właśnie na zmianę świateł, gdy nagle we wstecznym lusterku zobaczył jadącego sąsiednim pasem bordowego sedana. Samochód nie jechał zbyt szybko, ale nie zamierzał zwolnić. Nie zważając na czerwone światło, wjechał na skrzyżowanie i z impetem uderzył w bok nadjeżdżającego z prawej białego minivana.

- O Boże... nie... - Connor nie zdążył dokończyć.

Rozległ się potworny huk, a nad skrzyżowaniem zawirowała chmura odłamków szkła i fragmentów karoserii. Connor wyskoczył ze swojego auta w chwili, gdy staranowany minivan jeszcze się toczył siłą bezwładu.

Mężczyzna instynktownie przypomniał sobie to, czego w wojsku uczono go o postępowaniu w takich przypadkach. „Evans... Sprawdź, kto ucierpiał... Zidentyfikuj najciężej poszkodowanych... Oceń stopień zagrożenia życia i zakres potrzebnej pomocy”. Podbiegł do bordowego sedana i zajrzał do środka. Tylko jedna osoba, kierowca. Wyglądał na nieprzytomnego. A co z minivanem? Takimi samochodami często podróżują dzieci.

Puścił się pędem w poprzek skrzyżowania, starając się zajrzeć do środka przez przyciemnione szyby. Uderzenie nastąpiło od strony kierowcy, obiegł więc samochód i otworzył odsuwane drzwi pasażera. Dopiero wtedy zobaczył, że kierująca minivanem kobieta i towarzyszący jej nastoletni chłopiec żyją i są w stanie poruszać się o własnych siłach.

- Nic się wam nie stało? - zapytał, sięgając jednocześnie po telefon komórkowy. Nie czekając na odpowiedź,

wystukał numer 911.

- Chyba., chyba nic... - odpowiedziała kobieta roztrzęsionym głosem. - Czy on wjechał na czerwonym?

- Tak. Nawet nie próbował hamować - odparł Connor, trzymając przy uchu aparat. - Sprawdź co z nim.

Z samochodów wysiadali ludzie i kręcili się bezładnie na miejscu wypadku. W chwili, gdy w słuchawce odezwała się dyspozytorka pogotowia, usłyszał krzyk kobiety:

- Ten człowiek nie oddycha! Niech mu ktoś pomoże!

- Tu numer dziewięć jeden jeden. Proszę powiedzieć, o jaki wypadek chodzi.

Connor, biegnąc w stronę bordowego sedana, w kilku słowach wyjaśnił, co się stało.

- Jedna z ofiar nie oddycha. Proszę się pospieszyć.

Gdy po odebraniu zgłoszenia dyspozytorka rozłączyła się, schował telefon i przecisnął się przez grupkę ludzi stojących przy drzwiach od strony kierowcy. Był pilotem, a nie lekarzem, ale wiedział co nieco o resuscytacji krążeniowo-oddechowej. Jeśli ten mężczyzna rzeczywiście nie oddychał...

- On umiera! - znów usłyszał głos tej samej kobiety. - Nie widać, żeby oddychał!

- Proszę mnie przepuścić! - Connor przecisnął się przez tłum gapiów. - Proszę...

Słowa uwięzły mu w gardle. Dopiero teraz wyraźnie zobaczył twarz siedzącego za kierownicą starszego mężczyzny.

- Dobry Boże... - szepnął do siebie. - To niemożliwe...

Jego ojciec mieszkał na drugim końcu kraju, ale przez ułamek sekundy Connor był gotów przysiąc, że widzi go przed sobą. Z szoku wyrwał go dopiero kolejny krzyk stojącej za nim kobiety. Ten człowiek nie był jego ojcem. To niemożliwe.

Connor chwycił nieprzytomnego mężczyznę za nadgarstek, starając się wyczuć puls. Bez rezultatu. Czoło pokryły mu kropelki potu. Twarz poszkodowanego zaczęła już szarzeć, ale podobieństwo do jego ojca wciąż było uderzające. Connor spróbował zbadać mu tętno na drugiej ręce, a następnie na szyi. Nie wyczuł go.

Przytknąwszy wierzch dłoni pod nos mężczyzny, stwierdził, że nie oddycha. Wiedział, że zgodnie z zasadami udzielania pierwszej pomocy na miejscu wypadku nie powinien przenosić poszkodowanego bez potrzeby, ale ten człowiek albo już nie żył, albo właśnie umierał.

- Potrzeba nam więcej miejsca - krzyknął do otaczających go ludzi, po czym chwycił nieprzytomnego mężczyznę pod ramiona i odciągnął na chodnik. W odległości zaledwie kilku metrów zatrzymała się karetka, a zaraz za nią wóz strażacki. Musiały nadjechać na sygnale, ale Connor niczego nie słyszał, skupiwszy całą swoją uwagę na twarzy ofiary wypadku. Na twarzy, przed którą od wielu lat uciekał...

- Proszę się odsunąć - powiedział sanitariusz, stawiając na ziemi swoją torbę.

Connor posłusznie wykonał polecenie. Stał teraz z boku jak zahipnotyzowany, przyglądając się akcji reanimacyjnej. Jeden z ratowników wykonywał masaż serca, drugi sztuczne oddychanie. Trwało to dziesięć minut, piętnaście. W końcu zrezygnowali.

- Atak serca - stwierdził ten sam ratownik, który wcześniej kazał Connorowi odsunąć się na bok. - Nie żył już w momencie zderzenia.

Przykryto ciało zmarłego plastikową folią. Gałęzie drzew rosnących wzdłuż ulicy poruszały się lekko na wietrze, ludzie zgromadzeni na miejscu wypadku wracali do swoich samochodów. Dramat dobiegł końca.

Zginął człowiek.

Jakiś policjant klepnął Connora w ramię, mówiąc:

- Proszę stąd odejść.

Connor bez słowa skinął głową, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od martwego mężczyzny przykrytego folią. Gdy jego ojciec umrze, a przecież dzień ten prędzej czy później musi nastąpić, czy tak właśnie będzie to wyglądało? Nagła śmierć w osamotnieniu, z dala od rodziny?

Po tym, co przeżył, Connor stracił ochotę na zakupy i postanowił wrócić do domu. Zastał Michele w kuchni. Stała na taborecie i kończyła malować jedną ze ścian na jasnożółty kolor. Ramieniem przyciskała słuchawkę telefonu bezprzewodowego i rozmawiała z kimś o majowej paradzie szkolnej.

- Właśnie dlatego kupujemy bilety z wyprzedzeniem. Można sporo zaoszczędzić.

Krótką pauza.

- Mówię ci, niech zadzwoni do szkoły i...

W powietrzu unosił się ostry zapach farby. Usiadł przy stole tuż obok ulubionego taboretu Michele i wpatrywał się w tył jej głowy. Nie słyszała, jak wchodził, ale na dźwięk odsuwanego krzesła obróciła się i pomachała do niego trzymanym w ręku pędzlem. Uśmiechnęła się do niego krzywo, wskazując na aparat i wywracając wymownie oczami.

Zwykle w takiej chwili znalazłby sposób, żeby wybawić ją z opresji: zawołałby głośno, że czegoś potrzebuje albo że ktoś właśnie dzwoni do drzwi. Tym razem jednak nie mógł tego zrobić. Odwzajemnił tylko jej uśmiech, opadł na oparcie krzesła i czekał.

- Dobrze, Sally. Tak, tak... Oczywiście... - znowu zerknęła na niego przez ramię. - Hmmm, o Connor właśnie wrócił. Muszę już kończyć. To na razie. Pa, pa.

Odwiesiła słuchawkę, położyła pędzel na wieczku puszki i wolnym krokiem podeszła do stołu.

- Cześć.

Ich spojrzenia spotkały się. Widząc zatroskanie w oczach żony, Connor wbił wzrok w podłogę. Gdyby tylko mógł pozbyć się z pamięci widoku twarzy tego mężczyzny. Nie potrafił. Podobieństwo było zbyt uderzające.

- Co się stało, kochanie? - Michele podeszła do męża. Dotknęła dłonią jego policzka i usiadła tuż obok na taborecie. - Wyglądasz okropnie.

Popatrzył na nią i powiedział:

- Właśnie widziałem, jak ktoś umiera.

- Co takiego? - Michele otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i złapała go za ramię.

Wziąwszy głęboki oddech, Connor zaczął opowiadać. Zrelacjonował jej wszystko. Powiedział o bordowym sedanie, o huku gniecionych blach i dźwięku tłuczonego szkła.

- Ludziom w minivanie nic się nie stało - starał się, by jego głos nie zdradzał emocji. - Ale ten starszy mężczyzna... zmarł, zanim doszło do zderzenia. Atak serca.

Michele patrzyła na niego pytającym wzrokiem, podświadomie czując, że to nie wszystko.

- To nie był zwykły wypadek - Connor zwiesił głowę i wolną ręką zaczął masować sobie kark. Nigdy nie był równie spięty, nawet wtedy, gdy latał na transatlantyckich trasach.

- No dobrze - Michele przesunęła dłoń wzdłuż jego ramienia i ich palce splotły się. - Powiedz, o co chodzi.

Connor podniósł na nią wzrok i wyrzucił z siebie:

- Ten człowiek wyglądał zupełnie jak mój ojciec.

- A skąd miałby się tu wziąć? - zwilżyła językiem dolną wargę.

- Nie - uspokoił ją Connor. - To nie był on. Ale w pierwszej chwili...

Siedzieli w milczeniu, aż w końcu Michele puściła jego dłoń i powoli wstała, nie przestając mierzyć go smutnym spojrzeniem. Connor wiedział, co chce mu powiedzieć.

- Może to zrzączenie Opatrzności. Znak, żebyś do niego zadzwonił i...

- Przestań!

Od razu pożałował tonu, jakim to powiedział. Jęknął cicho pod nosem, podnosząc się z krzesła. Czuł się jak osiemdziesięciolatek. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w żonę, obwiniając się za ból, który dostrzegł w jej oczach.

Michele cofnęła się o krok.

- Ty nawet nie chcesz wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia. - Na jej rzęsach zalśniły łzy. - W końcu to twój ojciec.

- To dla mnie obcy człowiek.

- Bo do tego dopuściłeś... - stwierdziła.

- Nie - zaprotestował podniesionym tonem.

To jego wybór.

- Nienawidzę takiego gadania - zachnęła się Michele, przykładając jedną rękę do czoła, a drugą łapiąc się za włosy.

Connor chciał jej wyznać, jak bardzo nienawidził milczenia, rozgoryczenia i pustki, tych wszystkich zmarnowanych lat, jak okropnie czuł się z tego powodu. Bardzo go bolało, że jego ojcu nie zależało na kontakcie z nimi, że nie potrafił znaleźć czasu, żeby zadzwonić, choćby tylko do swoich wnuczek. Nie mógł jednak tego powiedzieć Michele. Nie chciał jej w to angażować. Tak prosto widziała świat. „To twój ojciec - powlarzała mu setki razy w ciągu ostatnich ośmiu lat. - Zadzwon do niego i powiedz mu, że go kochasz”.

Nie mógł tego zrobić. Po tylu latach najzwyczajniej nie chciał, nawet gdyby obraz martwego mężczyzny w bordowym sedanie miał go prześladować przez cały miesiąc.

Michele wytarła dłonie w fartuch i rękawem otarła tańczącą na powiece łzę. Mrużąc oczy, usiłowała zajrzeć w najgłębsze zakamarki jego duszy.

- Życie nie trwa wiecznie i pewnego dnia będzie za późno.

Connor podszedł ku niej powoli, wyciągając do niej rękę.

- Och, najdroższa. Tak mi przykro... - powiedział, czule ją obejmując. Gdy tak trwali w uścisku, Connor czuł zapach jej szamponu. - Nie mam do ciebie pretensji.

- Ale nie zadzwonisz do niego, co?

- Już tyle razy to wałkowaliśmy - Connor starał się, żeby jego głos brzmiał możliwie beznamiętnie. W ogóle nie powinien wspominać o wypadku. Obeszłoby się wtedy bez dyskusji o dzwonieniu do ojca.

- Nie wracajmy już do tego, dobrze?

Michele wytrzymała jego spojrzenia, choć na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

- Jak chcesz.

Wyczytał w jej głosie coś zupełnie innego, ale wolał nie kontynuować wątku. Zerwane kontakty z ojcem to jedno, co innego Michele... Ona była dla niego wszystkim. Odsunął się od stołu i zerknął na zegarek.

- Masz coś do załatwienia na mieście?

Pytanie to, choć pobrzmiewała w nim nuta smutku, stanowiło dla niej okazję do zmiany tematu. W ciągu ostatnich ośmiu lat przynajmniej tego nauczyli się o sobie nawzajem.

- Taaak - rzucił niedbale, równocześnie sięgając po leżące na stole kluczyki do samochodu.

Michele przysiadła na taborecie zwrócona twarzą do niego.

- Wracaj szybko.

- Zamierzam - Connor nalał wodę do szklanki i opróżnił ją jednym haustem. - Potrzebuję tej kosiarki - dodał, kierując się w stronę drzwi.

Przez krótką chwilę przyglądała mu się smutnymi i pełnymi zadumy oczami, po czym odwracając wzrok powiedziała:

- Każdy potrzebuje ojca, nawet ty.

Powiedziała to tak cicho, że ledwie usłyszał jej słowa. Spośród dziesiątek odpowiedzi, które przemknęły mu przez głowę, wybrał najbezpieczniejszą.

- Kocham cię, Michele.

Zanim zdążyła zareagować na to wyznanie, był już za drzwiami.

Dopiero gdy wsiadał do swojego pick-upa, zauważył, że cały się trzęsie. Przekręcił kluczyk w stacyjce i poprawił lusterko. Co za dzień. Miał nadzieję, że wyprawa do sklepu po kosiarkę, choć sama w sobie niezbyt emocjonująca, pozwoli mu zapomnieć o upiorach przeszłości, które akurat dziś musiały dać znać o sobie.

Wyjeżdżając z podjazdu na ulicę, włączył radio, z którego popłynęła piosenka country. Tego mu było trzeba. Garth Brooks, Tim McGraw albo Kenny Chesney. Może muzyka zdoła zmyć brudny osad przeszłości i uzmysłowi mu, że to, co było kiedyś, nie ma już żadnego znaczenia. Liczyło się tylko dzisiaj. Dzisiaj, jutro i każda sekunda przyszłości, którą przyjdzie mu spędzić z Michele i dziewczynkami. Choć wydawało się to absurdalne, miał nadzieję, że kupno kosiarki sprawi, iż jego świat wróci do równowagi. Piosenka skończyła się i z głośnika popłynął głos spikera odczytującego cegodzinny serwis informacyjny.

- Trwa dochodzenie w sprawie wczorajszej katastrofy lotniczej nad Pacyfikiem. W dniu dzisiejszym Federalny Urząd do Spraw Lotnictwa Cywilnego poinformował, że...

Connor pogłodził radio. O czym on mówi? Samolot spadł do morza?

- ... udało się zlokalizować szczątki samolotu. Są one rozrzucone na dnie oceanu, ale na stosunkowo płytkich wodach. Nurkowie poszukują czarnych skrzynek, które być może pozwolą ustalić przyczyny tragedii. Boeing 767 linii lotniczych Western Island, lot numer 45 z Honolulu do Tokio, rozbił się zaledwie kilka minut po starcie. Z relacji naocznych świadków wynika, że maszyna straciła prędkość i runęła niemal pionowo do morza. Na pokładzie było 188 pasażerów i członków załogi. Zdaniem rzecznika służb ratunkowych najprawdopodobniej nikt nie przeżył katastrofy.

Connor gwałtownie skręcił kierownicą i zatrzymał się na poboczu. To chyba jakiś feralny dzień? Najpierw ten człowiek w bordowym sedanie, a teraz to? Katastrofa lotnicza? Prawie dwieście osób zginęło w falach



Pacyfiku?

Nigdy nie pracował w Western Island Airlines, więc raczej nie znał nikogo z załogi. Mimo to oczyma wyobraźni widział pasażerskiego Boeinga spadającego do morza w niekontrolowanym locie i na samą myśl o tym wzdrygnął się. Błąd pilota? Awaria maszyny? Wielkie samoloty pasażerskie nie spadają z byle powodu.

Connor zacisnął zęby. „Weź się w garść, Evans. Takie rzeczy się zdarzają” - pomyślał. Gorączkowo rozważał możliwe scenariusze wypadku. Błąd pilota? Raczej nie. Awaria silników? Mało prawdopodobne. Uszkodzenie strukturalne? Niewykluczone. Zacisnął kurczowo dłonie na kierownicy i patrzył na swoje bielejące knykcie. Jak czułby się, trzymając wolant samolotu spadającego do morza, nie będąc w stanie powstrzymać pikującej maszyny?

Niemal równocześnie wewnętrzny głos rozsądku kazał mu odwołać się do statystyki. „Pomyśl, Evans. Każdego dnia jakieś trzydzieści tysięcy Amerykanów podróżuje samolotami...”.

Connor zwolnił uścisk na kierownicy. Przecież w Stanach setki samolotów startują bezpiecznie co godzinę, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku. Wypadki zdarzają się sporadycznie. Statystycznie rzecz ujmując, latanie jest o wiele bezpieczniejsze nie tylko od podróżowania samochodem, ale nawet od jazdy na rowerze. Bardziej prawdopodobne jest zadławienie się jedzeniem serwowanym w czasie lotu niż śmierć w katastrofie lotniczej.

- Boże, zmiłuj się nad nimi - ledwie wyszeptał te słowa, gdy poczuł, że jego serce odzyskuje normalny rytm. Postanowił nazajutrz sprawdzić na lotnisku listę członków załogi, aby przekonać się, czy nie ma na niej znajomych nazwisk. Być może znał któregoś z pilotów jeszcze z wojska. Myśl o tym nie dawała mu spokoju.

Jeden samolot, tyle istnień ludzkich. Dobrze przynajmniej, że nie należał on do jego linii. Po tylu latach pracy w firmie znał większość personelu latającego i pokładowego. Gdyby to była ich maszyna, taka katastrofa oznaczałaby utratę kilku przyjaciół.

Wjeżdżając na parking przy sklepie Home Depot, odsunął od siebie myśli o wypadku i skupił się na czekającym go zadaniu. Miał przecież kupić porządną kosiarkę.

W ciągu następnych kilku godzin znalazł odpowiedni sprzęt, przywiózł maszynę do domu, skosił trawę za domem, odebrał Elizabeth i Susan z drugiego urodzinowego przyjęcia, przez pół godziny wysłuchując opowieści o reakcjach solenizantek na prezenty, które od nich dostały. Wszystko to sprawiło, że zapomniał o przykrych zdarzeniach mijającego dnia. O wypadku samochodowym, o martwym kierowcy, a nawet o katastrofie lotniczej. Rozmyślał wyłącznie o tym, jak cudowne jest jego życie, i karmił się nadzieją, że tak będzie już zawsze.

## ROZDZIAŁ III

Już wysiadając z autobusu. Max miał wrażenie, że coś było nie tak. Ramey czekała na niego na przystanku razem z Buddym. W pierwszej chwili ucieszył się na widok swojego najlepszego przyjaciela. Podbiegł do niego i objął go za szyję. Jednak w połowie drogi do mieszkania opiekunki, poczuł w żołądku uścisk, taki sam jak wtedy, gdy zjadł przeterminowany serek, który jakimś cudem uchował się na dnie plecaka. Ni to ból, ni to mdłości, coś jakby rozdygotanie - wszystko naraz. Chyba wiedział, dlaczego tak jest.

Ramey nigdy nie przyprowadzała ze sobą Buddy'ego na przystanek. Do tej pory zawsze zostawał w domu, w ogrodzie, gdzie miał zapas jedzenia i wody i wyczekiwał z utęsknieniem na powrót Maxa i jego mamy.

- Czy Buddy nie mógłby czekać ze mną u Ramey? - wielokrotnie zadawał mamie to pytanie.

- Nie! Pytałeś mnie o to już setki razy, ale odpowiedź brzmi: nie. Ramey nie wolno trzymać psa w mieszkaniu.

Max miał wątpliwości co do tych setek razy. Raczej było tych pytań osiemnaście lub dziewiętnaście. Skoro u Ramey nie mogło być psów, dlaczego dziś zabrała Buddy'ego na przystanek? Dlaczego jego przyjaciel został u niej na kolację, a w ogródku czekała pełna miska?

Przez cały wieczór bezskutecznie próbował odpowiedzieć sobie na te pytania, podczas gdy Ramey rozmawiała z kimś przez telefon.

- Chodź - zaproponowała. - Obejrzymy film. Zaraz do ciebie przyjdę.

- A nie mógłbym obejrzeć telewizji? Jest lepsza niż film, bo można się z niej czegoś dowiedzieć. Mamusia tak mówiła.

Ramey zrobiła minę, jakiej jeszcze u niej nie widział.

- Nie, Max. Żadnej telewizji. Nie dzisiaj. Obejrzymy sobie film.

- Trudno.

W spojrzeniu Ramey było coś dziwnego. Tak jakby jednocześnie była z jakiegoś powodu zła, czegoś się bała i nie wiedziała, co zrobić. Tak samo wyglądał jego kolega z klasy, Wilton, kiedy zapomniał przypiąć rower i ktoś mu go ukradł. Ramey sięgnęła po pierwszą z brzegu kasetę wideo i włożyła ją do odtwarzacza. Nazajutrz była sobota, więc Max nie musiał wcześniej kłaść się spać. Zajął swoje ulubione miejsce na puszystej purpurowej kanapie, a gdy Buddy usadowił się na niej obok niego, opiekunka, o dziwo, nie odezwała się ani słowem.

Wbrew temu co powiedziała, nie dołączyła do nich. Zamiast tego przyciszonym głosem rozmawiała z kimś przez telefon. Chwilami wydawało mu się, że jej policzki były mokre. Czyżby płakała? Max próbował usłyszeć, co mówiła, ale dźwięk z telewizora wszystko zagłuszał.

Doleciały do niego urwane zdania: „Co mam zrobić?” i „Nic nie powiem, dopóki nie będzie oficjalnego potwierdzenia”.

Film nosił tytuł Wszystkie psy idą do nieba. Max oglądał go z głową opartą o grzbiet Buddy'ego. Co kilka minut sprawdzał, czy pies ogląda go razem z nim, ale mniej więcej w połowie filmu dał sobie spokój, bo Buddy zasnął. Przez cały ten czas Ramey siedziała przy aparacie.

Dopiero gdy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, podeszła do magnetowidu i włączyła nową kasetę, tym razem z filmem Piotruś Pan. Część II. Przyniosła też Maxowi kanapkę i kubek ciepłego mleka. Niepokój chłopca tylko się nasilił. Nigdy dotąd nie pozwalała mu jeść w pokoju przed telewizorem.

Gdy i ten drugi film dobiegł końca, Max nie wytrzymał, podszedł do niej i popukał ją w ramię. Ciągle z kimś rozmawiała. Zmarszczki wokół jej oczu pogłębiły się i wyglądały jak narysowane ciemną kredką.

- Tak? O co chodzi, Max. Chcesz obejrzeć jeszcze jeden film? - zapytała tym swoim ścisłym głosem.

- Nie - odpowiedział chłopiec. - Dlaczego mama nie wraca? - Ruchem głowy wskazał w stronę okna. - Zobacz, Ramey. Zrobiło się już ciemno. Mama zawsze wtedy dzwoni. A jeśli nie może się dodzwonić, bo ty

cały czas rozmawiasz przez telefon?

Ramey patrzyła na niego w milczeniu, a pod jej powiekami nabrzmiwały łzy. W końcu pociągnęła nosem i słabym, łamiącym się tonem powiedziała:

- Zaraz o tym porozmawiamy, Max.

Chłopiec wydał dolną wargę i wolnym krokiem podszedł do Buddy'ego.

- Hej, Buddy! Obudź się! - Szarpnął go lekko za jego starą czerwoną obrozę. - Obudź się wreszcie!

Buddy najpierw uniósł jedną powiekę, potem drugą. Max przysunął buzię do jego nosa i czekał, aż pies polize go w policzek. Gdy tak się stało, delikatnie dotknął jego mokrego nosa i wyszeptał:

- Mówię ci Buddy... coś dziwnego się tu dzieje.

Pies przekrzywił tylko głowę i jeszcze raz polizał chłopca w policzek. Właśnie wtedy podeszła do nich Ramey. Wyglądała na jeszcze starszą i bardzo zmęczoną. Miała zaczerwienioną twarz.

- Max, mama nie może dzisiaj do ciebie zatelefonować.

Chłopiec poczuł ogarniający go lęk. Zdawało mu się, że ma w żołądku trzepoczącą się złotą rybkę. Kiedyś oglądał z mamą program o ludziach, którzy zjadali żywe złote rybki.

- Założę się, że jeszcze długo wywijają ogonami w ich brzuchach - powiedział wtedy mamie.

Teraz tak właśnie się czuł. Jakby w brzuchu wiło mu się dziesięć, a może nawet jedenaście złotych rybek. Puścił Buddy'ego i wstał. Wyprostował się, tak jak uczyła go mama. Często zwracała mu uwagę, żeby się nie garbił.

- Dlaczego?

- Ponieważ coś się stało i nie może zadzwonić.

Złote rybki jeszcze mocniej zaczęły wywijać ogonkami.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem, Max. Po prostu musimy poczekać. - Ramey usiadła na brzegu kanapy na wprost niego i przytuliła go tak jak wtedy, gdy zdechł jego żółw. Zamiast się uspokoić, wystraszył się jeszcze bardziej.

- Ale zadzwoni do mnie jutro? Przed odlotem?

- Mam nadzieję - odparła Ramey zrezygnowanym tonem, tak jakby w to nie wierzyła.

Max przestał się dopytywać o mamę i usiadł obok opiekunki. Nie chciał już o tym myśleć. Buddy zeskoczył z kanapy i dla odmiany położył się na podłodze. Max pogłaskał go po głowie.

- Grzeczny piesek. No, już dobrze.

Tej nocy Ramey pozwoliła im spać w salonie. Max położył się na leżance, a Buddy tuż obok na podłodze. Zastrzegła jednak, że pod żadnym pozorem nie wolno włączać telewizora.

Gdy następnego ranka Max się obudził, Ramey podeszła do niego i czule wzięła go za rękę. Bardzo lubił tę kobietę. Była dla niego jak babcia, której nigdy nie miał. Nie lubił jednak, gdy ścisnęła go za rękę, bo miała szorstkie dłonie, a poza tym nie była jego mamą.

- Max, muszę ci coś powiedzieć.

Usiadł na łóżku, przecierając zaspane oczy, a Ramey usiadła przy nim. Zauważył, że miała podpuchnięte powieki. Tak samo wyglądała jego wychowawczynie, gdy dostała kwiaty od dzieci z drugiej klasy. Wyjaśniła im wtedy, że to się nazywa alergia. Może Ramey na nią chorowała.

Kobieta głęboko westchnęła.

- Twoja mama nie wróci do domu.

W jednej chwili resztki snu uleciały gdzieś daleko.

- Co takiego? - nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Ramey musiała się pomylić. - Przecież obiecała, że nie będzie jej tylko dwa dni.

Ramey z kamiennym wyrazem twarzy pokręciła przecząco głową.

- To nie tak, Max. Zdarzył się wypadek. Twoja mama już nigdy nie wróci. Nigdy.

Trzepoczące złote rybki znowu dały o sobie znać, ale tym razem chłopiec naprawdę się rozzłościł.

- Ramey, nie! - Wyczuwając zdenerwowanie chłopca, Buddy zaszczekał dwa razy. - Nie mów tak. Wróci jeszcze dziś. Na kolację.

Po pomarszczonych policzkach kobiety zaczęły płynąć łzy. Ukryła twarz w dłoniach i jęknęła cicho:

- Nie utrudniaj mi tego, proszę!

Max nie wiedział, co odpowiedzieć. Buddy kręcił się niespokojnie i tak jak jego pan wpatrywał się w Ramey, która wstała i podeszła do okna. Max nie chciał okazywać złości, ale za każdym razem, gdy próbował się opanować, ogarniał go strach, który powodował, że miał ochotę rzucić się do drzwi i uciec do domu.

Wreszcie, rozkładając ręce w geście bezradności, Ramey zawołała go raz jeszcze:

- Chodź do mnie, Max.

Nie chciał, ale czuł, że musi zrobić to, o co prosiła. Grzeczni chłopcy słuchają dorosłych. Mama go tego uczyła. Powłócząc nogami po dywanie, podszedł do Ramey i stanął obok niej ze spuszczoną głową. Położyła mu ręce na ramionach i, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

- Max... twoja mama nie żyje.

Po czym łamiącym się głosem dodała:

- Pan Jezus... Pan Jezus zabrał ją do nieba.

Max wyszarpnął się z jej rąk, gwałtownie potrząsając głową. Choć Ramey nigdy wcześniej go nie okłamała, nie wierzył jej. Jego mama żyła. Wczoraj rano pocałowała go na do widzenia. Przecież nie zmyślił sobie tego. Jego mama na pewno żyła. Na pewno.

- Nie, Ramey... to nieprawda. - Zrobił parę kroków do tyłu, obrócił się i pobiegł do łazienki, zatrzaskując za sobą drzwi i zapierając się o nie plecami, żeby nikt nie mógł wejść. Oddech miał przyspieszony i nierówny jak wtedy, gdy na dużej przerwie ścigał się z Jimmym Jacksonem. Zaciskał powieki, próbując zmusić się do myślenia. Dlaczego Ramey powiedziała coś takiego? Jego mamie nic nie mogło się stać, nie była ani chora, ani stara. Pan Jezus wcale nie zabrał jej do nieba. Była teraz w Tokio, no i tyle. Nic się nie zmieniło. Poczul, że znowu zaczyna oddychać normalnie. Mama na pewno lada chwila zadzwoni.

Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. A jeśli coś zepsuło się w samolocie mamy? Urwały się skrzydła albo w czasie lotu odpadły drzwi? A może pilot musiał wylądować na wodzie? Kiedyś już pytał mamę o drzwi, przez które wchodzi się do samolotu:

- A jeśli ktoś je otworzy, co się wtedy stanie?

- Max, nie da się otworzyć drzwi, kiedy samolot jest w powietrzu. To niemożliwe.

- Ale gdyby ktoś to zrobił, czy wtedy by wypadł?

- Pewnie tak - odparła z łagodnym uśmiechem. - Ale takie rzeczy się nie zdarzają. Samoloty są bardzo bezpieczne, rozumiesz?

Pytał o to jeszcze kilkakrotnie, ale zawsze odpowiadała tak samo. Samoloty są bezpieczne. Skrzydła się nie urywają, drzwi nie odpadają, a piloci nigdy nie lądują na wodzie. Nigdy.

Rozległo się delikatne pukanie i równocześnie poczuł, że ktoś usiłuje wejść do łazienki.

- Max... otwórz. Proszę. - Ramey już nie płakała, ale brzmienie jej głosu zdradzało, że nadal jest zdenerwowana. Zdenerwowana, przerażona i zdezorientowana.

Teraz, gdy dopuścił już do siebie tę straszną myśl, nie mógł się od niej opędzić. A jeśli rzeczywiście w samolocie mamy coś się zepsuło? Może zdarzyło się coś, o czym nie wiedziała, że może się zdarzyć? Przestał się zapierać, ostrożnie uchylił drzwi, wystawił zza nich głowę i spojrzał na opiekunkę.

Nagle ogarnął go strach, ale w tej samej chwili w głębi duszy usłyszał szept mamy. „Bądź dzielny, Max... Gdy będziesz się czegoś bał, staraj się być dzielny”. Zebrał się więc na odwagę i zapytał:

- Ramey, czy... czy z samolotem mamy stało się coś złego?

Ramey ledwie zauważalnie skinęła głową.

- Tak, Max. Coś bardzo złego.

Oczy zaczęły go piec i poczuł rosnącą w gardle kulę, jak wtedy, gdy za szybko coś jadł.

- Czy odpadły mu skrzydła?

- Nie. - Ramey bardziej uchyliła drzwi, a w powstałą w ten sposób szparę Buddy natychmiast wetknął swój nos. - Wylądował na wodzie. - Na policzkach Ramey znowu pojawiły się łzy. - Nie doleciał do Tokio.

Nie doleciał? Serce Maxa zamarło z przerażenia, a nogi zrobiły się jak z gumy.

- Lądowali na wodzie?

- Tak, Max - Ramey weszła do łazienki, przyciągnęła go do siebie i mocno przytuliła. - Tak mi przykro, maleńki.

Odepchnął ją od siebie, nie chcąc pogodzić się ze straszną prawdą.

- Mamusia mówiła, że samoloty nigdy nie lądują na wodzie.

- Zazwyczaj nie, ale tym razem... coś musiało się zdarzyć. Max, twoja mama... nie zdołała się uratować.

- Ale moja mamusia umie pływać, Ramey. Może właśnie płynie z powrotem na wyspę.

Kobieta spojrzała w górę w błagalnym geście i zaciskając powieki, powiedziała cicho:

- Proszę... ja nie potrafię.

Max tymczasem zaczął targać ją za rękaw:

- Prawda, że płynie do nas? Prawda? - Postanowił, że nie da jej spokoju, dopóki nie usłyszy odpowiedzi. - Moglibyśmy jej pomóc. Jeszcze nie jest za późno.

- To na nic. - Ramey cała się trzęsła. - Ona nie żyje, Max. Wszyscy na pokładzie zginęli.

- Może jednak nie... Może mama potrzebuje pomocy - krzyknął i rzucił się do wyjścia, ale opiekunka zdążyła go przytrzymać.

- Max, jej już tam nie ma. Jest w niebie. Z Panem Jezusem.

Trzymała go mocno. Chłopiec przestał się wyrywać. Jego mama umarła? Jej samolot wpadł do oceanu i teraz była w niebie? Nogi ugięły się pod nim, padł na kolana i podparł się rękami.

- Nie, Ramey! Nie mogła odejść. Nie mogła mnie zostawić...

Łzy płynęły mu z oczu strumieniami. Nigdy wcześniej tak bardzo nie płakał. Dlaczego mama (jo zostawiła? Kto teraz będzie go kochać, przytulać i czytać bajki? Kto będzie robić mu na śniadanie naleśniki z jagodami, wyprawiać go do szkoły i uczyć jeździć na rolkach? Kto będzie mu śpiewał piosenkę:

„Nad życie kocham synka mojego, na śniadanie chcę zrobić mu coś pysznego?”.

Buddy przydreptał do niego i przyjaźnie polizał go w policzek.

- Buddy, idź sobie!

Pies położył się w kącie, obdarzając swojego pana pełnym wyrzutem spojrzeniem. Max był zły na siebie za to, że na niego nakrzyczał. Przecież Buddy nie był niczemu winny. Ale dlaczego nikt nie pomógł mamie wydostać się z samolotu. Dlaczego nikt jej nie uratował?

- Mamo! - wyrwało się z jego piersi. Zawołał najgłośniejszym głosem, w nadziei, że mama go usłyszy, że jego wołanie poniesie się aż do nieba.

Ramey objęła chłopca i posadziła obok siebie na kanapie. Przytuliła go i oboje rozplakali się. Im dłużej o tym myślał, z tym większą mocą docierało do niego, że wszystko to jest prawdą. Jego mamusia umarła. Wiedział, że ona nie żyje, bo czuł w sercu ogromną pustkę. Czuł się tak, jakby stracił część samego siebie. Łzy nieprzerwanie płynęły mu po twarzy. Ramey też płakała. Nie potrafił tego zrozumieć, bo przecież to jego mama umarła, a nie jej.

- Chodź, pomodlimy się - zaproponowała Ramey, przerywając milczenie.

Zdziwił się, słysząc jej słowa. Nigdy nie widział, żeby Ramey się modliła, ale jego mamusia robiła to często. Ramey chyba nie wiedziała zbyt wiele o Panu Bogu i nawet nie był pewien, czy w Niego wierzyła.

Teraz w niebie był nie tylko Pan Bóg, ale i jego mamusia. Potrzebował mapy, żeby dowiedzieć się, jak tam się dostać. Może Ramey uda się znaleźć informacje na ten temat w internecie. Tymczasem postanowił poprosić Pana Boga, żeby przekazał mamie wiadomość. Umiał trochę się modlić, ale nie miał pewności, czy może Pana Boga o to poprosić.

- Czy Pan Bóg przekaże mamusi wiadomość ode mnie? - zapytał, ocierając łzy.

- Tak, Max - Ramey przygryzła wargę. Widać było, że drży jej podbródek. - Jeśli Pan Bóg istnieje, na pewno znajdzie sposób, żeby jej wszystko powtórzyć.

- Ale czy Pan Bóg na pewno istnieje? - Max chciał się upewnić. Niby od zawsze to wiedział. Mama mu o tym powiedziała. Nie chciał jednak zostawiać Panu Bogu wiadomości, jeśli nie było Go w niebie.

- Boże... - Ramey po raz kolejny zacisnęła oczy i jeszcze ciszej szepnęła: - Gdzie jesteś? - Potem zakryła twarz dłońmi i załkała. Ze względu na chłopca opanowała się jednak i pokiwała twierdząco głową. - Tak, Max. Pan Bóg istnieje. Bóg czuwa nad nami nawet w taki dzień jak dziś.

- To dobrze - Max złożył dłonie do modlitwy, tak jak zawsze robił to z mamą. Nie potrafił jednak wydobyć z siebie ani słowa. „Mamusiu... mamusiu, gdzie jesteś? Wróć do mnie, proszę...” - rozpaczliwie wołał w myślach. Nagle poczuł ogromną tęsknotę. Tęskniły za mamą nie tylko jego serduszko i głowa, ale też rączki i nóżki. Zdał sobie sprawę, że już nigdy nie będzie mógł się do niej przytulić, już nigdy nie będą chodzić na spacer, trzymając się za ręce. Już nigdy.

- Max? - odezwała się Ramey, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Chcesz, żebym ja to powiedziała?

- Nie, nie trzeba.

Chciał sam to powiedzieć Panu Bogu. Chlipnął cichutko i zaczął mówić:

- Panie Boże, cześć! To ja, Max. - Denerwował się trochę, bo pierwszy raz prosił Pana Boga o przekazanie wiadomości. - Ramey mówi, że moja mamusia jest teraz z Tobą i że możesz jej coś powiedzieć ode mnie. - Przerwał na chwilę na wypadek, gdyby Pan Bóg chciał coś odpowiedzieć. Odpowiedzi nie było, więc ciągnął dalej: - Powiedz jej proszę, że bardzo ją przepraszam, że nie byłem przy niej, kiedy jej samolot wylądował na wodzie, bo wtedy może mógłbym ją uratować. Moglibyśmy oboje spróbować dopłynąć do wyspy i nie musiałyby teraz mieszkać w niebie.

Uczucie ogromnej tęsknoty nasiliło się i przed oczami stanęła mu twarz mamy. „Bądź dzielny, Max... bądź dzielny”. Wyprostował się nieco i mówił dalej:

- Ale teraz chyba jest już za późno, dlatego, Panie Boże, proszę Cię, powiedz jej coś jeszcze. Powiedz jej, że będę grzeczny i nie będę sprawiał kłopotów Ramey. Powiedz jej też „cześć” od Buddy'ego. - Pies cicho zaskomlał. - Aha, poproś ją, żeby dziś wieczorem zaśpiewała mi naszą specjalną piosenkę, zanim zasnę. - Nie bardzo wiedział, jak zakończy modlitwę, więc powiedział tylko: - Dziękuję Ci, Panie Boże. Na razie to wszystko, może później jeszcze coś mi się przypomni.

Dopiero w nocy, leżąc w swoim łóżku razem z Buddym, Max zdał sobie sprawę, że gdyby samolot wylądował na lotnisku, tak jak powinien, jego mama byłaby teraz w domu. Siedziałyby tuż obok niego, śpiewając ich ulubioną piosenkę.

Jeśli jednak Pan Bóg przekazał jej jego wiadomość, może śpiewała ją właśnie w tej chwili. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. A może czekała na niego, żeby zaśpiewali ją razem. Postanowił, że zacznie pierwszy, ale nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Czuł się tak, jakby w gardle miał wielką żabę. Zakaszał.

Buddy uniósł głowę i wlepił w niego wzrok. Uszy miał podniesione.

- Już dobrze, piesku - Max poklepał Buddy'ego po głowie. - Idź spać.

Przez chwilę czuł na ramieniu jego ciepły oddech. W końcu pies posłusznie opuścił głowę i wtedy Max zaczął nucić piosenkę mamy. Przypomniały mu się też słowa. Objął Buddy'ego za kark i śpiewał, a raczej mruczał sobie cichutko pod nosem:

- „Nad życie kocham synka mojego, na śniadanie chcę zrobić mu coś pysznego. Choć rozdziela nas ocean... w twoim sercu jestem ja”.

Bez mamy śpiewanie piosenki nie było już takie fajne, ale przynajmniej łagodziło ból w jego sercu. Nawet jeśli nucił ją sobie tylko po cichu, wiedział, że w niebie mama też ją sobie śpiewa, a zatem w pewnym sensie byli razem. Piosence mogły towarzyszyć też specjalne gesty ilustrujące jej treść, które obmyślili wspólnie z mamą. Postanowił zanucić piosenkę jeszcze raz, wykonując te gesty, żeby było tak jak wtedy, gdy śpiewali ją razem.

Najpierw położył sobie obie dłonie na sercu, potem jedną wystawił przed siebie z kciukiem zwróconym do góry - ta miała udawać grzanekę - a drugą przesuwając po niej tam i z powrotem, jakby rozsmarowywał masło, tak jak co rano robiła to jego mamusia.

Następnie rozłożył szeroko ramiona, udając ocean, a na koniec znowu położył dłonie na sercu.

Spróbował jeszcze raz, ale do oczu znowu napłynęły mu łzy i nie machał już do rytmu. Takie machanie i

gesty były fajne tylko wtedy, gdy mama była razem z nim w pokoju. Skoro teraz była w niebie, to już nie było to samo.

- „Nad życie kocham synka mojego... na śniadanie chcę zrobić mu coś pysznego... Choć rozdziela nas ocean...”.

Przerwał nagle, bo właśnie przypomniał sobie o PS do Pana Boga. Mama wyjaśniła mu kiedyś, co znaczy PS. Kiedy się do kogoś napisało list, a trzeba dodać jeszcze coś ważnego, o czym się zapomniało, pisze się PS. Postriptum czy jakoś tak.

- Panie Boże? - wyszeptał. W gardle mu zaschło, a rana w sercu znowu się powiększyła. - Panie Boże, jeśli tam jesteś, to mówię ja, Max.

Buddy wyciągnął się obok niego, dysząc cichutko. Chłopiec czuł na ramieniu jego zimny i wilgotny nos.

- Panie Boże, zapomniałem o PS - Max przejechał palcami po grzbiecie Buddy'ego. Psisko przez cały dzień nie odstępowało go na krok i chyba też tęskniło za jego mamą. Ramey była miłą panią, ale to Buddy był teraz jego jedyną rodziną. Dobrze słyszał, jak jego opiekunka powiedziała to komuś przez telefon w trakcie obiadu.

- Panie Boże, proszę Cię, powiedz mojej mamie, że jutro porozmawiam z Ramey o niebie. Nie wiem, jak się tam dostać, a jeśli mamusia będzie w nim teraz mieszkać, to ja też chciałbym w nim się znaleźć. Jak najszybciej, dobrze?

Gdy w końcu zasnął, cały czas obejmując ramieniem Buddy'ego, śniły mu się samoloty lądujące na wodzie i niebo, w którym znowu mogli być razem we trójkę. On, mamusia i Buddy. Razem, jak na rodzinę przystało. Na zawsze razem.

## ROZDZIAŁ IV

Ramey nie potrafiła powstrzymać potoku wspomnień. Powracały do niej nieustannie obrazy z życia Kiahny Siefert, strzępki informacji, na których zmuszona była polegać teraz, gdy nie było już jej wśród żywych.

Kilka tygodni przed narodzinami Maxa, Kiahna posadziła Ramey przy stole i poinstruowała ją, co powinna zrobić na wypadek, gdyby coś złego jej się przydarzyło.

- Porozmawiajmy o śmierci - powiedziała, kładąc ręce na swoim nabrzmałym brzuchu.

- Dajże spokój - zaprotestowała Ramey, nie mając pewności, czy Kiahna mówi serio. - Masz przed sobą najlepsze lata swojego życia. Nie poruszaj takich tematów. Przerażasz mnie.

Jednak Kiahna nie odpuściła.

- Ramey, mówię całkiem poważnie. Gdyby coś mi się stało, musisz wiedzieć, co zrobić.

Ramey przez moment mierzyła ją wzrokiem, aż w końcu potakująco kiwnęła głową.

- Dobrze. Mów!

Plan był prosty. Kiahna sporządziła krótki testament, do którego dołączyła list do swojego nienarodzonego jeszcze syna. Oba te dokumenty zdeponowała u pewnego adwokata na wyspie, który w razie najgorszego, miał dopilnować, by jej ostatnią wolę należycie wypełniono.

- A co z ojcem dziecka?

Kiahna w mgnieniu oka spoważniała.



- Nie. Nie pytaj mnie o niego.

Ramey posłuchała jej prośby i nigdy więcej już o to nie zapytała. Kimkolwiek był ten człowiek, głęboko zranił Kiahnę. Ta zielonooka dziewczyna, o pięknej karnacji i nienagannej figurze, w której żyłach płynęła krew irlandzka i hawajska, miała serce większe niż Pacyfik. Jednak dostęp do niego miał jedynie Bóg i jej syn Max.

Ramey nieraz miała ochotę odnaleźć ojca chłopca, potrząsnąć nim i zapytać, czy zdaje sobie sprawę z tego, co stracił, pozostawiając Kiahnę samą w ciąży. Max był takim wspaniałym dzieckiem, ciekawym świata i ludzi.

Z początku, gdy chłopiec był jeszcze całkiem malutki, Ramey wielokrotnie pytała Kiahnę, czy nie poznała jakiegoś mężczyzny godnego uwagi. „Ilekcóż myślę o tym chłopcu, utwierdzam się w przekonaniu, że w przyszłości jeszcze będzie miał ojca miała w zwyczaju mówić. - Tylu spotykasz w pracy pilotów i biznesmenów. Któryś z nich musi przejrzeć na oczy”. Zawsze wtedy Kiahna stawała się jakby nieobecna. Nieznacznie kręciła głową i na tym ich rozmowa kończyła się. Gdy Max miała trzy lata, Kiahna oznajmiła jej, że chłopiec nie potrzebuje tatusia. Już miał ojca - Ojca niebieskiego. Kiahna wychowała się w bardzo religijnej rodzinie, ale po urodzeniu syna wiara stała się dla niej ważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Chciała by chłopiec rozumiał, że w życiu najważniejszy jest Bóg.

Gdy pewnego razu Kiahna spróbowała porozmawiać o swojej wierze z Ramey, ta najeżyła się i powiedziała:

- To wszystko tylko mrzonki. Jak chcesz, to sobie w to wierz, ale mnie w to nie wciągaj.

- Nie będę cię pytać o Boga, jeśli ty nie będziesz mnie pytać o mężczyzn.

Ramey, trzymając ręce na biodrach, popatrzyła na nią z ukosa.

- OK, umowa stoi.

Mimo to Ramey od czasu do czasu znajdowała sposób, by w rozmowie z dziewczyną poruszyć zakazany temat. W takich wypadkach Kiahna tylko wzruszała ramionami i ze słodkim uśmiechem mówiła:

- Słuchaj, mam Pana Boga i Maxa. Na razie mi to wystarczy.

Ramey przestała ją nagabywać, co nie przeszkadzało jej wspomnieć mimochodem o nieżonatym sprzedawcy w sklepie warzywnym lub sympatycznym blondynie, którego przypadkiem spotkała przy basenie. Reakcja Kiahny zawsze była taka sama. W jej życiu nie było miejsca na mężczyzn, z wyjątkiem Maxa.

Minęło kilka lat. W tym czasie dorosłe dzieci Ramey wyjechały z wyspy i rzadko przyjeżdżały ją odwiedzić. Ramey, wciąż jeszcze mając rezerwy matczynej miłości, postanowiła otworzyć u siebie domowe przedszkole. Codziennie po szkole opiekowała się szóstką maluchów, ale tylko Max czasami u niej nocował. Gdy skończył pięć lat, Ramey była już zbyt schorowana, by zajmować się tak dużą gromadką. Wyjątek uczyniła dla Maxa i wtedy uświadomiła sobie, że traktuje go jak własnego wnuka.

Teraz miała już sześćdziesiąt osiem lat. Była chora na serce i cukrzycę. Miała kłopoty z krążeniem i słabnący wzrok. Cokolwiek przyszłość trzymała w zanadrzu dla Maxa po stracie matki, bardzo chciała być tego częścią, ale nie mogła wziąć na siebie obowiązków związanych z wychowaniem chłopca.

Max był bardzo aktywnym dzieckiem. Na chodniku przed domem często grywał z mamą w koszykówkę i uczył się od niej, jak posłać podkreśnione podanie. Ściagał się z nią po plaży i razem jeździli na długie wycieczki rowerowe. Ramey nie była już w stanie mu tego zaoferować.

W poniedziałek rano, trzy dni po tragedii, zadzwoniła do adwokata Kiahny. Miała nadzieję, że oprócz

finansowego zabezpieczenia w swojej ostatniej woli pozostawiła jakieś wskazówki, kto miałby po jej śmierci zaopiekować się chłopcem.

Ramey nie wiedziała, czego się spodziewać. Może Kiahna miała dawno niewidzianą siostrę, a może wuja lub ciotkę. Kogoś, kto zajmie się Maxem i stworzy mu dom. Recepcjonistka w biurze adwokata poprosiła, by chwilę zaczekała. Ramey była gotowa czekać nawet cały dzień, jeśli tylko miało to pomóc chłopcu. Biedactwo. Przez cały weekend Max i Buddy nie odstępowali się na krok. Kilkakrotnie widziała, jak chłopiec siedział oparty o łóżko z kolanami pod brodą i twarzą ukrytą w ramionach, pochlipując i cichutko wołając mamę.

Tego ranka po raz pierwszy od trzech dni Ramey nie płakała zaraz po obudzeniu. Podświadomie przeczuwała jednak, że jeszcze wiele łez popłynie, zanim ten dzień dobiegnie końca. Mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Dzień dobry, mówi Marv Ogle. Czym mogę służyć?

Ramey wyprostowała się. Nigdy, nawet w najczarniejszych snach nie przypuszczała, że będzie musiała odbyć tę rozmowę. Gdy Max przyszedł na świat, zdawało się być niemożliwe, by kiedykolwiek Kiahna przestała być kochającą mamą, młodą, pełną życia i wiary kobietą.

- Dzień dobry. Nazywam się Ramey Ailea. Jeśli się nie mylę, jedną z pańskich klientek jest Kiahna Siefert.

- Kiahna Siefert? - głos mężczyzny przybrał łagodniejszy ton. - Tak... zgadza się.

- No cóż... - Ramey przełknęła ślinę. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Kiahna była dla tego mężczyzny kimś więcej niż tylko klientką. - Mam do przekazania złe wiadomości, panie Ogle - mówiąc to, zamknęła oczy.

- W zeszły piątek Kiahna zginęła w katastrofie lotniczej. Była... stewardesą.

Minęła chwila, zanim mężczyzna odezwał się ponownie.

- Jest pani tego pewna?

- Tak.

Adwokat jęknął, a gdy znów zaczął mówić, jego głos wyraźnie się łamał.

- Martwiłem się o nią. Słyszałem o tym wypadku i chciałem sprawdzić listę ofiar, ale gazety jej jeszcze nie opublikowały.

- Nie - Ramey mrugnęła powiekami, czując łzy cisnące jej się do oczu. - Na razie zawiadamiają rodziny.

- Jest pani tego absolutnie pewna? - mężczyzna wydał z siebie przeciągłe westchnienie z rodzaju łych, które tak często można usłyszeć w szpitalach i domach pogrzebowych. - Myślałem, że latała na trasie do Los Angeles.

- Tak było, zanim Max się urodził - Ramey dopiero teraz zauważyła, że trzęsą jej się ręce. - Ostatnio latała z Honolulu do Tokio.

W słuchawce dało się słyszeć kolejne ciche jęknięcie.

- Moja słodka Kiahna.

Adwokat wypowiedział jej imię w taki sposób, jak gdyby łączyło się z nim tysiące wspomnień.

Tak bardzo się tego obawiała.

- Wiem.

- Kiahna była dla mnie jak druga córka.

- Och... - Ramey rozumiała jego ból. Czowała to samo. - Nie wiedziałam.

Adwokat ciągnął dalej:

- W gimnazjum Kiahna i moja córka były najlepszymi przyjaciółkami, były jak siostry. Potem Marlee... wpadła w złe towarzystwo i w liceum ta przyjaźń trochę się rozluźniła, ale Kiahna nadal utrzymywała z nami kontakt. Przemiała dziewczyna, bardzo wierząca. Wiele razy wyciągała Marlee z imprez, przywoziła ją do domu i następnego dnia próbowała przemówić jej do rozumu. Robiła, co tylko mogła, żeby uratować naszą córkę przed bagnem, w które wdepnęła.

Pan Ogle odchrząknął, jak gdyby chciał odzyskać panowanie nad sobą.

- Na początku klasy maturalnej Marlee zmarła na skutek zatrucia alkoholowego. Na pogrzebie Kiahna pocieszała mnie i moją żonę. Powiedziała nam, że jesteśmy dla niej jak rodzice. Powiedziała, że jeśli tylko będziemy jej potrzebować, ona będzie przy nas.

Z kącika prawego oka Ramey uwolniła się pojedyncza łza, a za nią strumieniem popłynęły następne. Do głowy nie przychodziło jej nic, co mogłaby w tej chwili powiedzieć.

Mężczyzna wciągnął powietrze i mówił dalej:

- Ostatnio dłuższy czas jej nie widzieliśmy, ale parę miesięcy temu odwiedziła nas. Przyniosła kwiaty dla mojej żony i gawędziliśmy trochę, podczas gdy Max biegał po ogrodzie.

Ogle zrobił krótką pauzę.

- Kochała tego chłopca nad życie.

- O tak, to prawda - Ramey miała ochotę podzielić się swoimi wspomnieniami o Kiahnie, ale były teraz ważniejsze sprawy. - O ile się orientuję, posiada pan testament Kiahny? Czy to prawda?

Ogle jakby dopiero teraz uświadomił sobie powód tej rozmowy i w jego głosie słychać było smutek.

- Owszem. Są dwie koperty. Jedna zawiera testament, a druga list do Maxa.

- Ten, który napisała wkrótce po jego urodzeniu?

- Nie. Co roku w okolicach urodzin Maxa przynosiła nowy, aktualny.

Serce Ramey zabiło szybciej. Przeszywający je ból spotęgował się. Dlaczego... dlaczego Bóg - o ile Bóg istnieje - zabrał do siebie Kiahnę, skoro tak bardzo kochała swojego synka? Przecież prócz matki chłopiec nie miał nikogo. Zacisnęła oczy, powstrzymując łzy.

- Proszę pana, Max jest teraz pod moją opieką. Musimy poznać intencje Kiahny.

Poczuła narastającą w gardle kulę.

- Im szybciej, tym lepiej.

Ramey usłyszała w słuchawce szelest przewracanych kartek papieru.

- Mogę wpaść do pani dziś po południu, o drugiej. Czy to dobry termin?

Ramey popatrzyła przez zasuwane przeszkłone drzwi na Maxa, który wsparty głową o Buddy'ego leżał na wznak na posadzce w patio. W obecnym stanie psychicznym nie mógł iść do szkoły, a w zależności od pozostawionych przez Kiahnę dyspozycji, być może już tam nie wróci. Cokolwiek przyszłość przyniesie, trzeba było znaleźć jakieś rozwiązanie. Ramey przyłożyła dłoń do czoła, przesuwając po skroniach palcami.

- Druga godzina w pełni mi odpowiada.

Adwokat zawahał się na moment, po czym zapytał:

- Czy Max wtedy będzie w domu?

- Tak... Chłopiec nie ma dokąd pójść. Rozumie pan?

- Rozumiem - powiedział głosem pełnym bólu. - Jednak będę zmuszony poruszyć delikatne kwestie. Dobrze by było, gdybyśmy mogli o pewnych sprawach porozmawiać na osobności.

Myśli kłębiły się w głowie Ramey. Dokumenty pozostawione przez Khianę są delikatnej natury? Co to oznacza, dlaczego wcześniej o tym nie wspomniała. Ramey po raz kolejny poczuła ucisk w gardle. Jej oddech stał się świszczący. Atak astmy. Wiedziała, że za kilka minut potrzebny jej będzie inhalator, bo inaczej może być niedobrze.

- Powiem Maksowi, żeby pobawił się w domu, a w tym czasie my porozmawiamy w patio - zaproponowała, tłumiąc kaszel. Jeszcze tylko udzieliła adwokatowi wskazówek, jak do niej dojechać, pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

Szybkim krokiem podeszła do szafki i wyjęła lekarstwo. Trzy dawki leku i znów mogła oddychać swobodnie. Przynajmniej przez jakiś czas. Lekarz powiedział jej, że z jej zdrowiem nie jest najlepiej i coraz częściej będzie uskarżać się na różne dolegliwości. Astma była tylko jedną z nich, a wszystkie one razem wzięte brutalnie przypominały, że Max tak naprawdę nie ma nikogo. To, co Kiahna zaplanowała dla syna w testamencie, na pewno było lepsze niż pobyt w domu dziecka. To była dla niego ostatnia nadzieja.

## ROZDZIAŁ V

Spośród wszystkich dni tygodnia Michele Evans najbardziej lubiła wtorek. Choć grafik lotów co miesiąc ulegał zmianom, Connor pracował zawsze w te same dni. Latał na krótkich trasach. Zaczynał we wtorek o czternastej i w środę wieczorem był już w domu. W czwartek o siódmej znowu wychodził do pracy i wracał w piątek wieczorem. Miał wolne weekendy i poniedziałki. Mógł wtedy zabierać córki na długie spacery i wycieczki, pracować w domu i ogrodzie.

Wtorkowe poranki poświęcał Michele. Wstawali wcześniej rano, przygotowywali śniadanie dla dziewczyn, potem podwozili je do szkoły Lakewood Elementary i o ósmej trzydzieści byli z powrotem w domu. Wyłączali wtedy telefon, wracali do łóżka i przez kolejne trzy godziny świat mógłby dla nich nie istnieć. To były ich krótkie wakacje w środku tygodnia, na które Michele zawsze czekała z niecierpliwością.

We wtorki mieli czas wyłącznie dla siebie i nie musieli się obawiać, że dziewczynki nagle będą czegoś od nich chciały. Mogli kochać się namiętnie, rozmawiać o wydarzeniach minionego tygodnia, a czasami znajdowali nawet czas na wspólną gorącą kąpiel.

Ten wtorkowy poranek był wprost fantastyczny. Świeciło słońce i było ciepło. Przez uchylone okna wpadało do sypialni świeże powietrze. Przez ostatnie dwie godziny obdarowywali się pieszczotami, które miały pozostawić uśmiech na ich twarzach aż do środy wieczorem, a teraz leżeli obok siebie i rozmawiali.

- Co zdarzyło się na szkolnym festiwalu nauki? Jaki projekt naukowy przygotowała tym razem Elizabeth? - Connor przewrócił się na bok i przyglądał się Michele, która leżała na wznak z dwiema poduszkami pod głową, przykryta kołdrą pod samą szyję. Uśmiechając się do niego, czuła się tak, jakby nie miała trzydziestu dziewięciu lat, ale co najmniej piętnaście lat mniej.

- To było tak... - zaczęła Michele, obracając się twarzą do niego. - Przypomnę ci, że chodziło o wykazanie,

jaki rodzaj słodyczy mrówki lubią najbardziej.

- Umieram z ciekawości - Connor przysunął się do niej i koniuszkami palców błędził po jej grzywce.

- Usypaliśmy cztery niewielkie kupki paluszków maślanych, ciasteczek Oreo, herbatników czekoladowych i pianek - wyjaśniła, po czym uniósłszy brwi zapytała:

- Wiesz, co się stało?

- Paluszki maślane? - próbował zgadywać, mówiąc kojącym głosem, jak zawsze w te wtorkowe poranki.

- Akurat. W ogóle niczego nie tknęły. Elizabeth podłożyła im nawet odrobinę dżemu truskawkowego na kawałku tektury, ale przynajmniej do wczoraj ani jedna mrówka się nie skusiła.

- Może po prostu nie lubią dżemu?

Michele chwyciła poduszkę i delikatnie zdzieliła go nią w głowę.

- Przestań!

Najbardziej lubiła właśnie takie chwile, gdy beztrzesko śmiali się i wygłupiali. Cementowały one ich małżeństwo i sprawiały, że z każdym rokiem coraz bardziej kochała Connora Evansa. Gdyby tylko modły trwać wiecznie.

Rozmowa zesła z dzieci najpierw na dom, a potem na klientki salonu fryzjerskiego.

- Wiesz, wczoraj była tu Renee Wagner.

Renee była żoną pilota, który pracował w tych samych liniach, co Connor. Dawniej oba małżeństwa przyjaźniły się, ale z czasem ich kontakty uległy rozluźnieniu. Mąż Renee, Joe, zaczął latać na trasach międzynarodowych i jego godziny pracy nie pokrywały się już z grafiką Connora. Podczas wizyty w salonie Michele Renee niemal bez przerwy płakała.

- Nie widziałem Joego od dobrych paru miesięcy - stwierdził Connor, pocierając wczorajszy zarost na twarzy.

Michele usiadła i oparła się o wezglowie łóżka.

- Czyżbyś nie wiedział?

- O czym?

Wyglądało na to, że Connor rzeczywiście nie miał o niczym pojęcia. Michele westchnęła.

- Dwa tygodnie temu rozeszli się.

Connor aż usiadł ze zdumienia.

- Żartujesz? Renee i Joe?

- Wyglądała na załamana. Byłam przekonana, że już o tym wiesz z pracy.

Connor pokręcił głową i przejechał palcami po jej włosach.

- Faceci nie rozmawiają o takich rzeczach. No chyba, że razem latają, ale nawet wtedy...

- Podobno poznał kogoś za granicą. Gdzieś w Europie.

Michele zdawało się, że przez moment dostrzegła coś dziwnego w spojrzeniu Connora. Błysk, który zniknął równie szybko, jak się pojawił. Nie zaprzętała sobie tym głowy. Oboje doskonale wiedzieli, że w lotniczym świecie zdrada małżeńska nie była rzadkim zjawiskiem.

- Zupełnie tego nie rozumiem - Michele podciągnęła nogi pod brodę. - Renee jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znam. Dwóch ślicznych chłopców, dom w Angelino Heights - ściszyła głos, uważnie wpatrując się

w oczy męża. - Jak on mógł?

- To proste - znużonym tonem odrzekł Connor, wytrzymując jej spojrzenie. - Zbyt dużo czasu poza domem.

- Ty też dużo czasu spędzasz w drodze, a mimo to jesteś wierny.

- Ja to co innego... - zaprotestował, a jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu. Ujął jej twarz w dłonie i złożył na jej ustach długi, namiętny pocałunek. - Mam przecież najwspanialszą żonę na świecie.

Michele potarła nosem o jego nos, ale jej dobry nastrój zgasł.

- Byłeś, prawda?

Connor odchylił głowę i spojrzał na nią badawczo.

- Byłem jaki?

- No... wierny?

Nigdy wcześniej o to nie pytała, nie było takiej potrzeby. Nie miała też powodu pytać o to teraz, ale po tym, co przydarzyło się Renee, jej serce chciało się upewnić.

- Och, Michele...

Connor zbliżył dłoń do jej twarzy i gładził kciukiem jej policzek.

- Musisz mi zadawać takie pytania?

- Nie, po prostu...

Słuchaj, kochanie... - wyraz jego twarzy zmienił się. Można było odnieść wrażenie, że jego spojrzenie sięga w najgłębsze zakamarki jej duszy. - Nigdy nie kochałem nikogo innego prócz ciebie. Nigdy.

Michele poczuła w sercu ulgę, zapominając, że jeszcze przed chwilą w napięciu wstrzymywała oddech.

- Tak tylko pomyślałam sobie, że... - uśmiechnęła się smutno. - Po tej rozmowie z Renee... Jej też wydawało się, że wszystko jest w porządku. Pomyślałam, że dobrze by było od czasu do czasu usłyszeć od ciebie, że wszystko jest OK.

- Michele... - przyłożył czoło do jej czoła. - Nie ma powodu do zmartwień. Ani przedtem, ani teraz, ani nigdy.

- To dobrze.

Koniuszkami palców dotknęła jego podbródka.

- Przepraszam, że pytałam.

Connor kątem oka zerknął na stojący na nocnym stoliku budzik.

- O, już prawie południe. Lepiej wezmę prysznic.

Nachylił się nad nią i musnął wargami jej policzek, po czym energicznie zerwał się z łóżka i ruszył w stronę drzwi.

- Poczekaj... - zawołała Michele, zsuwając się na brzeg łóżka.

Connor zatrzymał się w pół kroku i odwrócił.

- O co chodzi?

- A co z czytaniem Biblii? W każdy wtorek, pamiętasz?

- No tak - zafrasował się Connor. - Całkiem o tym zapomniałem.

- Ja właściwie też.

Connor ponownie spojrzał na budzik.

- A możemy zacząć od przyszłego tygodnia?

- Zgoda - odparła Michele, umiejętnie skrywając rozczarowanie. Od paru miesięcy umawiali się, że wrócą do wspólnego czytania Pisma Świętego i będą razem się modlić. Zawsze jednak okazywało się, że brakuje im czasu.

Tymczasem Connor przeciągnął się leniwie i posłał jej szelmowski uśmiech.

- W przyszłym tygodniu zrobimy to na bank. Obiecuję. Dobrze?

- Dobrze - zgodziła się.

Patrząc na męża ubranego tylko w bokserki, podziwiała jego muskulaturę i wysportowaną sylwetkę. Praca pilota wymagała tężyzny fizycznej, więc Connor przynajmniej godzinę dziennie poświęcał na ćwiczenia zarówno wtedy, kiedy był w domu, jak i podczas częstych pobytów w hotelach. „Moje ciało jest moim narzędziem pracy - zawsze jej powtarzał. - W tej robocie trzeba być w dobrej formie fizycznej”.

Michele uśmiechnęła się do siebie. Connor starał się być perfekcyjny pod każdym względem. Lubił przy tym polegać na sobie. Powiedział jej kiedyś, że ma zaufanie do umiejętności pilotów, z którymi lata, i wierzy, że daliby sobie radę w każdych okolicznościach, ale woli uniknąć sytuacji, w której zmuszony byłby się o tym przekonać. Perfekcja towarzyszyła mu w kokpicie, na siłowni, w domu i w małżeństwie.

Odprowadziła go wzrokiem do łazienki. Kiedy zamknął za sobą drzwi, naszła ją pewna myśl. I dlaczego tak szybko zmienił temat, gdy rozmawiali o Renee? Ledwo poruszyli temat zdrady i wierności małżeńskiej, już musiał pędzić pod prysznic. Próbowwała odtworzyć w myślach przebieg rozmowy. Może jednak wcale nie uciekł od tematu? W końcu w każdy wtorek o tej właśnie godzinie kąpał się pod prysznicem, a punktualność była jego drugą naturą. A do wspólnej modlitwy i czytania Biblii z czasem na pewno wrócą - muszą tylko narzucić sobie większą dyscyplinę.

Słyszała, jak w łazience Connor odkręca wodę, .ile zamiast ubrać się i zejść do kuchni, żeby przygotować dla niego kanapki, wciąż siedziała w bezruchu. W głębi serca czuła, że coś było nie tak w zachowaniu męża. Może chodziło o to, co powiedział, albo o ton jego głosu? A może po prostu odczuwała smutek z powodu tego, co przydarzyło się Renee?

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Jak czułaby się, będąc na miejscu Renee Wagner? Przypomniała sobie słowa, które rok wcześniej od niej usłyszała.

- Nie martwię się o Joego - powiedziała wtedy Renee. - Niektórzy faceci mają zdradę we krwi, ale nie on. Nawet nie zauważa, że jakaś kobieta go podrywa. Romans jest ostatnią rzeczą, której mogłabym się po nim spodziewać.

Michele rozważała w myślach słowa przyjaciółki. Trudno było nie zgodzić z jej ogólną opinią na temat mężczyzn. Connor niewątpliwie należał do tego drugiego typu. Był jednym z tych, którzy idąc ulicą przyciągają niejedno kobiece spojrzenie, ale nie zwracają na to uwagi, cały czas patrząc prosto przed siebie. Zaliczał się do tych dobrych i wiernych mężów, którzy nie zdradzają swoich żon.

Jednak Joe, rzekomo też wzorowy mąż, pewnej nocy w Rzymie sprzeniewierzył się swoim zasadom. Pozwolił sobie na skok w bok, zdradę. Osiemnaście lat małżeństwa, wspólne życie, które budowali sobie z Renee... wszystko to na marne.

Dlaczego tak bardzo zaprzętała sobie głowę problemami małżeńskimi przyjaciółki? Przecież ich mężowie

różnili się od siebie. Przede wszystkim Connor - w przeciwieństwie do Joego - był człowiekiem wierzącym. Może ostatnio nie chodzili do kościoła tak często jak dawniej i nie znajdowali czasu na wspólną modlitwę, ale Bóg wciąż odgrywał ważną rolę w jego życiu.

Michele siedziała ze wzrokiem utkwionym w zamknięte drzwi do łazienki, gdy nagle silny podmuch wiatru gwałtownie zagrzechotał załuzjami. Wzdrygnęła się i zerwała na równe nogi. Dość tego. Trzeba zejść na dół i przygotować lunch dla Connora, który zaraz wychodzi pracy. Zamartwianie się bez wyraźnego powodu nie miało sensu. To, co zdarzyło się Renee, na pewno nie przydarzy się jej. Connor nie poddawał się impulsom chwili i nieplanowanym emocjom. Zbyt dobrze panował nad sobą i dokładnie wiedział, czego chce od życia. Zależało mu na niej i na córkach. Był zbyt perfekcyjny, by pozwolić sobie na głupi błąd, nawet w samotną noc z dala od domu.

\*\*\*

Connor już od pięciu minut stał pod prysznicem, ale jego serce wciąż jeszcze było przyspieszonym rytmem. Dlaczego Michele go o to zapytała? „Czy byłeś mi wierny?“. Nigdy wcześniej nie poruszała tego tematu. Nigdy.

Woda spływała mu strumieniami po torsie i ramionach. Czy Michele zauważyła coś w sposobie, w jaki zareagował na jej pytanie? Zawahanie czy może mimowolny grymas na twarzy? Musiał być blady jak ściana, gdy pośpiesznie szukał odpowiednich słów. Nadal nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się zachować zimną krew i sklecić w miarę składną odpowiedź.

Nałożył szampon na włosy i odkręcił kurek z gorącą wodą. Pragnął jak najszybciej zapomnieć o kłopotach Renee i Joego, a także o rozmowie z Michele. Wmawiał sobie, że zanim wyjdzie z łazienki, żona zdąży o wszystkim zapomnieć i nie będą już więcej wracać do tematu wierności małżeńskiej. Nie będzie takiej potrzeby. Michele była dla niego wszystkim i wiedział, że nigdy nie pozwoli sobie na to, co zrobił Joe. Już raz dostał nauczkę.

Wziął głęboki oddech, wciągając w nozdrza przyjemny zapach mydła. Kochał Michele bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Zresztą może zawsze ją tak mocno kochał. Noc sprzed ośmiu lat zakopał w swojej pamięci tak głęboko, że z trudem mógł uwierzyć, że to wydarzyło się naprawdę. Był dobrym mężem. Doskonałym niemal w stu procentach. W dziewięćdziesięciu dziewięciu.

Tylko jeden raz powinęła mu się noga, ale stało się tak na skutek splotu dość szalonych okoliczności i dziwnych zrzędzeń losu. Jednak nawet wtedy nie miał dość Michele, ani nie chciał być z inną kobietą. Michele była całym jego życiem. Nie zważając na gorącą wodę, która chłostała jego plecy, przymknął powieki i pozwolił myślom wrócić do dnia w którym spotkali się po raz pierwszy.

## ROZDZIAŁ VI

Connor Evans nie przywiązywał większej wagi do szkolnych romansów. Niezłe grał w futbol, miał pewne miejsce w wyjściowej piątce w szkolnej drużynie koszykówki. Był wysoki, przystojny. Zaliczał się do wąskiego grona tych, którzy mogli do woli przebierać w dziewczynach. Nigdy jednak z żadną nie związał się na poważnie. Chodził z jakąś przez lydzień, a w następnym tygodniu już o niej zapomniał. Ojciec wpoił mu, że



najważniejsze w życiu są nauka i umiejętność dążenia do wyznaczonego celu. Cel Connora był wyraźnie określony. Chciał zostać pilotem.

Po skończeniu college'u wstąpił do West Point i dopiero na ostatnim roku, gdy do promocji oficerskiej zostało zaledwie kilka miesięcy, pozwolił sobie na odrobinę luzu. Tylko dlatego pewnego wiosennego popołudnia uległ namowom kolegi i dał się wyciągnąć na przyjęcie z grillem. Connor stronił od alkoholu i narkotyków nawet nie tyle z obawy przed uzależnieniem, co raczej ze strachu przed ojcem.

- Zawsze kontroluj swoje postępowanie, synu zwykł mówić jego tato. - Trzymaj się z dala od głupstw, które wyczyniają inni chłopcy w twoim wieku. To dotyczy też kobiet. Nie pozwól, by coś odciągnęło cię od celu, który sobie postawiłeś.

Connor skorzystał z rady ojca. W jego życiu nie było miejsca na pijaństwo, popalanie trawki i uganianie się za spódniczkami, pomimo że okazji ku temu było aż nadto. Kobiety szalały za kadetami z West Point, zwłaszcza tymi ze starszych roczników, jego muskularna, wysportowana sylwetka przyciągała wiele kobiecych spojrzeń i doszło do tego, że swoje powodzenie u płci pięknej zaczął traktować jako swoiste przekleństwo. Wiedział, że jego ojciec miał rację. Gdyby teraz zbyt mocno związał się z jakąś dziewczyną, mogłoby to odwieść go od realizacji marzeń o lataniu, a tego by sobie nie darował.

Jednak na czwartym roku niewinne przyjęcie z grillem nie wydawało się stanowić zagrożenia, tym bardziej, że odbywało się w domu Paula Overgaarda, jego najlepszego kolegi, z którym dzielił dwuosobowy pokój w koszarach. Z Paulem łączyła go nie tylko lotnicza pasja, lecz również podobne cechy charakteru i poczucie humoru.

Choć rodzice przyjaciela mieszkali niedaleko West Point, Connor nigdy wcześniej nie był u nich z wizytą. A było czego żałować. Po przybyciu na miejsce ujrzał piękny dom w stylu kolonialnym otoczony zielenią. Na jego tyłach znajdował się olbrzymi basen i boisko do siatkówki plażowej.

Connor miał nosa, że zamiast stroju wizytowego włożył koszulkę polo i szorty, bo zaraz po przedstawieniu przybyłych gości, Paul zaproponował kolegom z West Point rozegranie szybkiego turnieju piłki siatkowej. Kadeci sprawnie podzielili się na cztery drużyny i rozpoczęli sportową rywalizację, zacięcie walcząc o każdy punkt.

Drużyna Connora przegrała mecz w dwóch setach, ale nie zmartwiło go to. Liczyła się przede wszystkim dobra zabawa. Mecz finałowy już nie oglądał, bo zwabiony smakowitym zapachem wraz z Paulem i kilkoma innymi kolegami zajął miejsce przy jednym ze stołów ustawionych w cieniu parkowych drzew, by posmakować hamburgerów domowej roboty.

Wtedy właśnie ją zobaczył. Jak we śnie wyłoniła się zza rozsuwanych drzwi. Długonoga, o nienagannej figurze, na widok której omal nie udławił się kęsem hamburgera. Miała jasnobrażowe oczy i ciemne włosy swobodnie opadające na ramiona. Jej głos miał urokliwą barwę, a gdy się śmiała, słońce zdawało się blednąć.

- Co z tobą? - Paul trącił go w ramię. Podążając za jego spojrzeniem, domyślił się, że chodzi o którąś z dziewcząt właśnie wchodzących z domu do ogrodu. - Daj spokój. Nie bądź głupi.

- Chłopie, to najpiękniejsza dziewczyna, jaką widziałem! - wykrztusił z siebie Connor, kręcąc głową z wrażenia.

- To ty nie wiesz? - Paul roześmiał się i opadł na oparcie krzesła. - To moja młodsza siostra. Mam dwie. Ta

chodzi do państwowej szkoły o godzinę drogi stąd.

Zerkając na przyjaciela, po chwili dodał:

- Zdaje się, że mają już wolne.

- Dlaczego mi o niej nie powiedziałeś?

- Nigdy nie pytałeś.

- Niby racja - Connor bezwiednie pokiwał głową. Wciąż był jak w transie.

- Przyjechała do domu na wakacje? - zapytał, nie odrywając oczu od siostry Paula.

- Tak - przyjaciel parsknął śmiechem. - Możesz spokojnie dokończyć swojego hamburgera.

- Czy ona ma chłopaka? Tylko mi nie mów, że z kimś jest.

- Został ci jeszcze miesiąc, już zapomniałeś? - Paul kopnął go w kostkę pod stołem. - Prosiłeś mnie, że bym ci o tym przypominał w takich sytuacjach.

- To było wtedy... - rzucił niecierpliwie Connor. Sięgnął po serwetkę, otarł usta i zdecydowanym tonem zażądał: - Poznaj mnie z nią.

W tej samej chwili dziewczyna obróciła się i dostrzegła Paula. Nie przestając rozmawiać z koleżankami, podeszła do ich stolika i złapała brata od tyłu za ramiona. Cały czas jednak patrzyła na Connora.

- Hej, braciszku, co tam w szkole?

- Jeszcze tylko miesiąc - Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A jak się ma twój kolega? - zapytała, ruchem podbródka wskazując na stojącego obok chłopaka. W jej kuszącym spojrzeniu kryło się zaciekawienie.

- Connor?

- A więc tak ma na imię... - przekrzywiła lekko głowę, uśmiechając się zalotnie. - Co słyhać u Connora?

- Sam powiem - wtrącił się Connor, posyłając Paulowi groźne spojrzenie, po czym wyprostował się i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Chyba wcześniej się nie spotkaliśmy. Nazywam się Connor Evans. - Wpatrywał się w nią z ciekawością, podchwyciwszy grę, którą ona z nim prowadziła. - Tak jak twój brat, jestem na ostatnim roku w West Point, za miesiąc promocja.

- Rozumiem.

Leciutko uścisnęła palce jego dłoni.

- Miło cię poznać. Jestem Michele.

Resztę wieczoru spędzili razem. W ciągu kolejnych czterech tygodni Connor zmusił się do tego, by widzieć się z nią tylko dwa razy. W dniu uroczystej promocji do stopnia oficera i nadania absolwentom odznak pilota rodziny Connora i Paula spotkały się na zorganizowanym z tej okazji bankiecie. Connor odszukał w tłumie Michele.

- Trochę tu duszno - zagadnął.

Uśmiechnęła się.

- Nie ma się co dziwić: tyle lotniczych ego w jednym pomieszczeniu.

- Trafna uwaga - skomentował, odwzajemniając jej uśmiech. - Może pójdziemy na spacer. Tu niedaleko jest staw.

Wziął dziewczynę za rękę i gdy dotarli nad wodę, przyciągnął ją do siebie.

- Michele, od kiedy się spotkaliśmy, nie mogę przestać o tobie myśleć.

Spuściła oczy, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Nie byłam pewna.

- Codziennie chciałem do ciebie dzwonić, ale miałem egzaminy końcowe, no i cała ta promocja i... - wypowiadając te słowa, nie przestawał patrzeć jej prosto w oczy. - Teraz mam do dyspozycji całe lato - dodał nieco ciszej. - Czy pozwolisz się gdzieś zabrać na wakacje. Proszę.

Gdy tak stali wśród drzew i krzewów, Connor uświadomił sobie, że Michele była pierwszą dziewczyną, na której naprawdę mu zależało. Do tej pory to dziewczyny próbowały go poderwać. Wstrzymując oddech, czekał na jej odpowiedź.

- Dobrze, tylko się we mnie nie zakochaj.

Uśmiechała się filuternie tak jak wtedy, gdy się poznali. Cofnął się o krok, kładąc dłonie na jej ramionach.

- A to dlaczego?

- Bo nie mogłabym być z pilotem.

- Doprawdy? - zdziwił się, unosząc brwi. - Za bardzo przypominałbym ci twojego brata, tak?

- Nie - uśmiech nagle zniknął z jej twarzy. - Po prostu panicznie boję się latać. Jak mogłabym zakochać się w kimś, kto połowę swojego życia spędza w powietrzu.

Z największą czułością Connor ujął jej twarz w dłonie i powiedział:

- No, cóż...

Miał ogromną ochotę ją pocałować, ale się powstrzymał.

- Będziemy musieli coś z tym zrobić, nie sądzisz?

Przez następne dwa miesiące prawie się nie rozstawali. Coś ciągnęło ich do siebie, ale Connor starał się nie okazywać jej w pełni swych uczuć. Pod koniec lata poprosił kolegę, by ten pozwolił mu polatać swoją sportową cessną. Udało mu się zabrać Michele na lotnisko pod pretekstem wspólnego wypadu do restauracji. Pozwoliło jej to oswoić się z widokiem startu i lądowania samolotów, a przy okazji przekonać się, że niekoniecznie muszą one kończyć się kraksą.

Gdy wysiedli z jeepa, Connor podszedł do bagażnika, ale zamiast koszyka z kanapkami wyciągnął dwa hełmy lotnicze, jeden dla siebie, drugi dla niej.

- Connor, co ty... - mina jej zrzędła. - Co ty najlepszego wyprawiasz?

- Pomagam ci przezwyciężyć strach.

Uśmiechnął się i wziął ją za rękę. Ku jego zaskoczeniu, nie próbowała się uwolnić.

Latali przez godzinę, krążąc nad okolicą. Na początek Connor pokazał jej kilka podstawowych figur akrobacji, które w zupełności wystarczyły, by Michele parę razy wydała z siebie okrzyk przerażenia zmieszanego z zachwytem. Wprawdzie od czasu do czasu łapała go za ramię, ale generalnie trzymała się dzielnie.

W słuchawkach intercomu jej głos był stłumiony, ale Connor zauważył, że jej strach stopniowo znika. Wkrótce już śmiała się i bez obawy patrzyła na przesuwaną się w dole ziemię. Po wylądowaniu Connor wstrzymał się z pytaniem o wrażenia z lotu, dopóki nie wsiedli z powrotem do samochodu.

- Nie uwierzysz - oznajmiła radośnie, a zaróżowione z emocji policzki dodawały blasku jej urodzie. - Connor, to było niesamowite. W każdej chwili gotowa jestem polecieć jeszcze raz - spontanicznie rzuciła mu się na szyję. - Uwolniłeś mnie od mojego największego koszmaru.

- To dobrze - powiedział i, opierając się o zamknięte drzwi, cieszył się jej bliskością. Wtedy po raz pierwszy ją pocałował. W pocałunku zawarł głębokie uczucie do niej, którym nigdy wcześniej ani nigdy potem nie obdarzył innej kobiety.

- Co dobrze? - szepnęła, gdy na chwilę odsunęli się od siebie. Jej spojrzenie było pełne napiętości.

- Widzisz, Michele. Zmusiłem cię, żebyś złamała swoje zasady. - Objął dłońmi jej twarz i ponownie ją pocałował, po czym wypowiedział słowa, które na zawsze pozostały w jego pamięci: - Zakochałem się w tobie, choć wiem, że połowę życia spędzę w powietrzu. Po prostu nie miałem wyboru...

Teraz to ona jego pocałowała, uśmiechając się do niego zalotnie.

- Nie miałeś innego wyboru, jak tylko zarazić mnie swoją miłością do latania.

\* \* \*

Wspomnienia z początku znajomości z Michele towarzyszyły Connorowi jeszcze długo po wyjściu spod prysznic. Powracały do niego w drodze na lotnisko i nawet teraz, odliczając ostatnie minuty przed startem, wciąż przywoływał je w myślach, jakby chcąc w ten sposób upewnić się, że w pytaniu Michele nie krył się żaden podtekst.

Małżonkowie czasami zadają sobie takie pytania, prawda? „Kochanie, czy byłeś mi wierny? Czy nie dopuściłeś się zdrady? Czy naprawdę kochasz tylko mnie?”. Odpowiedź, której udzielił Michele, z pewnością ją usatysfakcjonowała. Powiedział przecież prawdę, a ona nie wracała już więcej do tego tematu.

Pomimo to... Dreszcz przeszedł mu po plecach. Starając się odgonić natrętne myśli, zmierzał wolnym krokiem w stronę bramki, przy której stał jego samolot. Za sobą ciągnął niewielką czarną walizeczkę na kółkach ozdobioną emblematem linii lotniczych. Kilkanaście minut wcześniej, podczas odprawy przedstartowej, poznał szczegóły czekających go lotów. Najpierw mieli wykonać dwugodzinny przelot rejsowy z West Palm Beach do Atlanty, a następnie trzy równie krótkie między portami lotniczymi Środkowego Zachodu z noclegiem w Dallas. Jako drugiego pilota przydzielili mu człowieka, który w firmie pracował dopiero od roku. Connor miał już okazję z nim latać. Dużo młodszy od niego, pełen ideałów, oddany rodzinie. Connor też taki był, kiedy zaczynał, i przez te wszystkie lata chyba się nie zmienił. W każdym razie tak mu się wydawało.

Popatrzył na zegarek, upewniając się, że nie ma się co śpieszyć. Przy maszynie miał się stawić dopiero za kwadrans. Postanowił wykorzystać ten czas, by się odświeżyć i poprawić mundur. Rozmowa z Michele sprawiła, że wychodził z domu w pośpiechu, i nie zdążył nawet porządnie zawiązać krawata.

W męskiej toalecie nie było prawie nikogo, jedynie trzech mężczyzn stało przy umywalkach, myjąc ręce. Connor poczekał, aż wyjdą, i dopiero wtedy stanął przed lustrem. Sięgając do kieszeni marynarki po grzebień, znowu zaczął myśleć o Michele. Ledwo co się rozstali, już za nią tęsknił. Tęsknił za jej widokiem i dotykiem, za spojrzeniem jej piwnych oczu. Michele nie była jedną z pozbawionych pewności siebie i spragnionych uczuć kur domowych, które tak często brali sobie za żony jego koledzy piloci. Była kobietą niezależną, która budziła w nim fascynację i pożądanie. Chociaż byli małżeństwem już niemal czternaście lat, wciąż poznawał ją na

nowo, wciąż dostrzegał w jej oczach ten sam błysk, który zobaczył podczas ich pierwszego spotkania.

Wiedział, że nigdy nie będzie miał jej dość, a te wtorkowe poranki tylko utwierdzały go w tym przekonaniu. Uwielbiał z nią być, rozmawiać z nią, kochać się z nią. Uwielbiał gdy czasami to ona przejmowała inicjatywę, a ich ciała spletały się ze sobą w idealnej harmonii, poddając się falom namiętności. Każda minuta spędzona z Michele była dla niego bezcenna. Nie wyobrażał sobie życia bez niej.

Pojawienie się w toalecie nowych podróżnych przerwało jego rozmyślenia. Connor poprawił czapkę, wygładził mundur i skierował się do wyjścia. Był już w drzwiach, gdy nagle o czymś sobie przypomniał.

Piątkowa katastrofa na Hawajach. Miał przecież sprawdzić listę ofiar. Od wypadku minęło już kilka dni i pewnie dlatego żaden z pilotów i pracowników obsługi nie wspominał o tym zdarzeniu. Prawdopodobnie nie znał nikogo z załogi tego samolotu, ale z drugiej strony przez te wszystkie lata nawiązał w lotniczych kręgach tyle znajomości, że nie można było tego całkowicie wykluczyć. Dlatego zawsze, gdy dochodziło do takiej tragedii, po prostu musiał upewnić się, czy przypadkiem nie zginął ktoś z jego znajomych.

Przy najbliższym stanowisku odprawy nie było kolejki. Podeszedł do niego i zagadnął obsługującą je kobietę:

- Dzień dobry!

- Witam, kapitanie.

Connor nie znał jej, ale jej twarz wydała mu się znajoma.

- Widziała może pani listę pasażerów, którzy zginęli w katastrofie Western Air w zeszłym tygodniu?

- Tak - odparła. Miała około pięćdziesięciu lat i bez wątpienia sama była kiedyś stewardesą.

Tam, przy bramce numer jedenaście.

Connor podziękował skinieniem głowy i ruszył we wskazanym kierunku przez pełną ludzi halę odpraw. Jedenastka była niedaleko rękawa, przy którym stała jego maszyna. Uśmiechnął się sam do siebie. Jego maszyna. Michele nieraz żartowała, że ma zaborczy stosunek do samolotów, którymi lata. Ale on po prostu musiał tak do tego podchodzić. Dlatego był dobry w tym, co robił. Nie polegał wyłącznie na wyuczonych nawykach i ustalonych procedurach. Często kierował się instynktem, a ten go nie zawodził. Michele mówiła, że latał na wyczucie. Było w tym sporo racji. Dzięki temu zawsze bezpiecznie wracał do domu, do Michele - nawet w czasie wojny w Zatoce.

Przyśpieszył kroku. Przy bramce numer jedenaście dokonywano właśnie odprawy lotu spóźnionego już o dwadzieścia pięć minut. Pasażerowie stali w dwóch równoległych kolejkach, a personel stanowiska uwijał się jak w ukropie. Connor stanął przy kontuarze i czekał, aż ktoś podejdzie.

- Panie kapitanie, czym mogę służyć?

- Podobno macie tu listę pasażerów... - mówił ściszym głosem, żeby stojący obok podróżni go nie usłyszeli - samolotu Western Air, który miał wypadek w zeszły piątek?

Pracownica odprawy popatrzyła na stojącego przy kontuarze mężczyznę z neseserem, dyskretnie sięgnęła do szuflady i wyciągnęła zwiniętą gazetę. Rzucając Connorowi ukradkowe spojrzenie, wręczyła mu ją, mówiąc:

- Może pan ją zatrzymać. Nikt z załogi nie był od nas.

Connor wziął od niej gazetę.

- Właśnie to chciałem sprawdzić.

Pracownica odprawy wróciła do swoich obowiązków, podczas gdy Connor znalazł spokojne miejsce przy

oknie terminalu z dala od tłumu. Rozłożył gazetę. Była już otwarta na stronie z listą ofiar.

„Jared Browning - pilot, Steve McCauffey - drugi pilot, Angela Wielding - stewardesa, Kiahna Siefert...”. Kiahna Siefert? Serce zamarło mu w piersi. Wpatrywał się w to imię i nazwisko, czytając je powoli litera po literze. Czy nie tak nazywała się tamta kobieta? Siefert? Co do tego, że miała na imię Kiahna, nie miał wątpliwości. Choćby nie wiadomo jak bardzo starał się wyrzucić je z pamięci, a próbował wielokrotnie, każdego ranka przed świtem jej imię zawsze powracało do niego.

Kiahna. Serce nagle zaczęło mu bić dwa razy szybciej. Ile to już lat minęło? Chyba osiem. Tak, na pewno osiem. Poznali się w 1996 roku w to nieszczęsne lato, gdy cały jego świat zdawał się rozsypywać na drobne kawałki. Ich znajomość trwała raptem kilkanaście godzin, w trakcie których potężny front burzowy przetaczał się nad archipelagiem Hawajów. Ale tych kilkanaście godzin pozostawiło niezatarty ślad w jego pamięci. Była piękna. Miała zielone oczy, śniadą cerę i wiele planów na przyszłość. Przez moment wydawała się być lekarstwem na wszystkie jego ówczesne problemy. Teraz nie było jej już wśród żywych.

Connor stał jak wmurowany, nie zwracając uwagi na mijających go w pośpiechu podróżnych.

Im mocniej wpatrywał się w jej imię na liście ofiar, tym bardziej nie mógł od niego oderwać oczu.

Kiahna Siefert. Tak, to była ona. Bez wątplenia. Wciąż pracowała w tych samych liniach lotniczych i zapewne nadal mieszkała w swoim rodzinnym Honolulu. Czyżby porzuciła marzenia o studiach medycznych? A może wyszła za mąż i założyła rodzinę?

W pamięci Connora odżyło wspomnienie tego wieczora, gdy ich ścieżki skrzyżowały się z powodu tropikalnego sztormu i braku wolnych miejsc w hotelach. Zaczęło się od zwykłej rozmowy w hali dworca lotniczego, a potem...

Connor zamknął oczy, pragnąc, by wspomnienie znikło. Jednak stało się ono jeszcze bardziej wyraziste. Przypomnił sobie każde jej słowo. Mówiła o swoich nadziejach i marzeniach. On dzielił się z nią swoją frustracją wywołaną przeniesieniem do Los Angeles i swoimi obawami związanymi z prowadzonym przez FAA dochodzeniem. Opowiedział jej nawet o swoim ojcu. Nie powiedział jedynie, że...

- Pasażerowie Lotu 1205 do Atlanty proszeni są o wsiadanie na pokład samolotu.

Nawet z tej odległości usłyszał płynący z głośników komunikat dotyczący jego samolotu. Czekali na niego. Zwinął gazetę w rulon, wsadził ją pod pachę i energicznym krokiem ruszył w stronę rękawa. Mijając kosz na śmieci, wrzucił do niego gazetę i przyśpieszył jeszcze bardziej. Gdy kilka chwil później zajmował miejsce w fotelu po lewej stronie kabiny pilotów, okropna myśl przyszła mu do głowy, do której nigdy i nikomu by się nie przyznał.

Pomyślał, że skoro z katastrofy samolotu Western Air nikt nie ocalał, najczarniejszy epizod z jego przeszłości na zawsze pozostanie tajemnicą. Już nigdy nie będzie budzić się w środku nocy zlany zimnym potem, a przecież co roku zdarzało mu się to po kilka razy. Nie będzie już musiał pilnować się na każdym kroku, żeby przypadkiem nie zdradzić się jakimś gestem lub słowem. Ani Michele, ani córki nie dowiedzą się prawdy o tej nocy w Honolulu przed ośmiu laty.

Connor nigdy nikomu nie wspomniął ani słowem o tym, co wtedy się zdarzyło, jednak dopóki żyła Kiahna, było możliwe, że Michele pozna prawdę. Teraz taka możliwość spoczęła na dnie oceanu. Kiahna nie żyła, a jego tajemnica umarła razem z nią.

Connor poczuł ogarniający go z wolna spokój. Poluzował krawat, rozpiął guzik pod szyją i rozparł się wygodnie w fotelu. Wcale nie chciał, by jej samolot się rozbił. W lotnictwie takie wypadki co jakiś czas się zdarzają. Tak to już bywa. Drugi pilot powiedział coś do niego, ale Connor nie słuchał. Głośno odetchnął, jak gdyby przez ostatnich kilkanaście minut wstrzymywał oddech. Sięgnął po plan lotu i jeszcze raz go przejrzał, lecz nadal nie potrafił się skupić. Dopiero wtedy w pełni uświadomił sobie, co było tego przyczyną. Nienawidził samego siebie, bo zamiast odczuwać żal i wyrzuty sumienia z powodu śmierci Kiahny, czuł ogromną, niewyobrażalną wprost ulgę.

## ROZDZIAŁ VII

Było pięć po drugiej, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Ramey zauważyła, że na jego dźwięk Max uniósł brwi, a w jego oczach błysnęła iskierka nadziei, jak gdyby liczył na to, że to jego mama wróciła, że może udało jej się przeżyć katastrofę i dopłynąć do wyspy. Ale nadzieja ta zgasła równie szybko jak się pojawiła.

- Kto to przyszedł, Ramey?

W pierwszym odruchu chciała skłamać i powiedzieć, że to pewnie akwizytor albo sąsiadka, byle tylko nie uświadamiać mu, że lada moment, zaledwie parę dni po śmierci matki, ważyć się będą jego losy. W końcu postanowiła jednak, że nie będzie niczego przed nim ukrywać. Max znał tego człowieka. Nie było powodu robić z jego wizyty tajemnicy.

Dźwięk dzwonnka rozległ się ponownie.

- Ramey?

Pytanie chłopca wyrwało ją z zamyślenia.

- To pan Ogle, pamiętasz go, prawda?

- Tak.

Oczy chłopca były szeroko otwarte i jakby nieobecne.

- Wpadł sprawdzić, co u ciebie słyhać - wyjaśniła Ramey, z wysiłkiem podnosząc się z fotela. Wchodząc do przedpokoju, spojrzała przez ramię na Maxa. Stał nieruchomo z taką miną, jakby zaraz miał się rozplakać.

Ramey otworzyła drzwi i zrobiła krok do tyłu. Adwokat był pięćdziesięcioletnim niewysokim mężczyzną o przyjemnej aparycji. Ubrany był w czarne spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami - typowy strój biznesmena na wyspie. Przedstawił się i zachęcony gestem wszedł do środka. Na widok chłopca przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął przed siebie ręce.

- Max...

Chłopiec przez chwilę jakby się wahał, po czym podbiegł do mężczyzny i rzucił mu się w objęcia, głośno szlochając. Mówił urywanym głosem tak, że trudno było zrozumieć jego słowa:

- Mamusia... jej samolot... wylądował na wodzie.

Pan Ogle delikatnie głaskał go po plecach.

- Wiem, mój mały. Wiem.

- Nie mogła się wydostać.

- Tak mi przykro. - Mężczyzna przytulał Maxa, dopóki ten nie przestał szlochać. Wtedy odsunął się i,

patrząc mu w oczy, powiedział: - Muszę przez chwilę porozmawiać o czymś z Ramey, dobrze?

- Dobrze.

Max poszukał wzrokiem Buddy'ego i to wystarczyło, by pies w jednej sekundzie znalazł się przy jego boku. Chłopiec pogłaskał przyjaciela i obaj wyszli do patio.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Ramey drżącym głosem zaproponowała:

- Może usiądziemy?

- Tak chyba będzie najlepiej. - Adwokat pochwycił jej spojrzenie i ruchem głowy wskazał w stronę kanapy.

- Nie zabiorę pani dużo czasu.

Podążając za gościem, Ramey kątem oka obserwowała Maxa przez szybę. Chłopiec położył się na betonowej posadzce, obejmując Buddy'ego za szyję. Intensywnie mrugał powiekami, najwyraźniej próbując powstrzymać łzy. Dobrze, że przynajmniej miał tego psa.

Ogle usiadł na jednym końcu kanapy, a Ramey na drugim.

- Pozostawione przez Kiahnę dyspozycje są bardzo klarowne. - Ogle wyciągnął z teczki dwustronicowy dokument i zaklejoną białą kopertę, po czym rozłożył je przed sobą i podniósł pierwszą stronę, na której widniało tylko kilka linijek tekstu.

To jest testament, ostatnia wola Kiahny. Pierwsza część jest dość standardowa. Kiahna zapisała Maxowi cały swój doczesny majątek - kilka tysięcy dolarów na rachunku oszczędnościowym i trochę zgromadzonych przez nią dóbr materialnych. Oczywiście również odszkodowanie ze swojej polisy na życie. Natomiast część druga testamentu jest nietypowa - adwokat głośno westchnął. - Jest to prośba, a więc zasadniczo nie posiada ona mocy prawnie wiążącej. Niemniej jednak takie właśnie było jej ostatnie życzenie.

Ramey złożyła ramiona na piersiach, czekając na ciąg dalszy.

- Pozwoli pani, że przeczytam - Ogle odchrząknął i, przybliżywszy kartkę do oczu, zaczął czytać:

„W wypadku mojej śmierci przed osiemnastymi urodzinami Maxa moim życzeniem jest, aby mój syn, zanim zostanie oddany pod opiekę państwa, spędził dwa tygodnie ze swoim ojcem”.

- Z ojcem? - Ramey aż zatkało z wrażenia. Z człowiekiem, o którym Kiahna przez wszystkie te lata nie wspomniała ani słowem, którego tożsamość trzymała w najgłębszej tajemnicy? Próbując opanować ogarniające ją gwałtowne emocje, Ramey zmusiła się, by słuchać dalej.

- Tak - potwierdził Ogle, nie odrywając wzroku od trzymanego w dłoni dokumentu. - Ciąg dalszy listu brzmi następująco: „Mężczyzna ten jest pilotem i jest żonaty. Osiem lat temu mieszkał w Los Angeles. Poniżej załączam informacje, którymi dysponuję na jego temat i które powinny umożliwić odnalezienie go”.

Prawda powoli zaczęła docierać do Ramey. Nic dziwnego, że Kiahna nie chciała o tym rozmawiać. Ojciec Maxa miał żonę, a to oznaczało, że... znajomość z nią potraktował jako przygodę jednej nocy albo, co jeszcze gorsze, oszukał ją, naobiecował jej nie wiadomo czego, a potem zostawił ją z dzieckiem. W każdym razie postąpił podle. Ramey czuła wzbierające w niej obrzydzenie i złość.

Ogle czytał dalej:

- „Jeśli uda się go odszukać i wyrazi zgodę na dwutygodniowy pobyt Maxa w jego domu, proszę mu powiedzieć, że po upływie tych dwóch tygodni, sam będzie musiał podjąć decyzję co do dalszego losu swojego syna”. Jak zapewne pani wiadomo, Kiahna nie podała danych osobowych ojca w akcie urodzenia Maxa, tak



więc mężczyzna ten będzie musiał zdecydować, czy chce adoptować chłopca i powiedzieć mu prawdę, czy też woli odesłać go do domu dziecka. Wówczas być może uda się znaleźć dla niego rodzinę adopcyjną.

Ramey próbowała wyobrazić sobie reakcję tego mężczyzny na wieść o tym, że ma syna. Nie ulegało wątpliwości, że po tylu latach będzie to dla niego dużym zaskoczeniem.

Tymczasem Ogle skończył odczytywanie testamentu, w zakończeniu którego Kiahna podała imię i nazwisko ojca Maxa oraz dwa numery telefonów: jeden do linii lotniczych, dla których mężczyzna w owym czasie pracował, a drugi do jego służbowego mieszkania w Los Angeles, w którym wtedy mieszkał.

- To wszystko? Jednorazowa przygoda? - spytała Ramey.

- Na to wygląda - odparł adwokat, przygryzając górną wargę. - Ciekawe, czy w ogóle wiedział o synu.

Ramey też się nad tym zastanawiała. Fakt, iż Kiahna sporządziła testament, będąc jeszcze w ciąży, a także prośba o odnalezienie ojca Maxa mogły świadczyć, że mężczyzna ten nie miał pojęcia o narodzinach chłopca.

Ogle odłożył kartkę i spojrzał na Ramey.

- Informacje o służbowym mieszkaniu na niewiele się zdadzą. Zbyt dużo czasu upłynęło. Większych szans upatruję w skontaktowaniu się z liniami lotniczymi.

Przez chwilę oboje milczeli. Wtedy Ramey uświadomiła sobie, że nie zadała jeszcze najważniejszego pytania.

- A co z Maxem?

Adwokat sięgnął po zalakowaną białą kopertę.

- Kiahna zostawiła dla niego list. Instrukcja na kopercie precyzuje, że może on zostać otwarty wyłącznie w jego obecności - Ogle zrobił krótką pauzę. - Chciała, by pierwszy zapoznał się z jego treścią.

Przez chwilę Ramey miała ochotę powiedzieć adwokatowi, by zabrał list i poszedł sobie. Wydawało jej się niemożliwe, żeby Kiahna naprawdę chciała, aby Max zaraz po jej śmierci opuścił wyspę i zamieszkał choćby na krótko z zupełnie obcym człowiekiem! Opanowała jednak wzburzenie, bo z drugiej strony znała dobrze Kiahnę i wiedziała, jak silna więź łączyła ją z synem. Cokolwiek napisała w tym liście, na pewno miała na uwadze jego dobro. Z tą myślą powoli podniosła się z kanapy i powiedziała:

- Zawołam go.

\*\*\*

Leżąc na posadzce patio, Max wracał pamięcią do specjalnych motylkowych dni spędzanych razem z mamą.

Motylkowe dni zdarzały się raz w miesiącu i stanowiły dowód na to, że życie jest dobre. Tak przynajmniej mówiła mama. Gdy nadchodził taki dzień, przygotowywała kanapki z masłem orzechowym i bananem, coś do picia i razem wyruszali w drogę.

Podróż samochodem trwała długo, znacznie dłużej niż wyprawy do sklepu po mleko, hot dogi lub pianki. Czas umilali sobie śpiewaniem piosenek. Po piątej, może szóstej piosence zjeżdżali z asfaltowej szosy na wyboistą polną drogę. Zazwyczaj wtedy mama chwytala go za koniuszki palców, żeby się nie bał.

Po obu stronach ciągnęły się gęste zarośla, które po kolejnej piosence zamieniały się w nieprzeniknioną ścianę lasu i można było odnieść wrażenie, że droga nie jest już drogą, lecz raczej jakąś tajną ścieżką. Po minięciu dwóch skrzynek pocztowych i charakterystycznej kępy palm kokosowych zatrzymywali się na skraju rozległej łąki.

- OK, Max - oznajmiała wtedy mama. - Jesteśmy na miejscu.

Wyjmowali z bagażnika koszyk z jedzeniem i szli w stronę skąpanej w słońcu drewnianej ławeczki. Mama uśmiechała się do niego i cały czas trzymali się za ręce. Musieli zachowywać się bardzo cicho, bo motyle nie lubiły hałasu. Gdy siedzieli już na ławce, mama puszczała do niego oko i kładła palec na ustach, przypominając mu, żeby na razie nic nie mówił. Następnie obejmowała go ramieniem, przytulała i szeptała mu do ucha:

- Teraz musimy chwilę poczekać.

Po krótkim oczekiwaniu, nie dłuższym niż telewizyjna przerwa na reklamy, pojawiały się motyle. Najpierw dwa lub trzy, a potem całe rodziny motyli. Skrzydła miały miodowo-żółte z ciemnobrązowym obramowaniem lub pomarańczowe z czarnymi żyłkami. Wkrótce nad całą łąką unosiła się bajecznie kolorowa chmura. Motyle wirowały wokół nich, nad nimi, wszędzie, jak okiem sięgnąć. Na ich widok Maxowi zawsze przychodziła do głowy ta sama myśl, że motyle są najfajniejszymi malowankami Pana Boga. Motyle nieodmiennie kojarzyły mu się z konturowymi obrazkami do kolorowania dla dzieci, z tą różnicą, że wzorki na ich skrzydłach starannie wypełnił kolorami sam Bóg.

Max z zapartym tchem podziwiał ich powietrzne piruety, a wtedy mama nachylała się nad nim i szeptała mu do ucha:

- Wiesz, co najbardziej podoba mi się w motylach?

- Co?

- Udowadniają, że Bóg daje każdemu drugą szansę.

- Jak to? - Max znał odpowiedź, ale lubił słuchać wyjaśnień mamy.

- Widzisz, motylek spędza większą część życia jako gąsienica, pełzając po ziemi i ledwie dając sobie radę. Gdy taka gąsieniczka widzi motyla, myśli sobie, jakby to było cudownie umieć latać.

- Aż pewnego dnia czuje, że jest zmęczona - dopowiadał Max.

- Bardzo zmęczona. Buduje sobie wtedy mały domek, zwija się w nim w kłębuszek i zasypia. A głęboko w swoim serduszkumyśli sobie, że już po wszystkim, że jej życie dobiegło końca.

- Ale pewnego dnia... - Max w tym momencie zawsze się uśmiechał, bo ten fragment opowieści lubił najbardziej.

- Pewnego dnia gąsieniczka budzi się. W czasie, gdy spała, Bóg dokonał zadziwiającej rzeczy. Gdy zrzuca z siebie mały domek, czuje, że coś jej wyrosło na plecach. Gdy tak idzie wzdłuż gałązki, zauważa, że już nie pełza tak jak dawniej.

- I wlatuje w powietrze! - wykrzykiwał Max, przenosząc spojrzenie na krążące w powietrzu motyle.

- Zgadza się. - Po dojściu do tej części opowieści, mama tradycyjnie zaczynała udawać głos starszej pani. - Któregoś dnia ty i ja też przestaniemy pełzać po ziemi, bo Pan Bóg kocha nas bardziej od tych motylków.

- No pewnie.

- A zatem motylki o czymś nam przypominają, prawda, syneczku?

- Aha.

- Przypominają, że nasze życie jest dobre, choćby było bardzo trudne. Ponieważ tak, jak w przypadku gąsieniczki, najlepsze dopiero nas czeka, a wtedy...

- A wtedy będziemy mieć skrzydła jak motyle.

Zawsze wtedy przez chwilę siedzieli w milczeniu, po czym mama sięgała do koszyka z jedzeniem i wyciągała dla nich kanapki. Szelest papieru śniadaniowego płoszył znajdujące się w pobliżu motyle, ale Maxa to nie martwiło, bo wiedział, że one i tak nie potrafią usiedzieć w jednym miejscu. W końcu po to mają skrzydła, żeby latać.

\* \* \*

Max oderwał się od wspomnień i popatrzył na Buddy'ego, który leżał obok niego na boku, smacznie śpiąc. Spoglądając w niebo, zastanawiał się, co mama miała na myśli, mówiąc mu, że kiedyś będą mieć skrzydła. Może chodziło jej o życie w niebie i właśnie teraz Pan Bóg dawał jej drugą szansę, jak tym motylkom.

Jeśli rzeczywiście tak było, może mogłaby sfrunąć z nieba i wylądować obok niego, bo z każdą chwilą tęsknił za nią coraz bardziej. Ale z drugiej strony nie chciał, żeby była motylem, bo one nie potrafią mówić i śmiać się. Będąc motylem, nie mogłaby go przytulić ani potrzymać za rękę. Nie mogliby razem zaśpiewać ulubionej piosenki.

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk otwieranych drzwi. Serce podskoczyło mu do gardła, bo przypomniał sobie o wizycie pana Ogle'a i toczącej się w mieszkaniu rozmowie.

- Max - usłyszał zmęczony głos Ramey. - Chcielibyśmy, żebyś przyszedł do nas na chwilę.

Była bardzo smutna, tak jak wtedy, gdy samolot mamusi wylądował na wodzie. Max podniósł się i powoli odwrócił w jej stronę. Jego smutek był tak wielki, że przez moment myślał, że się przewróci.

- Po co?

- Pan Ogle chciałby ci coś przeczytać - odparła Ramey, wyciągając do niego ramiona.

Max podszedł do niej i objął ją w pasie, wtulając się w fałdy jej podomki.

- Co będzie czytał?

- List od twojej mamy.

Max podniósł wzrok na opiekunkę.

- Od mojej mamusi? Z nieba?

Ramey poczuła cisnące się do oczu łzy.

- Nie, Max. List, który kilka tygodni temu napisała do ciebie.

- Ale dlaczego... - Max, nie chcąc znowu się rozplakać, tarł piąstkami oczy. - Dlaczego nie dała mi go wcześniej?

- Ponieważ napisała go na wypadek, gdyby... gdyby...

- Na wypadek gdyby któregoś dnia jej samolot wylądował na wodzie?

- Tak - Ramey westchnęła głęboko. - Właśnie dlatego.

Max poczuł się dziwnie. Ogarnęły go jednocześnie smutek i radość, bo chociaż mama już nie żyła, nie zapomniała o nim. List był jakby kawałkiem jej życia pozostawionym specjalnie dla niego.

Ramey wzięła go za rękę i zaprowadziła do mieszkania. Pan Ogle poprosił, by usiedli obok niego na kanapie. Zwracając się do Maxa, powiedział to, co chwilę wcześniej oznajmiła mu Ramey, że mama zostawiła dla niego list. Chłopiec pokiwał jej głową na znak, że rozumie. Bardzo chciał usłyszeć, co mama do niego napisała, ale starał się tego nie okazywać. Mama zawsze mówiła mu, że nie należy być niecierpliwym. W końcu pan Ogle rozłożył kartkę papieru i zaczął czytać na głos:

Najdroższy synku, jeśli czytasz te słowa, ja... jestem już w niebie u Pana Boga - adwokat przerwał na chwilę, z trudem skrywając wzruszenie.

Chciałabym, żebyś o czymś wiedział. Jestem teraz bezpieczna tu w niebie. Cokolwiek by się działo, chcę żebyś pamiętał, że jest mi tu dobrze. Z Tobą też wszystko będzie dobrze.

Max głęboko odetchnął, by dodać sobie odwagi. Mimo to dwie łzy uciekły z jego oczu, zanim zdążył je powstrzymać. Otarł je szybkim ruchem ręki i spojrzeniem dał panu Ogle do zrozumienia, by nie przerywał.

Jestem pewna, że w głębi serca zastanawiasz się, kto jest Twoim ojcem. Gdy będziesz już wystarczająco duży, zrozumiesz, że nawet jeśli nie masz tatusia na ziemi, Bóg jest Twoim ojcem w niebie.

Ale chciałabym też, żebyś wiedział, że gdzieś daleko mieszka człowiek, który jest Twoim tatą. Bardzo go kochałam, ale trwało to bardzo krótko. Nie mógł zostać na wyspie, bo musiał wracać do domu.

Ogle spojrzał wymownie na Ramey. Wykorzystując tę chwilę, Max położył prawą dłoń na sercu, które biło jak oszalałe. A więc gdzieś był jego tato. Dlaczego mamusia nie powiedziała mu tego wcześniej? Adwokat odchrząknął i ponownie wbił wzrok w trzymaną w ręku kartkę.

Dla Twojego ojca jego własny dom był tak ważny, że gdy Bóg mi Ciebie zesłał, nigdy mu o tym nie wspomniałam. Ani razu. On mieszkał za oceanem, a nasz dom był tu, na wyspie. Max, nie wiem, czy kiedykolwiek go spotkasz, ale chcę, żebyś wiedział, że on gdzieś tam jest i nic nie wie o Twoim istnieniu.

Ramey pomoże Ci odszukać mojego bliskiego przyjaciela, który mieszka w innym stanie, na kontynencie. Jeśli Pan Jezus zabierze mnie do siebie, a Ramey uda się go odnaleźć, chciałabym, żebyś spędził u niego kilka tygodni. Może być to dla Ciebie trudne, ale bardzo mi na tym zależy. Chcę, żebyś to zrobił. Bardzo Cię o to proszę.

Wiem, że bardzo lubisz naszą wyspę i wszystkie odwiedzane przez nas miejsca, w których rozmawialiśmy o tylu sprawach. Jednak taki wyjazd dobrze Ci zrobi. Mocno w to wierzę. Mój przyjaciel ma bardzo miłą żonę i dwie córki mniej więcej w Twoim wieku. Jeśli dojdzie do waszego spotkania, pamiętaj, że to Bóg tak chciał. Jeśli stanie się inaczej, widocznie ma On inne plany.

Gdy piszę te słowa, mam przeczucie, że nigdy ich nie usłyszysz, ponieważ zamierzam zawsze być przy Tobie. Gdyby jednak coś mi się przydarzyło... Gdyby Pan Jezus zaprosił mnie do siebie, wszystko to, co napisałam, będzie bardzo ważne.

Bądź grzeczny, Max. Cokolwiek będziesz robić, pamiętaj, że masz być silny i dzielny. Kochaj Pana Jezusa. Gdy będziesz smutny, przypomnij sobie naszą piosenkę, bo ona najpełniej oddaje to, co do Ciebie czuję. Pamiętaj, że nawet jeśli nigdy nic odnajdziesz swojego ojca na ziemi, Twój Ojciec u niebie czuwa nad Tobą. Jeśli Pan Bóg pozwoli, ja też będę nad Tobą czuwać. Będę Ci kibicować podczas meczów, ścisnąć kciuki za Ciebie podczas klasówek i zawsze będę w Ciebie wierzyć. Będę wierzyć, że zrobisz wszystko, by wyrosnąć na mężczyznę, z którego będę dumna, nawet jeśli przyjdzie mi patrzeć na to z tak daleka.

Ta część listu szczególnie głęboko zapadła w serce chłopca. Łzy popłynęły mu po policzkach, a jego ramiona trzęsły się w niemym płaczu. Nie podobało mu się, że to pan Ogle mówił słowami mamusi. Chciał usłyszeć jej głos. Gdyby mogła tu być, choćby jeszcze przez jeden dzień, mógłby przytulić się do niej i powiedzieć jej, że zrobi wszystko, o co go prosiła.

Wszystko w porządku? - Ramey delikatnie klepnęła go w kolano.

Chciał odpowiedzieć, że nie, ale wtedy nie wysłuchałby listu do końca. Pośpiesznie uniósł głowę, otarł rękawem łzy i, przenosząc wzrok na pana Ogle'a, powiedział:

- Proszę, niech pan czyta dalej.
- Oczywiście.

Dopiero teraz Max zauważył, że pan Ogle też ma wilgotne oczy. Adwokat powoli wciągnął powietrze i kontynuował:

A teraz najlepsze. Pamiętasz, Max, te nasze specjalne motylkowe dni? Ja też w końcu dostałam drugą szansę, mój mały. I pewnego dnia, w nie aż tak bardzo dalekiej przyszłości, znowu będziemy razem i nie będziemy już jak gąsieniczki pełzać po ziemi. Będziemy latać. No cóż, to chyba wszystko. Kocham Cię, Max, całym sercem. Na zawsze Twoja mama.

## ROZDZIAŁ VIII

To był dzień powrotu Connora do domu. Myśl o tym towarzyszyła Michele od samego rana. Tak bardzo chciała znowu go zobaczyć. Zegar na ścianie wskazywał kilka minut po czwartej po południu. Kończyła właśnie czesać ostatnią tego dnia klientkę, jeszcze tylko parę psiknięć lakierem do włosów i... gotowe. Minęło kolejnych parę minut i była już sama.

Michele zamierzała chwilę odpocząć, gdy zza pleców dobiegł ją dźwięk otwieranych drzwi. Zanim zdążyła się odwrócić, znajomy głos szepnął jej do ucha:

- Cześć.

Poczuła ciepło w sercu - jak zawsze wtedy, gdy wracał do domu. Obróciła się w jego objęciach i oplótłszy ramionami jego szyję, przywarła do niego całym ciałem.

- Cześć.

- Mam pomysł - powiedział półgłosem, uśmiechając się i patrząc jej w oczy. Zanim zdążył dokończyć, uniosła się na palcach i pocałowała go w usta. I tył to jeden z tych długich, namiętych pocałunków, którymi nigdy nie przestali się obdarzać. Gdy odsunęli się od siebie, by złapać oddech, potarła nosem o jego nos.

- Czy zawsze musisz mieć jakieś pomysły?

- Tak - złożył na jej ustach kolejny pocałunek, nieco tylko krótszy. - Przecież to z tego powodu za mnie wyszłaś.

Odchyliwszy się do tyłu, puściła mu zalotne spojrzenie spod opuszczonych rzęs, flirtując z nim tak jak w czasach, gdy się poznali.

- Czyżbyś miał na myśli coś takiego?

- No cóż... - w jego oczach widać było, że bardzo się za nią stęsknił. - To i parę innych rzeczy.

Ponownie przytulił ją do siebie, a ona oparła głowę o jego pierś.

- Może lepiej odłóżmy ten twój pomysł na później - Michele spojrzała na niego przepraszająco, odsuwając się o krok. - Masz cztery wiadomości na sekretarce, pękniętą szybę w pokoju Susan, a za niecałą godzinę dziewczyny wrócą ze szkoły wyglądające jak wilki - oznajmiła jednym tchem, po czym dźgnęła go delikatnie palcem w bok, a zaraz potem w drugi. Odkąd go znała, zawsze miał łaskotki, a takie jej żartobliwe dokuczanie

skutecznie pomagało mu uwolnić się od napięcia związanego z pracą.

- Nie to miałem na myśli - uśmiechnął się filuternie, chwytając ją za rękę. - Zróbmy sobie piknik. W Langley Park przy plaży. Co ty na to?

- Piknik? - Michele przekrzywiła głowę. - Hmm. Niezła myśl. Moglibyśmy po drodze kupić coś do jedzenia w KFC i zaoszczędzilibyśmy sobie zmywania.

- Właśnie... - Connor ponownie wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie. - A do tego drugiego pomysłu jeszcze wrócimy...

Connor wytarł dłonie w serwetkę i wysunął nogi spod stołu, chcąc je rozprostować. Na plaży Elizabeth i Susan urządzały sobie wyścigi, a Michele pełniła rolę sędziego. Skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się do siebie. Pomysł zorganizowania pikniku okazał się strzałem w dziesiątkę.

Było ciepło, około 26 stopni Celsjusza. Już dawno kwiecień nie był tak ładny. Przeniósłszy wzrok z córek na rozciągający się w tle ocean, Connor podziwiał błękit morskiej toni. To mogła być równie dobrze plaża w Cancun lub gdzieś na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Zastanawiał się, jak to możliwe, że wszystko tak dobrze się ułożyło. Pomyśleć tylko, że wtedy, w Los Angeles, był przekonany, że życie już nigdy nie będzie tak dobre jak dawniej. Nie było w tym jednak jego winy. Los uknuł spisek przeciwko niemu, ale w ciągu paru miesięcy zdołał uporać się ze wszystkimi problemami. Teraz mógł zaliczyć się do szczęśliwców. Miał wszystko, czego pragnął, a przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Mogło być tylko lepiej.

Connor wstał i przeciągnął się, po czym ruszył truchtem w stronę Michele, która miała właśnie dać sygnał do rozpoczęcia kolejnego wyścigu.

- Poczekajcie na mnie - zawołał.

Susan i Elizabeth dopadły go i złapały za rękę.

- Chodź tato, ścigamy się... Zobaczymy, jaki jesteś szybki - zachęcały go chórem, podskakując wesoło na białym jak mąka piasku.

- No dobrze - zgodził się Connor, puszczając oko do Michele. - Ale pamiętajcie, że nie jestem już najmłodszy.

Dziewczyny zachichotały i ustawiły się po jego bokach. Michele nachyliła się najpierw ku Susan, a potem Elizabeth i, ścisząc głos, powiedziała:

- Dalej, dziewczyny. Pokażcie tacie, gdzie jego miejsce.

Następnie wyprostowała się i, uśmiechając się szeroko do Connora, zaczęła odliczanie:

- Na miejsca, gotowi, do startu... start!

Connor wystrzelił jak z procy i od razu zyskał kilka metrów przewagi. Właśnie zastanawiał się, jak tu w wiarygodny sposób dać się prześcignąć, gdy lewą stopą zahaczył o zwój wodorostów. W pełnym biegu schylił się, by pozbyć się owiniętej wokół kostki zielonej girlandy, ale zanim zdążył uchwycić jej koniec, stracił równowagę i runął jak długi, lądując twarzą prosto w piachu.

- Tatusiu! - Dziewczynki w mgnieniu oka znalazły się przy nim. Elizabeth, przyglądając mu się troskliwie spod kaskady włosów opadających jej na czoło, uklękła i pomogła mu usiąść.

- Nic ci nie jest?

Susan w tym czasie stała obok, zasłaniając dłonią buzię, by nie widział, że pęka ze śmiechu.

- Tatusiu... - choć bardzo się starała, nie potrafiła się opanować. - Wyglądasz jak potwór z głębin.

- I tak się czuję - roześmiał się Connor, pochylając się, by wyswobodzić stopę z wodorostów. W ustach miał pełno piasku, który bezskutecznie starał się wypluć. Ręce i nogi też miał nim oblepione, a na jego kolanach widać było drobne ślady otarć.

Michele podbiegła do nich, z trudem tłumiąc rozbawienie.

- Susan ładnie cię podsumowała - zauważyła i, nie mogąc już się powstrzymać, parsknęła głośnym śmiechem. - Tylko popatrz na siebie!

Connor dotknął policzków, podbródka i czoła. Rzeczywiście, cały był w piachu i musiał wyglądać pociesznie. Udzieliła mu się wesołość dziewczyn i we czwórkę padli na ziemię, tarzając się ze śmiechu. Trwało to może minutę.

Nagle Connor pociągnął lekko Susan za warkoczyk, krzyząc:

- Wyścig się jeszcze nie skończył!

Elizabeth i Susan wymieniły szybkie spojrzenia.

Niemal równocześnie poderwały się i popędziły jak wicher w stronę oddalonego o jakieś dwadzieścia metrów kosza na śmieci, który wyznaczał prowizoryczną linię mety. Walka o zwycięstwo była zacięta do samego końca, ale o włos wygrała Susan.

- Pierwsza! - krzyknęła, unosząc ręce w geście triumfu. Wołała coś jeszcze, ale jej głos nikał w poszumie fal i podmuchach wiatru.

Rodzice, obserwując dziewczynki ze swojego miejsca, widzieli, że Elizabeth przybija siostrze piątkę, a następnie obie zabierają się za zbieranie muszelek. Była pora odpływu, więc miały w czym przebierać.

- Mamy najwspanialsze dzieci na świecie - powiedział Connor, przyciągając do siebie siedzącą obok żonę.

- Tak - przytaknęła, kładąc głowę na jego ramieniu. - A one mają najwspanialszego na świecie ojca - lekko szturchnęła go łokciem w bok. - Nawet jeśli wygląda jak potwór z głębin.

Roześmiali się, a ich śmiech zmieszał się z szumem fal łagodnie uderzających o brzeg. Zerwała się lekka bryza, a w powietrzu unosił się zapach wczesnego lata i słonej wody. Connor ujął dłoń Michele i zapytał:

- Dobrze... a teraz powiesz mi, kto do mnie dzwonił?

Michele, szczęśliwa i zrelaksowana po paru godzinach spędzonych na świeżym powietrzu w towarzystwie najbliższych, zaczęła wyliczać:

- Zadzwoił twój dentysta, żeby ci powiedzieć, że jakiś pacjent odwołał wizytę, więc jeśli chcesz, możesz jutro przyjść do niego na okresowy przegląd zębów.

- W sobotę?

- A co w tym dziwnego? On przyjmuje w soboty.

- Ojej... już dobrze, rozumiem. Co jeszcze?

Niedaleko miejsca, w którym siedzieli, wylądowało na wodzie stado rozkrzyczanych mew. Michele kontynuowała swój raport o telefonach, wodząc kciukiem po przedramieniu Connora.

- Telefonował też facet z banku. Chciał się z tobą umówić na spotkanie. Wspominał coś o refinansowaniu kredytu i zmianach oprocentowania. Dzwonili też ze sklepu z kosiarkami, żeby ci powiedzieć, że przyszły już te części, które zamówiłeś.

- Szalenie ważne wiadomości... - Connor ironicznie pokiwał głową, po czym pocałował Michele w policzek i powrócił do obserwowania córek, które zebrawszy okazałą kolekcję muszelek, zaczęły teraz układać z nich wzór na piasku. Zawsze gdy bawiły się blisko wody, wołał mieć je w polu widzenia. Jednocześnie nasza go pokusa, by trochę podroczyć się z Michele.

- Widzisz, jakie poważne sprawy na mnie czekają. Świat by się zawalił, gdybym się o nich nie dowiedział.

- Ejże... wizyta u dentysty to całkiem poważna sprawa. Musisz sam przyznać.

Ponownie spojrzął na żonę i w tej samej chwili przypomniał sobie o czymś.

- A czy przypadkiem nie wspominałaś o czterech wiadomościach?

Kiwnęła głową twierdząco.

- Nie wymieniłam czterech?

- Jak na razie tylko trzy: dentysta, bank i części do kosiarki.

Michele przez chwilę się zastanawiała, aż nagle w jej oczach pojawił się błysk olśnienia.

- Już sobie przypomniałam - uśmiech na jej twarzy nieco przygasł. - To był dziwny telefon. Nie bardzo wiem, o co właściwie chodziło.

- Kto to był? - zapytał Connor, nie spuszczając wzroku z Elizabeth i Susan bawiących się beztrąsko nad wodą w promieniach zachodzącego słońca.

- Jakiś adwokat - zawahała się na moment. - Marv... Nazwiska nie pamiętam. Mówił, że dzwoni z Honolulu.

Connor w jednej chwili zeszytniał. Odsunął się od Michele tak, by tego nie zauważyła. „Spokojnie, Connor... tylko spokojnie”. Opanowując drżenie głosu, powtórzył z niedowierzaniem:

- Z Honolulu?

- Dziwne, prawda? - Michele zaczęła kreślić palcem kółka na piasku. - Pewnie znowu chcą, żebyś wystąpił jako biegły w sądzie.

- Pewnie tak.

Connor nabrał powietrza w płuca i wstrzymał na chwilę oddech. Tak, musiało chodzić właśnie o to. Jak inaczej to wytłumaczyć? Nic nie łączyło go z Honolulu, już nie. Zwłaszcza teraz, po tej katastrofie. A prawnicy... mają biura w całym kraju, nieprawdaż? Na Hawajach też mogą mieć. Dlaczego nie?

- Jak myślisz, o co może chodzić? - Michele spojrzała na niego pytająco. W jej oczach nie zauważył nawet cienia wątpliwości lub podejrzeń. Po prostu była ciekawa, jaką sprawę mógł mieć do niego adwokat z Honolulu.

Connor zaczął rozważać możliwe przyczyny tego telefonu. Rzeczywiście, często zdarzało się, że piloci wzywani byli do sądu, by składać zeznania lub wydawać opinie jako biegli. Przez te wszystkie lata linie lotnicze, dla których pracował, wielokrotnie wykorzystywały go w takiej roli w sprawach sądowych wytaczanych im przez niezadowolonych pasażerów. A to komuś nie spodobały się turbulencje podczas lotu, to znów lądowanie było za twarde albo serwowane na pokładzie posiłki niesmaczne. Zresztą powodów takich rozpraw mogły być setki.

Przełknął ślinę i zaśmiał się ironicznie.

- Kto ich tam wie? W dzisiejszych czasach ludzie ciągną się po sądach z byle powodu.

- A ty masz już doświadczenie, bo już kilkanaście razy zeznawałeś w tego rodzaju sprawach.



- Tak sądzę... - Connor miał wrażenie, że jego głos brzmi jakoś inaczej. Pragnął wierzyć, że to właśnie był powód, dla którego ów nieznany prawnik chciał się z nim skontaktować. Ale moment, w którym się to zdarzyło, budził zastanowienie. Bliskość czasowa między tajemniczym telefonem a niedawną katastrofą lotniczą budziła w nim niepokój. Nie dał jednak tego po sobie poznać.

- Dlaczego znowu na ciebie padło? Nie mogliby wykorzystać kogoś, kto obecnie lata na tej trasie? Już nie pamiętam, kiedy ostatnio byłeś na Hawajach? - zachnęła się Michele.

- Tak to bywa - odparł Connor, masując się ręką po szyi. - Wystarczy, że w firmie raz cię wpiszą na listę godnych polecenia rzeczoznawców i już nie będziesz mieć spokoju.

Mówił prawdę. Prawnicy reprezentujący linie lotnicze, dla których pracował, średnio trzy albo cztery razy w roku chcieli, by występował w sądzie w charakterze biegłego. Nigdy jednak nie dzwonili do niego z Hawajów. Przeważnie były to telefony z Atlanty, w której jego linie lotnicze miały główną siedzibę. Chyba tylko raz kontaktował się z nim prawnik z Chicago.

Connor poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach. Jeśli ten adwokat z Honolulu nie został wynajęty przez jego linie, cóż u licha mógł od niego chcieć? Dlaczego zadzwonił do niego właśnie teraz, zaledwie kilka dni po tej katastrofie.

Myśl o tym nie dawała mu spokoju. Wieczorem, choć miał wcześniej zupełnie inne plany, powiedział Michele, by położyła się spać bez niego. Gdy w domu było już cicho i spokojnie, poszedł do swojego gabinetu i zalogował się do internetu. Przez kolejne trzy godziny szukał w sieci informacji o wypadku. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Kiahnie Siefert i ewentualnych związkach, które mogłyby mieć z tragedią.

O trzeciej nad ranem wydawało mu się, że znalazł już odpowiedź na dręczące go pytania. Nie było absolutnie żadnych powiązań. Nie rozmawiał, a nawet nie widział się z Kiahną od owej letniej nocy sprzed kilku laty. Pozostałych członków załogi w ogóle nie znał, a z liniami lotniczymi Western Island Air nigdy nie miał nic wspólnego. Lęk, który odczuwał, był jedynie wytworem jego wybujałej wyobraźni i skutkiem poczucia winy, odradzającego się pod wpływem wieści o katastrofie.

Postanowił, że w poniedziałek z samego rana zadzwoni do tego adwokata, a do tego czasu nie będzie zaprzętał sobie głowy tą sprawą. Najwyraźniej jego obawy były nieuzasadnione. Gdy już utwierdził się w tym przekonaniu i nabrał pewności, że nie istnieje żaden związek pomiędzy telefonem z Honolulu a jego znajomością z Kiahną, poszedł do sypialni i położył się obok Michele. Uwolniwszy się od dręczących go myśli, od razu zasnął.

## ROZDZIAŁ IX

Connor szedł energicznym krokiem przez halę odlotów, ciągnąc za sobą niewielką walizkę na kółkach. Miał jeszcze piętnaście minut czasu. Pokój pilotów znajdował się niedaleko rękawa, przy którym stał jego samolot, ale nie chciał stamtąd dzwonić. Wypatrzył pustą o tej porze bramkę po przeciwległej stronie hali i ruszył w tamtą stronę.

Wokół nie było prawie nikogo. Connor usiadł na ławce tuż przy szklanej ścianie terminalu, wyjął telefon komórkowy i sięgnął do kieszeni po kartkę z zapisanym numerem. Przyglądał się przez chwilę trzymanemu w

dłoni kawałkowi papieru i poczuł nerwowy ucisk w żołądku.

Marv Ogle. Nazwisko adwokata nic mu nie mówiło, tak samo numer telefonu. Ale teraz wszystkie powody, którymi wcześniej próbował uzasadnić enigmatyczną wiadomość pozostawioną przez nieznanego mu prawnika, zdawały się mniej lub bardziej naciągane. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie warto się pomodlić, ale zmienił zdanie.

Modlitwa pomaga w trudnych sytuacjach, czyż nie? W chwilach próby, w razie niebezpieczeństwa lub wtedy, gdy trzeba podjąć ważną życiową decyzję. Nie było potrzeby zawracać Bogu głowy taką błahostką. Connor zacisnął zęby i wystukał na klawiaturze telefonu kolejne cyfry. Choć na lotnisku często miewał problemy z zasięgiem, udało mu się uzyskać połączenie za pierwszym razem.

- Kancelaria Ogle i Browning - odezwał się głos po drugiej stronie.

- Dzień dobry. Chciałbym rozmawiać z panem Marvem Ogle.

- Kto mówi?

Connor poczuł, jak serce skacze mu do gardła.

- Connor Evans. Pan Ogle prosił, żebym się z nim skontaktował.

- Proszę chwileczkę poczekać.

W telefonie rozległa się melodyjka mająca rzekomo umilać oczekiwanie. Connor zerknął na zegarek. Za trzynaście minut miał stawić się przy bramce. Już miał odwiesić słuchawkę i spróbować ponownie po wylądowaniu w Atlancie, gdy usłyszał ciche kliknięcie.

- Halo... Mówi Marv Ogle. Czym mogę służyć?

- Tak... - Connor przez chwilę nie wiedział jak zacząć. - Dzień dobry panu. Nazywam się Connor Evans. Kilka dni temu zostawił pan dla mnie wiadomość.

Przez chwilę, która zdawała się trwać całe wieki, jego rozmówca milczał. Gdy w końcu się odezwał, Connor poczuł ulgę, wiedząc, że wreszcie dowie się, o co chodzi.

- Panie Evans, obawiam się, że mam do przekazania przykrą dla pana wiadomość.

Connor wstrzymał oddech. Adwokat kontynuował ponurym głosem:

- Jak zapewne panu wiadomo, w zeszłym tygodniu spadł do oceanu samolot linii Western Island Air. Nikt nie przeżył tej katastrofy. - Ogle na moment zawiesił głos. - Tak się składa, że jestem wykonawcą ostatniej woli Kiahny Siefert, z którą - jak mniemam - łączyła kiedyś pana nić przyjaźni. Niestety z przykrością muszę poinformować, że Kiahna była na pokładzie tego samolotu.

Connor poczuł, jak zaczynają mu pulsować skronie. W jaki sposób śmierć Kiahny mogła go dotyczyć? Czyżby zostawiła listę osób, z prośbą, by im coś przekazać? Zamknął oczy i, zebrawszy się w sobie, powiedział:

- Ja... nie widziałem się z nią od dobrych kilku lat.

- Jestem tego świadomy.

Connor miał ochotę wrzasnąć do słuchawki: Przejdź wreszcie do konkretów!". Cóż mógł teraz zrobić dla Kiahny lub jej najbliższych. Złapał się za nasadę nosa, zmuszając się, by jego głos przybrał smutny ton.

- Widziałem jej nazwisko na liście ofiar. Bardzo... bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Tak... no cóż, to nie jedyny powód, dla którego do pana telefonowałem.

Connor chciał wziąć głęboki oddech, ale wydawało mu się, że to niemożliwe.

- Nie rozumiem. Kiahna i ja... Nie łączyły nas bliższe więzi.

- Chyba jednak coś pana z nią łączyło, panie Evans. Siedmioletni chłopiec o imionach Max Riley.

Oczy Connora zrobiły się okrągłe jak spodki. Co takiego? Siedmioletni Max Riley? Przez chwile wpatrywał się tępo w samoloty zaparkowane pod różnym kątem na płycie parkingowej lotniska.

Siedmioletni chłopiec? Co ten chłopczyk mógł mieć wspólnego z nim i Kiahną? O ile dobrze pamiętał, nie miała dzieci. Chyba że to był syn Kiahny i...

Zakręciło mu się w głowie. Jego serce zaczęło bić mocniej, a wszystko wokół jakby znieruchomiało. Zastanawiał się, czy nie powinien rzucić słuchawką i odejść, udając, że nie dosłyszał słów adwokata. Ale przecież dotarły do niego aż za wyraźnie. Usłyszał je i doskonale wiedział, że to nie sen ani żart. Siedmioletni chłopiec?

Podłoga usunęła mu się spod stóp i zaczął spadać coraz szybciej i szybciej w otchłań, która zdawała się nie mieć dna. Nie trzeba było mieć specjalnych zdolności matematycznych. Siedem lat? Kiahnę spotkał latem 1996 roku.

Mógł istnieć tylko jeden powód, dla którego adwokat Marv Ogle właśnie teraz do niego zadzwonił.

- Panie Evans, jest pan tam nadal?

Connor zacisnął oczy i osłonił je dłonią.

- Jestem... przepraszam. Jaki, jaki to ma związek ze mną?

Znowu nastąpiła krótka pauza.

- Ten chłopiec to pański syn.

A więc to prawda. To zdanie jak włócznia wbiło się w serce Connora, jak ostrze przeszło na wskroś jego starannie wymodelowany świat, rozłupując pancerz usprawiedliwień, którymi karmił swoje sumienie przez wszystkie te lata. A zatem miał syna, o którym do tej pory nic nie wiedział ani nie słyszał.

- Panie Evans - adwokat ciągnął dalej - Kiahna pozostawiła bardzo precyzyjne instrukcje odnośnie dalszych losów chłopca i częściowo wiążą się one z pańską osobą.

Ogle zrobił krótką przerwę, po czym kontynuował:

- Max nie ma nikogo. Życzeniem jego matki było, aby rozważył pan ewentualność zabrania go do siebie na dwa tygodnie i poznanie go bliżej, zanim chłopiec oddany zostanie pod opiekę państwa.

Connor czuł, jak z każdym słowem głowa pulsuje mu mocniej. A więc miał syna? Siedmioletniego Maxa? Skoro był jego ojcem, dlaczego Kiahna nie powiedziała mu o tym wcześniej, gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży? A teraz... Teraz chciała, żeby chłopiec zamieszkał u niego przez dwa tygodnie? A co z Michele, Elizabeth i Susan. Co z ich tak wspaniale układającym się życiem toczącym się dokładnie tak, jak to sobie zaplanował?

Jednakże spośród tylu pytań równocześnie cisnących mu się do głowy, tylko jedno wymagało natychmiastowej odpowiedzi. A więc miał syna? Po tylu latach dowiedział się, że gdzieś tam w Honolulu mieszka chłopiec, który należy do niego.

Prawda chwyciła go z całej siły za serce i splątała mu język. Connor ściągnął brwi. Wysiłkiem woli zdołał wykrztusić:

- Skąd... skąd wiadomo, że to ja jestem ojcem? Kiahna nigdy mi o tym nie powiedziała.

- Proszę pana, znałem Kiahnę jeszcze z czasów, gdy chodziła do szkoły - Ogle westchnął w sposób, który wystawił napięte do granic wytrzymałości nerwy Connora na jeszcze cięższą próbę. - To była porządna dziewczyna. Nie puszczała się na prawo i lewo. Gdy... gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, opowiedziała mojej żonie i mnie, co się wydarzyło. Całą historię.

Connor czuł wzbierające mdłości. Każde kolejne zdanie zwiększało tylko ciężar przygniatający jego serce.

- Radziliśmy jej, aby skontaktowała się z panem, ale nie chciała tego zrobić. Nigdy nikomu nie wyjawiała pana tożsamości ani też nie wspomniała o okolicznościach, w których doszło do waszego spotkania. Powiedziała tylko, że przez krótki czas byliście razem.

- Jak... - Connor nie rozpoznawał swojego głosu. Za pięć minut miał stawić się przy samolocie, a tymczasem ledwie był w stanie pozbierać myśli, nie mówiąc już o wykonaniu jakiegokolwiek ruchu.

- Jak udało się panu mnie znaleźć?

- Gdy Max przyszedł na świat, przyniosła mi kopertę zawierającą dwa dokumenty - testament i list do syna. Co roku, gdy zbliżały się jego urodziny, pisała nowy list. Podała w testamencie pańskie imię i nazwisko oraz nazwę linii lotniczych. Prosiła, aby pana odnaleźć... zanim jej syn oddany zostanie pod opiekę państwa.

- Czy on jest mój w sensie prawnym?

- Nie. Nie wpisano pana jako ojca w akcie urodzenia.

- Ach, tak - Connor grał na zwłokę, starając się wpasować te nowiny w ramy swojej rzeczywistości.

- Chciała, żebym adoptował chłopca?

- Też nie. Przynajmniej nie od razu... - Ogle mówił łagodnym tonem, bez oskarżycielskiej nuty.

- Chciała, żeby przyjął go pan do siebie na dwa tygodnie. Chłopcu powiedzielibyśmy tylko, że przyjaźnił się pan z jego mamą. Po upływie tego okresu miałby pan wybór.

- Wybór? - Connor poczuł, że drżą mu ręce. Po twarzy spływały mu kropelki potu.

- Tak. Będzie pan mógł albo odesłać go z powrotem i nigdy więcej się z nim już nie kontaktować, albo powiedzieć mu całą prawdę i zatrzymać go przy sobie już na zawsze.

Mdłości nasiliły się. Przez całe życie Connor chlubił się swoim szybkim refleksem, umiejętnością skutecznego radzenia sobie z najtrudniejszymi nawet problemami. Podczas wojny w Zatoce wykonywał loty z bombardowaniem określonego celu i nieraz wracał do bazy bardzo uszkodzoną maszyną. Potem, już jako pilot samolotów komunikacyjnych, dwa razy lądował awaryjnie, ratując siebie i pasażerów ze - zdawałoby się - beznadziejnej sytuacji. Popelnione przez niego błędy dałoby się policzyć na palcach jednej ręki.

Ale ta sytuacja przerastała go do tego stopnia, że z trudem mógł oddychać, a co dopiero myśleć o tym, jakby tu rozwiązać ten węzeł gordyjski, który nieoczekiwanie zasupłało na nim życie. Po raz pierwszy nie miał pojęcia, co robić. Nie wiedział nawet, co powiedzieć. Nowe wieści kolejno eksplodowały w jego duszy i kontynuowały niepowstrzymany marsz poprzez jego świadomość w stronę okopów świata rzeczywistego, nie biorąc po drodze jeńców.

- Panie Evans... Zdaję sobie sprawę, że te wiadomości mogą być dla pana szokujące. Chciałbym jednak zapytać, jak zapatruje się pan na prośbę Kiahny?

Co sądził o jej prośbie? Chciał coś odpowiedzieć, ale nie mógł zebrać myśli. Z drugiego końca hali odlotów

doleciał go pierwszy komunikat wzywający pasażerów do wejścia na pokład samolotu, który miał pilotować. Otworzył oczy i powiódł nimi dookoła.

- Ja... - nerwowo przygryzł wargę. - Czy mogę dać panu odpowiedź za tydzień? Chciałbym najpierw porozmawiać z żoną.

- Oczywiście... - odparł adwokat pełnym zrozumienia głosem. - Muszę jednak poznać pańską decyzję. - Ogle po raz kolejny głośno westchnął. - Max pozostaje tymczasowo u swojej opiekunki, której stan zdrowia nie jest najlepszy. Jeśli chłopiec ma zostać oddany do adopcji, powinniśmy jak najszybciej rozpocząć konieczne procedury. Nie jest łatwo znaleźć rodzinę zastępczą dla siedmiolatka.

Na wzmiankę o dziecku, wewnętrzny niepokój Connora jeszcze bardziej się wzmógł. Wciąż wydawało mu się, że spada, i wirowało mu w głowie. Nie mógł jednak zakończyć rozmowy, nie zadawszy jeszcze jednego pytania.

- Jaki on jest?

- Max... - głos adwokata załamał się.

W tej chwili Connor zrozumiał. Wszystko, co powiedział mu ten mężczyzna, było prawdą. Ogle znał Kiahnę niemal od dziecka, znał też chłopca. Ta rozmowa była dla niego prawdopodobnie równie trudna jak dla Connora.

- Proszę mi wybaczyć... - Ogle zakaszłał. - Max jest wyjątkowym dzieckiem, panie Evans, jest śliczny, wysoki i dobrze rozwinięty jak na swój wiek. Uwielbia bejsbol i futbol amerykański. Po matce ma zielone oczy i śniadą karnację, natomiast rysy twarzy musiał odziedziczyć po panu lub po kimś z pana rodziny. Jest pogodnym i wesołym dzieckiem. On i Kiahna... jakby to powiedzieć... byli ze sobą bardzo blisko związani, jak gdyby mieli jedno serce, naprawdę.

Connor zamknął oczy i wyobraził sobie Maxa grającego w piłkę lub spacerującego wzdłuż plaży z Kiahną. Po tylu latach wciąż pamiętał jej twarz. Jeśli chłopiec miał oczy matki, rozpoznałby go bez trudu w tłumie innych siedmiolatków.

Z głośników popłynęło drugie wezwanie do wchodzenia na pokład jego samolotu.

- Umówmy się tak... - zaczął Connor, zerkając na zegarek. Musiał szybko wziąć się w garść i przeobrazić w zawodowego pilota. - Proszę mi dać tydzień do namysłu. Postaram się jak najszybciej dać panu odpowiedź.

Connor usiłował zapanować nad sobą. Nie mógł teraz myśleć o tym, czego dowiedział się w ciągu ostatnich kilku minut. Gdy biegł truchtem w stronę bramki ani jeden szczegół rozmowy nie zaprzętał już jego uwagi.

Zameldował swoje przybycie, wszedł na pokład maszyny i zajął miejsce za sterami. W zawodzie pilota liczyła się przede wszystkim koncentracja i nie było tu miejsca na wyjątki. Czynności przedstartowe oraz rutynowe rozmowy z drugim pilotem i wieżą kontroli lotów całkowicie pochłonęły jego uwagę. Kołowanie i start wykonał w sposób podręcznikowy.

Dopiero na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, gdy zdawało się, że wszystkie troski pozostały na ziemi, Connor przestał się kontrolować i wówczas wszystkie wspomnienia powróciły, żywe i barwne. Mając w pamięci to, co tego ranka usłyszał od adwokata, nie próbował już się przed nimi bronić i pozwolił, by opanowały jego umysł i serce.

## ROZDZIAŁ X

Na jego upadek złożyło się kilka przyczyn. Noc spędzona z Kiahną w wyniku dziwnego zbiegu okoliczności była tylko ich wypadkową. Wszystko tak naprawdę zaczęło się ponad rok wcześniej. Tak przynajmniej mu się wydawało.

Connor oparł się wygodnie i podziwiał mlecznobiały dywan chmur rozciągający się za oknami kokpitu wszędzie, jak okiem sięgnąć. Tak, pierwsze problemy w ich małżeństwie pojawiły się, gdy pewnego lipcowego poranka mama Michele zaraz po obudzeniu się doznała silnych torsji i dwie godziny później już nie żyła. Przyczyną zgonu było pęknięcie tętniaka w mózgu.

W owym czasie Connor latał na samolotach pasażerskich dopiero od trzech lat i musiał walczyć o pozycję w firmie. Przy ustalaniu grafiku dla pilotów nie miał wiele do powiedzenia. Po śmierci matki Michele, która była wówczas w piątym miesiącu ciąży z Susan, wpadła w ciężką depresję. Całe dni spędzała w łóżku i zwlekała się z niego tylko wtedy, gdy trzeba było nakarmić lub przebrać niespełna dwuletnią Elizabeth.

Pewnego dnia po powrocie z pracy stwierdził, że pozbawiona opieki Elizabeth bawi się na podłodze w kuchni, a Michele leży na kanapie w salonie, nie dając znaków życia. Przestraszył się nie na żarty.

- Michele! - chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią energicznie. Poruszyła się. Widząc to, poczuł ogromną ulgę. - Michele... obudź się! Jak długo spałaś?

W ciągu kolejnych dwóch tygodni sytuacja powtórzyła się trzykrotnie, co zmusiło Connora do podjęcia trudnej decyzji. Jego żona nie była w stanie zadbać o samą siebie, nie mówiąc już o opiekowaniu się małą Elizabeth. Nie pozostało mu nic innego, jak natychmiast skontaktować się z liniami lotniczymi i poprosić o dwa tygodnie wolnego. Po powrocie z urlopu pracował w mniejszym wymiarze godzin.

Stan psychiczny Michele stopniowo poprawiał się. Zatrudnili opiekunkę do dziecka i zaczęli chodzić do poradni małżeńskiej. Dzięki modlitwom przyjaciół i dwumiesięcznej kuracji lekami antydepresyjnymi Michele wkrótce znów była sobą. Miało to jednak swoją cenę. Kłopoty w domu odbiły się na karierze zawodowej Connora. Utracił tak mozolnie wypracowane miejsce na liście starszeństwa. Nie trzeba było długo czekać na efekty. W listopadzie, tuż po narodzinach Susan, dowiedział się, że na wiosnę zostanie przeniesiony do Los Angeles.

Wspominając to, jeszcze mocniej zacisnął dłonie na wolancie. Od nocy spędzonej z Kiahną nie przestawał o tym myśleć. Gdyby ten przydział obowiązywał tylko kilka tygodni albo gdyby linie lotnicze pozwoliły mu przenieść się na Zachodnie Wybrzeże z całą rodziną, wtedy mógłby spędzać więcej czasu z żoną. Niestety, jego pobyt w Los Angeles miał potrwać co najmniej kilka miesięcy. Wyjechał tam w marcu i zamieszkał w służbowym mieszkaniu. Michele z córkami została na Florydzie.

- Będę w domu przynajmniej raz w tygodniu - zapewniał ją przed wyjazdem.

Początkowo tak było. Jednak po pewnym czasie doszedł do wniosku, że takie męczące powroty na jeden dzień nie mają większego sensu. Dwa przeloty tam i z powrotem na trasie: Los Angeles - Hawaje, każdorazowo połączone z noclegiem w Honolulu, sprawiały, że pod koniec tygodnia czuł się wykończony.

W tym czasie Michele zaprzyjaźniła się z Renee Wagner, której mąż też często przebywał poza domem. Wiedząc, że Michele ma na kogo liczyć podczas jego nieobecności, Connor nie zjawiał się w domu czasem

nawet przez trzy tygodnie.

Właśnie wtedy, w maju, zdarzyła się ta historia z lądowaniem. Connor miał właśnie wylądować Boeingiem 737 na lotnisku międzynarodowym w Los Angeles, gdy w słuchawkach usłyszał głos kontrolera nakazujący mu wykonanie podejścia od zachodniej strony i posadzenie maszyny na innym pasie. Zdziwiło go to nieco, bo zwykle podchodził do lądowania od wschodniej strony lotniska, a warunki meteorologiczne nie wskazywały na konieczność zmiany standardowej procedury. Jednak w powietrzu nie ma czasu na dyskusje, więc potwierdził odbiór komunikatu i wprowadził maszynę w skręt. Gdy jednak wszedł na wskazaną przez kontrolera ścieżkę schodzenia, zauważył inny samolot najwyraźniej zamierzający lądować na tym samym pasie.

Wciąż jeszcze, choć minęło już tyle lat, na myśl o tym dostawał gęsiej skórki. Port lotniczy LAX w pełni zasłużenie uchodził za jedno z najbardziej zatłoczonych lotnisk na świecie, a kontrolerzy też czasami popełniają błędy.

Nie tracąc czasu na zastanawianie się, wywołał wieżę kontrolną:

- Lot Cztery Zero Trzy, proszę o pozwolenie na zmianę korytarza lądowania, over.

Brak odpowiedzi. Patrząc przez prawe okno kabiny pilotów, Connor widział, jak ten drugi samolot zbliża się coraz bardziej. Normalnie odszedłby na drugi krąg, ale było już za późno. Aby uniknąć zderzenia, musiał natychmiast odbić w lewo i wylądować na równoległym pasie, który na szczęście był wolny.

- Hej! - krzyknął drugi pilot, prostując się w fotelu. - Co ty wyprawiasz?

- Mamy towarzystwo... - warknął Connor, czując, jak zimny pot oblewa mu czoło. - Zaraz w nas uderzy. Siadamy na równoległym... - dodał pośpiesznie, ruchem głowy wskazując sąsiedni pas.

- Ale nie dostaliśmy...

- Nie ma czasu - Connor wbił wzrok w kolegę. - Wiem, co robię.

Przechylając Boeinga na skrzydło, spróbował jeszcze raz:

- Lot Cztery Zero Trzy, proszę o pozwolenie na zmianę pasa, over.

- Podaj powód, Cztery Zero Trzy.

- Inny samolot ląduje na tym samym pasie, over.

Cisza, która zapanowała w eterze, była pierwszą oznaką tego, że dzieje się coś niedobrego. Gdy kontroler znów się odezwał, w jego głosie słychać było zdenerwowanie graniczące z paniką:

- Cztery Zero Trzy, zszedłeś ze ścieżki lądowania.

- Tak. Moja pierwsza prośba pozostała bez odpowiedzi. Musiałem podjąć taką decyzję, aby uniknąć kolizji na pasie.

- Nie wolno panu podejmować takich decyzji samowolnie. Dobrze pan o tym wie, kapitanie - rzucił ostrym tonem kontroler na otwartej częstotliwości, by jego słowa wyraźnie usłyszeli piloci innych samolotów krążących nad lotniskiem. Dopiero wtedy udzielił Connor owi oficjalnego pozwolenia na lądowanie.

Zanim samolot dotknął kołami nawierzchni pasa, Connor wiedział już, że będzie mieć kłopoty. Gdy tylko wysiadł z samolotu, przedstawiciele Federalnego Zarządu Lotnictwa wezwali go na rozmowę. Nie trwała długo. Pod koniec spotkania czerwony na twarzy mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, kręcąc głową z dezaprobatą, powiedział:

- Takie postępowanie jest niedopuszczalne, kapitanie Evans.

Po czym, nie przestając stukać ołówkiem w notes, w którym wcześniej coś pilnie zapisywał, oznajmił:

- Jutro rano złożę wniosek o wszczęcie formalnego dochodzenia w tej sprawie.

Nazajutrz Connor został zawieszony w obowiązkach. Powiedziano mu, że do czasu zakończenia dochodzenia, będzie mógł latać wyłącznie jako drugi pilot. Zmiana ta przeraziła Michele. Obawiała się, że w związku z toczącym się postępowaniem jego pobyt na Zachodnim Wybrzeżu dodatkowo się przedłuży. Ich rozmowom towarzyszyła atmosfera napięcia i wzajemnych pretensji. Stopniowo oddalali się od siebie, stając się obcymi sobie ludźmi.

W czerwcu tego samego roku Connor podjął brzemioną w skutkach decyzję. Chciał kupić niewielkie lokalne lotnisko niedaleko ich domu w West Palm Beach i zrezygnować z pracy w liniach lotniczych. Już od dłuższego czasu miał na oku tę inwestycję i podczas pobytu w Los Angeles co miesiąc sprawdzał cenę. Brak chętnych nabywców sprawił, że w ciągu kilku miesięcy spadła ona z prawie okrągłego miliona dolarów do 550 tysięcy. Większą część tej kwoty miał już odłożoną. Potrzebował tylko znaleźć brakujące sto tysięcy. Wydawało mu się, że to problem do przezwyciężenia.

Jego ojciec, Loren Herman Evans, też był kiedyś pilotem. W czasie wojny w Wietnamie latał na myśliwcach, a po odejściu ze służby w USAF przez wiele lat pilotował samoloty pasażerskie na liniach transatlantyckich. Był przy tym człowiekiem zapobiegliwym i jeszcze w latach siedemdziesiątych zaczął inwestować w nieruchomości. Nie kupował byle czego. Interesowały go głównie działki budowlane i domy jednorodzinne w najbardziej atrakcyjnych rejonach stanu New Jersey. Gdy przechodził na emeryturę, na każdej ze swoich inwestycji uzyskał przebicie w wysokości od kilku do kilkuset tysięcy dolarów. W efekcie w krótkim czasie zarobił ponad dwa miliony.

Connora nigdy nie łączyła z ojcem szczególnie bliska więź. Owszem, szanowali się i wzajemnie podziwiali. Z nikim też tak dobrze nie grało mu się w golfa jak z ojcem. Ale obaj byli raczej mało skłonni do okazywania sobie uczuć.

Po przejściu na emeryturę rodzice Connora przenieśli się do Kalifornii i zamieszkali na ranczo niedaleko miasteczka Cambria, nieopodal San Luis Obispo na wybrzeżu Pacyfiku. Loren Evans był wysokim, postawnym mężczyzną. Miał niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu, a jego przyprószone siwizną włosy dodawały powagi jego wyrazistej twarzy o klasycznych rysach. Po przeprowadzce na ranczo przez pewien czas inwestował jeszcze na giełdzie, a że zawsze miał nosa do trafnych decyzji, dodatkowo pomnożył swój majątek. W końcu uznał, że wystarczy tego dobrego, i oddał się innym przyjemnościom.

Rokrocznie dla Connora i jego trzech siostr oraz ich rodzin organizował wielkanocne wakacje. Czasami bywał jednak roztargniony. Pewnego roku rezerwacje w hotelu skończyły się na trzy dni przed ich zaplanowanym wyjazdem. Innym razem musieli prosić o dostawki, bo zamiast sześciu pokoi zarezerwował tylko trzy.

Co roku w lecie Connor jeździł z Michele odwiedzić ojca na jego ranczo. Z tej okazji Loren przygotowywał wiadro domowych lodów truskawkowych i nakłaniał ich, by zagrali z nim w krokieta. Przeważnie podczas wspólnej kolacji rozmowa niezmiennie schodziła na kwestię sterty papierów piętrzących się w gabinecie gospodarza.

- Mógłbyś zatrudnić kogoś do sprzątania, tato - sugerował nieraz Connor. - Nie możesz tak mieszkać.



Odpowiedź zawsze była taka sama:

- Mnie ten bałagan nie przeszkadza. Dobrze wiem, gdzie co mam.

Wychodził z niego wtedy typowy pilot mający wszystko pod kontrolą i przekonany o własnej nieomyślności. W końcu codzienne przewożenie setek ludzi na wysokości kilku kilometrów wymagało pewności siebie. Connor dobrze go rozumiał. Był taki sam jak on. Jednak nie mógł się nadziwić, że człowiek z pozoru tak mało zorganizowany mógł kiedyś pilotować samoloty pasażerskie. Nie zmieniło to faktu, że Connor odnosił się do ojca z największym szacunkiem, a wizyty na ranczo upływały w przyjemnej atmosferze.

Gdy zatem pojawiła się możliwość kupna lokalnego lotniska za rozsądną cenę, Connor postanowił wykorzystać dwudniowy urlop, by pojechać do Cambrii i porozmawiać z ojcem o swoich zamiarach. Był dobrej myśli. Cóż bowiem znaczyło sto tysięcy dla kogoś tak zamożnego jak Loren, tym bardziej, że jego ojciec zawsze był człowiekiem szczodrym, chętnie wspomagał finansowo organizacje dobroczynne i rozmaite fundusze stypendialne. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej? W owym czasie mama Connora już nie żyła, a ojciec miał za sobą pierwszy zawał. Podczas pobytu w szpitalu sam powiedział, że cały swój majątek zapisze dzieciom.

Connor nie chciał od razu przechodzić do sedna sprawy. Przez pierwsze pół godziny, siedząc na werandzie, z której rozciągał się przepiękny widok na porośnięte dębowym lasem wzgórze, gawędzili o wszystkim i o niczym. Dopiero gdy rozmowa zeszała na temat jego przedłużającego się pobytu w Los Angeles, uznał, że nadszedł odpowiedni moment.

- Tato, nie wspominałem o tym wcześniej, ale poważnie zastanawiam się nad odejściem z pracy w lotnictwie komunikacyjnym.

Ojciec spojrzał na niego, nic nie mówiąc. Zmarszczki na jego czole pogłębiły się, a twarz przybrała kamienny wyraz.

Przełamując wewnętrzne opory, Connor opowiedział mu o planach związanych z kupnem lotniska:

- To miejsce mogłoby obsługiwać dwa razy więcej samolotów niż teraz. Przy odpowiedniej reklamie w ciągu dwóch lat zyski mogłyby wzrosnąć nawet dwukrotnie.

Gdy skończył, zapadła na chwilę niezręczna cisza.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że zawsze trzeba kończyć to, co się zaczęło. Teraz pracuj, zarabiaj i inwestuj z głową. Na hobby takie jak prowadzenie lotniska jeszcze przyjdzie pora.

- Tato - Connor czuł narastające między nimi napięcie. - Jestem już dorosły i jeśli uznam, że powinienem zmienić fach, zrobię to.

- W porządku - odparł ojciec z niewzruszonym wyrazem twarzy. - Co tu w takim razie robisz?

Connor miał nieodparte wrażenie, że kontynuowanie rozmowy nie ma większego sensu, ale mimo to brnął dalej. W takiej chwili tylko otwarte postawienie sprawy mogło przynieść jakiś skutek.

- Chciałbym prosić cię o pożyczkę, tato. A może rozważyłbyś możliwość zostania moim współnikiem? Moglibyśmy razem wejść w ten interes?

Ojciec najpierw zmierzył go wzrokiem, a potem zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Nie mówisz tego poważnie?

Connor czuł, że policzki mu płoną.

- Mówię najzupełniej poważnie. Potrzebuję tych pieniędzy, tato. Już zdecydowałem. W pracy przerzucili mnie na drugi koniec kraju, z dala od Michele, a całe to dochodzenie prowadzone przez FAA... - Connor urwał w pół zdania.

Widział, jak oczy ojca zwięzają się. Dostrzegł w nich gniew i dezaprobatę.

- Jakie dochodzenie?

Connor przedstawił pokrótce swoją wersję wydarzeń, mimowolnie starając się ukazać siebie w jak najbardziej korzystnym świetle. Skończył słowami:

- Właśnie dlatego chcę to rzucić. Ta robota nie jest tego warta. Michele i ja na okrągło się kłócimy, a własne córki prawie już mnie nie poznają. Muszę wrócić na Florydę.

Musisz przestrzegać pewnych zasad - oznajmił kategorycznie ojciec, wymownie potrząsając głową. Zabrzmiało to co najmniej tak, jak gdyby Connor z rykiem silników przeleciał tuż nad wieżą kontrolną lub z pasażerami na pokładzie wykonał odwróconą pętlę nad lotniskiem. - Zawsze miałeś z tym kłopoty, synu. Wydaje ci się, że liczy się tylko twoje zdanie. - Ojciec zrobił krótką pauzę, po czym dodał: - Nie zrywaj z lataniem, bo jeszcze za nim zatęsknisz.

Nadzieje na pomoc ze strony ojca rozwiały się jak chmury o poranku nad Phoenix w Arizonie. Choć jeszcze przez ponad godzinę dyskutowali często na pograniczu awantury - na temat prośby o pożyczkę i odmowy, z jaką się spotkała, ojciec do końca pozostał nieprzejednany.

Na odchodne Connor rzucił mu w twarz:

- Skoro ty nie chcesz mi pomóc, nie oczekuj, że ja będę nazywać cię ojcem.

Loren podniósł się z krzesła, by odprowadzić go do drzwi. Nie zamierzał ustąpić, ale słowa Connora i sposób, w jaki je wypowiedział, wyraźnie go zmartwiły.

- Nie zachowuj się jak dziecko.

Słuchaj... - Connor obrócił się gwałtownie i spojrzał ojcu prosto w oczy. Jego serce wypełniał gniew będący zarówno skutkiem zawiedzionych oczekiwań, jak i braku ojcowskiej miłości. Gniew, który narastał w nim przez wiele lat, musiał teraz znaleźć ujście. - Od zawsze zastanawiałem się, co ty tak naprawdę o mnie sądzisz - syknął wściekle, nie mogąc się opanować. - Teraz już wiem. Uważasz, że jestem nadmiernie pewny siebie, arogancki i nieodpowiedzialny. - Gdy to mówił, na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech. - Wiesz co? Dopóki nie zmienisz zdania, nie znamy się.

To powiedziawszy, ruszył w stronę drzwi. Gdy chwycił za klamkę, obrócił się raz jeszcze i lodowatym tonem powiedział:

- Teraz twój ruch.

Miał nadzieję, że ojciec wyciągnie do niego rękę i, łapiąc go za ramię, powie mu, żeby się nie wygłupiał, że to nieporozumienie, a potem zaproponuje mu, by usiedli przy stole i już bez zbędnych emocji obgadali sprawę pożyczki albo przynajmniej porozmawiali o ich wzajemnych relacjach. Później, analizując wielokrotnie tę sytuację, Connor nabrał przekonania, że wcale nie chodziło o pieniądze. W każdym razie jemu.

Tak naprawdę szukał u ojca akceptacji. Lotnisko i pożyczka na jego zakup były tylko pretekstem. Niestety, nieugięta postawa ojca i jego oschłe słowa sprawiły, że Connor poczuł się głęboko dotknięty i uznał, że tamtego dnia łącząca ich więź definitywnie uległa zerwaniu.

Po tej konfrontacji Connor czuł się jak porzucone dziecko. Miał mętlik w głowie i zupełnie nie wiedział, co teraz ma zrobić. Miał ochotę rzucić wszystko i zacząć żyć od nowa. Latanie nie dawało już mu satysfakcji, z dnia na dzień stracił ojca i nie układało mu się w małżeństwie.

O ile Connor nadal kochał żonę, choć może już nie tak mocno jak dawniej, o tyle ona całkowicie przestała się nim interesować. Utrata ukochanej matki i frustracja związana z jego przymusowym przeniesieniem do Los Angeles spowodowały u niej nawrót depresji. Widywali się tylko kilka razy w miesiącu i Connor zaczął obawiać się, że ich miłość już nigdy nie powróci. Zniknęła gdzieś Michele patrząca mu w oczy i wsłuchująca się w głos jego serca, jej spojrzenie stało się nieobecne, obce. Często zdarzało się, że ledwie wszedł do domu, zaraz przynosiła mu zapłakaną Susan, mówiąc: „Przewiń Ją. Ja się kładę”. Po czym bez słowa obracała się na pięcie i zniknęła za drzwiami sypialni. Więż między nimi osłabła i Connor coraz mniej chętnie wracał do domu.

Wszystkie jego problemy znalazły swoją kulminację w pewien sierpniowy czwartek w 1996 roku. Connor przyleciał do Honolulu w środę i nazajutrz rano po dobrze przespanej nocy - wymeldował się z hotelu. Odlot do Los Angeles miał nastąpić tuż po drugiej po południu, ale ze względu na porywisty wiatr opóźniono go najpierw o godzinę, a potem o dwie. Wkrótce wiatr osiągnął siłę huraganu i pod wieczór port lotniczy w Honolulu zamknięto do odwołania.

Pilotom, stewardesom i pasażerom pozostało jedynie cierpliwie czekać na poprawę pogody. W ciągu niespełna godziny we wszystkich hotelach zabrakło miejsc. Ludziom nie przeszkadzało, że będą nocować z nieznajomymi. Ci, którym się nie poszczęściło, spali na hotelowych korytarzach lub koczowali na lotnisku, na ławkach i podłodze, obstawieni torbami, walizkami i plecakami.

Connor po raz pierwszy zobaczył Kiahnę w czwartek po południu, gdy huragan Henry nie miał jeszcze imienia. Zwrócił na nią uwagę, bo miała w sobie coś z Michele. Uśmiechała się tak jak ona, w podobny sposób unosiła brwi, a w jej oczach dostrzegał ten sam blask. W spojrzeniu Kiahny nie zauważył nachalnej kokieterii charakteryzującej większość stewardes. Było w nim coś głębszego, niedająca się łatwo zdefiniować wrażliwość.

Była bardzo ładna - miała ciemną karnację i wyjątkowo piękne, zielone oczy. Z początku nie był nią zainteresowany, raczej zaintrygowany. Siedzieli przy sąsiednich stolikach, wystarczająco blisko, by zorientował się, że zamówiła to samo, co on. Gdy kelner odszedł na zaplecze, ich spojrzenia spotkały się. „A cóż mi szkodzi?” - przeszło mu przez myśl. Czasu miał teraz pod dostatkiem. Poza tym, chciał przekonać się, jak daleko sięga jej podobieństwo do Michele. Jak pomyślał, tak zrobił.

- Pani też czeka?

- Tak - uśmiechnęła się, ale w jej oczach było coś smutnego. - Mój lot ma opóźnienie. Sądząc po tym, co widać za oknem, pewnie nigdzie dzisiaj nie polecimy.

Oparła się wygodnie na krzesło i przyglądała mu się z zaciekawieniem.

- Pan pewnie jest pilotem? - zapytała.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Przylecieliśmy wczoraj i dziś wczesnym popołudniem mieliśmy wracać. Może uda się za dwie godziny.

- Wątpię - odparła. - O ile się znam na tutejszej pogodzie, raczej bym na to nie liczyła.

W miarę upływu czasu rozmawiało im się coraz lepiej. Gdy okazało się, że Kiahna mieszka w Honolulu,

Connor zaczął wypytywać ją, jak się żyje na wyspie. Potem ona zapytała go o jego linie lotnicze. Zanim kelner przyniósł zamówione potrawy, siedzieli już przy jednym stoliku. Nie wiadomo kiedy Connor zaczął opowiadać jej o swoich planach związanych z zakupem lotniska. Gdy skończyli jeść, dziewczyna oparła łokcie o brzeg stołu i splotła palce.

- Wie pan, co mi się w panu podoba?

Zaskoczył go jej bezpretensjonalny sposób wyrażania myśli. Tak bardzo przypominała mu Michele, w której się zakochał.

- Co takiego?

- Jest pan człowiekiem czynu. To widać na pierwszy rzut oka. Należy pan do tych, którzy, gdy sobie coś postanowią, dążą do tego wytrwale i zawsze znajdują sposób, by to osiągnąć.

\* \* \*

Próbując zrozumieć motywy swojego postępowania, Connor tysiące razy odtwarzał w myślach tę scenę i za każdym razem dochodził do wniosku, że właśnie te słowa Kiahny były kroplą, która przepełniła czarę. W owym czasie Michele bezustannie wypominała mu brak zaangażowania. Zarzucała mu, że nic nie robi w sprawie powrotu na Florydę, że nie pomaga jej w wychowywaniu córek, że w ogóle się nią nie interesuje, podczas gdy ona jest sama i nieszczęśliwa. A tymczasem ta dopiero co spotkana dziewczyna ujrzała w nim to, czego Michele nie potrafiła albo nie chciała już dostrzec, że był człowiekiem czynu.

Pozostałe wspomnienia z tej nocy były jak namalowany węglem obrazek z ostrzegawczymi akcentami żółci i czerwieni. Przecież próbował od niej uciec, prawda? jednak w hotelach, pensjonatach, a nawet w sali pilotów nie było już miejsca. Co najmniej trzy razy próbował powiedzieć jej, że jest żonaty. Chciał znaleźć drogę ucieczki, ale okoliczności sprzysięgły się przeciw niemu. To było silniejsze od niego. Jego przekonania moralne i religijne okazały się zbyt słabe w konfrontacji z pojawiającą się pokusą. Słowa Kiahny zaważyły na jego postępowaniu.

Kilka tygodni później komisja dyscyplinarna FAA wydała korzystne dla niego orzeczenie. Upomniano go tylko, by w przyszłości stosował się ściśle do poleceń kontrolera lotów. Pilotowanie samolotów znowu zaczęło sprawiać mu przyjemność, a Michele otrząsnęła się z depresji. Pod koniec roku przymusowy pobyt służbowy na Zachodnim Wybrzeżu dobiegł końca i Connor wrócił na Florydę. Jednak nie wszystko było już takie jak przedtem. Zerwał kontakty z ojcem, a tajemnicę burzliwej hawajskiej nocy schował w najgłębszym zakamarku serca. Ukrył ją tak starannie, że z czasem nabrał pewności, że Michele nigdy niczego się nie dowie.

\* \* \*

Czyjś głos wyrwał go z zamyślenia. Drugi pilot siedzący w fotelu obok mówił coś do niego niewyraźnie.

Connor odpędził wspomnienia. Rozpamiętywanie przeszłości nie miało sensu. Miał teraz na głowie ważniejsze sprawy. Pilotował samolot pełen ludzi, za których bezpieczeństwo odpowiadał, a gdzieś w Honolulu miał syna, który rozpaczliwie potrzebował domu i ojcowskiej miłości.

Oczywiście mógł zadzwonić do Ogle'a i powiedzieć, że się nie zgadza. W sumie byłoby to bardzo wygodnym wyjściem z sytuacji. Max nigdy nie dowiedziałby się, że jego tato go porzucił, a Michele... nie poznałaby prawdy o pewnej nocy sprzed ośmiu lat.

Connor zmagał się z pokusą, by tak właśnie postąpić. Nie musiałby wtedy wyjawiać żonie, że nie tylko ją

zdradził, ale również, że przez wszystkie te lata nie miał odwagi do tego się przyznać. Westchnął tak głośno, że drugi pilot obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odparł Connor bez chwili wahania. - Wszystko w jak najlepszym porządku.

Było to oczywistym kłamstwem, ale cóż innego mógł odpowiedzieć. Miał mu się zacząć zwierzać? Zdawał sobie sprawę, że swoją decyzją sprawi ból Michele i córkom, że wywróci ich życie do góry nogami, ale nie widział innego rozwiązania. Nienawidził siebie za to, co zamierzał zrobić, ale wiedział też, że na Hawajach mieszka chłopiec, krew z jego krwi, kość z jego kości. Ze względu na niego był gotów rzucić wszystko na szalę.

Niezależnie od reakcji żony i pokrętnych tłumaczeń, które przynajmniej na początku będą zmuszeni zaserwować córkom, odpowiedź na dręczące go wątpliwości była oczywista. Mógł toczyć ze sobą wewnętrzny spór, wyszukiwać najrozmaitsze przeszkody, a nawet zaprzeczać rzeczywistości, ale i tak podświadomie wiedział już, że chłopiec do nich przyjedzie. Mógł wmawiać sobie, że nie chce zranić Michele, ale w głębi serca już podjął decyzję. Nawet jeśli u jej podstaw kryła się tylko ciekawość, czuł, że musi zaryzykować.

Connor miał świadomość, że przyjazd chłopca - zaplanowany jako zaledwie dwutygodniowa próba - niósł ze sobą niebezpieczeństwo pozostawienia trwałych blizn w życiu Michele i dziewczynek, ale stanowił też szansę na przyszłość dla nich wszystkich, może przede wszystkim dla Maxa.

Czuł w gardle dławiący ucisk i zmagął się z nienawiścią do samego siebie, bo zdawał sobie sprawę, że wkrótce zada ból tym, których kochał nad życie. Co gorsza, uczyni to z pełną premedytacją, bo nieoczekiwanie pojawiła się przed nim szansa na posiadanie syna, którego zawsze pragnął.

## ROZDZIAŁ XI

Pomysł ze spotkaniem na plaży wyszedł od Connora. Zadzwoił do niej tuż przed startem do Palm Beach i poprosił, by znalazła na wieczór opiekunkę dla córek.

- Spotkajmy się na plaży, w naszym ulubionym miejscu.

Kończyła właśnie czesać szóstą tego dnia klientkę i jego głos był jak balsam dla jej duszy. Od razu poprawił jej się humor.

- A z jakiej to okazji? - zapytała konspiracyjnym szeptem.

- Po prostu stęskniłem się za tobą. Poza tym muszę ci o czymś powiedzieć.

Jego tajemnicza odpowiedź sprawiła, że przez resztę dnia Michele gubiła się w domysłach. W tonie jego głosu nie było nic, co mogłoby sugerować, że chodzi o coś poważnego, aczkolwiek przemknęło jej przez myśl, że być może zdecydował się w końcu odnowić zerwane kontakty z ojcem. Może ten wypadek, którego niedawno był świadkiem, uzmysłowił mu, że życie nie trwa wiecznie. Przecież dobrze wiedział, że z sercem Lorena jest coraz gorzej.

A może dostał w pracy awans i wkrótce znów będzie latać na trasach międzynarodowych. Wiązałoby się to z dłuższymi pobytami poza domem, ale też z większymi zarobkami. Tylko najlepsi piloci, ze szczytu drabinki starszeństwa mogli liczyć na taki przydział. Kiedyś Connor latał na takich trasach, ale po tej historii z FAA

spadł na sam dół listy i mozolnie odbudowywał swoją pozycję w firmie.

Przekazując opiekunce ostatnie instrukcje i całując Elizabeth i Susan na do widzenia, Michele była niemal pewna, że z tego właśnie powodu do niej zadzwonił. Na bank. Znając Connora, domyślała się, że prawdopodobnie postanowił skonsultować się z nią przed przyjęciem awansu. A może po prostu najzwyczajniej chciał z nią porozmawiać.

Wyjeżdżając na główną drogę, Michele rozmyślała o ich ulubionym miejscu spotkań. Znajdowało się trzy mile na północ od plaży, na którą chodzili z córkami. Uroczą położoną wśród porośniętych trawą wydmy, nie cieszyło się popularnością wśród turystów, bo plaża tam była dość wąska, a w pobliżu nie było żadnych restauracji, barów czy sklepów. Leżała tam za to drewniana kłoda służąca za ławkę. Lubili przynajmniej raz w miesiącu spędzać w tym miejscu parę godzin we dwoje.

Skręciwszy w wąską drogę prowadzącą do samej plaży, Michele poczuła, że serce zaczyna jej bić coraz szybciej. Chciała już zobaczyć się z Connorem, niezależnie od wieści, które dla niej miał. Wprawdzie nie widzieli się tylko jeden dzień, ale pragnęła choć przez chwilę odpocząć w jego towarzystwie, tym bardziej, że ostatnie kilkanaście godzin dało jej się bardzo we znaki. Tylu spóźnionych klientek już dawno nie miała, a podczas robienia trwałej omal nie spaliła włosów pewnej wiecznie niezadowolonej 72-letniej bibliotekarce.

Jakby tego było mało, Elizabeth i Susan przez cały ranek wyklócały się o bluzkę, nawzajem oskarżając się o jej przywłaszczenie. Gdy Michele powiedziała im, że same muszą dojść do porozumienia, rozdarły ją na pół, co skończyło się dla nich karnym odesłaniem do pokojów.

Godzina sam na sam z Connorem - tego dziś potrzebowała. Bardzo lubiła ich rozmowy nad brzegiem oceanu, może nawet bardziej niż on. Dawniej zawsze znajdowali chwilę, by wspólnie się pomodlić przy wtórze szumu fal. Ale nawet bez modlitwy tych lalka godzin spędzonych w ciszy i spokoju pozwalało jej oderwać się od zgiełku codziennego życia, zastanowić się nad sobą i wyciszyć.

Jej serce też potrzebowało odpoczynku, a nikt nie potrafił zadbać o nie lepiej niż Connor. Zaczynał od paru żartobliwych uwag, a potem jak terapeuta wyciągał z niej szczegółowy raport o tym, co przydarzyło jej się ciągu dnia, bezbłędnie odczytując jej stan ducha. Dzieliła się z nim najskrytszymi odczuciami, czy tego chciała, czy nie. I pomyśleć, że zanim się poznali, nie potrzebowała nikogo prócz siebie samej i Boga.

Nie wyobrażała sobie życia bez Connora. Z każdym rokiem kochała go coraz mocniej, w coraz większym stopniu na nim polegała. Nie było to już młodzieńcze zauroczenie z początku ich znajomości. Jej uczucie przerodziło się w coś o wiele głębszego - połączenie miłości, przyjaźni i całkowitego oddania.

Michele bardzo rzadko poddawała się wątpliwościom takim jak te, które naszyły ją pod wpływem historii Renee Wagner. Nie zdręzczała się pytaniami, co by było, gdyby, bowiem w głębi duszy wiedziała, że bez Connora jej życie straciłoby sens. On też to wiedział.

Zatrzymała się na pustym jak zawsze parkingu obok znajomej Toyoty Tundra. W oddali zobaczyła męża. Zwrócony do niej plecami podziwiał bezkres Atlantyku. Przez ułamek sekundy odniosła wrażenie, że rzeczywiście stało się coś złego. Connor wyglądał inaczej niż zwykle. Siedział zgarbiony, jak gdyby przytłaczał go jakiś ciężar. Czym prędzej odpędziła tę myśl. Nie prosiłby ją, żeby tg przyszła, gdyby miał złe wieści do przekazania. A zresztą cóż złego mogło się stać?

Starając się iść jak najciszej, podeszła do niego od tyłu i delikatnie położyła dłonie na jego ramionach.

- Hej...

Powoli obejrzał się, podnosząc na nią wzrok.

- Cześć - jego uśmiech wyglądał na wymuszony. - Dziękuję, że przyszedł.

- Miałam ochotę się przewietrzyć.

- Ciężki dzień?

- Można tak powiedzieć... - Michele obeszła kłodę i usiadła obok niego. - Thelma Lynn jak zwykle nie mogła się zdecydować, jaką chce mieć fryzurę, a Elizabeth i Susan tak się kłóciły o bluzkę, że w końcu ją podarły. Same atrakcje - przekrzywiła głowę, chcąc zajrzeć w jego oczy. - Miałeś dobry pomysł...

Connor przez chwilę patrzył na nią, po czym przeniósł wzrok na ocean. Wydał przy tym z siebie cichy jęk, który - choć ledwie słyszalny w szumie wiatru i fal - poruszył czułą strunę w jej duszy.

- Michele, musimy porozmawiać.

- OK - udała, że nie słyszy jego grobowego tonu. - Zamieniam się w słuch.

Connor zwiesił głowę i prawą dłonią masował kark. Gdy znów na nią spojrzał, wziął głęboki oddech i zapytał:

- Pamiętasz ten tajemniczy telefon sprzed paru dni od adwokata z Hawajów?

- Tak - tym razem to Michele zmusiła się do uśmiechu. - Chcą, żebyś na tydzień pojechał do Honolulu, aby złożyć zeznania w jakiejś sprawie i zamierzasz zabrać mnie ze sobą - zaśmiała się trochę sztywno. - Zgadza się?

- Niestety chodzi o coś zupełnie innego - w jego głosie nie było ani krzty humoru. Ujął jej dłoń, splatając jej palce ze swoimi. Odetchnął głęboko i, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy, pokręcił smutno głową.

- Obawiam się, że muszę powiedzieć ci coś bardzo przykrego. Zanim to zrobię, chciałbym, żebyś wiedziała, że czuję się z tego powodu okropnie.

Michele poczuła, że kręci jej się w głowie. Oparła się ręką o kłodę, na której siedziała, próbując uporządkować rozbiegane myśli. O czym on mówił? Co takiego chciał jej powiedzieć? Niepewnie skinęła głową.

- Coś bardzo przykrego? Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

Connor obrócił się do niej przodem i, ujmując jej rękę w obie dłonie, poważnym tonem powiedział:

- Ten adwokat jest wykonawcą ostatniej woli pewnej kobiety. Nazywała się Kiahna Siefert i była stewardesą. Zginęła kilka dni temu w katastrofie samolotu linii Western Island Air u wybrzeży Hawajów.

Michele miała ochotę zerwać się na równe nogi i uciec. Co takiego mógł chcieć od jej męża adwokat przedstawiający się jako wykonawca testamentu tragicznie zmarłej stewardesy? Czyżby Connor znał tę kobietę? A jeśli tak, to dlaczego nigdy wcześniej o niej nie wspomniał? Czyżby o tym właśnie chciał jej opowiedzieć?

Michele patrzyła na ścieżkę prowadzącą do plaży i zastanawiała się, ile czasu zajęłoby jej dobiegnięcie do wody. Mogłaby rzucić się w fale i płynąć przed siebie, dopóki starczyłoby jej sił, a gdy ponownie popatrzyłaby w stronę plaży, nie dostrzegłaby już na niej Connora. Wtedy okazałoby się, że to tylko sen, i obudziłaby się u jego boku wolna od trosk i zmartwień związanych z osobą adwokata z Honolulu, zmarłą stewardesą i wszystkim, co mogło w najmniejszym choćby stopniu łączyć tę dwójkę z Connorem i z nią. Zamiast tego

mocniej wbiła palce w drewno i zebrała się na odwagę, by zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju.

- Znałeś ją?

- Tak - Connor pokiwał głową, a w jego spojrzeniu pojawił się żal. - Bardzo krótko.

Michele spróbowała uwolnić dłoń z jego uchwytu, ale nie chciał jej puścić. Do targających nią emocji dołączyła złość.

- Mógłbyś wreszcie przejść do sedna sprawy?

- Tak mi przykro... - powiedział, wlepiając wzrok w horyzont. - Adwokat powiedział mi, że Kiahna osierociła siedmioletniego syna - głos mu się załamał. Gdy znów na nią spojrzał, żal w jego oczach jakby jeszcze się pogłębił. Michele pierwszy raz widziała go w takim stanie. Przez chwilę Connor patrzył to na nią, to na ocean, jakby tocząc w sobie jakąś wewnętrzną walkę, aż w końcu wyrzucił z siebie:

- To moje dziecko, Michele. Dowiedziałem się o jego istnieniu dopiero wczoraj.

- Two... twoje dziecko? - zaskoczona kobieta ledwo mogła wydobyć z siebie głos. Gardło miała ściśnięte. Czowała, że robi jej się słabo. Mroczki zaczęły jej latać przed oczami. Wyrwała dłoń z jego uścisku i złapała się za brzuch.

Jeśli Connor był ojcem tego dziecka, to znaczy, że... miał kiedyś romans. Zdradził ją z inną kobietą i nigdy się do tego nie przyznał. A ona, głupia, przez wszystkie te lata żyła złudzeniem, że wszystko między nimi układa się doskonale. Poczuła ból w piersi i zrozumiała, że w tej właśnie chwili coś w niej umarło. Jakaś jej część, dla której wiadomość o zdradzie okazała się ciosem nie do zniesienia.

Gdzie popełniła błąd? Gorączkowo próbowała znaleźć wytłumaczenie. Skoro ten chłopiec miał teraz siedem lat, Connor zdradził ją.... osiem lat temu? Zaraz, zaraz... To było wtedy, gdy borykała się z depresją po śmierci mamy. Przecież nie była temu winna. Nie mogła nic na to poradzić. Poza tym była wtedy w ciąży z Susan. Ach, może to dlatego przestał się nią interesować i poszukał sobie innej? Do niczego się nie nadawała, nie była dla niego wystarczająco szczupła. Tak, na pewno to było powodem.

- To przez moją nadwagę, tak? Byłam za gruba?

- Nie! - zaprotestował, a w jego spojrzeniu zdumienie mieszało się z rozpaczą. - Oczywiście, że nie. Skąd ci to przyszło do głowy? - oparł ręce na kolanach i gapił się w trawę. - To była jednorazowa przygoda, Michele, przysięgam. Huragan uziemił nas w Honolulu i...

Te słowa pozbawiły ją resztek złudzeń i uzmysłowiły że to wszystko prawda. Connor zdradził ją z jakąś stewardesą. Zamknęła oczy i w desperacji zaczęła się modlić.

„Boże... czuję się, jakbym zaraz miała umrzeć. Nie mogę oddychać... Pomóż mi”. „Córko, jestem przy tobie... Nie opuszczę cię ani nie pozostawię. Nigdy...”.

Wyprostowała się. Skąd dochodził ten głos? Był to ledwie słyszalny szept, chociaż nie..., raczej delikatne tchnienie w głębi jej duszy. Wierzyła w Boga, ale nigdy wcześniej nie doznała czegoś takiego. Jakby sam Bóg do niej przemówił.

Nie opuszczę cię ani nie pozostawię? Czy już kiedyś nie natrafiła na te słowa w Biblii? Myśl ta dodała jej sił. Otworzyła oczy i ponownie zastano wiła się nad tym, co przed chwilą powiedział jej Connor.

W oddali jakaś para spacerowała wzdłuż plaży. Trzymali się za ręce i o czymś rozmawiali. Michele obróciła się do męża i przyglądała mu się uważnie. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach i przez szczeliny między



palcami patrzył w ziemię.

Michele zacisnęła zęby w niemej złości. Nienawidziła go za to, co zrobił jej, a zresztą nie tylko jej - im obojgu. Jak śmiał przyprowadzić ją tutaj, by wyznać jej coś takiego? Choć miała ochotę spoliczkować go, wydrzeć się na niego i uciec gdzieś daleko, mogła jedynie siedzieć w bezruchu, wsłuchując się w bicie swego serca. Ciemne kropki tańczyły jej przed oczami i tylko siłą woli zmuszała się, by nie zemdleć.

Wydało jej się dziwne, że w takiej chwili potrafiła tylko patrzeć na Connora. Nie potrafiła zdobyć się ani na krzyk, ani na histeryczny śmiech, ani nawet zwykły płacz. Pomyślała sobie, że na to zapewne przyjdzie czas później. Teraz mogła rozmyślać jedynie o swoim roztrzaskanym na drobne kawałki życiu.

- Jak mogłeś? - jęknęła.

- Tamtego lata wszystko stało na głowie, Michele... Nie chciałem, żeby tak się stało... - powiedział cicho Connor, nie podnosząc na nią wzroku.

Powstrzymała się przed zatkanie sobie uszu i powiedzeniem mu, co o nim myśli. Postanowiła zapanować nad emocjami i jeszcze raz, na zimno przeanalizować sytuację. Chłopiec miał siedem lat, a zatem do zdrady doszło w 1996 roku, wtedy gdy Connor pracował w Los Angeles, a ich małżeństwo przeżywało kryzys. Do tej pory zawsze wydawało jej się, że to dzięki niej Connor zdołał wtedy wziąć się w garść i porzucić myśli o rezygnacji z kariery w lotnictwie, które były wynikiem toczącego się wówczas przeciw niemu postępowania dyscyplinarnego. Do tej pory była tego niemal pewna, teraz tę pewność straciła.

- Connor... - Nie miała siły, by wysłuchać odpowiedzi na wszystkie pytania, które cisnęły jej się na usta, ale czuła, że za wszelką cenę musi poznać pound, dla którego zdrada jej męża wyszła na jaw dopiero teraz. - Co jeszcze powiedział ci ten adwokat?

Connor powoli się wyprostował. Ten zazwyczaj pewny siebie, momentami wręcz zadufany w sobie mężczyzna, świetnie radzący sobie w życiu, po raz pierwszy sprawiał wrażenie pokonanego. Był blady i przygarbiony, a zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się, tak jakby na skutek ujawnienia głęboko krywanej tajemnicy w ciągu kilku minut postarzał się o dziesięć lat.

Nie od razu odpowiedział na jej pytanie. Najpierw spojrzął w niebo, zacisnął dłonie w pięści i przyłożył je do policzków. Następnie westchnął głęboko i skurczył się jakby jeszcze bardziej. W końcu wydusił z siebie:

- Matka chłopca poprosiła go, by w razie jej śmierci postarał się ze mną skontaktować..

- Po co? - Zdziwiła się Michale, wciąż nie mogąc zrozumieć, jak ta kobieta w ogóle śmiała domagać się, by Connor spotkał się z jej synem po tylu latach. - Skąd takie życzenie?

- Chciała, żeby Max spędził ze mną dwa tygodnie. To znaczy... z nami. Chłopiec nie wie, że jestem jego ojcem. W ten sposób moglibyśmy poznać się bliżej i... - Connor przygryzł wargę. - Jeśli wszystko dobrze się ułoży, może mógłby tu przyjechać.

- Tutaj? Do nas? - Michele poderwała się.

- Tak.

- Mam nadzieję, że odmówiłeś. Nie możemy na to się zgodzić. Ani ja, ani ty, ani dziewczyny. Powiedz mi, że odmówiłeś.

Connor spojrzął na nią błagalnie. To wystarczyło, by Michele zrozumiała. Nie dość, że jej mąż dopuścił się zdrady, to jeszcze chciał, żeby owoc tej zdrady stał się częścią ich rodziny. To było nie do pomyślenia! Po

prostu nie mieściło jej się w głowie!

Bez słowa obróciła się na pięcie i szybkim krokiem ruszyła w stronę plaży.

- Michele! - zawołał za nią słabym głosem, ale ona nawet się nie obejrzała. Zeszła po drewnianych schodach, skręciła w prawo i pobiegła przed siebie. Biegła, ile sił w nogach, byle dalej od niego. Za trzymała się dopiero po kilkuset metrach, gdy już dawno jego sylwetka zniknęła za drzewami. Upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, padła na kolana, dając upust swojemu cierpieniu.

Jak on mógł? Jak mógł równocześnie zadać jej dwa druzgocące ciosy? Wiadomość, że przed paroma laty przespał się z inną kobietą, sama w sobie wystarczyłaby, żeby zwalić ją z nóg. Jednak pomysł ze sprowadzeniem do ich domu dziecka tamtej kobiety przechodził wszelkie wyobrażenie. W najczarniejszych snach nie przypuszczała, że kiedykolwiek znajdzie się w takiej sytuacji. Jak w ogóle Connor mógł rozważać taką możliwość? Chyba oszalał. Co o tym pomyślą ich córki? Tatusz miał kiedyś przyjaciółkę, a teraz jej synek z nimi zamieszka. Zanim skończą podstawówkę, wszystkiego się domyślą. Wtedy znieawidzą ojca za jego wiarołomność i za to, że przez wszystkie te lata zabierał je do kościoła, podczas gdy sam żył w kłamstwie.

Michele straciła poczucie czasu. Oceaniczna bryza rozwiewała jej włosy i osuszała łzy spływające po policzkach. Z każdą mijającą minutą ból, który przeszywał jej duszę i ciało, nasilał się coraz bardziej. Connor postawił ją w sytuacji bez wyjścia, nie pozostawił jej żadnej możliwości wyboru. Nawet nie zapytał ją o zdanie. Po prostu zakomunikował jej, co zamierza zrobić.

Pewnie mógłby spokojnie utrzymywać swój romans w tajemnicy przez kolejne lata, a nawet zabrać ten sekret ze sobą do grobu. Ona zaś żyłaby w nieświadomości, niczego nawet nie podejrzewając. Był tylko jeden powód, dla którego przyznał się do wszystkiego. Zawsze pragnął mieć syna. Chciał syna, którego ona nigdy mu nie dała.

- Boże, dlaczego? - z jej piersi wyrwał się rozpaczliwy krzyk. - Dlaczego mu nie wystarczałyśmy?

Nie miała wątpliwości, że mąż zrobi wszystko, by wymusić na niej zgodę na przyjazd chłopca. Czy mogła coś na to poradzić? Jeśli się sprzeciwi, Connor ją znieawidzi, ale i tak postawi na swoim. Z drugiej strony wiedziała, że obecność chłopca, żywego dowodu zdrady Connora, prędzej czy później doprowadzi ją do szału. I tak źle, i tak niedobrze. Okrutna prawda płonęła w niej żywym ogniem.

W końcu powzięła decyzję. Nieważne jak to się skończy, chłopiec musi do nich przyjechać. Gdyby pozbawiła Connora szansy na zobaczenie się z synem, wypominałby jej to do końca życia. A gdy już do nich przyjedzie...

Wstała, otrzepała się z piasku i chwiejnym krokiem wróciła do miejsca, w którym zostawiła Connora. Wciąż żyła, ale wewnątrz była martwa. Connor nadal siedział na kłodzie, nieruchomy jak posąg. Przystanąła kilka metrów od niego, na tyle blisko, by dobrze ją słyszał i powiedziała:

- Przywieź go tutaj, Connor.

Płomyk nadziei, który dostrzegła w jego oczach, zgasł równie szybko, jak się pojawił, ale i tak wydał jej się obrzydliwy.

- Michele... - Connor otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie dała mu dokończyć.

- Mówię poważnie. Przywieź go.

Przez dłuższą chwilę Connor patrzył na nią w milczeniu.

- Jesteś tego pewna?

- Tak. Niech tu przyjedzie na te dwa tygodnie... - wydawało jej się, że ma inny, nieprzyjemny głos. Nie potrafiła jednak określić, na czym polegała ta zmiana. - Powiemy dziewczynom, że to syn twojej znajomej z pracy.

W obawie, że mogłaby zmienić zdanie, nie czekała na reakcję ze strony męża. Obróciła się i poszła do samochodu. Wyjeżdżając z parkingu, widziała, że Connor wciąż siedzi w takiej samej pozycji, wpatrując się w dal. Nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia. Niech przemyśli w samotności swoje postępowanie. W końcu był gotowy zrujnować wszystko, co razem zbudowali, dla jakiegoś chłopca, którego nawet nigdy nie widział.

Mniej więcej w połowie drogi do domu Michele udało się częściowo zdefiniować tę dziwną zmianę, którą usłyszała w swoim głosie, w którym do tej pory - zawsze, gdy Connor był przy niej - pobrzmiewały radość i nadzieja. Teraz był chłodny i mechaniczny. Na samą myśl o tym, że wkrótce będzie zmuszona patrzeć na chłopca, w którego twarzy zobaczy rysy tamtej kobiety, robiło jej się niedobrze.

- Boże... nie potrafię - szepnęła do siebie.

Tym razem jej słowa pozostały bez odpowiedzi.

W jej wnętrzu nie pojawiła się żadna uspokajająca myśl. Wręcz przeciwnie, nagle przypomniała sobie, gdzie wcześniej słyszała taki głos. Było to dawno temu, w pewien lipcowy poranek. Mama zadzwoniła wtedy do niej z wiadomością, że źle się czuje.

- Kochanie, chyba potrzebuję lekarza...

Pomimo upływu lat, Michele dokładnie pamiętała jej słowa. Teraz to jej głos tak brzmiał. Słysząc w nim było lęk, przerażenie i rozpacz. Był to głos umierającej kobiety.

## ROZDZIAŁ XII

Connor zatelefonował do Ogle'a z tego samego zacisznego miejsca w hali odlotów, z którego dzwonił do niego poprzednim razem. Nie zastał go w biurze, ale zostawił mu wiadomość z prośbą o jak najszybszy kontakt telefoniczny.

Miał jeszcze ponad godzinę do startu i nic do roboty. Usiadł wygodnie na krześle, ściskając w dłoni telefon komórkowy, i rozmyślał o swoim życiu, które w ciągu niespełna dwunastu godzin z idylli przeobraziło się w koszmar.

Przez cały ranek Michele ograniczała ich wzajemne rozmowy do minimum. Mógł od niej usłyszeć co najwyżej zdawkowe: „Możesz mi podać sól?” lub „Daj rzeczy do prania”. Przedpołudniowe godziny spędzili na robieniu porządków w pomieszczeniu gospodarczym. O zapowiadającym od dawna wspólnym czytaniu Pisma Świętego można było zapomnieć. Dziewczynki bezbłędnie zorientowały się, że coś jest nie tak między rodzicami.

- Co się stało mamie? - kilkakrotnie pytała go Susan.

- Czy ty i mama pokłóciliście się? - niepokoila się Elizabeth.

Starał się uspokajać ich obawy tłumacząc im, że mama i tato mają po prostu dużo spraw na głowie i wcale

się nie kłóć. Zresztą było to prawdą. Michele nie szukała okazji do sprzeczki. Nie wypytywała o Kiahnę, o to, jak ją spotkał, ani też co znaczyła dla niego ta znajomość. Wyglądało to tak, jakby wolała raczej pozwolić ich małżeństwu umrzeć nagłą śmiercią, niż poznać szczegóły owej sierpniowej nocy i wyrzyczyć mu w twarz, co o tym sądzi.

Connor mocniej ścisnął w dłoni telefon. Wiedział, że niezależnie od tego, jak to się wszystko dalej potoczy, nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Michele w chwili, gdy przyznał się do romansu. Tyle razy podkreślała, że ufa mu bezgranicznie, a gdy nie tak dawno rozmawiali o rozpadzie małżeństwa Renee, z pełnym przekonaniem twierdziła, że im nigdy nie mogłoby się to przydarzyć.

Dopiero wtedy, na plaży, przekonał się, jak bardzo w niego wierzyła. Z rosnącym przerażeniem patrzył, jak powoli docierają do niej fakty i układają się w bolesną całość. Widząc zwątpienie w jej oczach, chciał paść na kolana i odpokutować swoją winę. Oczywiście nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie zamierzał bowiem pędzić z tym problemem do kościoła i zawracać głowę pastorowi. W końcu zdarzyło się to osiem lat temu. Od tego czasu był wzorowym mężem i ojcem - wiernym, uczciwym, troskliwym. Nawet teraz - pomimo traumy spowodowanej jego wyznaniem - nie było między nimi żadnych innych problemów czy konfliktów. Owszem, mocno zranił serce Michele, ale miał nadzieję, że z czasem, gdy uda jej się oddzielić przeszłość od terażniejszości, żona przebaczy mu zdradę, do której doszło tak dawno temu.

Szukanie pomocy w poradni małżeńskiej byłoby w tej chwili stratą czasu. Dopiero gdy Michele znów nauczy się mu ufać, przyjdzie na to pora.

Był na siebie wściekły, że doprowadził Michele do takiego stanu i przysporzył trosk córkom, ale to nie była jego wina, że doszło do tego romansu. Nie zaplanował go sobie. To był przypadek. Niechciany skutek kumulującego się przez długi czas napięcia emocjonalnego. Nigdy nie kochał Kiahny. Nie miał nawet takiego zamiaru. Takie rzeczy po prostu się zdarzają. Tak, dokonał złego wyboru, ale to było dawno temu. Zbyt dawno, by Michele mogła zwątpić w niego teraz.

A jednak tak się stało. Było to widać aż nazbyt wyraźnie. W oczach żony malowało się zwątpienie, a przecież jeszcze parę dni temu dostrzegał w nich jedynie szczęście i miłość.

Nagle telefon zawibrował mu w ręce. Jednym ruchem otworzył klapkę i wysunął antenkę.

- Halo?

- Pan Evans? Mówi Marv Ogle, adwokat z Honolulu.

- Poznaję. Panie Ogle... - Connor wziął głęboki oddech - podjęliśmy z żoną decyzję w sprawie synka Kiahny - zrobił pauzę, wiedząc, że po kolejnym zdaniu nie będzie już odwrotu. - Chcielibyśmy, żeby Max przyjechał do nas na dwa tygodnie, tak jak tego życzyła sobie jego matka.

- Świetnie - powiedział z ulgą w głosie adwokat. - Dzisiaj mamy wtorek. Kiedy chcecie państwo, żeby przyjechał?

Connor miał już gotową odpowiedź, choć nie konsultował jej z Michele. Gdy poprzedniego wieczora chciał z nią omówić tę kwestię, tylko wzruszyła ramionami i, potrząsając głową, powiedziała:

- To twoja sprawa, Connor. Rób, jak uważasz.

Zacisnął zęby, przesunął się na brzeg krzesła i zapytał:

- Może być piątek wieczorem?

- Piątek wieczorem... - W słuchawce słychać było szelest przewracanych kartek. - Bardzo dobrze, nie powinno być problemów.

- Czy możemy... porozmawiać o tym, jak to powinniśmy rozegrać? Jak mamy mu wyjaśnić tę sytuację?

- Oczywiście. Kiahna zakładała, że nie będzie pan chciał powiedzieć chłopcu, że jest pan jego ojcem. W każdym razie nie od razu.

- Zgadza się... - Connor czuł, jak serce bije mu coraz szybciej. To naprawdę miało się zdarzyć. Za kilka dni po raz pierwszy spotka się ze swoim synem, stawi czoło grzechom przeszłości. - Co pan mu powie? - zapytał zawstydzony.

- Dokładnie to, co Kiahna napisała w liście do chłopca, że byliście przyjaciółmi i że jego mamie bardzo zależało na tym, by Max spędził z panem kilka tygodni.

- Dobrze... - Connor nerwowo przełknął ślinę. Dłonie miał wilgotne, a lista pytań, które sobie przygotował, nagle wyleciała mu z głowy.

- Max wie, że ma tatę, panie Evans. Kiahna napisała mu w liście, że być może kiedyś odnajdzie swojego biologicznego ojca i nawiąże z nim bliski kontakt, chociaż zaznaczyła też, że nie musi tak się stać. Tak czy owak, chłopiec wierzy, że ma ojca w Bogu. - Ogle przez chwilę milczał. - Wiara odgrywa bardzo ważną rolę w życiu Maxa.

Wiara? Na dźwięk tego słowa Connor poczuł ogarniające go poczucie winy. Uważał się za człowieka wierzącego. Ale od 1996 roku jego relacje z Bogiem ograniczały się do sporadycznego udziału we mszy świętej oraz pustych zapowiedzi o chęci powrotu do codziennej modlitwy i czytania Biblii. Brak czasu stał się dobrą wymówką. Nie było co się oszukiwać - jego życie religijne uległo znacznemu osłabieniu i przestał dbać o łączność z Panem.

Jednak Max najwyraźniej był głęboko wierzącym dzieckiem.

- Co... co jeszcze powinienem wiedzieć? - Connor grał na zwłokę, starając się zebrać myśli.

- Lubi zimną coca-colę, zwłaszcza z puszki. Uwielbia bitą śmietanę i naleśniki z jagodami. Boi się burzy. Lubi zwierzęta i drzewa, bo - jak mówi - wskazują niebo. Gra w bejsbol i bardzo szybko biega, a jego ulubioną piosenką jest Jana Alayra.

- Jana Alayra?

- Ona nagrywa płyty z religijnymi piosenkami dla dzieci. Max lubi ich słuchać i śpiewa wtedy na całe gardło.

- A więc lubi też śpiewać?

- Lubi, ale nie umie... - zaśmiał się Ogle. - Raczej nie ma słuchu muzycznego. Niemniej wygląda przeuroczo, gdy śpiewa. Trzeba to zobaczyć.

Connor doznał nagłego olśnienia. Marv Ogle musiał kochać syna Kiahny jak własne dziecko. Wcześniej go o to nie zapytał, ale uznał, że trzeba to zrobić, zanim chłopiec do nich przyjedzie.

- Panie Ogle, czy nie zastanawiali się państwo nad adoptowaniem Maxa?

Długa chwila ciszy wywołana tym pytaniem napełniła Connora irracjonalnym lękiem.

- Drogi panie, znamy Maxa od dnia narodzin, jednak mamy już swoje lata i nadajemy się bardziej na babcię i dziadka niż na rodziców tak aktywnego dziecka jak Max. Nie miałby z nas wielkiego pożytku. To samo tyczy

się Ramey.

- Ramey. To ta opiekunka?

- Tak. Ramey bardzo chętnie by go przygarnęła, ale lekarze dają jej nie więcej niż dwa lata życia. Ciężka choroba serca, i nie tylko. Opieka nad Maxem byłaby dla niej zadaniem ponad siły. Poza tym nie wiadomo, jak chłopiec przeżyłby utratę kolejnej bliskiej osoby w tak krótkim czasie.

- Rozumiem - odparł Connor. A więc tak sprawy wyglądały. Był dla chłopca poniekąd jedyną nadzieją. Czy jednak potrafił udźwignąć ten ciężar?

- Coś jeszcze?

- Hmm... - Adwokat zastanawiał się przez chwilę. - A tak, z tego wszystkiego zapomniałbym o Buddym. Max ma psa - żółtego labradora o imieniu Buddy, który jest jego najlepszym przyjacielem. Już przed śmiercią Kiahny byli nierozłączni, a teraz pies nie odstępował go nawet na krok.

- To znaczy...

- To znaczy, że... Czy przeszkadzałoby panu, gdyby chłopiec wziął ze sobą Buddy'ego? To jest bardzo mądry i dobrze ułożony pies. W ciepłe dni może cały czas przebywać w ogrodzie. Maxowi bardzo pomogłaby jego obecność.

Connor nie miał co do tego wątpliwości, ale podzielał też zdanie Michele, że pies musi się wybiegać. Trzymanie psa, zwłaszcza dużego, w niewielkim ogrodzie przy domu często kończy się nieustannym szczekaniem, które nawet najlepszych sąsiadów potrafi zamienić we wrogów. Poza tym Michele nigdy nie chciała mieć w domu większego zwierzęcia. Za dużo bałaganu i dodatkowych obowiązków. Dziewczynki zaś wydawały się zadowolone z łutą rybka w akwarium i lalkami Barbie.

Przez moment próbował sobie wyobrazić, jak zareagowałaby żona, gdyby po powrocie do domu oznajmił, że chłopiec przyjedzie z psem. Wzdrygnął się na myśl o tym.

- Niestety... Obawiam się, że nie możemy przyjąć psa do domu. Czy Buddy ma z kim zostać?

- Rozmawiałem na ten temat z Ramey - odparł Ogle z rozczarowaniem w głosie. - Zgodziła się, by pies został u niej na wypadek, gdyby nie byli państwo skłonni przyjąć go do siebie.

„Nie byli skłonni”. Słowa te ugodziły w sumienie Connora niczym trzy strzały, ale cóż mógł zrobić. Przyjazd samego Maxa był dla nich wystarczającym szokiem. - Bardzo mi przykro, ale... wie pan... moja żona...

- Oczywiście.

- W końcu to tylko dwa tygodnie.

- Rozumiem.

Ale czy Max to zrozumie? Jak będzie się czuć wyrwany ze środowiska, które do tej pory było całym jego światem, zmuszony do rozstania z ukochanym psem i zamieszkania z ludźmi, których nie znał? Próbuąc odpowiedzieć sobie na to pytanie, Connor nie był już taki pewny, czy podjął dobrą decyzję.

Tymczasem adwokat przeszedł do uzgadniania szczegółów przyjazdu. Szukał w internecie dogodnych połączeń lotniczych. Okazało się, że najlepszym rozwiązaniem będzie lot samolotem linii lotniczych, dla których pracował Connor. Powiedział, że zarezerwuje bilet i załatwi pozostałe formalności. Gdy już wszystko ustalili, Ogle nieoczekiwanie zmienił temat.

- Domyśla się pan dlaczego Kiahna poprosiła o tę wizytę?

- Tak - Connor poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. - To ma być taka próba, jeśli... jeśli się uda, będzie mógł z nami zostać.

- Dokładnie tak. Kiahna nie wpisała pana imienia i nazwiska w akcie urodzenia Maxa, a zatem, pomimo że jest pan jego biologicznym ojcem, w razie gdyby państwo podjęli decyzję o adopcji chłopca, trzeba to będzie załatwić na drodze sądowej - adwokat zrobił pauzę - Proszę też pamiętać, że w sytuacji, gdy nie zdecyduje się pan na adopcję, życzeniem Kiahny było, aby już nigdy nie kontaktował się pan z synem.

Connor wiedział już o tym z poprzedniej rozmowy, ale dopiero teraz dotarło to do niego w pełni. Poczuł, że stawka związana z wizytą Maxa w ich domu, i tak już wysoka, w jednej chwili wzrosła trzykrotnie.

- Nie mam pojęcia, jak to się skończy. Trudno w tej chwili wyrokować.

- Chciałby pan poznać moje zdanie na ten temat? - w głosie adwokata dało się wyczuć cień uśmiechu.

- Tak, słucham.

- Zostanie u pana.

Connor mocniej ścisnął słuchawkę. Wydawało mu się to niemożliwe, przynajmniej na razie.

- Skąd ta pewność?

- Ponieważ dobrze znam Maxa, proszę pana. Jego nie można nie kochać.

Choć rozmowa dobiegła końca, Connor wciąż siedział nieruchomo, powtarzając sobie w myślach słowa adwokata. Wyglądało na to, że jego syn to naprawdę fantastyczne dziecko, ale jeśli nie spodoba mu się na Florydzie? Może będzie chciał następnym samolotem wrócić na Hawaje do Ramey, państwa Ogle i najlepszego kumpla Buddy'ego?

Oprócz tego nie wiadomo było, jak na pojawienie się Maxa w ich rodzinie zareagują Michele i dziewczyny. Termin wizyty był z pozoru idealny. Chłopiec miał przylecieć w piątek, tuż przed ich doroczną wyprawą pod namiot. Zawsze o tej porze roku, wykorzystując kilka dni wolnych od szkoły, zabierali córki nad ulubione jezioro, na wypoczynek z dala od wielkomiejskiego zgiełku. Connor zapytał Michele, czy nie wolałaby odłożyć przyjazdu Maxa o tydzień, ale odpowiedziała mu, że nie ma takiej potrzeby.

- Skoro i tak ma przyjechać, to nie ma różnicy, czy to będzie teraz, czy później. I tak będzie z nami. Nie ma co kombinować.

Michele nie sprawiała wrażenia zachwyconej, ale przynajmniej nie miała nic przeciwko temu.

Im więcej Connor myślał o takim rozwiązaniu, tym lepsze mu się wydawało. Miejsce na zacisznym kempingu nad jeziorem Okeechobee mieli zarezerwowane już od dawna. Tuż obok była przystań, gdzie można było wypożyczyć łódkę, oraz piękna plaża z czystym piaskiem. Connor przygotował już sprzęt biwakowy i zrobił przegląd swojego skutera wodnego. Wszystko było gotowe do wyjazdu.

Nie miał wątpliwości, że gdy tylko chłopiec przezwycięży tęsknotę za domem, z pewnością ich polubi. A jeśli rzeczywiście jest tak uroczy, jak twierdzi Marv Ogle, oni też się do niego przekonają. Nawet Michele.

## ROZDZIAŁ XIII

Ramey siedziała w swoim ulubionym fotelu i rozmyślała. Przed paroma godzinami, w porze lunchu zadzwonił do niej Marv Ogle, by podzielić się z nią najnowszymi wieściami. Okazało się, że Max pojedzie jednak na Florydę, by spotkać się z człowiekiem, który - o czym chłopiec nie wiedział - był jego ojcem. Mężczyzna zgodził się wziąć go do siebie na razie tylko na dwa tygodnie. Niestety, nie wyraził zgody, by chłopcu towarzyszył Buddy.

To było nie w porządku, ale nikt nie powiedział, że życie musi być sprawiedliwe. To, że ona pomimo szczerych chęci nie mogła przygarnąć Maxa, bo nie pozwalał jej na to stan zdrowia, też było nie fair. Popatrzyła na zwiniętego w kłębek u jej stóp Buddy'ego. Na pewno będzie bardzo tęsknił za Maxem. Dobrze, że przynajmniej udało jej się załatwić tę sprawę z administratorem budynku i pies mógł zostać u niej.

Przed południem Ramey wybrała się do mieszkania Kiahny, żeby przejrzeć jej rzeczy i zabrać trochę ubrań dla Maxa. Nazajutrz firma przeprowadzkowa miała przyjechać po meble i przewieźć je do magazynu na przechowanie, do czasu, aż Marv Ogle zadecyduje, co z nimi zrobić. Odszukanie wszystkich rzeczy cennych lub mogących mieć kiedyś dla chłopca wartość sentymentalną zajęło jej mniej więcej godzinę.

Pamiętnik Kiahny znalazła na nocnym stoliku przy łóżku. Już pobieżne przekartkowanie pozwoliło jej zorientować się, że kobieta zawarła w nim szczegółowy opis swojej znajomości z ojcem Maxa, wiele osobistych refleksji na temat wiary i niezliczoną wprost ilość wpisów poświęconych synowi. Wkładając dziennik do torebki, Ramey miała oczy pełne łez.

Zabrała także ze sobą książeczkę zdrowia Maxa, jego teczkę osiągnięć ucznia, dwa albumy ze zdjęciami i Biblię Kiahny. Cięższe pakunki z pozostałymi pamiątkami po mamie Maxa, zabawkami, ubraniami i szkolnymi podręcznikami chłopca zostawiła w przedpokoju. Adwokat miał po nie przyjechać wieczorem.

Po powrocie do domu Ramey postawiła torbę przy drzwiach do patio. Wyjęła z niej tylko pamiętnik, w nadziei, że znajdzie w nim coś, co pomoże jej pozytywnie nastroić Maxa do wyjazdu. Siedząc na fotelu, powoli przekartkowała gęsto zapisane strony.

Jej uwagę przykuł wpis z 12 listopada 1996 roku. Kiahna była wtedy w trzecim miesiącu ciąży. Patrząc na tę datę, Ramey zaczęła mieć wątpliwości, czy dobrze robi. Może Kiahna nie życzyłaby sobie, żeby ktokolwiek czytał jej pamiętnik. Z drugiej jednak strony na pewno chciałaby, żeby ktoś poznał pełnię jej uczuć do Maxa, tym bardziej, że mogło to rzucić więcej światła na prośbę, którą zawarła w testamencie. Ramey wzięła głęboki oddech i zaczęła czytać.

Lekarz mówi, że dziecko rozwija się prawidłowo. Gdyby tylko wiedział, co dzieje się w moim sercu, jak bardzo chciałabym zadzwonić do Connora i powiedzieć mu prawdę. Nie zrobię tego jednak, ani teraz, ani nigdy. Obiecałam to sobie i Bogu. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, Connor i ja zakochalibyśmy się w sobie bez pośpiechu, zostalibyśmy małżeństwem i już na zawsze byłibyśmy razem. Niestety, okazało się, że on już jest zajęty i ma rodzinę, którą bardzo kocha.

Spotkanie z Connorem pozwoliło mi lepiej zrozumieć zamiary Pana Boga. Oczywiście Bóg nie chciał, żebyśmy spędzili tamtą noc razem. Choć otwarliśmy przed sobą nasze serca, powinniśmy byli poczekać. Wtedy dowiedziałabym się o jego żonie i rodzinie. Zamiast tego dałam się ponieść emocjom i już do końca życia będę



się wstydzić tego, co wtedy zrobiłam.

Nie zadzwonię do Connora. Nic nie zmieni mojego zdania w tej kwestii, nawet to dziecko, które noszę w sobie. Gdy ono dorośnie, może będzie chciało odnaleźć swojego tatę. Powiem mu wtedy, że kochałam jego ojca, chociaż znałam go bardzo krótko. Mam świadomość, że to, co zrobiliśmy w tę sierpniową noc, było czymś złym i do końca swych dni prosić będę Boga, by mi przebaczył. Nie zmienia to jednak moich uczuć do Connora ani mojej determinacji, by prawdę o dziecku zachować przed nim w tajemnicy.

Może się jednak zdarzyć, że Bóg wezwie mnie do siebie, zanim moje dziecko dorośnie. Co wtedy? W takim wypadku chciałabym, żeby odnalazło Connora i żeby mogli bliżej się poznać.

Modłę się gorąco, aby w takim wypadku Bóg miłosierny pozwolił rodzinie Connora odnaleźć przebaczenie. Przebaczenie dla mnie, dla Connora i dla naszego dziecka".

Ramey zamrugła i łza potoczyła się na kartkę pamiętnika, spadając tuż poniżej ostatniego zapisanego na niej zdania. A jednak Kiahna kochała tego mężczyznę. Connor nie był człowiekiem, którego nienawidziła. Nie miała do niego żalu. Po prostu pech chciał, że był już zajęty. Ramey poczuła ulgę. Miała nadzieję, że właśnie czegoś takiego dowie się z jej zapisków.

Nic dziwnego, że Kiahna już nigdy nie pokochała innego mężczyzny. Postanowiła, że nigdy nie powie Connorowi o narodzinach Maxa i wytrwała w tym postanowieniu, zabierając ze sobą do grobu miłość do ojca chłopca.

Ramey zamknęła pamiętnik i zamglonym spojrzeniem wpatrywała się w ścianę. Niemal przez całe dorosłe życie stroniła od modlitwy i rozmów z Panem Bogiem. Ale teraz, po przeczytaniu tego fragmentu pamiętnika Kiahny poczuła, że musi przelamać się w sobie i poprosić Go o pomoc. A może Bóg istnieje i jej wysłucha?

- Boże... - szepnęła, rozglądając się po pokoju, jak gdyby spodziewała się, że ujrzy błysk światła. Ale nic się nie stało. Wbiła wzrok w sufit i siedziała tak przez chwilę, próbując uporządkować myśli. W końcu zebrała się na odwagę i przyciszonym głosem powiedziała: - Boże, jeśli istniejesz, z pewnością spotkałeś już w niebie Kiahnę i... - słowa uwięzły jej w krtani. Opuszkami palców otarła łzy gromadzące się pod powiekami. Nie było czasu na płacz. Musiała teraz porozmawiać z Bogiem. Przełknęła ślinę, żeby pozbyć się dławiącej kuli w gardle, i ciągnęła dalej: - Skoro Kiahna jest już w Twoim domu, na pewno wiesz, jak bardzo nam jej brakuje. Na pewno wiesz, jak ciężko jest teraz Maxowi - odkaszlnęła, usiłując pozbyć się chrypki, która pojawiła się nie wiadomo skąd. - Wygląda na to, że Kiahna popełniła błąd. Ale, Boże drogi... żałowała tego. Umarła, żałując, jestem tego pewna. A teraz Max znalazł się w tak trudnej sytuacji. Jaki mężczyzna chciałby dowiedzieć się, że ma syna, który może zrujnować jego małżeństwo i życie rodzinne. - Opuściła ręce na kolana i kciukiem prawej dłoni zaczęła gładzić okładkę pamiętnika Kiahny. - Boże, mówię to wszystko, bo Max potrzebuje pomocy. Jeśli ma zamieszkać z tym... Connorem, musisz sprawić cud. Musisz zesłać cud przebaczenia. W przeciwnym razie Max będzie cierpiał jeszcze bardziej. - Gdy to powiedziała, ogarnął ją ogromny smutek. Uświadomiła sobie, że jeśli Bóg nie dokona tego cudu, chłopiec trafi pod opiekę państwa, a może nawet do sierocińca. Odpędziła tę okropną myśl i wyciągnęła chusteczkę higieniczną z pudełka leżącego na stoliku obok. Wytarła nią oczy. Musiała wziąć się w garść. Jeśli Bóg jej teraz słuchał, nie mogła przerwać modlitwy w połowie. Ze względu na Maxa. - Dlatego, Boże, proszę... uczyn to dla Maxa. A jeśli to zrobisz, obiecuję... - Ramey przez ułamek sekundy zawahała się. Nie chciała składać obietnic przed Bogiem, ale słowa same płynęły jej z ust. - Obiecuję,

że uwierzę w Ciebie, Boże. Jeśli pozwolisz, by Connor i jego najbliżsi wybaczyli sobie nawzajem, jeśli pozwolisz Maxowi znaleźć miejsce w ich sercach, uwierzę w Ciebie i będę chwalić Twoje imię po kres moich dni.

\*\*\*

Gdy Max wrócił ze szkoły, Ramey oznajmiła mu, że pojedą na plażę.

- A co z moim zadaniem domowym? - spytał, przygryzając dolną wargę.

Nie wydawał się zachwycony jej pomysłem. Nie zdziwiło jej to. Śmierć matki wywróciła cały świat chłopca do góry nogami i postawiła jego przyszłość pod wielkim znakiem zapytania. Max uspokajał się tylko podczas czytania Biblii, którą rok wcześniej dostał od Kiahny na urodziny, oraz w chwilach, gdy leżał wtulony w Buddy'ego na podłodze w patio.

Ramey westchnęła i skinęła na niego, by podszedł do niej bliżej.

- Buddy lubi spacerować po plaży, prawda?

- Prawda.

- Zadanie zrobisz później, a teraz pójdziemy się przejść. Pobawisz się z Buddym. Zrobimy sobie piknik i trochę porozmawiamy.

- O czym? - w oczach Maxa zapaliły się czerwone światełka ostrzegawcze.

- Tak ogólnie, Max. O życiu, dobrze? - odparła Ramey wymijająco i skierowała się w stronę drzwi. - Chodź. Pies musi się wybiegać.

Chłopiec postawił plecak przy stole i wciąż bez przekonania podążył za nią. Na plażę pojechali jej rozklekotanym kombi. Rozłożyli koc na piasku, zjedli po dwie kanapki z masłem orzechowym, popijając sokiem z czerwonych owoców. Gdy skończyli jeść, Max i Buddy poszli pobiegać.

Ramey przez kilka minut patrzyła, jak gonią się nawzajem, płosząc mewy. Potem wyciągnęła z torebki długopis i blok papieru listowego. Na pomysł napisania listu wpadła już wcześniej, po przeczytaniu dziennika Kiahny. Zapiski te uzmysłowiły jej parę rzeczy. Skoro w ciągu krótkiej znajomości z Connorem Evansem Kiahna tak bardzo go pokochała, niewątpliwie on też coś do niej czuł, a w takim wypadku - niezależnie od szoku związanego z wiadomością o istnieniu Maxa - los chłopca na pewno nie był mu obojętny, zwłaszcza że Max był dzieckiem, którego nie sposób było nie kochać. Przekonało się o tym już wielu ludzi i jego ojciec raczej nie będzie wyjątkiem. Co do tego nie miała wątpliwości. Problemem mogła być żona Connora.

Ramey wróciła myślami do czasów, kiedy żył jej mąż. Próbowала sobie wyobrazić, jak zareagowałaby, gdyby któregoś dnia przyszedł do niej i powiedział jej, że zdradził ją kiedyś z inną kobietą i ma z nią syna. Czy miałoby dla niej znaczenie, że to dziecko z pozamałżeńskiego związku jest urocze? Sama świadomość zdrady wstrząsnęłaby ich małżeństwem, a może nawet doprowadziła do jego rozpadu. Czy w takiej sytuacji potrafiłaby wykrzesać z siebie choćby odrobinę współczucia?

List postanowiła napisać pod wpływem modlitwy, w której prosiła Boga - choć w Jego istnienie wciąż nie do końca wierzyła - o cud przebaczenia dla rodziny Connora Evansa. Przyszło jej na myśl, że może uda jej się poruszyć sumienie jego żony i uzmysłwić jej, że Max nie jest tu niczemu winny.

Otworzyła blok listowy i, od czasu do czasu spoglądając na Maxa, zaczęła pisać.

Szanowna Pani!

Ponieważ się nie znamy, na wstępie chciałabym się przedstawić. Nazywam się Ramey Aialea i jestem opiekunką Maxa. Zajmowałam się nim właściwie od jego narodzin. Kiedy jego mama, Kiahna, musiała iść do pracy, chłopiec zostawał u mnie.

Przez te wszystkie lata nie byłam osobą szczególnie wierzącą. Szczerze mówiąc, nie wierzyłam w Boga. Jednak teraz, gdy patrzę na Maxa i myślę o miesiącach i latach, które są jeszcze przed nim, chcę wierzyć. Chcę wierzyć całym sercem.

Marv Ogle powiedział mi, że jesteście chrześcijanami, tak samo jak Kiahna. Czytałam pamiętnik, który pozostawiła, mając nadzieję, że pozwoli mi to lepiej zrozumieć sytuację Maxa. To, co w nim znalazłam, rozbudziło we mnie wiarę na tyle silną, że zaczęłam prosić Boga o cud przebaczenia dla Maxa.

Nie jestem wykształcona, ale wiem, że potrzebny będzie cud przebaczenia, by życie potoczyło się tak, jak tego chciałaby Kiahna i - śmiem twierdzić - sam Pan Bóg.

W dalszej części listu zacytowała fragment Biblii, który przez przypadek znalazła na wewnętrznej stronie okładki pamiętnika Kiahny. Cytat z Pierwszego Listu św. Jana zrobił na niej duże wrażenie i doskonale oddawał to, co chciała wyrazić. List zakończyła najlepiej, jak potrafiła. Złożyła go starannie, wsunęła do koperty, na której napisała: „Dla pani Evans” i schowała do torebki. Postanowiła, że przed wyjazdem Maxa włoży list do jego Biblii, i poprosi o przekazanie go pani Evans. Następnie napisała krótki list do samego chłopca, który też zamierzała schować w jego Biblii razem z fotografiami Kiahny i Buddy'ego.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Max i Buddy zmęczeni gonitwą siedzieli na piasku tuż nad brzegiem oceanu. Max jedną ręką obejmował przyjaciela za szyję, a drugą grzebał w piachu.

O czym on teraz myśli? Ramey przygryzła wargę, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Chłopiec jeszcze nie wiedział, że najbliższe dni mogą okazać się dla niego znacznie cięższe niż te, których doświadczył ostatnio. Jednak nie było innego wyjścia - musiała mu powiedzieć. Odwlekała tę chwilę już wystarczająco długo.

Zwinęła dłonie w trąbkę i głośno zawołała:

- Max!

Chłopiec obrócił głowę w jej stronę i odkrzyknął:

- O co chodzi, Ramey?

Nerwowo przełknęła ślinę. Wiedziała, że ta rozmowa zaważy na jego przyszłości.

- Chcę ci coś powiedzieć.

Nawet z tej odległości widać było, jak zrzędała mu mina, jakby przestraszyły go jej słowa. Wstał i, powłócząc nogami, ruszył w jej kierunku. Buddy truchtał przy jego boku. Po chwili obaj siedzieli na piasku naprzeciwko niej.

- Czy chodzi o tego przyjaciela mamusi? - Max popatrzył na nią pytająco.

A więc pamiętał. Zapewne od czasu wizyty Ogle'a nie przestawał myśleć o ostatnim życzeniu mamy i perspektywie spędzenia dwóch tygodni z nieznanym mężczyzną. Ramey uniosła podbródek. „Tylko się nie rozpłacz... tylko się nie rozpłacz...” - myślała.

- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać - potwierdziła, kciukiem odgarniając kosmyk włosów z czoła Maxa.

- Co mi chcesz powiedzieć? - Oczy malca zrobiły się okrągłe jak spodki.

- No więc... - zaczęła Ramey, starając się dobrać odpowiednie słowa. - Panu Ogle udało się odnaleźć przyjaciela mamy, który chce się z tobą zobaczyć. On mieszka na Florydzie razem ze swoją rodziną. Pojedziesz do nich na dwa tygodnie - zawiesiła głos. - Chciałam, żebyś o tym wiedział.

Maxowi zaczęła drżeć dolna warga, a w jego oczach pojawiła się złość.

- Nie chcę tam jechać. Chcę zostać tutaj, z tobą.

Ramey nigdy wcześniej nie okazywała mu nadmiernej czułości. Nie było takiej potrzeby, bo Max mógł liczyć na niewyczerpane pokłady miłości swojej mamy. Ale teraz Kiahny już nie było. Widząc, że Max zaczyna cały się trząść, Ramey wyciągnęła do niego ręce. Max rzucił jej się w objęcia, wtulając twarz w ramię.

- Nie każ mi tam jechać, Ramey. Proszę!

- Max... ciii, już dobrze - starała się go pocieszyć, gładząc ręką po plecach. Buddy zakręcił się niespokojnie i zaskomlał.

- Twoja mam chciała, żebyś tam pojechał. Pamiętasz?

- Ale mama się pomyliła. Myślała, że będę chciał tam pojechać, ale ja nie chcę. - Max odchylił się i spojrzał jej w oczy. Oddychał szybko i tarł dłońmi policzki. - Nie muszę tam jechać, jeżeli nie chcę, prawda?

Ramey poczuła ból w sercu. Taki stres jej nie służył i wiedziała, że za chwilę będzie musiała sięgnąć po tabletkę nitrogliceryny. Przechyliła głowę na bok i zdobyła się na smutny uśmiech.

- Obawiam się, że musisz. Wyjeżdżasz w piątek.

Max stał przed nią z rozchylonymi ustami i patrzył na nią z żalem w oczach, jakby chciał dać do zrozumienia, że zdradziła go, pozwalając panu Ogle i przyjacielowi mamusi ukartować ten wyjazd bez jego zgody. Kilka razy potrząsnął głową w bezsilnej złości i, dławiąc szloch, zapytał:

- Czy Buddy... pojedzie ze mną?

Ramey położyła ręce na jego ramionach, aby go uspokoić. Miała nadzieję, że Max w końcu zrozumie, że przezwycięży ból.

- Nie, Max - odparła, zagryzając wargę. - Buddy zostanie tutaj.

Przez moment Max stał w bezruchu, spoglądając na przemian to na Ramey, to na Buddy'ego.

- To nie fair, Ramey - chlipnął pod nosem i zrobił krok do tyłu. - Nie! - krzyknął nagle i puścił się pędem w stronę oceanu, którego fale łagodnie rozbijały się o piaszczysty brzeg.

Buddy zdawał się być zaskoczony zachowaniem chłopca. Przez chwilę patrzył na Ramey, nie przestając przyjaźnie merdać ogonem, a potem pobiegł za swoim panem, który zdążył już wejść po kolana do wody.

- Mamusiu, nie! - wołał rozpaczliwie Max, ale szum fal zagłuszał jego słowa. - Nie każ mi tam jechać bez Buddy'ego!

Ramey nie mogła już dłużej powstrzymać łez, które popłynęły jej z oczu niczym dwa strumienie. Jednocześnie uświadomiła sobie, że będzie musiała rozszerzyć prośbę do Boga o łaskę przebaczenia. Zdała sobie bowiem sprawę z tego, że zanim Max w ogóle będzie miał okazję poznać tego mężczyznę z Florydy oraz jego rodzinę i polubić ich lub nie, najpierw będzie musiał zdobyć się na coś, do czego nigdy wcześniej nie był zmuszony. Będzie musiał wybaczyć swojej mamie.

## ROZDZIAŁ XIV

Max stał po kostki w wodzie i patrzył na ocean.

- Dlaczego... dlaczego mam jechać? - wyszeptał cichutko.

Niewielkie fale z szumem rozbijały się o brzeg. Max miał ochotę rzucić się przed siebie i popłynąć aż po horyzont. Może jego mamusia wcale nie zginęła, a jej samolot unosił się gdzieś tam, na wodzie. Może siedziała na skrzydle, czekając, aż ktoś ją uratuje. Może udałoby mu się ją odnaleźć. Dopłynąłby do mamy, usiadł obok niej i zapytał, dlaczego chce, żeby pojechał na Florydę, gdziekolwiek to było. Przecież nikogo tam nie znał, a tu miał Buddy'ego i Ramey.

Odwrócił się i odszukał wzrokiem psa, który leżał na suchym piasku poza zasięgiem fal. Max podszedł do niego i pogłaskał go po grzbiecie.

- Może mama nadal żyje, co Buddy? - W odpowiedzi pies zaszczekał dwa razy. - No widzisz. Myślisz tak samo jak ja.

Max westchnął i znów wszedł do wody, tym razem trochę dalej, po kolana. Przypomniały mu się słowa, które usłyszał od Ramey w dniu, w którym dowiedział się o katastrofie samolotu mamy.

„Ona nie żyje, Max. Wszyscy na pokładzie zginęli... Wszyscy na pokładzie zginęli... Wszyscy na pokładzie zginęli...”. Łzy pociekły mu po policzkach, a rozpościerający się przed jego oczami widok oceanu zamazał się.

- A jeśli ona jedna ocalała? - wymamrotał ochryplym od płaczu głosem. Buddy, widząc, że jego pan oddalił się od brzegu, znowu zaszczekał, jakby chcąc go ostrzec, żeby nie wchodził głębiej.

„Boże, czy naprawdę moja mama odeszła i jest z Tobą w niebie? A może jednak czeka przy samolocie, żebym jej pomógł?” - pomyślał Max i popatrzył w niebo, gdzie mieszkał Bóg. Pan Bóg przeważnie nie odpowiadał na jego pytania. W każdym razie nie odpowiadał na nie słowami. Ale czasami Max wyczuwał, co chce mu powiedzieć. Zamknął oczy i czekał. Po chwili poczuł jednocześnie szczęście i smutek. Zrozumiał, że Ramey miała rację. Jego mamusi nie było w samolocie, już nie. Była teraz w niebie.

Ale wciąż nie wiedział, co zrobić ze złością wypełniającą jego serduszko. Mamusia powinna była wiedzieć, że nie będzie chciał wyjechać z wyspy do tych jej przyjaciół. Chciał zostać tutaj, blisko plaży, na której bawili się razem, odkąd tylko pamiętał. Blisko ich domu i mieszkania Ramey, i blisko Buddy'ego.

Otworzył oczy. Uniósł się lekko na palcach i pozwalał falom uderzać o swoje uda. Woda moczyła nogawki jego szortów. Mama opowiadała mu kiedyś o przyptywach i odpływach. Mówiła mu, że kiedy jest odpływ, plaża robi się bardzo duża, a podczas przyptywu kurczy się, bo zalewa ją woda.

Nadchodził przyptyw, ale Max nie przejmował się tym. Nie zamierzał stąd odejść, nawet gdyby woda miała mu sięgać po pas, bo bardzo chciał zrozumieć, dlaczego musi pojechać. Mrużąc oczy od słońca, znów spojrzał w niebo.

- Panie Boże... Nie chcę jechać na Florydę - podniósł rękę i otarł rękawem zapłakaną twarz. - Ale też nie chcę złościć się na moją mamusię.

Nagle ogarnęło go przecucie. Mamusia mówiła mu, że przecucie ma miejsce wtedy, gdy coś się wie, chociaż nikt ci tego nie powiedział. Mówiła mu też, że dobre przecucia pochodzą od Boga. Gdy się pojawiają, trzeba uważnie nasłuchiwać, bo możliwe, że Bóg chce coś człowiekowi powiedzieć. Teraz miał przecucie, że

mamusia miała powód, by prosić go o spotkanie z jej przyjacielem.

Maxowi nie przyszło to wcześniej do głowy, ale teraz, gdy zaczął o tym myśleć, wydawało mu się, że przecucie było sensowne, jego mamusia nigdy nie mówiła do niego bez jakiegoś wyraźnego powodu. Prosiła, żeby po zabawie na plaży wycierał buty na wycieraczkę, bo nie chciała, żeby naniósł piasku do mieszkania. Musiał myć ręce przed jedzeniem, by zarazki nie dostały mu się do buzi.

Tak, przecucie nie mogło go mylić. Na pewno był jakiś powód, żeby jechał na Florydę. Teraz musiał tylko przestać się złościć i dowiedzieć się, o co chodziło. Jeśli tam pojedzie, będzie grzeczny i nie będzie zbyt marudzić, z pewnością się dowie, dlaczego mama tego chciała. Pan Bóg na pewno mu wszystko wyjaśni.

Tak postanowiwszy, wyszedł z wody i usiadł obok Buddy'ego.

- Będę za tobą tęsknić, Buddy.

Pies wydał z siebie łagodny pomruk i trącił go przyjaźnie głową.

- Słuchaj, Buddy... - zwrócił się Max do przyjaciela. - Nie smuć się, bo do ciebie wrócę, wiesz? Wrócę, tak jak mówiła Ramey, i już nigdy cię nie opuszczę, dobrze? Dobrze, Buddy?

Pies popatrzył na niego swoimi wiernymi ślepiami, po czym je opuścił. Zawsze tak robił, gdy był smutny. Chłopiec objął go ramieniem i przytulił, tak jak mama przytulała jego, gdy rozbił sobie kolano lub źle poszło w szkole.

- Już dobrze, Buddy. Mnie też jest smutno, ale mam przecucie. Wszystko będzie dobrze, piesku. Zobaczysz.

Max usiadł prosto i jeszcze raz spojrzął w niebo. Uśmiechnął się do siebie, bo przecież można jednocześnie uśmiechać się i płakać. Wziął głęboki oddech i ledwie słyszalnym szeptem powiedział:

- Dziękuję za przecucie, Panie Boże - ruszał palcami i patrzył, jak jego stopy zagłębiają się w piasku. - Przepraszam, że się złościłem. Czy mógłbyś coś przekazać mojej mamie? Powiedz jej, że już nie jestem na nią zły, muszę tam pojechać, już jej wybaczyłem. Proszę, powiedz jej to ode mnie, dobrze?

Tym razem nie potrzebował przecucia. Mamusia uczyła go, że na Panu Bogu zawsze można polegać i że On bardzo lubi, gdy ludzie sobie wybaczą. „Wiesz, Max, na czym polega miłość? - mama pytała go nieraz. - Miłość polega na umiejętności wybaczenia. Gdy kogoś naprawdę kochamy, potrafimy mu wybaczyć”.

Dobrze, że sobie o tym przypomniał. Bardzo kochał mamę i nie potrafił się na nią gniewać. Obejrzał się przez ramię, spoglądając na stojącą kilkanaście metrów dalej Ramey. Wyglądała na zmęczoną i chyba było jej zimno. Na nią też nie chciał się złościć. Wyjazd na Florydę nie był jej pomysłem.

- Chodź, Buddy. Wracamy do domu - rzucił zdecydowanym tonem, trącając łokciem przyjaciela. Poderwał się z pisaku, otrzepał szorty i szybkim krokiem ruszył w stronę opiekunki, a Buddy potruchtał za nim. Gdy byli już blisko niej, Max oznajmił:

- Myślałem o tym, Ramey. Pojadę na Florydę.

Zmarszczyła brwi i wyglądała na zaskoczoną.

- Naprawdę? Już się nie złościś?

Max wzruszył ramionami i uśmiechnął się nieśmiało.

- Trochę się boję, ale już nie jestem zły. Pan Bóg dał mi przecucie.

- Przecucie?

- Tak. Przeczucie jest wtedy gdy Pan Bóg coś ci mówi. Ale musisz być bardzo cicho, żeby to usłyszeć.

- Aha - Ramey wzięła go za rączkę. - Jakie to było przeczucie?

- Że kiedyś się dowiem, dlaczego...

Ramey aż otworzyła usta ze zdumienia i dopiero po chwili zdołała wykrztusić z siebie:

- Co dlaczego?

- Dlaczego mamusia chciała, żebym pojechał.

- Ach tak, rozumiem.

Max przypomniał sobie, że chciał jej powiedzieć coś jeszcze. Przysunął się do niej bliżej i spojrzał jej w oczy.

- Przepraszam cię Ramey. Nie chciałem być na ciebie zły.

- Wybaczam ci, mój mały - odpowiedziała kobieta, a gdy to mówiła, na jej twarzy pojawił się pogodny uśmiech, którego dawno u niej nie widział.

## ROZDZIAŁ XV

Przez cały tydzień poprzedzający przyjazd Maxa każda rozmowa pomiędzy Connorem i Michele kończyła się, zanim na dobre się zaczęła. Podróż na lotnisko w piątek wieczorem nie stanowiła pod tym względem wyjątku.

Michele zdecydowała się towarzyszyć Connorowi, bo chciała na własne oczy zobaczyć jego reakcję na widok syna wychodzącego z rękawa terminalu przylotów. W odróżnieniu od zwykłych oczekujących, mogli czekać na niego w strefie dla personelu. Pomimo zaostżenia przepisów bezpieczeństwa po zamachu 11 września, piloci i ich rodziny wciąż mieli pewne przywileje.

Jechali w milczeniu, słuchając radia, z którego rozlegała się właśnie piosenka Martiny McBride. Jej refren: „Dasz sobie radę... Otworzą się przed tobą nowe horyzonty" zaczynał powoli działać Michele na nerwy. Nie mogąc już tego wytrzymać, pochyliła się i zmieniła stację. Martina McBride nie miała pojęcia, z czym musiała sobie dawać radę Michele Evans i jakie nowe horyzonty otwierały się przed nią.

Connor cały czas patrzył prosto przed siebie, nie odrywając wzroku od szosy. Michele nie musiała widzieć jego twarzy, żeby wiedzieć, co działo się w jego duszy. Niewątpliwie odczuwał mieszaną strachu i podniecenia wywołaną perspektywą spotkania z chłopcem, który swoim niespodziewanym pojawieniem się w ciągu zaledwie kilku dni całkowicie odmienił jego życie.

Jechał 65, a może 70 mil na godzinę, około 15 mil powyżej dozwolonej prędkości. Michele przewróciła oczami i z wyraźną kpina w głosie powiedziała:

- Dociskając pedał gazu, nie sprawisz, że jego samolot przyleci szybciej.

- Wcale nie jadę za szybko - odparł nieco speszony Connor.

- Jedziesz... - powtórzyła z naciskiem.

- Wcale nie - zaprotestował, zerkając na prędkościomierz. - Zawsze tu tak jeżdżę.

- Na pewno.

Ledwie to powiedziała, pożałowała swojego sarkazmu. Nienawidziła siebie w roli rozgoryczonej żony, która

nie potrafi zrozumieć, dlaczego mąż przestał widzieć w niej ideał, i na każdym kroku pragnie go za to ukarać.

Connor westchnął głośno, jak gdyby w środku otworzył mu się zawór bezpieczeństwa.

- Nie śpieszy mi się, Michele. Dobrze wiem, że jego samolot przyleci dopiero za godzinę.

Puściła tę uwagę mimo uszu. O ile jego słowa nie wymagały natychmiastowej odpowiedzi, starała się je ignorować. Kilkakrotnie próbował jej wyjaśnić okoliczności swojego romansu z matką chłopca, ale za każdym razem nie dawała mu dojść do głosu.

- Daruj sobie szczegóły, Connor, dobrze? - przerywała mu w pół zdania, obdarzając go wzgardliwym uśmiechem. - Poza tym mogę sobie wszystko wyobrazić. Byłeś sam, z dala od domu. Szalała burza, samoloty nie latały. Wpadła ci w oko fajna stewardesa. Pomyślałeś sobie: „Wygląda dużo lepiej niż ta, którą zostawiłem w domu”. Co było dalej, łatwo się domyślić. Wierz mi, Connor, naprawdę nie muszę wysłuchiwać twoich mętnych usprawiedliwień.

Zbity z tropu, patrzył na nią bezradnie, z otwartymi ustami, jak gdyby nie mógł zrozumieć, dlaczego po raz kolejny nie dała mu szansy na wyjaśnienia, po czym tylko wzruszał ramionami, odwracał się i odchodził. Cóż więcej mógł jej powiedzieć? Że nie ma powodu do żartów, bo po tamtej nocy nigdy nawet nie zadzwonił do Kiahny? Że nigdy tej dziewczyny nie kochał?

Michele nie potrzebowała jego tłumaczeń. Wiedziała wystarczająco dużo. Powodem jego zdrady był seks, tyle że on nie miał odwagi się do tego przyznać. Zachciało mu się przespać z inną kobietą, a teraz owoc jego pożądania miał zamieszkać w ich domu. Może i ten chłopiec po śmierci matki nie miał gdzie się podziąć, ale nie potrafiła zdobyć się na współczucie dla niego. Nienawidziła siebie także z tego powodu. Gdzie się podzielała ta życzliwa, pełna dobroci Michele, którą była jeszcze do niedawna? Skąd wzięła się w niej ta niechęć do dziecka tak ciężko dotkniętego przez los? Nie umiała sobie odpowiedzieć.

Gdy zjeżdżali z autostrady, poczuła zawroty głowy. Ostatnio miewała je często. W jej życiu wszystko się rozregulowało, także w kwestii diety. Jednego dnia opychała się ciasteczkami Oreo, by nazajutrz pić tylko wodę i herbatki ziołowe. Raz się głodziła, przysięgając sobie, że już nie weźmie do ust ani kęsa, to znów nachodził ją wilczy apetyt i rzucała się na wszystko, co dało się zjeść.

Nie mówiła o tym Connorowi. Nie musiał wiedzieć o jej problemach z jedzeniem napadowym. Zresztą takie ataki nie zdarzały się codziennie. Objadała się tylko wtedy, gdy nie mogła sobie poradzić z emocjami. Powiedziałaby jej to samo, co Renee Wagner lub Margie: „Weź się w garść. Pozwól sobie pomóc. Pomódl się. Kompulsywne objadanie się nie rozwiąże twoich problemów. Zwróć się do terapeuty”.

Nie potrzebowała takich rad, zwłaszcza że jak na razie tylko jedzenie przynosiło jej ulgę i zapomnienie. Zamykała się w swoim pokoju, po czym na przemian jadła słodczyce i płakała. Opakowania po batonikach i ciasteczkach zwiijała w kulkę, którą następnie dla niepoznaki owijała w papierowy ręcznik i wyrzucała do kosza na śmieci, gdy Connora i dziewczynek nie było w pobliżu. W dolnej szufladzie biurka miała rolkę papierowych ręczników.

Poza tym, jakie to miało znaczenie? Mąż mógł ją na okrągło przeproszać, mówić jej, że nadal ją kocha, zapewniać ją, że wciąż jest dla niego najpiękniejszą kobietą pod słońcem, ale w 1996 roku mówił to samo. Dlaczego teraz miałyby mu uwierzyć?

- O czym teraz myślisz? - zainteresował się Connor.



- Nie twój interes!

- Michele...

Nie mogła znieść jego zboląłego tonu. Wprawiał ją w zażenowanie. Nienawidziła go dopiero od niedawna i gdy mówił w ten sposób, miała ochotę przytulić go, rozplakać się razem z nim, nakrzyczeć na niego i pocieszyć go. Udała, że go nie słyszy. Patrzyła na przesuwany się za oknem krajobraz, milcząc.

- Michele, proszę cię. Co Max sobie pomyśli, gdy nas zobaczy?

Max? - obróciła się gwałtownie. - A więc to cię martwi, Connor? Co Max sobie pomyśli, gdy zobaczy rozpadającą się rodzinę? - zaśmiała się gorzko. - No to wiedz mój drogi, że guzik mnie obchodzi, co Max sobie pomyśli - zacisnęła dłonie w pięści i posłała mu groźne spojrzenie.

- Chciałem tylko zauważyć, że będzie się czuł niezręcznie - w głosie Connora nie było już dawnej pewności siebie. Nieustraszony niegdyś pilot usprawiedliwiał się jak skarcony uczeń.

- Miej o to pretensje do samego siebie. Pomyślałeś, jak będą czuć się nasze córki, gdy wrócimy do domu? Widziałeś wyraz twarzy Elizabeth, kiedy wyjeżdżaliśmy? Widziałeś lęk w oczach Susan? Sądzisz, że niczego nie podejrzewają?

- Oczywiście, że coś podejrzewają - pierwszy raz tego dnia Connor podniósł na nią głos, zaraz jednak się zmięgował. - Przepraszam, nie chciałem na ciebie nakrzyczeć. Po prostu dopóki nie przestaniesz się na mnie wściekać...

Równie dobrze mógłby ją kopnąć w żołądek. Czy on naprawdę myślał, że tylko to stanowi problem i sprawia, że jest na niego zła.

- Connor, wstydziłbyś się. Przespałeś się z jakąś panią na Hawajach, a parę tygodni później wróciłeś do mnie i zachowywałeś się, jakby nic się nie stało. Przez wszystkie kolejne lata ukrywałeś to przede mną i nie miałeś odwagi się przyznać. A teraz masz czelność zgrywać pokrzywdzonego i wypominać mi, że jestem na ciebie wkurzona?

- OK, rozumiem, ale prędzej czy później musisz mnie wysłuchać, Michele. Musisz pozwolić mi wszystko wyjaśnić - widać było napięcie na jego twarzy. Popatrzył w lusterko wsteczne i zjechał na prawy pas. Do portu lotniczego Palm Beach zostały niecałe dwie mile. - To było dawno temu. Dowiedziałaś się o tym, ale nie zmienia to faktu, że poza tym jednym razem, zawsze byłem ci wierny. Moje uczucie do ciebie nigdy nie wygasło - chciał dotknąć jej dłoni, ale odsunęła się od niego. - Kocham cię, Michele.

Gdzieś w głębi serca jakiś głos podpowiadał jej: „Powstrzymaj się... Powstrzymaj się, Michele”, ale go nie posłuchała.

- Może i tak... - odwróciła głowę w prawo, nie chcąc spojrzeć mężowi w oczy - ale teraz bardziej kochasz tego siedmiolatka.

Connor już nic więcej nie powiedział. Michele kątem oka zobaczyła, że posmutniał, i zrobiło jej się go żal. Przez moment znowu miała ochotę czule go objąć i przeprosić za swoje zachowanie. Niestety, zdążył już wyrosnąć między nimi wysoki betonowy mur otoczony zasiekami z drutu kolczastego. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby go teraz przeskoczyć, i nie wiedziała, czy chce to zrobić.

Samochód zostawili na parkingu i, idąc ramię w ramię, weszli do hali przylotów. Szli obok siebie, ale jakby osobno. A przecież dawniej, zanim ich świat zatrzęsł się w posadach, za każdym razem, gdy widzieli skłóconą

parę, w której mąż i żona trzymali się na dystans, nieudolnie zachowując pozory zgodnego życia, wymieniali tylko porozumiewawcze spojrzenia i kwitowali ten widok uśmiechem.

- My nigdy tacy nie będziemy - Michele szeptała na ucho Connorowi.

- Nigdy - powtarzał za nią jak echo.

Pomyśleć, że taką właśnie parą się stali. Pojawił się między nimi chłód i oddalili się od siebie, jak gdyby z dnia na dzień zamieszkali na przeciwległych krańcach Alaski. Dotarłszy do bramki, przy której odprawiani mieli być podróżni przylatujący z Honolulu, służbowym wejściem weszli do strefy dla personelu i przez okno przyglądali się, jak przypominający harmonijkę rękaw powoli przysuwa się do drzwi w kadłubie samolotu.

Michele odwróciła głowę. Nie mogła na to patrzeć. Ten rękaw lada chwila miał połączyć teraźniejszość z przeszłością i w pewnym sensie spowodować, że Connor ponownie spotka się z tą stewardesą, tak jak wtedy na Hawajach.

- Powinien wyjść jako jeden z pierwszych - powiedział Connor, bardziej do siebie niż do niej.

Nie odezwała się. Co mogła mu odpowiedzieć? Dobrze? Świetnie? Fajnie, że w końcu go zobaczysz? Zaciśnęła zęby i patrzyła tam, gdzie Connor. Wbrew jego przewidywaniom z rękawa wyszły najpierw dwie stewardesy. Zabrały stojące przy wejściu wózki inwalidzkie i zniknęły z powrotem w tunelu prowadzącym do samolotu.

Minęło dziesięć sekund. Piętnaście. Dwadzieścia. Michele miała właśnie odwrócić się, rozejrzeć dookoła i głośno zapytać, czy ktoś również czeka na kogoś, kto na zawsze odmieni jego życie, gdy nagle zauważyła stewarda prowadzącego za rękę ciemnowłosego chłopczyka. Był mniejszy niż na zdjęciu, ale w końcu miał dopiero siedem lat. W ciągu ostatnich dni zbyt często o nim myślała i pewnie dlatego urósł w jej wyobraźni.

Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy. Miał zielone oczy i śniadą cerę, ale podobieństwo do Connora było uderzające. Nie ulegało wątpliwości, że był jego synem.

Michele nie wiedziała, czy ma patrzeć na miniaturową hawajską kopię swojego męża, czy może na Connora, próbując ocenić jego reakcję na widok syna. Zdecydowała się na to drugie. Connor zrobił krok w kierunku chłopca i przystanął, jakby czegoś się obawiał.

„On ma ochotę do niego podbiec. Gdyby mnie tu nie było, już by do niego pędził z otwartymi ramionami”. Michele chciała odwrócić się plecami, ale w tej chwili dostrzegła, że steward ich zauważył.

- Czy to państwo na niego czekają? - zapytał.

- Tak - pośpiesznie odpowiedział Connor. - Przyszliśmy go odebrać.

Jego słowa wbiły się w duszę Michele jak szpilety. Steward przyprowadził do nich malca. Connor pokazał mężczyźnie swój dowód tożsamości i złożył podpis na formularzu potwierdzającym odbiór dziecka. Michele wykorzystała tę chwilę, by lepiej przyjrzeć się chłopcu.

Był podobny nie tylko do Connora, przypominał jej też jego ojca. Spodziewała się ujrzeć odbicie kobiety, dla której Connor stracił głowę, zamiast tego zobaczyła znajomą twarz, do której uśmiechała się miliony razy, którą знаła od lat - twarz ukochanej osoby. Tylko oczy miał po matce. Były zielone i efektownie kontrastowały ze śniadą karnacją i ciemnymi włosami. Jego matka musiała być piękną kobietą.

Tymczasem steward dopełnił ostatnich formalności, pożegnał się i zostawił ich samych.

- Max? - Connor pochylił się, wyciągając dłoń na powitanie. - Jestem pan Evans, przyjaciel twojej mamy.

Chłopiec nieśmiało uścisnął jego rękę.

- Bardzo mi miło pana poznać.

Coś w głosie chłopca sprawiło, że na obronnej skorupie Michele pojawiło się drobne pęknięcie. Poczwała, że mogłaby go polubić. Natychmiast jednak skarciła się za to w myślach. Nawet jeżeli był słodkim i grzecznym dzieckiem, był też nieślubnym synem Connora. Wyprostowała się i przybrała obojętny wyraz twarzy.

- A ja jestem pani Evans - przedstawiła się bez podania ręki.

- Bardzo mi miło panią poznać.

- Jadłeś już kolację? - zapytał Connor, z trudem opanowując wzruszenie.

- Tak, proszę pana. W samolocie.

- No tak, oczywiście. - Connor klepnął się otwartą dłonią w czoło. - Bardzo się cieszymy, że do nas przyjechałeś.

Jego zachowanie coraz bardziej zaczynało ją irytować. Pod maską nonszalancji cały aż się trząsał z emocji. Do tej pory tylko trzy razy widziała go w podobnym stanie. Pierwszy raz przed czternastu laty, gdy brali ślub, a potem jeszcze tylko dwukrotnie, gdy przychodziły na świat Elizabeth i Susan.

Nagły przypływ nienawiści wypełnił jej serce. Jak śmiał patrzeć w ten sposób na chłopca, którego dopiero co spotkał? Czy przyjazd tego dziecka naprawdę znaczył dla niego tyle samo, co tamte wydarzenia? A jeśli nawet, mógłby przynajmniej tego tak nie okazywać, wiedząc, że ona na to patrzy. Miała wrażenie, że podłoga usuwa jej się spod stóp.

Connor nie zwracał na nią uwagi. Wziął malca za rękę i, uśmiechając się do niego, powiedział:

- Chodź, Max. Pójdziemy po twój bagaż.

Michele ruszyła w ślad za nimi, mimo że serce podpowiadało jej, by się zatrzymała. Starła się dotrzymać im kroku, ale gęstniejący tłum pasażerów sprawił, że została nieco z tyłu, jak gdyby w hali przylotów nie było wystarczająco dużo miejsca, by mogli iść we trójkę. To nie był przypadek. Nie było miejsca dla ich trójki ani na lotnisku, ani w życiu. Już wkrótce Connor będzie musiał wybrać, z kim chce zostać. Albo ona, albo chłopiec.

Gdy dotarli do karuzeli bagażowej, Connor zapytał Maxa:

- Pamiętasz, jak wygląda twoja torba podróżna?

- Tak, proszę pana - Max popatrzył na niego zielonymi oczami. - Taka podłużna, niebieska, z zamkiem błyskawicznym i dwiema kieszeniami.

- Taka torba-jamnik?

- Tak, zgadza się. Ramey też ją tak nazwała.

Michele, skrzyżowawszy ręce, przyglądała im się z boku. Connor zachowywał się tak, jakby poza nim i chłopcem na świecie nie było nikogo. Już się z nim zaprzyjaźnił, już się nim zachwycał, już nawiązywała się między nimi nić porozumienia.

- Zamiast tak stać, może pomogłabyś nam znaleźć torbę Maxa, co? - jego głos wyrwał ją z zamyślenia.

Chłopiec obrócił się w jej stronę i wtedy po raz pierwszy ich spojrzenia spotkały się na dłużej. Może i wyglądał jak Connor, ale miał oczy matki. Patrząc na niego, miała wrażenie, że stoi przed nią tamta kobieta i, trzymając jej męża za rękę, szydzi z niej i bezczelnie naśmiewa się z jej naiwności.

- Oczywiście... - Michele wykrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu, przenosząc wzrok na taśmociąg z bagażami. - Niebieska torba-jamnik.

Chłopiec też zaczął jej wypatrywać i po chwili rozległ się jego radosny okrzyk:

- Widzę ją! Tam jest!

- Poczekaj, ja ją wezmę - Connor sięgnął po wskazaną torbę i bez najmniejszego wysiłku zarzucił ją sobie na ramię. Gdy tak stał obrócony do niej bokiem, Michele zauważyła przyczepioną do torby plakietkę z napisem „Kiahna Siefert, Western Island Air”.

Widok tej plakietki dokonał w jej duszy ostatecznego spustoszenia. Uświadomił jej ponad wszelką wątpliwość, że mąż, któremu bezgranicznie ufała, zdradził ją i miał z inną kobietą dziecko.

Patrząc, jak Connor bierze Maxa za rękę, Michele pojęła, że choć wizyta chłopca dopiero się rozpoczynała, on właściwie już się zdecydował. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że gdyby przyszło mu teraz wybierać, z kim chce związać swą przyszłość, wcale nie wybrałby jej. Znała go nie od dziś i, widząc, jak trzyma tego malca za rękę, wiedziała, że nigdy nie będzie chciał go puścić.

## ROZDZIAŁ XVI

Connor obawiał się, że jego serce tego nie wytrzyma. Targały nim skrajne emocje. Wyjeżdżając na autostradę, czuł się psychicznie wyczerpany. Zdawał sobie sprawę, że scena, która przed zaledwie paroma minutami rozegrała się na lotnisku, mogła mieć druzgocący wpływ na Michele. Obwinał się za to, ale jednocześnie przyszłość jawiła mu się w jasnych barwach. Mieniła się radosnymi kolorami, których wcześniej sobie nawet nie wyobrażał. Powód tego był prosty, miał syna.

Jadąc do domu, nie przestawał myśleć o odczuciach, które wzbudziło w nim spotkanie z Maxem. Gdy tylko go zobaczył, wiedział, że ten chłopiec jest jego synem. Max był śliczny i urzekający, dokładnie taki, jak mówił Marv Ogle, a jego podobieństwo do Connora rzucało się w oczy. Te same rysy twarzy, ten sam podbródek, takie samo czoło.

Connor od razu pokochał go całym sercem. Ale dopiero, gdy wziął go za rękę, przekonał się o tym w pełni. Poczuł łączącą go z synem więź. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiego uczucia. Radość mieszała się w jego duszy ze smutkiem i wyrzutami sumienia. Oto stał przed nim jego syn, o istnieniu którego przez tak wiele lat nie wiedział. Przegapił jego narodziny, jego pierwszy uśmiech, pierwsze chwiejne kroki i pierwszy dzień w szkole. Nie dane mu było patrzeć, jak Max po raz pierwszy próbuje napisać swoje imię lub pierwszy raz stara się odbić piłkę bejsbolowym kijem.

Wszystkie te chwile minęły bezpowrotnie.

Radował się jednak, bo los sprawił, że odnaleźli się w końcu. Nie mógł pozwolić na to, by ich drogi znowu się rozeszły. Musiał tylko przekonać do tego Michele.

Spoglądając w lusterko wsteczne, Connor napotkał wzrok syna.

- Floryda wygląda zupełnie jak Hawaje - powiedział Max z nieśmiałym uśmiechem.

- Tak, trafna uwaga - Connor również odpowiedział uśmiechem. Szybki rzut oka na Michele upewnił go, że ta krótka wymiana zdań trafiła ją w czuły punkt. Odwróciła się do okna, odmawiając udziału w dalszej

rozmowie.

Po pięciu minutach pełna napięcia cisza stała się nie do zniesienia. Connor włączył radio i raz za razem naciskał przycisk wyboru częstotliwości, nie mogąc się zdecydować, którą stację nastawić. W końcu dość przypadkowo wybrał jakąś rozgłośnię nadającą muzykę country. Z głośników popłynęły dźwięki God Bless the USA Lee Greenwooda.

Max nic nie mówił, tylko podziwiał widoki. Connor co chwilę zerkał na jego odbicie we wstecznym lusterku. Kiahna jako matka wykonała kawał dobrej roboty. Max był bardzo grzeczny i dobrze wychowany, chociaż trochę nieśmiały. Connor miał jednak wrażenie, że nieśmiałość wynikała raczej z sytuacji, w której się znalazł, niż z jego charakteru.

Skoro Max i Michele nie chcieli rozmawiać, Connor postanowił wziąć to na siebie. Przez całą drogę gadał jak najęty, opowiadając o Elizabeth i Susan, planowanej wycieczce nad jezioro i różnych innych rzeczach. Choć starał się, by brzmiało to naturalnie, atmosfera napięcia nie zelżała ani trochę.

Powrót do domu zajął im pół godziny. Była dopiero siódma wieczorem. Dziewczyny na pewno jeszcze nie spały, nie mogąc się doczekać spotkania z synem przyjaciółki tatusia. Kilka dni wcześniej Connor powiedział im o Maxie i wyjaśnił, że chłopiec zostanie u nich przez dwa tygodnie i pojedzie razem z nimi pod namiot.

Nie wydawały się tym szczególnie zmartwione. Ciekawiło je głównie to, czy ich nowy kolega przywiezie ze sobą własny śpiwór. Susan dopytywała się, czy Max lubi wspinać się po drzewach, a Elizabeth zastanawiała się głośno, czy jest wystarczająco duży, żeby jeździć na rowerze po ulicy. Connor nie zauważył u nich żadnych obaw lub wątpliwości, o których wspominała Michele.

Michele wysiadła z samochodu i bez słowa weszła do domu, zostawiając ich samych. Connor wziął od Maxa jego torbę i pomógł mu wygramolić się z auta.

- Czy cały ten dom należy do pana? - niespodziewanie zapytał Max.

- No, niezupełnie - odparł Connor, nie do końca pewien, co chłopiec miał na myśli. - Należy też do mojej żony i moich córek.

- Tak, ale... - Max popatrzył przez ramię na przestronny garaż, a potem powiódł wzrokiem po budynku w stronę drzwi wejściowych. - Jest taki duży. Myślałem, że może... może mieszkają tu też inne rodziny.

- Nie - Connor uśmiechnął się dobrodusznie. No tak, powinien był się domyślić. Przecież Max wychował się w bloku. Samotnej matki raczej nie było stać na kupno domu. - Tylko my tu mieszkamy.

Wziął go za rękę i głównym wejściem weszli do środka, kierując się do salonu.

- Gotowy na spotkanie z dziewczynami?

- Gotowy - Max pokiwał twierdząco głową.

Elizabeth i Susan czekały na nich, siedząc grzecznie na kanapie. Connor miał nadzieję, że Michele też tam będzie, lecz ona przepadła gdzieś bez śladu. Na ich widok dziewczynki zeskoczyły na podłogę i podeszły się przywitać. Elizabeth, widząc, że Max trzyma jej tatę za rękę, zmarszczyła lekko brwi. Max natychmiast puścił dłoń Connora. Twarz Elizabeth rozpogodziła się i pojawił się na niej przyjazny uśmiech.

- Cześć... Ty musisz być Max.

Max potwierdził skinieniem głowy:

- Cześć.

Susan, nie bawiąc się w zbędne konwenanse, zaproponowała:

- Chcesz zobaczyć mój nowy zestaw Lego?

- Masz klocki Lego? - oczy Maxa zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Pewno. Nie wszystkie dziewczynki bawią się lalkami. - Roześmiała się rozkosznie, skutecznie rozładując napięcie. Zanim Max zdążył odpowiedzieć, ruszyła w stronę schodów, zapraszając go gestem, by do niej dołączył. Chłopiec chciał iść za nią, ale zatrzymał się w pół kroku, doszedłszy do wniosku, że powinien najpierw poprosić Connora o pozwolenie.

- Mogę? Mogę pobawić się z nimi?

Connor poczuł ciepło rozlewające się w jego sercu. To były jego dzieci. Cała trójka. Po raz pierwszy razem. Wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Oczywiście, Max. Idźcie się bawić.

Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać. W mgnieniu oka Elizabeth, Susan i Max byli już w połowie schodów.

- Jak leciało ci się samolotem? - zagadnęła rzeczowa jak zwykle Elizabeth. - Ja nie cierpię turbulencji.

- Ja też. Ale było fajnie. Prawie w ogóle nie rzucało.

- Hej, Max, wiesz co? - Susan nie zamierzała dać się zepchnąć na drugi plan.

Determinacja, z jaką jego córki starały się sprawić, by Max poczuł się jak u siebie w domu, chwyciła Connora za serce, ale jednocześnie wzmogła w nim poczucie winy. Jak będą się czuły, gdy poznają prawdę?

- Mam zestaw Lego z samolotem i statkiem kosmicznym i jeszcze parę innych - nie przestawała trajkotać Susan, najwyraźniej zdecydowana pokazać Maxowi całą kolekcję klocków za jednym zamachem.

- Ojejku! Pozwolisz mi się nimi pobawić?

Ich głosy w końcu ucichły i dopiero wtedy Connor zorientował się, że przez cały ten czas wstrzymywał oddech. Musiał teraz odnaleźć Michele, by z nią porozmawiać, zapytać o pierwsze wrażenia, dowiedzieć się, dlaczego zostawiła ich samych. Dlaczego nie zdobyła się na odrobinę wysiłku, by choć na chwilę odrzucić uprzedzenia i dać Maxowi szansę?

Najpierw jednak wszedł do swojego gabinetu i otworzył górną szufladę biurka, w której pod stertą papierów trzymał trzy oprawione w ramki fotografie. Wyciągnął je ostrożnie i położył na blacie jedną na drugiej. Wziął pierwszą z nich i zaczął jej się uważnie przyglądać. Zrobiona została w dniu promocji w West Point i przedstawiała go w towarzystwie ojca. Connor obejmował go lewym ramieniem, a prawe dłonie mieli złączone w uścisku. Zawsze lubił to zdjęcie, bo ojciec był wtedy z niego naprawdę dumny.

Podniósł zdjęcie i, wpatrując się w oczy ojca, starał się rozszyfrować jego spojrzenie. Nie znalazł w nim niczego, co mogłoby świadczyć, że kiedyś ich drogi na zawsze się rozejdą. Uświadomił sobie natomiast coś innego. Ojciec zawsze był dumny z jego osiągnięć, ale nigdy nie powiedział mu, że jest dumny z niego jako syna.

Myśl ta przywołała inne wspomnienie. Mniej więcej rok przed kłótnią, w wyniku której zerwali ze sobą wszelkie kontakty, podczas odwiedzin na ranczo w Cambrii Connor wybrał się z Elizabeth na spacer do ogrodu na tyłach domu. Trzymając córkę za rękę, asekurował ją przed upadkiem na żwirową ścieżkę.

Ojciec zobaczył ich z oddali i raczej warknął, niż spytał:

- Co tam robicie?

Connor uśmiechnął się, licząc na to, że ojciec odwzajemni uśmiech, lecz on tylko patrzył na niego srogo z rękami opartymi na biodrach.

- Pomagam mojej małej spacerować, tato. Przejdziesz się z nami?

- Za bardzo ją rozpieszczasz. Ma już dwa lata. Może chodzić sama - ojciec pokręcił głową z dezaprobatą i odszedł, mruczając coś pod nosem o samodzielności i umiejętności podejmowania wyzwań.

W głowie Connora kłębiły się teraz te same myśli, co wtedy, jak można sprowadzać wszystko do kwestii samodzielności w przypadku dwuletniego dziecka? A gdzie miejsce na miłość? Czy aby nie z tego właśnie powodu nigdy nie byli ze sobą blisko? Owszem, ojciec nauczył go samodzielności, ale nigdy nie nawiązał z nim głębszej więzi uczuciowej.

Connor odłożył zdjęcie do szuflady i sięgnął po następne. Był to portret rodzinny. Zrobiono go, gdy Connor chodził do pierwszej lub drugiej klasy szkoły średniej. W pierwszym rzędzie, w środku znajdowała się uśmiechnięta i pogodna mama. Connor taką ją pamiętał. Po jej bokach siedziały frzy jego młodsze siostry, które przyszły na świat rok po roku. Z tyłu dumnie stali ojciec i on. Fotograf zaproponował, by Connor usiadł obok swojej najstarszej siostry, dzięki czemu na zdjęciu mama siedziałaby w otoczeniu czwórki swoich dzieci. Ale Loren Evans nawet nie chciał o tym słyszeć. „Connor nie jest już dzieckiem, jest mężczyzną - stwierdził tonem nieznoszącym sprzeciwu - Będzie stał razem ze mną z tyłu”.

Te słowa wydawały się mu tak samo niezrozumiałe wtedy, jak i teraz. „Connor nie jest już dzieckiem, jest mężczyzną”. Ile miał wtedy lat? Szesnaście? Na pewno nie więcej niż siedemnaście. Co złego było w byciu dzieckiem? Czyżby to był kolejny powód, dla którego ich wzajemne relacje nie układały się najlepiej. Ojciec nigdy nie patrzył na niego tak, jak on przed chwilą patrzył na Maxa.

Connor nigdy nie dostrzegł w jego spojrzeniu miłości, zachwytu i podziwu. Dostrzegał w nich co najwyżej dumę, nic ponadto.

Na zdjęciu siostry Connora wyglądały na trochę spięte i jakby lekko zdenerwowane, a przecież wszystkie były radosnymi i wesołymi dziewczętami. Z czasem powychodziły za mąż i pozakładały rodziny. Ale tamtego dnia bały się ojca. Potrafił być duszą towarzystwa, częstować wszystkich własnoręcznie ukręconymi lodami, grać z nimi w krokieta, ale jednocześnie miał w sobie coś z sierżanta, który ma wszystko pod kontrolą i rozstawia innych po kątach. Na potrzeby rodzinnej fotografii poustawiał ich według własnego uznania i w jednej chwili z wesołych z natury dzieci zrobił gromadkę wystraszonych rekrutów, jakże inaczej mogłoby wyglądać to zdjęcie, gdyby po prostu stanął z tyłu i pozwolił im zachowywać się naturalnie.

Przyglądając się twarzom na fotografii, Connor zauważył, że z jego spojrzenia najtrudniej byłoby coś wyczytać. A przecież w dniu, kiedy zrobiono to zdjęcie, jego najlepszy przyjaciel Mike Estes wyprowadził się z rodzicami na drugi koniec miasta. Connor wciąż miał przed oczami twarz Mike'a patrzącego zza szyby samochodu znikającego za rogiem ulicy. Pamiętał, że miał wtedy ochotę pobiec do lasu, by spędzić parę godzin w samotności. Zamiast tego musiał pozować do rodzinnej fotografii.

Widząc jego nietęgą minę, ojciec wziął go na bok i udzielił mu krótkiej lekcji.

- Żadnego rozczulania się nad sobą, synu - powiedział, wygładzając kłapy marynarki Connora. - Uśmiechniesz się ładnie podczas robienia zdjęcia, a potem przeberzemy się i pójdziemy na lody. - Ujął go pod

brodę i, unosząc ją ku górze, spojrział głęboko w oczy syna. - Przyjaciele pojawiają się i znikają, Connor. Musisz pogodzić się z tym faktem.

Wpatrywał się teraz w zdjęcie, usiłując zinterpretować wyraz oczu ojca. „Wciąż trwasz w tym przekonaniu, tato? Nadal uważasz, że w życiu ludzie pojawiają się i znikają, i należy się z tym pogodzić?”.

Smutek wypełnił jego serce, bo odpowiedź była oczywista. Jego ojciec nadal tak uważał. Gdyby było inaczej, już dawno znalazłby jakiś pretekst, by zadzwonić, niezależnie od tego, czy zmienił zdanie w sprawie tamtej pożyczki, czy nie. Jego milczenie przez wszystkie te lata było tylko kolejnym dowodem na to, że nigdy tak naprawdę nie odczuwał więzi emocjonalnej z własnym synem.

Connor odłożył zdjęcie do szuflady i na chwilę zamknął oczy. Nigdy nie potrafiłby w ten sposób potraktować swoich dzieci; ani córek, ani syna. Teraz, gdy poznał już Maxa, nie wyobrażał sobie życia bez niego. Gdyby chłopiec z jakiegoś powodu musiał zostać odesłany na Hawaje, na pewno by się z tym nie pogodził.

Otworzył oczy, sięgając po trzecie zdjęcie. Na jego widok serce zabiło mu mocniej. Właśnie tego zdjęcia szukał. Była to fotografia jego ojca, gdy miał osiem, może dziewięć lat. Connor ujrzał na niej dokładnie to, czego się spodziewał. Resztki wątpliwości rozwiały się ostatecznie. Max był lustrzanym odbiciem jego ojca. Owszem, był też podobny do niego, ale podobieństwo między nim a młodym Lorenem Evansem było wprost uderzające. Connor patrzył na trzymaną w rękę fotografię i zastanawiał się, co mogło spowodować, że ten radosny i ufnie patrzący w przyszłość chłopiec tak bardzo się zmienił po wkroczeniu w wiek dorosłości.

- Tato, gdybyś tylko zachował w sobie trochę z tego chłopca, którym kiedyś byłeś - powiedział ledwie słyszalnym szeptem. - Szkoda, że nie możesz zobaczyć swojego wnuka. Ma na imię Max. Wiesz co, tato... jest do ciebie podobny jak dwie krople wody.

Im dłużej wpatrywał się w to zdjęcie, tym większy smutek odczuwał. Smutek, złość i frustrację z powodu tego wszystkiego, co w jego życiu poszło nie tak, jak powinno. Odczuwał żal i wyrzuty sumienia nie tylko z powodu romansu z Kiahną, nie tylko z powodu cierpienia, które zadał Michele, nie tylko dlatego, że dopiero po ośmiu latach dowiedział się o narodzinach syna, ale przede wszystkim dlatego, że jego ojciec nigdy nie dowie się, że ma wnuka.

Zdał sobie sprawę, że ból z tym związany nigdy nie minie. I właśnie wtedy, patrząc na te stare fotografie, postanowił, że jednak zadzwoni do pastora. Jednak nie po to, by zrzucić z siebie ciężar ostatnich ośmiu lat. Rozpaczliwie potrzebował, by ktoś pomógł mu podjąć decyzję, na którą w obecnej sytuacji, wewnętrznie rozdarty, nie potrafił się zdobyć. Pragnął, aby ktoś wskazał mu właściwą drogę.

## ROZDZIAŁ XVII

Max nie bał się ciemności, przynajmniej nie wtedy, gdy był u siebie w domu. Jednak tym razem po raz pierwszy nocował u ludzi, których nie znał, i nic nie było takie, jak powinno. Wprawdzie pani Evans kazała wszystkim dzieciom umyć zęby i położyć się spać, ale chłopiec był pewien, że dziewczynki jeszcze nie śpią, gdyż słyszał ich głosy w korytarzu.

W domu Evansów wszyscy mieli własne sypialnie, nawet on. Po tym, jak Max skończył bawić się klockami



Lego, pan Evans zaprowadził go do jego pokoju. Łóżko, które tam zobaczył, było chyba większe niż pokój, w którym sypiał w domu. Gdyby był z nim Buddy, mogliby się na nim obaj wyciągnąć i jeszcze zostałyby miejsce dla mamy. Ale mamy już nie było. Max wiedział, że już nigdy nie utuli go do snu.

Przewracał się z boku na bok w ogromnym łóżku, nie mogąc zasnąć. Mrużąc oczy, obserwował migoczące za oknem gwiazdy. Czy gdzieś tam jest niebo? Gdzieś tam, za księżycem i gwiazdami? Musi tam być, bo zawsze, gdy mowa jest o niebie, ludzie spoglądają w górę. Wynika z tego, że musi być jeszcze wyżej niż gwiazdy i księżyc.

Jak powiedziała mu w szkole nauczycielka jeszcze przed wyjazdem na Florydę, gwiazdy i księżyc są bardzo daleko. To znaczy, że przebywająca w niebie mama jest jeszcze dalej. Poczul, jak znów wilgotnieją mu oczy. Zawsze miał wilgotne oczy, bo to wszystko było nie fair, właśnie dlatego.

Obrócił się na drugi bok i zaczął rozmyślać o rodzinie Evansów. W sumie byli dla niego mili. Susan miała fajniejsze klocki Lego niż Kody i Carl, i w ogóle wszystkie dzieci z klasy pani Watson. Prawdopodobnie nie było drugiej takiej kolekcji Lego na świecie. Ale z panią Evans coś było nie tak. Była bardziej wyciszona niż większość mam. Nawet zastanawiał się, czy nie boli ją brzuch albo głowa. Jego mamusia czasami skarżyła się na ból głowy i wtedy rzadko się uśmiechała. To znaczy dawniej, bo teraz już nie. Ramey mówiła mu, że w niebie nie ma już bólu ani łez. To dobrze, że jego mamy nic już nie będzie boleć. Na myśl o tym uśmiechnął się do siebie.

Dochodzące z oddali głosy nasiliły się. Max wpadł na pewien pomysł. Może udałoby mu się ukradkiem wyjść z pokoju i podsłuchać, o czym mówią. Lubił czasami tak robić, gdy jego mama rozmawiała przez telefon lub gdy tuż przed świętami odwiedzała ją koleżanka, żeby pomóc przy pakowaniu prezentów.

Ale teraz było inaczej. To nie był jego dom i możliwe, że tym ludziom nie spodoba się, iż obcy chłopiec podsłuchuje pod drzwiami, o czym rozmawiają. Z drugiej jednak strony tak bardzo chciał usłyszeć, o czym mówią. Może akurat chodzi o niego, o to, jak się czuje. Gdy usłyszy ich słowa, po prostu wystawi głowę zza drzwi i sam im o wszystkim opowie.

Im więcej o tym myślał, tym większą miał na to ochotę. W końcu usiadł na brzegu łóżka, zeskoczył cicho na podłogę i na palcach ruszył w stronę drzwi. Otworzył je ostrożnie i wychylił głowę. Korytarz pogrążony był w mroku, jedynie na drugim jego końcu spod niedomkniętych drzwi sączyła się strużka światła.

Max był niemal pewien, że światło paliło się w pokoju Elizabeth. Bezszelestnie skierował się w tamtą stronę, zatrzymując się o krok od uchylonych drzwi. Oddychał głośno, a serce waliło mu jak młot. Odczekał chwilę, by opanować nierównomierne bicie serca, po czym oparł się o ścianę i zaczął nasłuchiwać.

- Wciąż czegoś tu nie rozumiem.

Przyczajony pod drzwiami Max pokiwał do siebie głową. Tak, to Elizabeth. Była poważniejsza od Susan, a jej głos brzmiał bardziej dorośle, a to oznacza, że nie wypadało jej już się ze wszystkiego śmiać.

- Elizabeth, mówiłam ci już, że to najlepsze, co możemy zrobić - przerwała jej pani Evans trochę urażonym tonem. - Tatuś przyjaźnił się z mamą Maxa. Ona zginęła w katastrofie lotniczej dwa tygodnie temu, a w testamencie prosiła, żeby Max mógł spędzić u nas kilka tygodni.

- W testamencie? Mamo, nie wydaje ci się to dziwne?

Serce Maxa zabiło mocniej. Czy one sprzecząją się z jego powodu? Spojrzał na swoją pierś. „Dobra, słuchaj

moje serduszko... Bądź cicho". Wypowiedziawszy te słowa w myślach, westchnął głęboko, jak robiła to Ramey, gdy była zdenerwowana. Najwyraźniej to pomagało, bo jego rozkołatane serce trochę się uspokoiło.

- Tak, Elizabeth, mnie też wydało się to dziwne. Ale taka jest prawda. Mama Maxa napisała list, w którym prosiła swojego adwokata, żeby odszukał tatusia. Chciała, żeby Max spędził u nas dwa tygodnie, zanim wyjedzie na Hawaje.

Na chwilę zapanowała cisza.

- Czy tato lubił mamę Maxa?

- Oczywiście, że ją lubił, kochanie. Przyjaźnili się.

- Nie o takie lubienie mi chodzi, mamó. No wiesz... czy ją lubił? jak swoją dziewczynę?

W korytarzu Max wstrzymał oddech. On też się nad tym zastanawiał, jego mama w zasadzie nigdy nie miała chłopaka, więc może pan Evans był dla niej kimś takim. Max jeszcze mocniej przylgnął do ściany, starając się oddychać bezgłośnie.

- Słuchaj, Elizabeth, jest już późno. Pora iść spać.

- Dobrze, ale nie podoba mi się to. A jeśli tato naprawdę był zakochany w mamie Maxa? A jeśli on teraz żałuje, że nie może być z nią?

- Ta kobieta nie żyje, Elizabeth. Nie ma powodu martwić się o to, czy tato chce z nią teraz być.

- Teraz nie, ale wcześniej.

- Elizabeth, przestań! Kładź się, zanim stracę cierpliwość.

Łzy powróciły i Max czuł, jak spływają mu po policzkach. Nie chciał, żeby Elizabeth czy jej mama widziały, jak płacze, więc pośpiesznie wycofał się do swojego pokoju z wielkim łóżkiem. Elizabeth i pani Evans spierały się z jego powodu. Dobrze o tym wiedział. Nie rozumiał jednak, dlaczego. Dlaczego rozmawiały takim tonem, jakby były złe na jego mamę? Jeśli mama i pan Evans przyjaźnili się, chyba powinny ją lubić, a nie odwrotnie.

W rozświetlanym blaskiem księżyca półmroku sięgnął pod poduszkę i wyciągnął spod niej swoją Biblię. Ramey włożyła pomiędzy jej kartki cztery rzeczy: list do pani Evans, list przeznaczony dla niego, zdjęcie Buddy'ego i zdjęcie mamy. Kopertę zaadresowaną do pani Evans odłożył na brzeg poduszki, po czym wziął do ręki tę drugą i otworzył ją. Ramey napisała list dużym pismem, żeby mógł go przeczytać samodzielnie bez niczyjej pomocy.

Mój drogi Maksiu!

Gdy będziesz smutny, przeczytaj ten list, a może wtedy poczujesz się lepiej. Kocham Cię bardzo i twoja mama bardzo Cię kocha, i Pan Jezus także. Pamiętasz, jak mama śpiewała Ci pewną piosenkę? Jeśli masz ochotę, możesz ją teraz zaśpiewać. Pamiętaj, że nie jesteś sam, Max.

Całuję Cię mocno.

Ramey

Max otarł łzy rękawem piżamy i pokiwał głową, wpatrując się w trzymany w ręku list. Ramey miała rację. Powinien zaśpiewać piosenkę mamusi. Odchrząknął delikatnie i zaczął nucić półgłosem:

- „Nad życie kocham synka mojego, na śniadanie chcę zrobić mu coś pysznego...”.

Chciał dokończyć, ale w tej samej chwili ścisnęło go za gardło. Wiedział, że to z powodu tęsknoty za mamą.

Właśnie dlatego. Tęskniło za nią nie tylko jego serce, nie tylko jego rączki i nóżki, ale też jego oczy. Było tak, bo za każdym razem, gdy chciał ją zobaczyć, nie było jej w pobliżu. Brakowało mu jej tak bardzo, że niemal czuł obok siebie jej obecność. W tym momencie przypomniał sobie, jak kończy się piosenka. „Choć rozdziela nas ocean, w Twoim sercu jestem ja”.

Tak! Pociągnął nosem i ponownie wytarł łzy. Przecież zawsze mu to powtarzała. A niebo jest co najmniej tak samo daleko jak drugi brzeg oceanu. Max wziął kilka szybkich oddechów, a następnie starannie złożył list od Ramey i wsunął go z powrotem do koperty. Wiedząc, że mama jest w jego sercu, mógł spokojnie przyjrzeć się kolejnej cennej pamiątce. Było to zdjęcie przedstawiające Buddy'ego. Oczy psa zdawały się mówić: „Cześć, Max. Stęskniłem się za tobą”.

- Cześć Buddy... Ja też za tobą tęsknię. Mam nadzieję, że jesteś dobry dla Ramey.

Chłopiec przez chwilę liczył coś w myślach.

- Jeszcze tylko trzynaście dni i znowu się zobaczymy, Buddy. Postaram się przyjechać jak najszybciej.

Leciutko poklepał psa na fotografii i schował ją między kartki swojej Biblii.

W końcu sięgnął po zdjęcie mamy. Była najpiękniejszą mamusią na świecie. Miała miłe w dotyku dłonie, pogodną twarz i roześmiane oczy. Lubiała grać z nim w piłkę i biegać po plaży. Nikt nie mógłby być piękniejszy od niej. Przez dłuższą chwilę Max wpatrywał się w jej fotografię, a potem jeszcze raz przypomniał sobie koniec ułożonej specjalnie dla niego piosenki. „Choć rozdziela nas ocean, w Twoim sercu jestem ja”.

Ziewnął cichutko i wsunął się pod kołdrę. Biblię wraz z pozostałymi skarbami odłożył na stolik przy łóżku, przypadkiem strącając na podłogę list do pani Evans. Nie przejął się tym. Postanowił, że podniesie go rano.

Zostawił sobie jedynie zdjęcie mamy. Zanim zasnął, pocałował ją w policzek, a jego buzię rozjaśnił uśmiech.

- Kocham cię. Mam nadzieję, że Pan Bóg powie ci ode mnie cześć.

Przycisnął zdjęcie do serca, usiłując wyobrazić sobie mamę stojącą tuż obok, która mówi, że wszystko będzie dobrze. „Bądź dzielny i silny, syneczku - niemal słyszał jej słowa. - Dzielny i silny. Zobacysz, wszystko będzie dobrze”.

Wciąż tuląc do siebie zdjęcie mamy, Max zamknął oczy. Widział w myślach jej twarz i wsłuchiwał się w jej głos. Zanim zmorzył go sen, prawie już zapomniał o pani Evans i jej córce Elizabeth, a także o tym, że być może nie lubiły one ani jego samego, ani jego mamusi. Gdy zasypiał, myślał tylko o jednym: mama wcale nie była gdzieś daleko. Wszystko to, o czym mu mówiła, było prawdą. Gdy tylko tego zapragnie, ona będzie przy nim, w jego sercu, tam, gdzie zawsze.

## ROZDZIAŁ XVIII

Układając Elizabeth do snu, Michele miała nadzieję, że tego wieczoru nie usłyszy już więcej trudnych pytań. Nadzieja ta okazała się złudna.

- Naprawdę uważasz, że byli tylko dobrymi przyjaciółmi? Tato i mama Maxa?

Michele ciężko westchnęła i uklękła przy łóżku córki.

- To było dawno temu, kochanie. Wiem tylko, że się przyjaźnili.

Oczywiste kłamstwo zaszczepało ją w język i wywołało kolejny potok myśli. Co powiedzą ich córki, gdy usłyszą całą prawdę? Czy trudniej im będzie zrozumieć to, że ojciec dopuścił się zdrady, czy może to, że je okłamywał? Jak zareagują na wieść, że ten chłopiec, którego dziś poznały, to nie tylko dziecko znajomej ich taty, ale również jego syn?

A co z zaplanowanym wyjazdem nad jezioro? Michele nie wyobrażała sobie, że przez tydzień będzie w stanie udawać, że nic się nie stało, że ich życie jest takie jak dawniej. Nie potrafiła znaleźć choćby jednego powodu, dla którego powinna tam pojechać z Connorem. Zadając sobie w myślach te pytania, machinalnie zaczęła masować ramiona Elizabeth. Czując pod palcami jej naprężone mięśnie, zorientowała się, że Elizabeth jest bardzo spięta. Dziewczyny najwyraźniej coś podejrzewały, w szczególności Elizabeth, która była już na tyle duża, żeby nie dać się omamić opowiastką o przyjaźni taty z jakąś panią, której dziwnym trafem nikt nigdy wcześniej nie widział.

- Położysz się przy mnie, mamó? Proszę... - Elizabeth chwyciła jej rękę i przytuliła ją do twarzy. - Nie mogę zasnąć.

Zasypianie u boku Elizabeth lub Susan było jedną ze zmian, które zaszły w życiu Michele od czasu pojawienia się Maxa. Wolała to niż kolejną bezsenność w małżeńskiej sypialni, strawioną na rozmyślaniach.

- No dobrze - zgodziła się z udawanym ociąganiem. - Posuń się.

Elizabeth przesunęła się, robiąc dla niej miejsce obok siebie. Michele położyła się na boku i masowała plecy córki, dopóki nie poczuła, że mięśnie wzdłuż kręgosłupa Elizabeth rozluźniły się. Zgasiła lampkę nocną i przez chwilę przyzwyczajała oczy do ciemności.

- Dlaczego nigdy wcześniej nam o niej nie powiedział? - zapytała Elizabeth, unosząc głowę znad poduszki.

Michele czuła się słaba i zmęczona i najchętniej zignorowałyby to pytanie.

- O kim?

- O mamie Maxa - w głosie Elizabeth pojawiła się nutka zniecierpliwienia. - Dlaczego powiedział nam o niej dopiero wtedy, kiedy umarła?

- Bo wtedy, kiedy się przyjaźnili, byłaś jeszcze bardzo malutka - odparła Michele, wpatrując się w sufit.

- Ale przecież przyjacielem jest się na zawsze? Dlaczego wtedy byli przyjaciółmi, a potem już nie?

- A skąd ja mogę wiedzieć? - Michele podparła się na łokciu. - Dowiedziałam się o niej dzień wcześniej niż ty - dodała, starając się mówić możliwie łagodnym tonem. - Nie gadaj tyle, tylko śpij. Porozmawiamy o tym jutro.

- Dobrze - Elizabeth opadła na poduszkę. Ziewnęła i sennym głosem powiedziała: - Słodkich snów, mamó.

- Śpij smacznie, kochanie.

- Kocham cię, mamó.

- A ja ciebie.

W mijającym dniu chyba tylko ta krótka wymiana czułości między matką a córką zdawała się być na właściwym miejscu.

Michele wiedziała, że Connor jest w domu, ale nie miała pojęcia gdzie. Ostatni raz tego wieczora widziała go na werandzie. Potrafił przesiadywać tam godzinami, zupełnie nie przejmując się jej losem, jakby w ogóle nie obchodziło go, że ona w tym czasie umiera z rozpacz. Na myśl o tym serce pękało jej z bólu.

Ciekawe, o czym myślał? Czy zadawał sobie w duchu pytanie, czy warto było przespać się z przygodnie poznaną panienką, podczas gdy w domu czekały na niego żona i dzieci? Czy w ogóle przyszło mu do głowy, że ich życie może już nigdy nie być takie jak przedtem. A może po prostu napawał się myślą, że jego synek jest tak podobny do niego i do jego ojca? A może obmyślał, co zrobić, żeby zatrzymać chłopca na dłużej niż dwa tygodnie?

Michele nie miała pretensji do Elizabeth o pytania, którymi przez cały wieczór ją zasypywała. Sama zadawała je sobie nieustannie, a pełne napięcia rozmowy z Connorem nie tylko nie pomagały jej w znalezieniu odpowiedzi, ale wręcz oddalały ją od nich. Kilka razy odciągał ją na bok, usiłując ją udobruchać, ale te jego nieudolne próby przynosiły skutek odwrotny do zamierzonego i tylko pogarszały sytuację.

Tego dnia przed kolacją przyszedł do niej do kuchni, robiąc teatralnie zmartwioną minę, której jeszcze u niego nie widziała.

- Michele, mogłabyś już przestać! - odezwał się pojednawczo i złapał ją za rękę. - Traktujesz mnie jak obcego człowieka.

- Bo nim jesteś, Connorze - rzuciła mu w twarz, uwalniając dłoń z jego uścisku. - Człowiek, którego znałam i kochałam, był wobec mnie uczciwy, potrafił być ze mną szczery i był mi wierny - wycodziła, wycelowując w niego palec. - Daj mi trochę czasu na oswojenie się z twoim nowym wcieleniem, dobrze? Nie znam człowieka, którym się stałeś.

- Nie zmieniłem się - usprawiedliwiał się zdesperowanym tonem. - To był jednorazowy błąd, Michele. To się zdarzyło tylko ten jeden jedyny raz.

- No cóż, wybaczone, że nie rzucam się ochoczo w nową rzeczywistość, ale nie umiem w niej pływać - odparła pozornie beznamiętnym głosem, w którym wyczuwało się jednak kipiącą w niej wściekłość. - Boję się utonąć, Connorze. Może kiedyś się nauczę i zdołam odnaleźć drogę do brzegu, ale potrzebuję na to czasu.

Odwróciła się do niego plecami i wyszła, nie mając ochoty go oglądać. Przez resztę dnia unikali siebie nawzajem, a teraz było już za późno na powrót do rozmowy. Trzeba było poczekać z tym do rana. A potem co? Czy mieli wstać wcześniej i wybrać się wspólnie do kościoła, jak gdyby ta niedziela wcale nie różniła się od wszystkich dotychczasowych? Czy miała pomóc dziewczynom ładnie się ubrać i zakręcić włosy Elizabeth? Czy miała znaleźć dla siebie strój, w którym nie będzie wyglądać zbyt grubo, i udawać, że towarzyszący im chłopiec to syn dobrej znajomej?

Czuła się zmęczona, ale nie na tyle, żeby od razu zasnąć. Przez jakiś czas leżała w bezruchu i wsłuchiwała się w równomierny rytm oddechu Elizabeth. W końcu, upewniwszy się, że Elizabeth śpi, opuściła nogi na podłogę i na palcach wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Następnie zajrzała do pokoju Susan. Spała, mając ręce i nogi wyciągnięte we wszystkich kierunkach, a jej kołderka prawie zsunęła się na podłogę. Zawsze spała niespokojnie, a teraz doszły jeszcze dodatkowe emocje związane z przyjazdem Maxa. Michele przykryła ją starannie i musnęła wargami jej policzek.

Po drodze do sypialni przystanąła przy drzwiach do pokoju Maxa. Wbrew samej sobie uchyliła je i zaglądnęła do środka. Leżał na boku z podkurczonymi nogami i oddychał miarowo. Na ogromnym łóżku wydawał się jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości. Po raz pierwszy, odkąd chłopiec zjawiał się w ich domu, zrobiło jej się go żal. A przecież od początku zdawała sobie sprawę, że nie był niczemu winien.

Podeszła o krok bliżej. Max tulił coś do piersi, ale w ciemności nie widziała dokładnie, co to było.

Pewnie to zabawka, może pluszowy miś, a może ulubiony kocyk. Przyglądając się śpiącemu chłopcu, próbowała wyobrazić sobie, co działo się w jego sercu. Niespodziewanie stracił matkę, z dnia na dzień przyszło mu zamieszkać w domu opiekunki, a wkrótce potem wsadzono go do samolotu - takiego jak ten, w którym zginęła jego mama - i wysłano do odległego o kilka tysięcy mil miejsca, do rodziny, o której nigdy wcześniej nawet nie słyszał, do zupełnie obcych ludzi.

Musiała uczciwie przyznać, że znosił to wszystko o wiele lepiej niż ona. Przypatrywała mu się przez dłuższą chwilę i miała nawet ochotę podejść do niego, odgarnąć kosmyk włosów, który spadł mu na czoło i szepnąć mu do ucha, że wszystko będzie dobrze, że nikt w tym domu nie wini go za to, co się stało.

Powstrzymała się jednak. Nic dobrego by z tego nie wynikło, a poza tym jego zielone oczy i śniada cera źle jej się kojarzyły. Przecież takie oczy i taką karnację miała kobieta, która uwiodła jej męża. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze, więc czym prędzej wycofała się na korytarz. Czy kiedykolwiek zdołałaby polubić tego chłopca, skoro tak wielką nienawiść żywiła do jego matki? Stąpając jak najciszej, dotarła do sypialni. W pomieszczeniu panował półmrok rozświetlany jedynie smugą światła wpadającą przez uchylone drzwi. Ta odrobina światła wystarczyła, by w lustrzanych drzwiach szafy mogła zobaczyć swoje odbicie.

Michele unikała luster w łazience. Na lustro w holu też starała się nie patrzeć. Co innego wąskie, podłużne lustro na drzwiach szafy. Te były o wiele bardziej przyjazne. Wydłużały ją i wyszczuplały.

Dzięki nim mogła poprawić swoje samopoczucie i poczuć się niemal piękną.

Przyglądała się sobie uważnie, najpierw z boku, potem z przodu. Miała na sobie wąskie spodnie capri sięgające do połowy łydek, z krótkimi bocznymi rozcięciami na nogawkach. Idealne na lato, a nie wymagały pokazywania nóg. Taki krój spodni powinien dawać efekt wyszczuplający, ale czy rzeczywiście tak było? Michele przekrzywiła głowę, taksując krytycznym wzrokiem swoje nogi.

Co się stało z jej ambitnymi planami? Przecież jeszcze w lutym obiecała sobie, że do lata zrzuci zbędne kilogramy. Na podstawie mądrych książek opracowała dla siebie dietę, jajka na śniadanie, sałatka z tuńczyka i jabłko na obiad, kawałek piersi kurczaka i warzywa na kolację. Wszystko rozpisała na kartce w najdrobniejszych szczegółach i obliczyła sobie, że stosując się ściśle do tej diety i pozwalając sobie między posiłkami co najwyżej na pogryzanie migdałów lub jogurt niskotłuszczowy, powinna chudnąć w tempie jednego kilograma na tydzień. Miała nadzieję, że w pierwszym tygodniu będą to może nawet dwa kilogramy.

Michele obrzuciła krytycznym wzrokiem swoją sylwetkę i wygładziła materiał na biodrach. To, co poczuła pod palcami, nappełniło ją obrzydzeniem. Gdzie popełniła błąd? Przecież nie tylko ułożyła dla siebie dietę ale też sporządziła listę rzeczy, od których powinna trzymać się z daleka. Znalazły się na niej między innymi ciasteczka Oreo i lody. Mało tego - obiecywała sobie, że codziennie będzie się modlić o wytrwałość i silną wolę. Ach, gdyby tylko potrafiła być bardziej zdyscyplinowana, gdyby unikała cukru i białego pieczywa, gdyby poprzestała tylko na 1200 kaloriach dziennie, już dawno wróciłaby do wymiarów i wagi sprzed ślubu. Byłaby jakieś dwanaście kilo lżejsza.

Wracając myślami do początków diety, przypomniała sobie, że przez pierwsze dwa dni dzielnie i skutecznie walczyła z apetytem. Trzeciego dnia poczuła się zbyt pewnie, jak gdyby kolejne tygodnie miały być już tylko spacerkiem.

Wspomnienie nabrało ostrości. W szkole Elizabeth był wtedy dzień otwarty. Któraś z matek przywiozła całe pudło ciasteczek z kawałkami czekolady. Ich smakowity zapach unosił się w powietrzu.

- Proszę koniecznie spróbować ciasteczek pani Edwards - zachęcała zgromadzonych wychowawczynie klasy.
- W zeszłym roku dostała za nie pierwszą nagrodę na festynie kulinarnym w Palm Beach.

Pojawiła się pokusa. Wraz z innymi rodzicami Michele podeszła do tacy z wypiekami i zawinęła w serwetkę trzy sztuki, po jednej dla Susan, Elizabeth i Connora. Odłamała kawałek ciasteczka przeznaczonego dla Connora - tak tylko na spróbowanie - i podała mu resztę, ale odmówił.

- Dziękuję bardzo, kochanie, ale po obiedzie czuję się najedzony. Nie mogę już nic w siebie wepchnąć.

Michele wzruszyła ramionami i podeszła do dziewczyn. Tylko Susan dała się skusić. Michele nie pozostało nic innego, jak schować niechciane ciastka do torebki. Nie uchowały się tam długo. Ukradkiem wymknęła się z sali i zjadła oba do ostatniego okruszka. Po powrocie zauważyła, że na tacy zostało ich jeszcze sporo, i gdy Connor zajęty był rozmową z jakimś znajomym, powtórzyła manewr z serwetką. Dzięki temu cały czas miała w torebce zapas dwóch ciastek. Drugą porcję też zjadła przy najbliższej nadarzającej się okazji. Wracając do domu, miała już na koncie sześć sztuk plus dwa w torebce, nie licząc poczucia winy i wyrzutów sumienia. Tamtej nocy długo nie mogła zasnąć, obwiniając się w myślach o brak charakteru, łakomstwo i uzależnienie od węglowodanów.

Następnego dnia rano nie miała już siły zaczynać od nowa. Powiedziała sobie, że koniec z dietą. Zamiast tego postanowiła, że będzie jeść wyłącznie zdrową żywność w rozsądnych ilościach, a waga z czasem sama wróci do normy. Wieczorem już o tym nie pamiętała i, jak gdyby nigdy nic, opychała się lodami razem z Connorem i dziewczynami. Ile lat zmarnowała, martwiąc się o swoją wagę? Dlaczego głupie ciastka okazywały się silniejsze od niej? Parę kilo w górę, parę kilo w dół. Od pierwszej ciąży zawsze to samo.

W owym czasie Connor próbował wyciągnąć do niej pomocną dłoń. Chciał razem z nią ćwiczyć, pilnować, by kupowała tylko niskokaloryczne produkty żywnościowe. Choć miał dobre chęci, swoim zachowaniem wprawiał ją w zażenowanie. Miała wrażenie, że rozlicza ją z każdego kęsa i w efekcie czuła się jeszcze bardziej nieatrakcyjna. Gdy pewnego razu kupiła sobie sukienkę o dwa rozmiary za dużą, Connor nie wytrzymał.

- Co ty wyprawiasz, Michele? - troska w jego oczach wydawała się szczerą i prawdziwą. - Przecież wiesz, że jesteś dla mnie piękna zawsze i wszędzie. Powiedz mi, jak mam ci pomóc.

- Proszę cię, nie rozmawiajmy na ten temat - odparła zdenerwowanym tonem. W głębi ducha miała nadzieję, że Connor zorientuje się, że nie jest zła na niego, tylko na samą siebie.

- Mamy o tym nie rozmawiać? - zrobił skonsternowaną minę.

- Tak - powiedziała już spokojniej, ujmując jego dłoń. - Sama muszę się z tym uporać, dobrze? Za każdym razem, gdy mówisz coś takiego, odnoszę wrażenie, że... sama nie wiem... że jestem brzydka.

Connor ściągnął brwi i przytulił ją czule.

- Nawet przez myśl by mi to nie przeszło, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam - oznajmił, całując ją we włosy. - No i co z tego, że trochę przytyłaś? Nikt przy zdrowych zmysłach nie powie, że jesteś gruba lub masz problem z nadwagą.

- Ja tak uważam - w oczach Michele pojawiły się łzy. - Oczywiście, że jestem za gruba. Dobrze wiesz, jak kiedyś wyglądałam - pociągnęła nosem i odchyliła głowę do tyłu, by lepiej widzieć jego twarz. - Chodzi mi o

to, że lepiej będzie, jeśli najpierw sama postaram się coś z tym zrobić. Dlatego, proszę cię, póki co, nawet o tym nie wspominaj.

- W ogóle?

- W ogóle. Niech to będzie wyłącznie moja sprawa.

Wspomnienie rozpadło się na drobne kawałeczki i uleciało.

To było dziewięć lat temu. Przez dziewięć lat zwodziła Connora obietnicami bez pokrycia. Każda próba przejścia na dietę kończyła się dla niej porażką i szukaniem tanich usprawiedliwień.

Wmawiała sobie, że nie potrzebuje diety, bo od urodzenia dzieci jej waga praktycznie się nie zmieniła. Za każdym razem, gdy jakiś mężczyzna obejrzał się za nią na ulicy lub uśmiechnął się do niej, tylko utwierdzała się w tym przekonaniu. Wciąż mogła uchodzić za atrakcyjną kobietę i wiedziała jak się ubrać, żeby podkreślić swoje atuty: długie nogi i gęste, ciemne włosy. Wydawało jej się, że dopóki nie przybierała na wadze pięć kilo rocznie, absolutnie nie było się czym przejmować, jednak temu, że utyła, nie mogła zaprzeczyć.

Nienawidziła siebie w grubym wydaniu, nienawidziła mieć szafy pełnej przyciasnych ubrań. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, czuła do siebie wstręt i obrzydzenie. W ciągu ostatnich dziewięciu lat nie zrobiła nic, by zadbać o linię. Nic dziwnego, że Connor poszukał sobie innej.

Przez moment przemknęło jej przez myśl, że może jednak to jej nadwaga była powodem zdrady Connora. Może zrobiła coś, co odepchnęło go od niej. Myśl ta prysnęła jak bańka mydlana, zanim zdążyła się nad nią dobrze zastanowić. Po prostu za bardzo się objadała i tyle.

Podeszła do szafy, rozsunęła drzwi i zaczęła przeglądać swoją letnią garderobę. Cztery pary spodni capri, trzy pary szortów i kilka bluzek z krótkim rękawem. Nazajutrz trzeba będzie coś z tego wybrać.

Wyobraziła sobie, jak będzie wyglądać ich pobyt na kempingu. Connor oczywiście na krok nie będzie odstępować Maxa, ucząc go wędkowania i pływania na skuterze wodnym, cały czas widząc w jego oczach odbicie matki. Kimkolwiek była, z pewnością był szczupła, zgrabna i bardzo ładna. W przeciwnym razie Connor nie uległby pokusie, by się z nią przespać.

Michele jeszcze raz przejrzała się w lustrze. No i co miała zrobić? Miała spędzić tydzień nad jeziorem, wiedząc, że Connor cały czas będzie patrzeć na nią krytycznym okiem, zastanawiając się, dlaczego jego żona nosi coraz większe rozmiary, podczas gdy stewardesy potrafią utrzymać figurę. Na myśl o tym ogarnęła ją złość.

Ubrania wiszące w szafie wydały jej się więziennymi drelichami, nieco tylko ładniejszego kroju, które zmuszona będzie nosić w ramach kary za niespełnione obietnice. Cofnęła się z obrzydzeniem, zamknęła szafę i wyszła z pokoju, gasząc za sobą światło. Tych kilka sekund wystarczyło, by podjęła decyzję. Mogą pojechać bez niej.

Elizabeth i Susan nastawiały się na ten wyjazd od wielu miesięcy i pewnie nawet nie zauważą jej nieobecności. Zamiast męczyć się na jeziorem i psuć zabawę pozostałym, wolą pojechać w odwiedzinach do siostry, zrobić remanent tego, co pozostało z jej niegdyś cudownego życia i sprawdzić, czy cokolwiek da się z niego odzyskać. Pan Bóg na pewno się na nią za to nie pogniewa.

Przynajmniej będzie miała trochę czasu dla siebie. Będzie mogła w ciszy i spokoju czytać Pismo Święte, do czego tak bardzo namawiała Connora, zanim wyszedł na jaw jego romans sprzed lat. Może z dala od



emocjonalnego zgiełku uda jej się usłyszeć głos Pana.

Z takim postanowieniem wyszła z pokoju i zeszła po schodach do salonu. Nie zaszkodzi im, jeśli przez tydzień odpoczną od siebie. Zresztą to nie ona była temu winna. Dla odmiany niech Connor się trochę pozadrecza, niech zachodzi w głowę, czy zostawiła go tylko na tydzień, czy może na zawsze.

Nie obawiała się, że mąż nie poradzi sobie z trójką dzieci. Dla Elizabeth i Susan nie był to pierwszy biwak w życiu. Potrafiły same rozbić namiot, rozłożyć śpiwory i przygotować śniadanie lub kolację. Umiały doskonale pływać, a na skuterze wodnym jeździły lepiej niż niejeden dorosły. Wędkowanie też nie było im obce. Poza tym były na tyle rozsądne, by cały czas trzymać się blisko ojca.

A ten chłopiec? No cóż, to już był problem Connora. Na pewno jakoś sobie poradzi, jak wielu innych ojców wyjeżdżających z dziećmi na wakacje bez żony u boku. Z każdą mijającą sekundą coraz bardziej utwierdzała się w słuszności swojej decyzji. Dlaczego miałyby przez cały tydzień paradować po kempingu, zamartwiając się, że w tym samym czasie Connor nieustannie wraca myślami do pewnej sierpniowej nocy. Wołała uniknąć porównań z tamtą kobietą.

Michele miała nadzieję, że podjęcie tej decyzji poprawi jej samopoczucie i złagodzi ból w sercu. Zamiast tego poczuła się jeszcze gorzej. Kręciło jej się w głowie i było jej niedobrze. Zrozumiała, że z sieci, w którą zamieniło się jej życie, nie uda jej się wydostać na skróty. Dotarło do niej, że tydzień bez Connora będzie dla niej taką samą męką jak tydzień spędzony razem z nim. Mogła się z tego powodu nienawidzić, mogło to potęgować w niej poczucie osaczenia i beznadziei, pogłębiać jej rozpacz, ale oznaczało to tylko jedno. Wciąż kochała swojego męża.

## ROZDZIAŁ XIX

Przez cały niedzielny ranek Connor na wszelkie sposoby próbował nakłonić Michele do wyjazdu nad jezioro. Bezskutecznie. Żaden z jego argumentów nie przekonał żony. W efekcie po raz kolejny przegapili mszę.

Mimo to Connor po południu pojechał do kościoła, żeby - zgodnie z wcześniejszym postanowieniem - porozmawiać o swoich problemach z pastorem. Ten powitał go bardzo serdecznie i zaprosił do swojego gabinetu. Przy filiżance kawy Connor wszystko mu opowiedział, podkreślając, że noc spędzona z Kiahną była jego wielkim błędem.

- Chodzi o to, że - mężczyzna pochylił się do przodu, zaciskając dłonie na oparciu fotela - to mogło przydarzyć się każdemu. Postąpiłem źle, ale to już należy do przeszłości.

- Nie dla Michele... - odrzekł pastor ochryłym głosem, wolno wypowiadając poszczególne słowa. Miał ponad siedemdziesiąt lat i coraz rzadziej wygłaszał kazania podczas niedzielnych mszy, powierzając ten obowiązek swojemu zastępcy. - Dla Michele to zdarzyło się dwa tygodnie temu.

- Wiem o tym, ale zawałem sprawę tylko ten jeden raz, a ona poddaje w wątpliwość dosłownie wszystko, nasze małżeństwo, wspólne życie.

Pastor przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, po czym zapytał:

- Po co tak naprawdę pan tu przyszedł?

- Potrzebuję pomocy - odparł Connor, przeczesując palcami włosy. - Jutro wyjeżdżamy na wakacje, a ona nie chce z nami jechać ze względu na Maxa.

- Podejrzewam, że powoduje nią coś więcej niż tylko niechęć do Maxa.

- Proszę posłuchać - Connor zerknął na zegarek. Przyszedł do pastora po szybką poradę, która pozwoliłaby znaleźć wyjście z tej sytuacji, a nie po to, by wysłuchiwać moralizatorskich pouczeń.

- Nie mogę odwrócić przeszłości, a zresztą Michele w ogóle nie chce ze mną o tym rozmawiać. - Odetchnął głęboko. - W ten sposób tylko nas pogrąża. Rozumiem, że czuje się zraniona, ale tamta kobieta nic dla mnie nie znaczyła. To zdarzyło się przypadkiem, wiele lat temu. Od tamtej pory wszystko było w jak najlepszym porządku. Jak mam wpłynąć na żonę, żeby mi wybaczyła?

- Obawiam się, że tylko Bóg może to uczynić, ale mogę coś podpowiedzieć - pastor oparł się wygodnie w fotelu, składając dłonie jak do modlitwy.

- Zaczę od pana.

„Ode mnie?”. Connor poczuł ogarniającą go złość. Zaciśnął zęby i chciał stanowczo zaprotestować, ale zamiast tego tylko zaśmiał się gorzko.

- Ode mnie?

Pastor powoli pokiwał głową.

- Tak, właśnie od pana.

- OK - Connor miał ochotę ponownie się roześmiać. - Zresztą wszystko mi jedno.

Wymienili jeszcze kilka zdań, ale rozmowa właściwie dobiegła już końca. Connor uświadomił sobie, że swoje problemy małżeńskie będzie musiał rozwiązać sam. Pastor nie rozumiał go tak samo jak Michele.

Wyszedszy z kościoła, spojrzął na zachmurzone niebo i wymamrotał:

- Boże... wygląda na to, że zostaliśmy tylko we dwóch.

Choć bardzo pragnął usłyszeć w duszy odpowiedź, nie doczekał się. Gdyby Bóg słyszał jego modlitwy, w pierwszej kolejności nie dopuściłby do jego spotkania z Kiahną. Wsiadając do samochodu, Connor postanowił, że jeszcze raz spróbuje przemówić żonie do rozsądku.

Gdy po powrocie do domu zastał Michele w sypialni, bez zbędnych wstępów przypomniał jej, że wyłącznie ze względu na nią wizyta Maxa ma charakter próbny. Nie omieszkał też dodać, że Elizabeth i Susan z pewnością zaczną coś podejrzewać, jeśli ona, zamiast pojechać z nimi nad jezioro, wybierze się na prywatne wakacje. Jego apele nie odniosły skutku, więc wieczorem ponownie uderzył w błagalny ton.

- Proszę cię, Michele. Pojedź z nami - zwrócił się pojednawczym tonem do żony, która stała odwrócona do niego plecami, opierając się o balustradę balkonu w sypialni. - Wszyscy cię potrzebujemy.

Michele uniosła głowę i w milczeniu wpatrywała się w horyzont ponad dachami sąsiednich domów.

- Michele, nigdy o nic cię nie prosiłem. Choć ten jeden raz...

- Co takiego? - obróciła się gwałtownie. W jej spojrzeniu niedowierzanie mieszało się z oburzeniem.

- Nigdy mnie o nic nie prosiłeś? - zaśmiała się zjadliwie. - A to nie ty chciałeś, żebym czekała na ciebie tygodniami, gdy sobie latałeś z Los Angeles do Honolulu? Pamiętasz, ile to trwało? Pozwól, że odświeżę ci pamięć. Dziewięć miesięcy. To nie ty prosiłeś mnie, żebym podczas twojej nieobecności zajmowała się dziećmi, dbała o dom i nie przestawała się modlić o twój powrót na Florydę? No i jeszcze prosiłeś, żebym była

ci wierna. I wiesz co? Byłam. Owszem, czułam się samotna, nawet bardzo, ale jakoś zawsze wiedziałam, że pewnego dnia wrócisz. - ściszyła głos. - To może teraz porozmawiamy o moich prośbach?

Connor zrobił krok do tyłu, wiedząc, co teraz nastąpi. Nie próbował jednak przed tym uciec, bo zdawał sobie sprawę, że to część kary, którą musi ponieść.

- Prosiłam, żebyś zawsze był wobec mnie szczery. Tylko o to prosiłam: żebyś, wracając do domu, kochał tylko mnie - zawahała się na chwilę, starając się zapanować nad swoim wzburzeniem. Gdy odezwała się ponownie, jej głos był zimny jak stal. - Connor, nie prosz mnie, żebym z wami pojechała. Nie mogę - jej zmarszczone czoło wygładziło się i ponownie odwróciła się do balustrady. - Nie chcę.

Po kolacji, upewniwszy się, że dziewczyny są należycie spakowane do wyjazdu, Michele położyła się spać w pokoju Susan. Connor zajął się sobą i Maxem. Gdy chłopiec leżał już w łóżku, Connor przyszedł powiedzieć mu dobranoc.

- Cieszysz się, że pojedziemy pod namiot? - zapytał.

- Tak, proszę pana - odparł Max, podciągając kołdrę pod samą szyję. Z tonu jego głosu trudno było wywnioskować, co naprawdę czuł.

Connor usiadł na brzegu łóżka i przyglądał się twarzy chłopca, tak bardzo podobnej do tej, którą znał ze swoich zdjęć z dzieciństwa oraz starej fotografii ojca. Przez ostatnie dwa dni był zbyt zajęty nieustannymi utarczkami z Michale, więc dopiero teraz mógł w spokoju popatrzeć na swojego syna.

- Proszę pana?

- Tak, o co chodzi? - Connor delikatnie musnął palcami czoło chłopca, tak samo jak czynił to, układając do snu Elizabeth i Susan.

- Czy mógłby mi Pan podać moją Biblię? Zapomniałem ją poczytać przed spaniem.

Biblię? Max miał Biblię i czytał ją co wieczór przed zaśnięciem? Jak mało wiedział o swoim synu. Connora ogarnęło poczucie winy. A co z jego Biblią, która leżała zakurzona na półce z książkami w sypialni? Kiedy ostatni raz znalazł chwilę, by zajrzeć do Pisma Świętego?

- Proszę pana? - głos chłopca wyrwał go z tych rozmyślań.

Pochylił się lekko i zapalił lampkę na nocnym stoliku. Na blacie leżała biała książka z kolorowym tytułem Moja Pierwsza Biblia, z której wystawała koperta i jakieś zdjęcia. Connor podniósł ją ostrożnie i podał Maxowi.

- Bardzo proszę.

- Dziękuję.

Max przyciskając Biblię do piersi, spojrzał pytająco na Connora. Choć znali się dopiero od dwóch dni, Connor domyślił się, że chłopiec chciałby mieć kogoś do towarzystwa podczas wieczornego czytania.

- O czym czytasz?

Kąciki ust Maxa uniosły się lekko ku górze. Usiadł na łóżku, wyjął z książki kopertę i zdjęcia, kładąc je sobie na kolanach.

- Wczoraj czytałem o Janie Chrzcicielu, a teraz jestem tu... - Max otworzył Pismo Święte na zaznaczonej zakładką stronie i popatrzył na Connora. - Kazanie na górze.

- Poczytasz mi na głos?

- Pewnie... - Max wyprostował się i, trzymając Biblię na kolanach, zaczął czytać: - Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę. A gdy usiadł, przystąpili do Niego Jego uczniowie. Wtedy otworzył swoje usta i nauczał ich tymi słowami...".

Chłopiec czytał dalej, ale Connor przestał go słuchać. Tych kilka zdań poruszyło wrażliwą strunę w jego sercu. Jezus wyszedł na górę, bo wiedział, że uczniowie potrzebują Go i pragną, by do nich przemówił i rozpalil w ich sercach ogień Bożej miłości. Jakże proste i prawdziwe były te słowa. Dlaczego przez ostatnie dziesięć lat nie dopuszczał do siebie tej oczywistej prawdy? Przecież jeszcze na początku znajomości z Michele i przez kilka lat po ślubie kierował się słowem Bożym. Co takiego sprawiło, że przestał? Dlaczego nie włączył się w jego głowie dzwonek alarmowy, który ostrzegłby go, że odejście od wskazówek Jezusa musi skończyć się dla niego upadkiem?

Gdyby tamtej nocy przed ośmiu laty posłuchał słów Pana, nie dopuściłby się zdrady. Pokusa na pewno by się pojawiła, ale znalazłby sposób, by jej nie ulec. Z drugiej jednak strony nigdy nie spotkałby tego cudownego chłopca, który w tej chwili siedział obok niego, przypominając mu to, o czym w swoim zadufaniu zapomniał.

Connor odpędził tę myśl. Było za późno na takie rozważania, bo niczego nie mogły już zmienić.

Uważnie przyglądał się, jak Max płynnie i z właściwą intonacją czyta Pismo Święte. Może i wychowywał się bez ojca, ale Kiahna dołożyła wszelkich starań, by tego nie odczuł.

- A teraz jeszcze coś innego - Max przewrócił kilka kartek i spojrzał na Connora. - To nie jest z Kazania na górze, ale bardzo lubię ten fragment - wyjaśnił i ponownie zaczął czytać: - „Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak ja was umiłowalem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie. Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali" - umilkł, znów spojrzał na Connora. - Tutaj są jeszcze pytania, ale przeczytam je rano.

- To rano też czytasz Biblię? - zaniepokoił się Connor, a serce podskoczyło mu w piersi. Był pod wrażeniem głębokiej wiary chłopca. Onieśmielony skrzyżował ręce i zagryzł wargi. Wydawało mu się, że w tej chwili Bóg skierował na niego promień światła, by zobaczyć jego reakcję.

- Tak - odparł Max, zamykając Pismo Święte.

- Mamusia mówi, że każdy dzień należy zaczynać od spotkania z Jezusem - nagle posmutniał i oczy mu się zaszklily. - To znaczy, mówiła.

Słowa chłopca zaskoczyły Connora. Zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć. Miał wielką ochotę porwać malca w ramiona, przytulić go mocno i ukoić jego ból, ale powstrzymał się. Nie wolno mu było się spieszyć. Wciąż istniało prawdopodobieństwo, że za dwa tygodnie Max będzie musiał wrócić na Hawaje. Nawiązanie z nim w tej chwili silnej więzi emocjonalnej mogłoby tylko narazić go na dodatkowy stres i zwielokrotnić jego cierpienie.

- Co tam masz? - spytał, ruchem głowy wskazując na rzeczy, które Max trzymał na kolanach.

W jednej chwili smutek zniknął z twarzy chłopca, a w jego oczach pojawiły się iskielki.

- To są moje skarby.

- Rozumiem... - Connor starał się ukryć swoją ciekawość. - Fajnie mieć swoje skarby.

- Chce pan je zobaczyć?

- A mogę?

- Pewnie. Skarbami można się dzielić... - Max wzruszył ramionami, biorąc do ręki pozaginane na rogach zdjęcie zrobione polaroidem. - To jest Buddy, mój najlepszy przyjaciel - oznajmił, pokazując fotografię.

Po raz kolejny jego słowa głęboko dotknęły Connora. A więc to był Buddy, na przyjazd którego nie zgodził się, niewątpliwie sprawiając tym wielką przykrość Maxowi.

- Wygląda na sympatycznego pieska.

- I taki jest... - Max uśmiechnął się smutno. - Najlepszy na świecie.

Connor czuł dławienie w gardle. Nie spodziewał się, że oglądanie skarbów chłopca będzie aż tak trudne. Max odkrywał przed nim serce, cały swój świat, wszystko, co w jego świecie było najcenniejsze.

Po fotografii Buddy'ego przyszła kolej na białą kopertę.

- To jest list od Ramey. Napisała w nim, żebym był grzeczny i zawsze pamiętał o wszystkim, co mówiła mi mamusia, w szczególności o naszej piosence.

- Piosence? - zdziwił się Connor.

- Tak - Max spojrzał na niego ufnie.

Connor czuł, że patrzy teraz w głąb duszy chłopca. Ostatnia bariera ochronna, w którą zaopatrzył się, przygotowując się na tę rozmowę, pękła jak bańka mydlana.

- Twoja mama ją ułożyła? - zapytał, ściszej głos, świadomy znaczenia, jakie ta piosenka miała dla Maxa.

- Mhmm - potwierdził mruknięciem Max, spoglądając ukradkiem na list od opiekunki. Przez moment zdawało się, że zamierza zaśpiewać tę piosenkę, ale w końcu odłożył kopertę na bok i sięgnął po trzeci skarb. - A to jest zdjęcie mojej mamusi - oznajmił i po krótkim wahaniu podał fotografię Connorowi. - Był pan jej przyjacielem, więc pan wie, jak wyglądała, ale i tak ją pokażę.

Connor spodziewał się, że fotografia Kiahny będzie jednym ze skarbów. W pierwszym odruchu chciał zamknąć oczy, jednak coś go powstrzymało. Ostrożnie wziął zdjęcie od chłopca i wszystkie wspomnienia powróciły. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Dodatkowo fotografia przypomniała mu wiele drobnych szczegółów, które zatarł czas.

Choć zdjęcie przedstawiało Kiahnę siedzącą na omszałym pniu w lesie, Connor miał przed oczami scenę na lotnisku, gdy po raz pierwszy ją zobaczył. Przełknął ślinę i przeniósł spojrzenie na Maxa.

- Była bardzo ładna.

- Wiem - odparł Max, wpatrując się w fotografię. - Chyba w niebie wygląda równie pięknie, prawda?

Connor dziękował Bogu za to, że w tej chwili Michele nie było w pobliżu.

- Tak, Max - powiedział, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. - Jestem pewien, że w niebie twoja mama jest równie piękna.

Max starannie ułożył swoje skarby jeden na drugim i wsunął je pod okładkę Biblii, po czym, wręczając ją Connorowi, powiedział:

- Dziękuję, że pozwolił mi pan poczytać. Wiem, że już jest późno.

Connor miał gardło ściśnięte ze wzruszenia. Biblia od mamy, dwie fotografie i list przypominający o tym, co w życiu najważniejsze. To były najcenniejsze skarby jego syna. Odłożył księgę na stolik i zgasił światło.

Max ziewnął i wsunął się pod kołdrę.

- O której jutro wyjeżdżamy?

- Wczesnie rano - Connor chwycił dłoń Maxa i lekko ją uściśnął. - Obudzę cię na śniadanie - uśmiechnął się ciepło. - Porządne śniadanie to pierwszy krok do udanego wyjazdu na biwak.

- A co potem?

- Gdy już dojedziemy na miejsce?

- Tak. Czy zbudujemy namiot?

- Nigdy wcześniej nie byłeś na biwaku?

- Nie - Max spuścił oczy, jakby zawstydzony.

- Mamusia obiecywała mi, że kiedyś pojedziemy, ale... nie zdążyliśmy - powiedział ze smutkiem i ponownie podniósł wzrok na Connora. - Co tam będziemy robić?

- Najpierw... - Connor zakaszłał, starając się ukryć wzruszenie - rozbijemy namiot. Namiotów się nie buduje, one są już gotowe. Trzeba tylko poustawiać tyczki i zamocować linki. Potem przygotujemy miejsca do spania, wypakujemy zapasy i pójdziemy na ryby.

- Super... - Max otworzył buzię.

- Będziemy mieć sporo do zrobienia - dodał Connor, wygładzając fałdę na prześcieradle. - Dlatego musimy wstać bardzo wczesnie.

Max przez chwilę milczał. Gdy się odezwał, w jego głosie strach mieszał się ze zmartwieniem.

- A co z panią Evans? Czy też będzie musiała wstać wczesnie rano?

- No cóż... - Connor głośno wciągnął powietrze przez nos. - W tym roku moja żona z nami nie pojedzie.

- Tak myślałem... - Max zmarszczył brwi. - To przeze mnie. Pani Evans mnie nie lubi, prawda?

Connor zamknął oczy, próbując zebrać myśli i odpowiednio ubrać je w słowa. - Nie, to nie z twojego powodu, Max - powiedział możliwie przekonująco. Wzbierała w nim złość na Michele, ale zdołał ją w sobie zdusić. To nie był odpowiedni moment. - Po prostu moja żona nie przepada za łowieniem ryb, a poza tym jej siostra zaprosiła ją do siebie na weekend Connor zmusił się do uśmiechu. - W sumie wszyscy są zadowoleni. My dwaj razem z dziewczynami jedziemy pod namiot, a moja żona ma okazję odwiedzić swoją siostrę, z którą dawno się nie widziała.

Max nie wyglądał na przekonanego.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Chyba że tak - jego zafrasowana twarz trochę się rozpogodziła. - Ale szkoda, że z nami nie pojedzie.

- Ja też żałuję - Connor z trudem wydobył z siebie głos. - Nawet nie wiesz jak bardzo.

## ROZDZIAŁ XX

O swoich planach Michele powiedziała córkom dopiero w poniedziałek rano, po śniadaniu. Powinna była to zrobić w niedzielę wieczorem, ale nie chciała przysparzać im trosk przed zaśnięciem. Gdy Connor z Maxem poszli już do samochodu, zawołała do siebie Elizabeth i Susan, by przekazać im niemłą nowinę. Jak można się było spodziewać, rozmowa nie była łatwa.

- Jeśli ty nie jedziesz, ja też nie pojedę - oznajmiła Elizabeth, chwytając się pod boki i patrząc na nią z

wyrzutem. - Nie możesz nam tego zrobić, mammo! Planowaliśmy to od roku.

- Pojadę następnym razem - Michele starała się nadać swojemu głosowi naturalne brzmienie, mając nadzieję, że córki nie dostrzegą jej determinacji. Kucnęła i otworzyła leżącą na podłodze walizkę, by jeszcze raz sprawdzić, czy nie zapomniała czegoś spakować.

- Ale bez ciebie to już nie będzie to samo - wtrąciła Susan. - Jeździsz na skuterze wodnym lepiej niż tato.

- No pewnie, a poza tym tato będzie musiał zajmować się Maxem - zawtórowała jej Elizabeth, która najwyraźniej wciąż nie potrafiła pogodzić się z obecnością obcego dziecka w ich domu.

- Będzie się zajmować całą waszą trójką - Na Iwarzy Michele pojawił się wymuszony uśmiech.

- Ważne, żebyście dobrze się bawili. A do tego nie jestem wam potrzebna.

- Nigdy wcześniej tak nie mówiłaś - nie dawała za wygraną Elizabeth. Dłonie miała zaciśnięte w pięstki, a na policzki wystąpiły jej pąsowe rumieńce. - Skąd ci to przyszło do głowy? Bez ciebie rodzina nie będzie w komplecie.

- Dobrze - Michele zatrzasnęła wieko walizki, wstała i odwróciła się twarzą do dziewczyn. - Chcecie znać prawdę?

- Tak! - krzyknęły niemal jednocześnie. W ich oczach malowało się rozczarowanie i frustracja.

- Chcę, żeby tato miał okazję bliżej poznać się z Maxem - bez zmrużenia oka powiedziała Michele. O tym, że nie miała ochoty patrzeć, jak Connor będzie nadskakiwać Maxowi, boleśnie przypominając jej o swoim romansie z jego matką, dziewczyny nie musiały wiedzieć.

- No ale, mammo! Jeśli tam będziesz, również będzie mógł się z nim bliżej poznać - przytomnie zauważyła Susan.

- Nie sądzę - Michele podeszła do niej i położyła dłoń na jej ramieniu. - Lepiej, żeby mnie tam nie było. Poza tym już od ponad roku nie widziałam się z ciocią Margie. Bardzo chciałabym spędzić parę dni u niej - powiedziała, spoglądając to na Elizabeth, to na Susan. - Dobrze?

- Ale w lecie pojedziemy razem do Wisconsin? - spytała zrezygnowanym tonem Elizabeth.

- Oczywiście - Michele wyciągnęła ramiona, dając córkom do zrozumienia, że chce je przytulić. - To będzie wyjazd rodzinny tylko dla naszej czwórki.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia i ruszyły w jej stronę.

- No dobrze - westchnęła przesadnie Elizabeth. - Ale nadal uważam, że nie masz racji. Skoro jednak się uparłaś...

- Nie narzekaj - odparła Michele, całując w policzek najpierw młodszą, a potem starszą córkę. - Znając tatę, będziecie mogły kłaść się późno, do woli objadać się piankami i tak dalej.

- Co racja to racja - Susan uśmiechnęła się szelmowsko.

- A za tydzień znowu się zobaczymy.

- Będziemy za tobą tęsknić - na twarzy Elizabeth wciąż widniał grymas niezadowolenia.

- Ja też będę za wami tęsknić - zapewniła ją Michele, chwytając rączkę walizki. - Ale za to ile będziemy mieć sobie do opowiedzenia po powrocie, prawda?

\* \* \*

Tej nocy Michele długo nie mogła zasnąć.

Margie Bailey i jej mąż Sean mieszkali w Kalifornii, w Santa Barbara, na urwistym płaskowyżu. Z jednej strony rozpościerał się stamtąd zapierający dech w piersiach widok na Pacyfik, a z drugiej malownicza panorama Doliny Santa Ynez. Mieli wspaniały dom z olbrzymim ogrodem otoczonym kamiennym murem, który zapewniał im tak potrzebną prywatność, pomimo że ich posiadłość położona była w dość gęsto zamieszkaną okolicę.

Sean był wziętym chirurgiem plastycznym, więc na brak pieniędzy nie narzekali. Margie poznała go podczas studiów w Westmont College, protestanckim uniwersytecie w Santa Barbara. Nienormowany czas pracy Seana pozwalał im na częste wyjazdy turystyczne, przejażdżki rowerowe i wędrowki po pobliskich górach. Nie mieli dzieci i było im z tym dobrze.

Pomimo odmiennych charakterów, Michele i Margie były ze sobą wyjątkowo zżyte. Miały też brata, Paula, którego bardzo kochały, ale tej szczególnej więzi, która zawiązała się między nimi, nie dawało się z niczym porównać. Dochodziło do tego, że gdy tylko Margie miała grypę, Michele zaraz też była przeziębiona; gdy Michele miała ciężki dzień, Margie bolała głowa. Michele była osiemnaście miesięcy starsza od swojej siostry, która mówiła na nią Mitch. Wymyśliła dla niej to imię, gdy była malutka, i tak już zostało.

Michele zadzwoniła do niej w niedzielę i zapytała, czy może do niej wpaść na parę dni. Nie wspomniała ani słowem o romansie Connora, bo to nie była rozmowa na telefon. Powiedziała tylko, że w tym roku postanowiła odpuścić sobie wypad nad jezioro i ma dzięki temu trochę wolnego czasu. Margie zbyt dobrze ją jednak знаła.

- Stało się coś?

- Tak - potwierdziła Michele, z trudem powstrzymując łzy. - Pogadamy o tym, kiedy do ciebie przyjadę.

- Przyjeżdżaj jak najszybciej!

W poniedziałek zarezerwowała miejsce w samolocie, który odlatywał do Los Angeles we wtorek o szóstej rano. Po wylądowaniu wynajęła samochód i po niespełna trzech godzinach jazdy autostradą Ventura Freeway dotarła do domu siostry.

Margie nie zasypała jej od razu pytaniami, dając jej czas na ochłonięcie po podróży. Poza tym taktownie wolała poczekać, aż zostaną same. Uściskały się serdecznie i Margie zaprosiła ją na późny obiad. Lasagne była ostatnią rzeczą, na jaką Michele miała ochotę. Nie chcąc jednak zrobić siostrze przykrości, dała się namówić na malutki kawałek, którego i tak nie zjadła w całości. Poza tym wolała nie zwracać na siebie uwagi, jak zazwyczaj w takich wypadkach, Margie, widząc jej brak apetytu, powiedziałyby jej, żeby się nie wygłupiała, bo ma świetną figurę, a nadwaga jest tylko wytworem jej wyobraźni, i nie powinna się głodzić, żeby poprawić sobie samopoczucie.

Patrząc na siostrę, Michele była nawet skłonna w to uwierzyć, bo od matury Margie nie przytyła ani grama. Niestety, nie mogła powiedzieć tego o sobie i dlatego jak ognia unikała rozmów o jedzeniu, tyciu i odchudzaniu.

W trakcie obiadu i podczas zmywania naczyń gawędziły o różnych, mniej lub bardziej poważnych sprawach, starając się w miarę możliwości nie zanudzać Seana, który dotrzymywał im towarzystwa. Po poobiedniej kawie, Sean wstał od stołu, twierdząc, że musi na chwilę pojechać do kliniki. Margie pocałowała go na pożegnanie i szepnęła mu do ucha ciche „dziękuję”. Gdy Sean wyszedł, przeszły do salonu, żeby w końcu porozmawiać o prawdziwym powodzie przyjazdu Michele.



Ledwie zdążyły usiąść na przeciwległych końcach czarnej, skórzanej kanapy, Margie pochwyciła spojrzenie siostry i zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju od dwóch dni.

- OK, moja ulubiona siostrze, o co chodzi?

- Connor pojechał pod namiot z trojgiem dzieci.

Margie uniosła brwi w wyrazie zdumienia. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Trojgiem?

- Tak - odparła Michele. Sięgnęła po leżącą obok poduszkę i przycisnęła ją do brzucha. Zazwyczaj robiła coś takiego, by zamaskować fałdki, ale tym razem chciała ukryć trawiący ją niepokój. - Zabrał ze sobą dziewczyny i siedmioletniego chłopczyka o imieniu Max.

- Max? - Margie zmarszczyła nos.

- Max... jest jego synem - wyjaśniła łamiącym się głosem Michele i zwiesiła głowę. Nie mogła się teraz rozkleić. Zaciśnęła zęby, aby nie wybuchnąć płaczem, i powoli podniosła wzrok na Margie. - W 1996 roku Connor miał romans z jego matką.

- Niemożliwe - Margie wyraźnie pobladła.

- Tak właśnie było... - jęknęła Michele, próbując opanować narastające mdłości.

- Connor nigdy nie kochał nikogo prócz ciebie. Zawsze byliście jak papuzki nierozłączki. To dzięki wam uwierzyłam w miłość na tyle, żeby wyjść za mąż. Powiedz, że mnie nabierasz.

- Ja nie żartuję.

- Mitch... Nie wierzę.

- Mówię prawdę - Michele przechyliła głowę, a jej twarz wykrzywił grymas bólu. - Chciałabym, żeby było inaczej, ale... - wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać o rozmowie na plaży, o reakcji Connora na widok chłopca i o zmianach, jakie w ciągu ostatnich kilkunastu dni zaszły w ich życiu. Choć bardzo się starała powstrzymać płacz, kilka łez pociekło jej po policzkach. Margie słuchała w milczeniu. Przynęła się tylko bliżej i objęła siostrę ramieniem, by choć w ten sposób dodać jej otuchy. Michele, pochlipując, mówiła dalej: - To się zdarzyło podczas tropikalnej burzy na Hawajach. Wszystkie loty zostały wtedy odwołane. Spotkał ją na lotnisku w Honolulu. Była stewardesą. - Wyjęła chusteczkę i wytarła nos. - Nie mam pojęcia, jak długo się znali, ale spędzili ze sobą co najmniej jedną noc.

- To wszystko, co wiesz? - na twarzy Margie zdumienie mieszało się z niedowierzaniem.

- Nie chcę wiedzieć nic więcej - Michele podciągnęła nogi i przycisnęła kolana do piersi. - Co by to zmieniło?

- Ale co takiego się stało, że dopiero teraz podesłała wam swojego syna? Po tylu latach?

- Ona nie żyje. Tydzień temu zginęła w katastrofie lotniczej.

- O mój Boże - szepnęła zaskoczona Margie i przyłożyła sobie dłoń do ust. - To straszne.

Michele poczuła dreszcz przebiegający jej po plecach.

- Gdy jeszcze żyła, sporządziła testament, w którym prosiła adwokata, by w wypadku jej śmierci skontaktował się z Connorem, zanim chłopiec zostanie skierowany do adopcji. - Zrobiła pauzę. - Ta kobieta nie miała żadnych krewnych.

Przez dłuższą chwilę siedziały, nic nie mówiąc, po czym Margie delikatnie ujęła dłoń siostry i zatroskanym

tonem powiedziała:

- Tak mi przykro, Mitch. Nie masz nawet pojęcia jak...

- Pojęcie akurat mam... - Michele przerwała jej w pół słowa.

- Ale jak to się stało? Connor nie jest typem wiarołomnego męża.

- Wiem.

- Nie zorientowałby się, że jakaś kobieta na niego leci, nawet gdyby miała to wypisane na czole - Margie założyła nogę na nogę. - W życiu nie podejrzewałabym go o romans. Wiadomo jacy bywają faceci, ale Connor? Connor Evans?

- Cóż... - Michele smutno pokiwała głową. - jak widać nikomu nie można ufać.

- No i co dalej? - zapytała Margie, a jej jasnoniebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe niż zwykle. - Zostaniesz z nim? Nie zamierzasz się z nim rozwieść, prawda?

Po raz pierwszy ktoś zadał Michele takie pytanie, a odpowiedź, która jako pierwsza przysła jej do głowy, przeraziła ją.

- Sama nie wiem.

- Mitch, Connor wyciął ci paskudny numer, ale to było osiem lat temu - przekonywała ją Margie. - Nie możesz odrzucić wszystkiego, co razem zbudowaliście z powodu czegoś, co zdarzyło się tak dawno. Chyba, że...

- Nie - Michele pokręciła głową. - Connor mówi, że to była jednorazowa historia. - Słowa te wydały jej się puste i pozbawione znaczenia. Ponownie opadły ją wątpliwości. - Inna sprawa, że przez wszystkie te lata mnie okłamywał, a więc może i tym razem nie mówi prawdy.

- Nie, Mitch. Nie możesz myśleć w ten sposób.

- Nie wiem - Michele cofnęła dłoń i skrzyżowała ręce na piersiach. - Ciekawa jestem, czy moje kłopoty z nadwagą miały z tym coś wspólnego. Obiecywałam mu, że się tym zajmę, ale... - Klepnęła się w udo. - Sama widzisz, jak wyglądam.

- Nie wygłupiaj się - Margie trąciła ją lekko w ramię. - Connor nie jest do tego stopnia bezmyślny. Cokolwiek wtedy między wami zaszło, na pewno nie chodziło o twoją wymyśloną nadwagę.

- W takim razie o co?

- Nie wiem. Może w ogóle nie dotyczyło to ciebie. Może Pan Bóg dopiero ci to wyjaśni.

- No tak, ale... - Michele zacisnęła dłonie w pięści w bezsilnej złości. - Może przestałam się Connorowi podobać. Pomyślałaś o takiej możliwości?

- Mitch, pleciesz bez sensu. Connor zawsze kochał cię ponad życie, a po przeprowadzce na Florydę chyba jeszcze bardziej.

- Doprawdy? - Michele uśmiechnęła się markotnie. - A skąd ty to możesz wiedzieć?

- Bo co roku na Boże Narodzenie przysyłasz mi zdjęcia - Margie usiadła prosto i spojrzała na nią wymownie. - Mitch, jego oczy są jak otwarta księga. Możesz być pewna, że Connor szaleje na twoim punkcie. - Złapała ją za palce prawej dłoni i leciutko je ścisnęła. - Nie zostawiaj go. Pomyśl o swoich córkach... o przyszłości. Proszę cię, nie zapominaj o tym.

Przez kolejne pół godziny na przemian śmiały się i płakały, wspominając różne epizody z jej małżeństwa.

„Zupełnie jak na stypie” - pomyślała. Margie nie omieszkała jej przypomnieć, że jako nastolatka zarzekała się, że nigdy nie wyjdzie za pilota.

- Podobno bałaś się latać.

- Wiem - odparła Michele. Oczy wciąż jeszcze miała czerwone od płaczu. - Chyba właśnie dlatego się w nim zakochałam. Pomógł mi przezwyciężyć moją fobię.

- A ty w rewanżu pomogłaś mu pozbyć się strachu.

- Rzeczywiście, w sali porodowej - roześmiała się Michele. - Myślałam, że Connor zemdleje, gdy lekarz powiedział: „Przyj!”.

Co kilka minut, gdy wyczerpał im się jakiś temat, następowała chwila milczenia. Właśnie w takim momencie Margie niespodziewanie zapytała:

- A co z ojcem Connora?

Serce Michele zabiło gwałtowniej.

- O niczym nie wie.

Przynajmniej raz w roku, nie wspominając o tym Connorowi, dzwoniła do jego ojca, by przekazać mu najnowsze wieści o wnuczkach i opowiedzieć, co ostatnio wydarzyło się u nich. Na koniec zawsze mówiła to samo:

- Lorie, proszę cię, zadzwoń do niego.

Za każdym razem odpowiadał:

- Gdy będzie gotowy, sam do mnie zadzwoni. Niczego nie przyspieszajmy.

W przeszłości kilkakrotnie rozmawiała na ten temat z Margie, więc nie zdziwiła się, że jej siostra o tym napomknęła.

- A wiesz, że przeszło mi przez głowę, żeby tym razem pojechać do Cambrii i osobiście mu o wszystkim powiedzieć.

- Zrób to... - zachęciła ją Margie. - Może to w czymś pomoże.

- Chodzi ci o nich obu?

- O wszystko.

- Bo ja wiem - odparła Michele. Była zmęczona po podróży, kręciło jej się w głowie z głodu, zmiana strefy czasowej też zrobiła swoje. Niemniej pomysł, żeby przy okazji pobytu w Kalifornii złożyć wizytę Lorenowi, wydał jej się całkiem sensowny. - Zobaczę, jak jutro będę się czuła - powiedziała, odruchowo wycierając dłonie o nogawki dżinsów.

Rozmawiały jeszcze przez godzinę, ale to najważniejsze zostało już powiedziane. Na koniec Margie zaproponowała, by wspólnie się pomodliły. Michele chętnie przystała na jej propozycję, bo nie pamiętała już, kiedy ostatni raz udało jej się znaleźć chwilę na modlitwę. Wzięły się za ręce i modliły się głośno w intencji swoich rodzin.

- Boże, prosimy Cię, spraw cud - głos Margie brzmiał pewnie i spokojnie. - Ulecz rany przeszłości i uratuj małżeństwo mojej siostry. Michele tak bardzo potrzebuje Twojej pomocy.

Wieczorem Michele postanowiła wcześniej położyć się spać. Margie przygotowała dla niej pokój gościnny na piętrze. Jego okna wychodziły na otoczony palmami dziedziniec. Michele wzięła prysznic, umyła zęby i

przebrała się w piżamę. Gdy leżała już w łóżku, przycisnęła do brzucha zwiniętą w pięść dłoń, chcąc pozbyć się tego dziwnego uczucia w żołądku, które męczyło ją przez cały dzień. Trochę pomogło.

Czy przyczyniły się do tego wspomnienia ze szczęśliwej przeszłości? Czyżby potrafiły leczyć ból związany z teraźniejszością? Wpatrując się w sufit, zastanawiała się, czy podczas pobytu na kempingu Connor rzeczywiście pozwala dzieciom bawić się do późna. Zważywszy, że sam był raczej sową niż skowronkiem, pewnie tak.

A jak sobie radził ten chłopiec? Czy spodobało mu się na biwaku? Czy zaprzyjaźnił się z Elizabeth i Susan? Czy Connor był już nim bez reszty oczarowany? Jeśli jej związek z Connorem ma przetrwać tę ciężką próbę, chłopiec będzie musiał zniknąć z ich życia. Michele nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej. Nie potrafiłaby dzień w dzień patrzeć na chodzący dowód zdrady męża. Przypominałby jej o tym przy każdym wspólnym posiłku, wyjściu do kina lub na zakupy.

Gdyby tylko udało się znaleźć dla niego inny dom, jakąś rodzinę, która by się nim zaopiekowała, Connorowi łatwiej byłoby się z nim rozstać. Niewątpliwie jego obecne postępowanie wynikało z poczucia winy. Poczował się do winy z powodu tego, co zrobił jej i córkom, ale chyba jeszcze bardziej żałował tego, co uczynił temu chłopcu. Przecież nie zrobił nic, by pomóc jego matce, niełożył na jego wychowanie, nie wspierał jej emocjonalnie. Teraz, gdy dowiedział się o jego istnieniu, pragnął mu to wynagrodzić, czuł się zobowiązany do nadrobienia tych siedmiu straconych lat. Z tą myślą zasnęła.

Gdy obudziła się rano, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. W pierwszej chwili wydał jej się intrygancki i podstępny, wręcz nikczemny, ale szybko wytłumaczyła sobie, że nie ma innego wyjścia. W porze lunchu była już zdecydowana wprowadzić swój plan w życie. Może z pozoru był nikczemny, ale chciała dobrze. To, co zamierzała zrobić, mogło pomóc im wszystkim.

Wczesnym popołudniem zadzwoniła na informację telefoniczną, prosząc o numer Marva Ogle'a, adwokata z Honolulu. Kilka minut później zebrała się na odwagę i wystukała w komórce zapisaną na kartce sekwencję cyfr.

- Marv Ogle - usłyszała w słuchawce ten sam głos, który dwa tygodnie wcześniej nagrał się na automatycznej sekretarce, zwiastując początek jej koszmaru. - Czym mogę służyć ?

- Dzień dobry, panu. Mówi Michele Evans, żona Connora Evansa. To u nas jest Max.

- Ach tak. Dzień dobry - ożywił się adwokat. - Jak układa się wizyta?

- Jakby to powiedzieć... - Michele poczuła w sercu ukłucie winy. Nie mogła sobie pozwolić na ujawnienie całej prawdy. - Dobrze, ale... ciekawi nas, jaki los czeka Maxa po powrocie do domu? - zapytała, z trudem wypowiadając słowa przez zaciśnięte gardło.

- Po powrocie do domu?

- Tak - Michele zamknęła oczy, wmawiając sobie w duchu, że wcale nie manipuluje wynikiem próbnego pobytu Maxa w ich domu. - Gdzie będzie mieszkać?

- Rozumiem - w tonie Ogle'a dało się słyszeć rozczarowanie. - Tak jak już mówiłem pani mężowi, Max tak naprawdę nie ma nikogo. Jego dotychczasowa opiekunka bardzo go kocha, ale jest już starszą kobietą i ciężko choruje na serce, przez co pobyt Maxa u niej na dłuższą metę nie wchodzi w rachubę. - Ogle zrobił pauzę. - Moja żona i ja możemy zaopiekować się nim do czasu znalezienia rodziny zastępczej, ale oboje też jesteśmy

już w słusznym wieku i na dodatek przez większą część dnia nie ma nas w domu. Jak łatwo się domyślić, nasz tryb życia związany z częstymi wyjazdami nie sprzyja wychowywaniu małego chłopca.

„Moje życie też temu nie sprzyja, drogi panie”. Michele w porę ugryzła się w język.

- A jak wygląda sprawa adopcji? Wie pan o kimś, kto byłby skłonny adoptować Maxa?

- W chwili obecnej, nie - adwokat westchnął głośno. - Mogę skontaktować się z kolegami specjalizującymi się w sprawach rodzinnych i wybadać tę kwestię. - W słuchawce na chwilę zapanowała cisza. - Wizyta u państwa nie ułożyła się tak, jak tego oczekiwaliśmy?

- Max jest bardzo miłym dzieckiem, ale przyjęcie go do naszej rodziny... - Michele przysłoniła oczy dłonią i mocniej ścisnęła słuchawkę - wymagałoby od nas zbyt wiele poświęceń. Mam nadzieję, że pan nas rozumie?

- Oczywiście - odparł po krótkim wahaniu Ogle. - Jeśli wspólnie podjęliście państwo taką decyzję, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko niezwłocznie rozpocząć poszukiwania rodziny adopcyjnej.

- Tak właśnie zdecydowaliśmy - potwierdziła z determinacją w głosie i ponownie otworzyła oczy. - Oboje uważamy, że tak będzie dla niego lepiej.

Kłamstwo miało gorzki posmak, ale na wycofanie się było już za późno. - Proszę nas powiadomić, gdy tylko kogoś pan znajdzie.

- Droga pani... - zaczął adwokat, jakby szukając odpowiednich słów. - Może zabrzmie to dziwnie, ale ze względu na wiek Maxa takie poszukiwania mogą trochę potrwać. Może nawet rok, albo i dłużej. Dla dzieci w tym wieku ciężko jest znaleźć rodzinę adopcyjną, czasami w ogóle się to nie udaje. Nie oczekiwałbym, że w ciągu najbliższego tygodnia zgłoszą się jacyś chętni.

- Zdaję sobie z tego sprawę - przygryzła wargę, prosząc w myślach Boga, żeby znalazł się ktoś zainteresowany adopcją siedmioletniego chłopca. - Niemniej gdyby w tej sprawie był jakiś postęp, proszę nam dać znać.

Po skończeniu rozmowy przez kilka minut siedziała w bezruchu, tępo patrząc przed siebie. W pewnym stopniu powiedziała prawdę - chłopiec potrzebował domu. Ale to powinien być dom w Honolulu i rodzina, w której Max będzie kochany przez wszystkich. Wbrew oczekiwaniom Connora, nie mogła zgodzić się na zatrzymanie chłopca. Telefonując do Ogle'a, chciała jedynie, by zdarzył się cud, o który modliła się razem z Margie do Boga. Z całego serca tego pragnęła. Miała nadzieję, że za parę dni adwokat znajdzie rodzinę, która pragnie adoptować chłopczyka w wieku Maxa, a gdy Connor się o tym dowie, poczuje się zobowiązany odesłać go na Hawaje. Byłoby to idealne rozwiązanie pozwalające jej odbudować życie, które jeszcze do niedawna wiedli szczęśliwie we czwórkę: ona, Connor i dziewczyny. „Boże, zrobisz to dla mnie? Uczynisz cud? Błagam Cię”.

Patrząc przez okno na palmy w ogrodzie, Michele przypomniała sobie, co powiedziała jej Margie. Może rzeczywiście jej problemy z nadwagą nie przyczyniły się do zdrady Connora. Ale w takim razie, jaki był jej powód? Co takiego uczyniła, że jej mąż uległ czarowi kobiety, takiej jak Kiahna Siefert? Myśl ta nie dawała jej spokoju.

A może nie zrobiła nic takiego? Przymknęła powieki i spróbowała wyobrazić sobie, co w tej właśnie chwili działo się na kempingu. Co mogli robić Connor, Elizabeth, Susan i Max? Pewnie łowili ryby lub kąpali się w jeziorze. Chociaż nie. Na Florydzie zbliżał się już wieczór. Zapewne siedzieli wokół ogniska, piekąc kiełbaski i

opowiadając sobie śmieszne historie.

Nagle ogarnął ją smutek, a jej serce wypełnił lęk. Nie smuciła się z powodu więzi, która powstała między Maxem a Connorem i dziewczynami. Jej smutek i obawy wynikały z czegoś innego. Bała się, że w przypadku, gdyby nie udało się znaleźć dla Maxa innej rodziny, spędzanie wakacji osobno przestanie być tymczasowym rozwiązaniem. Podświadomie czuła, że w takim wypadku stanie się to normą.

## ROZDZIAŁ XXI

Pan Evans z dziewczynkami siedzieli na rozkładanych krzeselkach na brzegu jeziora i łowili ryby, ale Max wolał szukać kamyków. Ramey lubiła ładne kamienie. Zawsze gdy przynosił jej jakiś kamyk, ustawiała go na półce koło telewizora. Miała już całą kolekcję. Dlatego chciał przywieźć Ramey taki prezent z Florydy. Może tu znajdzie jeszcze piękniejsze kamienie.

Ostrożnie podszedł do pana Evansa, bo dobrze pamiętał, jak Elizabeth mówiła mu, że ryby nie biorą, gdy się hałasuje w pobliżu wędki.

- Proszę pana? - zapytał nieśmiało. - Czy mogę się przejść wzdłuż brzegu i poszukać kamyków?

- Oczywiście, Max - pan Evans poklepał go przyjaźnie po ramieniu. - Tylko nie odchodź daleko. Szukaj tak, żebym cały czas cię widział.

- Dobrze - Max uśmiechnął się i, zręcznie ominąwszy krzeselka, wyruszył na poszukiwania.

Szedł powoli wzdłuż nadbrzeżnych zarośli ze wzrokiem wbitym w ziemię. Jezioro przypominało trochę taki mały ocean i przywoływało wspomnienia o spacerach z mamą wzdłuż plaży. Często natrafiali wówczas na ładne muszelki i pieniążkowce, ale do domu zanosił tylko kamyki, które dawał Ramey. Mama nigdy nie była o to zazdrosna, bo wolała muszelki.

Max przystanął i zdjął tenisówki. Ściągnął też skarpetki i - żeby nie zapodziały się - upchnął je w butach, które położył w bezpiecznej odległości od wody na wypadek przyływu. Nie był pewien, czy na jeziorze też są przyływy i odpływy, ale wolał się zabezpieczyć. Zresztą lubił biegać boso po piasku. Tu piasek wyglądał inaczej niż na hawajskich plażach. Miał grubsze ziarenka i był trochę bardziej szorstki, ale przyjemnie się po nim chodziło.

Ta wspólna wyprawa była naprawdę fajna. Nie bał się już spać w namiocie. Pierwszej nocy postanowił, że w ogóle nie zaśnie, na wypadek gdyby do namiotu chciał dostać się niedźwiedź, aligator lub wąż. Ale pan Evans zaczął coś podejrzewać i zapytał go, w czym problem. Gdy Max podzielił się z nim swoimi obawami, popatrzył na niego łagodnie i powiedział:

- Jeśli chcesz, możesz przenieść śpiwór i spać obok mnie.

Namiot był duży. Składał się z obszernego przedsionka i dwóch sypialni przedzielonych zamykaną na suwak ścianką, ale pan Evans postanowił, że z niej zrezygnują. Elizabeth i Susan spały w przedsionku, ich tato w tylnej sypialni, a Max w tej środkowej. Ucieszył się, gdy pan Evans zaproponował mu, żeby przeniósł się do niego, bo trochę się bał.

- Nie obawiaj się, Max. Zapewniam cię, że nic nie wejdzie do naszego namiotu - uspokajał go pan Evans. Mówił szeptem, bo dziewczyny już zasnęły. - Jesteś ze mną bezpieczny.

Powiedział to z takim przekonaniem, że chłopiec zapomniał o strachu. Leżąc obok pana Evansa, rzeczywiście czuł, że nic mu nie grozi i szybko zasnął wtulony w jego ramię. Przyjaciel mamusi był wysoki, silny i mądry. Gdy znajdował się w pobliżu, niedźwiedzie, aligatory i węże nie wydawały się już takie groźne.

Nagle Max zauważył na piasku kamień, jakiego w życiu nie widział. Czarny, okrągły, błyszczący, z czterema białymi paskami. Podniósł go i obracał w dłoni. Z jednej strony był trochę ubrudzony ziemią. Max podszedł do wody i opłukał go. Teraz był wprost cudowny. Białe paski biegły dookoła! Wyglądał zupełnie jak szklana kulka do gry, tyle że nie był ze szkła. Fiu, fiu! Ramey będzie zachwycona.

Jeszcze raz przyjrzał się znalezisku. Włożył kamień do bocznej kieszeni dżinsów. Kieszenie świetnie nadawały się na schowek. Max ruszył dalej i zobaczył przed sobą wielki głaz. Nie był zmęczony, ale postanowił zrobić krótką przerwę w poszukiwaniach. Wdrapał się na kamień i usiadł na jego szczycie. Z tego miejsca miał świetny widok na jezioro, a jednocześnie kątem oka cały czas widział pana Evansa i dziewczyny.

Max lubił rozmyślanie nad wodą. W jego głowie wciąż kłębiło się wiele myśli. Najpierw przypomniał sobie o Buddym. Spodobałoby mu się biwakowanie, a już na pewno łowienie ryb. Zawsze się ożywiał, gdy zwęszył zapach ryby. Spanie w namiocie też by polubił, bo mama nieraz mówiła, że Buddy pilnuje go, jak pies pasterski owieczkę. Na biwaku mógłby chronić nie tylko jego, ale także dziewczyny, a nawet pana Evansa.

Dzień był piękny i promienie słońca odbijające się od powierzchni jeziora raziły chłopca w oczy. Przyłożył dłoń do czoła, robiąc z niej daszek, i dalej podziwiał roztaczający się przed nim widok.

Teraz myślał o liście od mamy, który przeczytał mu pan Ogle. Szczególnie jeden jego fragment nie dawał mu spokoju. Jednak nie ten, w którym mama napisała, żeby był dzielny i pamiętał, że ona zawsze będzie go kochać, tylko ten, w którym wspomniała o jego tacie. Początkowo odganiał od siebie tę myśl. Chciał odzyskać mamę, a nie tatę, którego nawet nie znał.

Jednak teraz, po kilku dniach spędzonych z panem Evansem coraz częściej zastanawiał się nad tym. Parę razy nawet budził się w środku nocy i rozmyślał, jakby to było mieć tatę takiego jak pan Evans - silnego, mądrego i kochającego. Elizabeth i Susan miały szczęście, chociaż Max nie był pewien, czy one o tym wiedzą.

Zanim mama umarła, zdarzało mu się myśleć o tacie, ale niezbyt często, bo wydawało mu się, że nie potrzebuje taty. Była przecież mama. Ale teraz odeszła...

Chyba naprawdę pragnęła, żeby odnalazł kiedyś tatę, bo inaczej nie wspomniałaby o tym w liście, prawda?

Max zmęczył się trzymaniem dłoni przy czole i opuścił ją. Zamknął powieki i zwrócił twarz ku słońcu, grzejąc się w jego promieniach. Jak miał odnaleźć tatę, skoro na świecie tyłu ich było? A może jego tato, ten, o którym pisała mama, już go szuka i któregoś dnia zapuka do drzwi Ramey, stanie na progu, pytając o niego? Max zmrugał oczy i spojrzał w niebo, w którym mieszkał Pan Bóg.

- Panie Boże, cześć. To ja, Max - mówił w myślach. - Myślę o moim tacie, który gdzieś tam jest. Mama mi o nim powiedziała. Czy mógłbyś poprosić moją mamę, żeby mi wskazała, gdzie mam go szukać? Na świecie jest tyłu tatusiów, a ja nawet nie wiem, jak ten mój wygląda i jaki ma głos. - Max przez chwilę zastanawiał się, o co jeszcze poprosić. - Powiedz mojej mamie, że bardzo za nią tęsknię. Już mnie nie boli brzuch z tęsknoty, ale nadal boli mnie serduszko. I chyba już zawsze tak będzie. Może mniej by bolało, gdybym znalazł mojego tatę.

Wciąż mając zamknięte powieki, chłopiec postanowił zaśpiewać specjalną piosenkę mamusi. Chciał znowu poczuć jej bliskość. Cichutko zaczął nucić:

- Nad życie kocham synka mojego... na śniadanie chcę zrobić mu coś pysznego...

- Max? - odezwał się męski głos.

Max otworzył oczy, obrócił się gwałtownie i ujrzał pana Evansa. Natychmiast zeskoczył z głązu, mówiąc:

- Patrzyłem na jezioro.

- Zobaczyłem, że tu siedzisz sam jak palec - odparł mężczyzna, wkładając ręce do kieszeni - i pomyślałem sobie, że może chcesz porozmawiać.

- Myślałem o różnych rzeczach... - wyjaśnił Max i stopą zaczął kreślić linie na piasku.

- Też mi się to często zdarza - przyznał pan Evans, przenosząc wzrok na jezioro. - Zwłaszcza ostatnio. O czym więc dzisiaj myślałeś?

Max oparł się plecami o wielki głaz. Nie lubił się zwierzać, chyba że mamie. Ale pan Evans był przyjacielem mamy, więc po chwili wahania postanowił, że zrobi dla niego wyjątek.

- O moim tacie - powiedział, osłaniając oczy przed słonecznym blaskiem.

Na twarzy pana Evansa pojawił się wyraz zaskoczenia. Mężczyzna też oparł się o głaz i stali teraz obok siebie. Maxowi spodobało się to. Gdy jego mama jeszcze żyła, nieraz właśnie w ten sposób rozmawiali o różnych rzeczach.

- Co wiesz o swoim tacie? - spytał pan Evans.

- Mamusia... - zaczął Max, przykładając jednocześnie rękę do kieszeni, żeby sprawdzić, czy kamień dla Ramey wciąż w niej jest - powiedziała mi, że mam tatę i że może kiedyś go odnajdę.

Pan Evans milczał chwilę, jakby czekając na ciąg dalszy.

- Tylko tyle? To wszystko, co wiesz?

- Mhmmm. Mama napisała to w liście, który przeczytał mi pan Ogle po tym, jak... jak nie wróciła do domu.

- Rozumiem - pokiwał głową pan Evans. - Co myślałeś o swoim tacie? Możesz mi powiedzieć?

- Po prostu myślałem... - odparł Max i zwilżył językiem dolną wargę. Czuł się trochę nieswojo, opowiadając o tym, ale pan Evans wzbudzał zaufanie. - Pytałem też o niego Pana Boga.

- Naprawdę?

- Tak. Przecież na świecie jest tak wielu tatusiów, że pewnie nigdy nie poznam tego mojego, chyba że Pan Bóg mi go wskaże. Prosiłem Go o to.

Przez moment Maxowi wydawało się, że pan Evans ma ochotę go przytulić, tak jak często przytulał Elizabeth i Susan. Nie uściskał go jednak, tylko pocieszająco położył rękę na jego głowie i, odpychając się od głązu, powiedział:

- Myślę, że Bóg wysłucha twojej prośby.

- Naprawdę pan tak sądzi? - Max poczuł nagły przypływ otuchy. Skoro taki mądry człowiek jak pan Evans uważa, że Pan Bóg pomoże mu odnaleźć tatę, to może tak właśnie będzie.

- Naprawdę tak uważam - jeszcze raz usłyszał zapewnienie.

Chłopiec nagle przypomniał sobie o znalezionym wcześniej kamieniu.

- Proszę zobaczyć, co znalazłem! - zawołał, wyciągając z kieszeni swój skarb. Ujął go ostrożnie w palce, żeby przypadkiem nie wypadł mu z ręki i nie potoczył się do jeziora. Pokazał go panu Evansowi.

- Śliczny - skomentował pan Evans.



Dorośli często nie zwracają uwagi na to, co dzieci im pokazują, ale panu Evansowi kamyk chyba naprawdę się podobał, bo oglądał go ze wszystkich stron.

- Co z nim zamierzasz zrobić? - zapytał.

- Podaruję go Ramey - odparł Max, wkładając kamień z powrotem do kieszeni spodni. - Zawsze gdy znajdę jakiś fajny kamyk, daję go jej w prezencie.

- Rozumiem - mężczyzna przez dłuższą chwilę przyglądał mu się uważnie. - To jak? Idziemy łowić?

Max miał jeszcze wiele spraw do przemyślenia, ale bardzo polubił pana Evansa i chciał pobyc z nim trochę dłużej.

- Pokaże mi pan jeszcze raz, jak to się robi?

- Nie ma sprawy - odpowiedział, wyciągając ku chłopcu dłoń. - Chodź, idziemy.

Max ufnie chwycił dłoń mężczyzny i ruszyli w drogę powrotną, rozmawiając o kamieniach, skałach, przyływach i przynętach na ryby. Ale chłopca najbardziej cieszyło to, że mógł trzymać pana Evansa za rękę. Pomyślał sobie, że gdy już znajdzie swojego tatę, też będą chodzić na spacer, trzymając się za ręce. Tak naprawdę, nie miałby nic przeciwko temu, żeby jego tato był właśnie taki jak pan Evans.

## ROZDZIAŁ XXII

Connor od samego początku wiedział, że wyprawa pod namiot musi się tak skończyć. Tydzień spędzony z Maxem - wspólne łowienie ryb, spacer, zabawy przyczyniły się do powstania więzi między nim a chłopcem. W najśmielszych wyobrażeniach nie spodziewał się jednak, że stanie się to tak szybko.

Elizabeth i Susan, wyposażone w dmuchane kółka i zarękawki, pluskały się w ogrodzonym kąpielisku przy polu biwakowym pod czujnym okiem ratownika, dzięki czemu Connor mógł spokojnie wytłumaczyć Maxowi, jak należy zakładać przynętę.

- Przynęta musi być żywa, żeby ryby widziały, że się rusza.

- Aha, więc tak je pan oszukuje.

- Można tak powiedzieć - Connor zdławił śmiech. - Gotowy? To zarzucaj...

Gdy spławik wędki Maxa zatańczył na powierzchni jeziora, Connor nawlókł na haczyk swoją przynętę i, biorąc szeroki zamach, zarzucił wędkę daleko od brzegu. Siedzieli obok siebie w milczeniu, a z oddali dobiegały ich piski i krzyki bawiących się w wodzie dziewczyn.

Connor jedynie kątem oka spoglądał na spławik, znacznie więcej uwagi poświęcając Maxowi. W ciągu ostatnich kilku dni na własnej skórze przekonał się, że Marv Ogle miał rację, mówiąc że Maxa nie można nie kochać. Zresztą dotyczyło to również jego córek. Pomyśleć tylko, że tuż przed wyjazdem Michele odciągnęła go na bok, przestrzegając, żeby nie wywierał presji na córki i miał na uwadze ich odczucia.

- Elizabeth coś podejrzewa - starała się mówić jak najciszej, żeby dzieci jej nie usłyszały. - Musisz to uszanować, Connor. Nie zmuszaj jej, żeby się z nim zaprzyjaźniła.

Nawet przez głowę mu nie przeszło, że mógłby się tak zachować. Zresztą dzieci polubiły się od razu i już pierwszego dnia dały temu wyraz. Gdy Max nie mógł sobie poradzić ze swoim śpiworem - starym śpiworem Connora, który Michele wyciągnęła z szafki w garażu - Elizabeth sama przyszła mu z pomocą.

- Czasami suwak łapie materiał i zacina się - tłumaczyła mu cierpliwie. - Nie szarp go wtedy na siłę, tylko trochę odciągnij do tyłu i spróbuj jeszcze raz.

Pomimo wskazówek Elizabeth, suwak zaciął się jeszcze dwukrotnie, a ona za każdym razem bez cienia irytacji pokazywała mu, co należy wtedy zrobić. Gdy w końcu śpiwór udało się zapiąć i rozłożyć na środku namiotu, poklepała Maxa po plecach, mówiąc:

- Świetnie, Max. Zobaczysz, jeszcze będzie z ciebie biwakowicz jak się patrzy.

Minęła już połowa czasu przeznaczanego na pobyt nad jeziorem i Connor był świadkiem podobnych scen po kilka razy dziennie. Poprzedniego wieczora przy ognisku Max, nadziewając na cienki patyczek trzy pianki, oznajmił, że zrobi dla dziewczyn i dla siebie ciasteczka biwakowe. W odpowiedzi na jego propozycję Elizabeth i Susan wymieniły szybkie spojrzenia, zachichotały i pokiwały głowami z aprobatą, mówiąc:

- OK, Max. Nie możemy się doczekać.

Jak łatwo było przewidzieć, pianki zapaliły się, bo Max za długo trzymał je nad ogniem. Niezrażony, ugasił je, a następnie rozmoczone i usmolone ułożył na trzech kawałkach czekolady i przy pomocy krakersów grahamowych zrobił z nich małe kanapki.

Connor spodziewał się, że jego córki z uprzejmości podziękują Maxowi, a przy pierwszej okazji wyrzuca przypalone ciasteczka do pojemnika na śmieci, ale ku jego zaskoczeniu dziewczyny zjadły je aż do ostatniego okruszka, a na koniec serdecznie wyściskały niefortunnego kucharza, głośno wychwalając jego umiejętności.

Gdyby tylko Michele mogła ich teraz widzieć. Connor był pewien, że gdyby tylko zechciała dać Maxowi szansę, pokochałaby go tak samo, jak on i dziewczyny. Cały czas uważnie przypatrywał się chłopcu, który z wielkim przejęciem ścisnął wędkę w dłoniach. Pamiętając o udzielonych mu instrukcjach, leciutko poruszał spławikiem.

- Dobrze trzymam? - Max podniósł na niego pytająco wzrok.

- Świetnie - pochwalił go Connor. - Założę się, że wszystkie ryby w okolicy mówią teraz o twojej przynęcie.

Chłopiec znów wbił oczy w spławik. Connor domyślał się, dlaczego Michele wołała trzymać się z dala od Maxa. Wiedziała, że mąż ją zdradził, i nie miała najmniejszej ochoty oglądać żywego dowodu tej zdrady. Wciąż nie potrafiła uwolnić się od tej perspektywy i spojrzeć na Maxa inaczej. Od kilku dni Connor modlił się, by opamiętała się w końcu i dostrzegła, jak dobrze Max pasuje do ich rodziny.

Mężczyzna, przekrzywiając głowę, obserwował zachowanie i gesty chłopca. Niechęć Michele była do pewnego stopnia uzasadniona. Pomimo wyraźnego podobieństwa do rodziny Evansów, Max bez wątplenia był synem Kiahny. Przypomniawszy sobie fotografię, którą chłopiec trzymał w swojej Biblii. Tak, był on żywym odbiciem swojej matki.

Ta krótka znajomość z Kiahną, naznaczona grzechem, który położył się cieniem na jego relacjach z Bogiem, w ogóle nie powinna się wydarzyć. Postąpił źle. jednak wtedy, w Honolulu, Kiahna na moment otworzyła przed nim serce i to, co wtedy w nim zobaczył - choć próbował o tym zapomnieć na zawsze pozostało w jego pamięci. Connor starał się nie wracać wspomnieniami do tamtego dnia, ale od czasu do czasu jego serce wbrew woli wyruszało w podróż w przeszłość, podążając zakazanymi ścieżkami do pewnej burzliwej nocy, kiedy to złamał najważniejszą przysięgę w życiu.

\* \* \*

Lody zostały przełamane podczas posiłku. Gdy tylko usiedli przy jednym stoliku, towarzyska pogawędka na temat zbliżonych upodobań szybko przerodziła się w poważniejszą rozmowę o przyczynach smutku w oczach Kiahny.

Stewardesy przeważnie trzymały się razem. Łatwo było wyłowić je wzrokiem z tłumu kłębiącego się w hali odlotów. Ładne, dyskretnie umalowane i starannie uczesane, szczupłe, o nienagannych figurach, ubrane w świetnie skrojone służbowe stroje przemieszczały się grupkami, ciągnąc za sobą podręczny bagaż. Śmiały się i gestykulowały, wymieniając się wrażeniami z lotu czy świeżo zasłyszanymi plotkami, ale nie tylko. O ile piloci rzadko rozmawiali ze sobą o sprawach osobistych, stewardesy z chęcią uciekały od dyskusji na tematy zawodowe i opowiadały sobie o życiu rodzinnym, dzieciach, romansach i wszelkiego rodzaju problemach dnia codziennego. Razem wchodziły do toalety, by poprawić makijaż, i razem wpadały do barów i restauracji, by coś przekąsić.

Rzadko zdarzało się, by któraś trzymała się z boku tak jak Kiahna, siedząc samotnie przy stoliku.

- A gdzie reszta towarzystwa? - zapytał Connor, pociągając przez słomkę łyk mrożonej herbaty. Ta rozmowa była dla niego jak ożywczy haust powietrza, dzięki któremu choć przez chwilę mógł zapomnieć o swoich kłopotach i zmartwieniach.

- Inne stewardesy? - Kiahna opuściła widelec i uśmiechnęła się. - Lubimy chadzać własnymi drogami.

- Och... - Connor przechylił głowę w geście zdziwienia. - A to dlaczego?

- Są dla mnie za szybkie.

- Za szybkie?

Kiahna obdarzyła go smutnym uśmiechem.

- Na pewno słyszał pan o stewardesach z Western Island Air?

Connor zrobił zamyśloną minę.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Gdzie się pan uchował, kapitanie Evans?

- Skończmy już z „pan” i „pani” - Connor wszedł jej w słowo. Z jakiegoś powodu zależało mu, by ich rozmowa nabrała mniej formalnego charakteru. - Mówmy sobie po imieniu.

- Dobrze - zgodziła się. - Latamy głównie w nocy i większość dziewczyn potrzebuje czegoś więcej niż dietetycznej Coli, żeby nie zasnąć.

- Narkotyki?

- Kokaina - wzruszyła ramionami. - Kokaina przed startem, mężczyźni po wylądowaniu. Wolę więc trzymać się na uboczu.

Connor oparł się wygodnie i uważnie jej się przypatrywał.

- Kwestia przekonania?

- Chyba tak.

- Możesz zdradzić coś więcej? - zapytał. Przyszło mu do głowy, że może była zamężna i wiodła spokojne, konserwatywne życie, w którym po prostu nie było miejsca na szaleństwo, od których nie stroniły jej koleżanki.

- Sądzę, że to sprawa wiary - odparła i, zahaczywszy palcem o zawieszony na szyi łańcuszek, wyciągnęła wiszący na nim prosty srebrny krzyżyk. - Jestem chrześcijanką - oznajmiła, chowając krzyżyk pod bluzką. -

Moi rodzice mówili, że wiara nie polega na udawaniu. O prawdziwej wierze świadczą uczynki - dodała, kładąc dłonie przed sobą na stole. - Mama zmarła trzy dni temu, niemal równo sześć miesięcy po tym, jak pochowaaliśmy tatę.

Spośród setek pytań, które chciał jej zadać, Connor wybrał najbardziej oczywiste:

- Na co umarli?

- Tato zmarł na serce. Był z pochodzenia Irlandczykiem. W jego rodzinie wszyscy mężczyźni umierali na serce - odparła Kiahna, mieszając słomką w szklance z napojem. - Pewnego ranka obudził się i już nie doszedł do łazienki.

Widząc w jej oczach ból wywołany tym wspomnieniem, Connor pożałował, że o to zapytał.

- Tak mi przykro - powiedział.

- Nic się nie stało - Kiahna wzruszyła ramionami, chcąc okazać, że nie ma do niego pretensji. - Przynajmniej oboje są teraz w niebie.

- Racja - przytaknął Connor. - A mama?

Kiahna spuściła wzrok i znowu zaczęła bawić się słomką.

- Mama była Hawajką, silną kobietą, która dożyłaby pewnie setki, gdyby nie dopadła ją choroba nowotworowa. - Kiahna zawahała się. - Sądzę, że po śmierci taty po prostu straciła ochotę do życia, jej system odpornościowy skapitulował, wdał się rak z przerzutami i w pół roku było po wszystkim.

Connor miał szczerą ochotę podejść do dziewczyny, objąć ją i pocieszyć. Popijając drobnymi łyżkami herbatę, próbował odgadnąć jej wiek. Tak na oko miała jakieś dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata.

- Masz męża? - zapytał ni stąd, ni zowąd. Nie nosiła na palcu obrączki, ale o niczym to jeszcze nie świadczyło. Jego obrączka została w mieszkaniu w Los Angeles, na półce w łazience. Zdjął ją przed poranną porcją ćwiczeń i w pośpiechu zapomniał nałożyć z powrotem.

- Nie. Mieszkam z koleżanką, też stewardesą, ale z innych linii lotniczych.

- Jakieś rodzeństwo?

- Byłam jedynaczką - uśmiechnęła się ciepło. - Rodzice nieraz mówili, żartując, że nie chcieli mieć więcej dzieci, bo nie potrafiliby ich kochać tak bardzo jak mnie. Byłam z nimi bardzo zżyta.

Każde jej słowo wzbudzało w Connorze coraz większą sympatię i współczucie. Biedna dziewczyna. Straciła najbliższych i została sama. Jak tu mówić o sprawiedliwości na świecie? Chyba tylko wiara w Boga pozwoliła jej przetrwać te ciężkie chwile i zachować pogodę ducha.

- Daję sobie radę - powiedziała Kiahna, jakby odczytując jego myśli. - Dziewczyna, z którą mieszkam, to moja dobra przyjaciółka. Poza tym studiuje.

- Co takiego studiujesz?

- Medycynę. Od dzieciństwa marzyłam, żeby zostać lekarką. - Lekko pokiwała głową. - Kto wie, może z Bożą pomocą odkryję kiedyś lekarstwo na raka, żeby ludzie tacy jak moja mama nie musieli przedwcześnie umierać.

Connor patrzył na nią, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Coraz bardziej był nią zafascynowany. Głęboko wierząca, pełna optymizmu i radości, odznaczała się niezwykłą wewnętrzną determinacją, która we współczesnym egoistycznym świecie stała się towarem deficytowym.

- Ile ci jeszcze zostało?

- Za rok licencjat, ale to dopiero początek.

- To ile masz lat? - spytał, dokonując w myślach pośpiesznych obliczeń. - Dwadzieścia dwa?

- Dwadzieścia jeden - sprostowała, biorąc kolejny łyk mrożonej herbaty. - Wiem, wiem... Ludzie myślą, że jestem starsza.

- Fakt, ja pomyliłbym się o dwa - zażartował Connor. Sam miał wkrótce obchodzić trzydzieste trzecie urodziny. Dowiedziawszy się, ile lat ma Kiahna, czuł, że szczegóły z jej życia osobistego nie powinny go interesować. W ogóle nie powinien flirtować z żadną stewardesą, a co dopiero z młodziutką, śliczną i - jakby tego było mało - niezamężną dziewczyną.

- Jestem sama z wyboru, Connor - Kiahna ciągnęła opowieść już bez zachęty z jego strony. - Byłam kiedyś zakochana w wykładowcy z college'u i to z wzajemnością. Chciał się ze mną ożenić, namawiał mnie, żebym rzuciła szkołę i wyszła za niego - Kiahna nie spuszczała wzroku z Connora. - Jednak nie zgodziłam się. Postanowiłam, że zostanę lekarką i nic mnie nie powstrzyma. Miłość, małżeństwo, wychowywanie dzieci, na to przyjdzie czas później - jej głos przybrał łagodniejszy ton. - Na razie liczy się dla mnie tylko Bóg i studia. Pracując jako stewardesa, mogę zarobić na życie i na chesne.

Następnie rozmowa zeszała na pilotowanie samolotów pasażerskich. Connor nie mógł wyjść z podziwu, jak ta dziewczyna wspaniale potrafiła słuchać. Do coraz dłuższej listy jej zalet dodał inteligencję. Była piękna, inteligentna i konsekwentnie dążyła do postawionych sobie celów.

Gdy skończyli jeść, Connor chciał uregulować rachunek, ale Kiahna uparła się, żeby każde z nich zapłaciło za siebie. Wstali od stolika i wrócili do hali odlotów, by zapoznać się z najnowszymi informacjami w sprawie nadciągającej burzy. Szli nieśpiesznym krokiem, ciągnąc za sobą walizeczki na kółkach.

- Lubię cię... - powiedziała niespodziewanie, obdarzając go bezpretensjonalnym uśmiechem, pozbawionym najmniejszego choćby śladu kokieterii. - Większość pilotów to aroganckie bubki, ale ty jesteś inny... Miło się z tobą rozmawia.

Jej komplement sprawił mu prawdziwą przyjemność. Connor uznał, że nadszedł odpowiedni moment, by napomknąć o Michele:

- To samo mówi moja...

- Prosimy o uwagę - głos, który w tej samej chwili popłynął z głośników, nie pozwolił mu dokończyć. - Z uwagi na zbliżający się rozległy front burzowy, lotnisko zostaje zamknięte do odwołania. Wszystkie starty i lądowania zostają czasowo wstrzymane. Powtarzam...

- To pięknie - Connor zatrzymał się w pół kroku i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Może przejdzie bokiem - próbowała pocieszyć go Kiahna. - Chodź, może uda nam się dowiedzieć czegoś więcej.

Niezrażona ruszyła w kierunku punktu informacyjnego, a Connor podążył za nią. Po drodze starał się policzyć, ile to już dni nie widział się z Michele, i coraz bardziej wątpił w to, że uda im się zobaczyć w ten weekend. Wszystko przez ten cholerny sztorm. A może Kiahna miała rację. Może front burzowy ominie wyspy i za godzinę lub dwie ruch na lotnisku zostanie wznowiony.

Choć z perspektywy czasu nikt by mu nie uwierzył, Connor naprawdę miał w tamtej chwili szczerą nadzieję,

że przewidywania Kiahny się sprawdzą.

## ROZDZIAŁ XXIII

Connor powrócił do rzeczywistości, odrywając się od wspomnień. W jego głowie wciąż jednak kłębiły się związane z nimi myśli.

Ich znajomość była dziełem przypadku. Ani on, ani Kiahna nie zaplanowali sobie tego. Naprawdę chciał wtedy jak najszybciej wyjechać z Honolulu i wrócić do domu. Owszem, Kiahna zaintrygowała go, przypominała mu Michele, ale nie zamierzał zostać z nią ani godziny dłużej, nie mówiąc już o spędzeniu z nią nocy.

To, co się wtedy stało, zakrawało na przedziwny zbieg okoliczności, na który nie miał najmniejszego wpływu. Connor przymknął powieki i ponownie dał się ponieść wspomnieniom z owej sierpniowej nocy.

\* \* \*

Tłum pasażerów przed punktem informacyjnym w hali odlotów portu lotniczego w Honolulu gęstniał z minuty na minutę. Kiahna podeszła do pracownicy odprawy przy najbliższej bramce i zapytała: - jak długo może to potrwać?

- Prognozy są nieciekawe - odparła zagadnięta kobieta, podnosząc wzrok znad komputera. - W najbliższym czasie nie zanoszą się na poprawę pogody.

- Przepraszam panią - wtrącił się Connor. - Dziś powinienem wracać do Los Angeles. Czy jest szansa, że przynajmniej niektóre samoloty dostaną pozwolenie na start? Mamy wystartować - spojrzał na zegarek - za godzinę.

- Słyszał pan komunikat.

- Tak, słyszałem - odparł z lekkim poirytowaniem. - Może jednak mogłaby pani...

- Panie kapitanie, przecież zna się pan na tym lepiej ode mnie - weszła mu w słowo, wskazując ruchem głowy najbliższe okno. - Wiatr wkrótce osiągnie siłę huraganu. Na całym wybrzeżu nie działa sieć telefoniczna. Obawiam się, że będzie pan musiał poczekać tak jak wszyscy. A teraz proszę mi wybaczyć, obowiązki wzywają.

Znaleźli sobie wolną ławkę i usiedli. Kiahna pokiwała głową i uśmiechnęła się lekko.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby to miało potrwać kilka dni.

Ledwie zdążyła to powiedzieć, a już z głośników popłynął kolejny komunikat. Wszyscy wokół zamarli, nasłuchując.

- Prosimy o uwagę wszystkich pasażerów. Jak już informowaliśmy, wskutek nagłego załamania pogody Port Lotniczy Honolulu zostaje zamknięty do odwołania. Jutro w godzinach rannych dyrekcja portu lotniczego po konsultacjach ze służbą meteorologiczną dokona ponownej oceny sytuacji. Zdaniem meteorologów obecne warunki atmosferyczne mogą utrzymać się przez kolejne dwa dni.

Po wysłuchaniu komunikatu wypełniający halę terminalu pasażerowie nagle rzucili się do drzwi i budek telefonicznych, przepychając się i potrącając. Connor wahał się, czy do nich dołączyć, czy może lepiej poczekać, aż tłum się przerzedzi.

- Trochę późno się zorientowali - Kiahna zmarszczyła brwi.

- Tak sądzisz?

- Ostrzeżenia o sztormie nadawano od rana. Wielu turystów, którzy mieli dziś wyjechać, prawdopodobnie przedłużyło swój pobyt na wyspie. Zastanów się - jest środek sezonu. Hotele pękają w szwach. Większość z tych ludzi spędzi tę noc na lotnisku.

Connor w myślach przyznał jej rację.

- Tak czy owak spróbuję skontaktować się z przedstawicielem moich linii. Zobaczą co mi powie. Poczekaj chwilę.

Pięć minut później wrócił z wiadomościami.

- Jadę z nimi na tym samym wózku. W klubie dla pilotów nie da się nawet szpilki wcisnąć. Wolnych pokoi już nie ma, a loty zostaną wznowione najwcześniej jutro. - Oparł się wygodnie i wyprostował nogi. - No cóż? Pozostaje mi znaleźć sobie wygodną ławkę.

Kiahna przyglądała mu się, nic nie mówiąc. Teraz - wiele lat po ich spotkaniu - mógł tylko zgadywać, co sobie wtedy myślała. Znali się dopiero od godziny, więc pewnie zastanawiała się, czy powinna mu to zaproponować. Może obawiała się, że mężczyzna opacznie zrozumie jej zaproszenie. W końcu podjęła decyzję.

- Jeśli chcesz, możesz przenocować u mnie. Mieszkam z koleżanką. Prześpisz się na leżance.

Dwie myśli równocześnie przemknęły mu przez głowę. Po pierwsze, nie powiedział jeszcze Kiahnie, że jest żonaty. Nie miał na palcu obrączki, więc mogła zakładać, że nikt na niego nie czeka w domu. Po drugie, jeśli telefony faktycznie nie działały, nie będzie mógł zadzwonić do Michele, żeby powiedzieć jej, co się stało i co zamierza zrobić.

Był w rozterce. Z jednej strony propozycja Kiahny wydawała się kusząca i miał ochotę z niej skorzystać. Jednak z drugiej strony Michele mogłoby się nie spodobać, że spędził noc na kanapie w mieszkaniu atrakcyjnej kobiety. Ale przecież nie mieszkała sama. Poza tym nie zamierzał jej podrywać - po prostu potrzebował miejsca do spania.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście - przesunęła się na brzeg ławki. - Zawsze to bezpieczniej niż tutaj, blisko wody.

Bezpieczniej... Przez chwilę ważył to słowo w myślach. Co powiedziałyby na to Michele? Może powinien zostać na lotnisku i znaleźć wolny fotel albo ławkę.

- Nie krępuj się, Connor - uśmiechnęła się, widząc jego minę. - Jesteś pilotem, pracujesz dla jednej z wiodących linii lotniczych. Nie proponowałabym ci tego, gdybym mieszkała sama. - Uniosła podbródek i popatrzyła mu w oczy z wyraźnym rozbawieniem. - Będzie nas pilnować moja koleżanka. Poza tym powinieneś porządnie się wyspać.

Postanowił, że skorzysta z jej uprzejmości, ale postawił sobie jeden warunek. Najpierw musiał powiedzieć jej o Michele. W połączeniu z obecnością współlokatorki powinno to stanowić wystarczające zabezpieczenie.

- Dobrze - zgodził się, wstając z ławki. - Ale najpierw chciałbym zadzwonić do...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, jakiś nastolatek popijający colę z wielkiego kubka, przechodząc obok nich, potknął się i runął jak długi na posadzkę, ochlapując Connora od stóp do głów zimnym napojem.

- Ejże! - krzyknął mężczyzna, odskakując do tyłu.

Kiahna pomogła sprawcy zamieszania podnieść się z podłogi. Ten, czerwony ze wstydu jak burak, zaczął przeproszać Connora, który tylko machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, żeby jak najszybciej zszedł mu z oczu. Chłopak bezbłędnie odczytał jego intencje i pośpiesznie odszedł. Kiahna zasłoniła usta ręką, próbując powstrzymać śmiech.

- Wyglądasz okropnie!

- Dziękuję za miłe słowa - westchnął Connor i też się uśmiechnął. - Popilnujesz mojego bagażu? Muszę się doprowadzić do porządku - powiedział, skinąwszy głową w stronę najbliższej toalety.

Gdy wrócił po paru minutach cały mokry, Kiahna omal nie pękła ze śmiechu. Nie miał jej tego za złe.

- To idziemy - rzuciła zdecydowanym tonem. - U mnie będziesz mógł się przebrać.

Na parkingu wsiedli do jej zdezelowanej hondy civic. Wiatr przybrał na sile i zaczął padać deszcz. Wycieraczki z trudem nadażały z usuwaniem lejącej się z nieba wody. Gdy wyjechali na drogę prowadzącą do centrum, Connor przypomniał sobie o Michele.

- Czy będę mógł skorzystać z twojego telefonu? Moja...

Krzyk Kiahny nie pozwolił mu dokończyć.

Gwałtowny podmuch wiatru zepchnął metalowy kosz na śmieci pod koła nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu, którego kierowca zjechał na lewy pas. Aby uniknąć czołowego zderzenia, Kiahna szarpnęła kierownicą w prawo i wjechała na chodnik. Oba pojazdy minęły się dosłownie o włos.

- Niezły masz refleks - powiedział z podziwem Connor, starając się opanować drżenie w głosie.

- Myślałam, że już po nas - odparła, oddychając głęboko. Jej twarz była blada jak płótno. Zerknęła w lusterko wsteczne i zjechała na jezdnię.

- A jeśli chodzi o telefon, tak, oczywiście - udzieliła spóźnionej odpowiedzi na jego pytanie.

Dalsza podróż minęła już bez żadnych niespodzianek. Gdy dotarli na miejsce, wichura rozszalała się na dobre. Kiahna wyciągnęła z torebki klucze i otworzyła drzwi. Zapaliła światło, weszła do salonu i z głośnym „uff!” opadła na wielki fotel stojący przy oknie.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak wiało. Musiałam wtedy być małą dziewczynką - oznajmiła, odgarniając mokre kosmyki włosów z twarzy.

Connor stanął na środku pokoju z walizką w ręku i uśmiechnął się niepewnie.

- To gdzie podziewa się twoja współlokatorka?

- Nie mam pojęcia - odparła Kiahna i wzruszyła tylko ramionami.

- Lara! - Nikt nie odpowiedział. Wstała, zrobiła kilka kroków w stronę kuchni i ponownie zawołała: - Jestem w domu.

- Może śpi? - powiedział Connor. Miał taką nadzieję. Czułby się niezręcznie, prosząc Kiahnę o odwiezienie go z powrotem na lotnisko w taką pogodę. Ale zawsze mógł zadzwonić po taksówkę.

- Powinna była wrócić z pracy parę godzin temu - zdziwiła się Kiahna. Podeszła do niewielkiego stolika obok ściany w przedpokoju. Czerwona lampka stojącej na nim automatycznej sekretarki migła jednostajnie. Kiahna nacisnęła przycisk i z głośnika popłynął żeński głos.

- Cześć. To ja, Lara. Utknęłam w robocie - w jej tonie słychać było zdenerwowanie. - Poważnie przez wichurę drzewa zablokowały drogę. Usuną je chyba dopiero jutro. Przenocuję u koleżanki, która mieszka tu



niedaleko.

Kiahna nacisnęła przycisk „stop” i spojrzała na Connora bezradnie.

- Co teraz?

- Słuchaj, Kiahno, lepiej zadzwonię po taksówkę.

- Przepraszam. Skąd mogłam wiedzieć... - zafrasowana usiadła na krześle.

- Nic się nie stało - pocieszył ją Connor. Sięgnął po leżącą obok aparatu książkę telefoniczną i otworzył ją na stronie z firmami radiotaxi. - Wróć na lotnisko taryfą. Na podłodze w świetlicy dla pilotów też można się przespać.

Podniósł słuchawkę, ale nie usłyszał w niej sygnału. - Hmm. - Kilkakrotnie nacisnął widełki telefonu. Na próżno. - Chyba rzeczywiście telefony nie działają.

- Tamta kobieta mówiła, że tylko na wybrzeżu - Kiahna poderwała się z krzesła i wykręciła numer, ale bez skutku. - Głucho.

Connor przeciągnął ręką po brodzie i zaczął rozważać sytuację, w jakiej się znalazł. Wyglądało na to, że - czy tego chciał, czy nie - przyjdzie mu spędzić noc w mieszkaniu stewardesy, którą dopiero co poznał. Nie miał innego wyjścia, musiał wyznać jej prawdę.

- Posłuchaj, Kiahno. Próbowałem ci to powiedzieć już wcześniej, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. Mam żonę. - Wreszcie wyrzucił to z siebie.

- To dobrze... - uśmiechnęła się bezpretensjonalnie. - Nic ci tu nie grozi. Zresztą domyślałam się tego. Większość pilotów to żonaci mężczyźni - popatrzyła na niego z zaciekawieniem. - Jeśli miałbyś się czuć skrępowany, mogę przenocować u sąsiadki.

- Nie, nie trzeba.

Nagle zrobiło mu się głupio. Nie kierowały nią żadne ukryte motywy. On też nie miał wobec niej żadnych niecnych zamiarów. Oczywiście, że mógł zostać. Będzie jej rażniej. Niedawno straciła rodziców. Nie będzie sama w domu podczas tej burzy, podobno najgorszej od dziesięcioleci. Dotrzyma jej towarzystwa, będzie ją zabawiać rozmową, a potem prześpi się na leżance. Rano telefony znowu będą działać i wtedy zadzwoni po taksówkę.

Ciężkie burzowe chmury sprawiły, że wcześniej zrobiło się ciemno. Kiahna przygotowała na kolację sałatkę z kurczakiem i grzanki. Podczas posiłku rozmawiali o wierze i marzeniach z dzieciństwa. W pewnym momencie Kiahna nieoczekiwanie zmieniła temat.

- Od jak dawna mieszkacie w Los Angeles?

- Zasadniczo... - Connor wbił wzrok w talerz. - Moja żona mieszka w Orlando. To chyba nawet lepiej. Przynajmniej na razie.

- Ach, tak - wyraz jej twarzy zmienił się, ale nie na tyle, by poczuł się w obowiązku to skomentować.

Jej gesty, błysk w oczach przypominały mu Michele. Uświadomił sobie, jak bardzo tęskni za żoną taką, jaka była przed kłopotami z depresją. Do tej dziewczyny siedzącej naprzeciwko czuł wyłącznie sympatię. Był pewien, że Michele go zrozumie i nie będzie mieć do niego pretensji o to, że przyjął zaproszenie Kiahny. Cóż innego mógł zrobić w tej sytuacji?

Po skończonej kolacji przeszli do pokoju Kiahny, by obejrzeć film w telewizji. Dziewczyna usiadła na

niewielkiej kanapie, a Connor na fotelu. W połowie filmu zabrakło prądu.

- Pięknie... - Kiahna przyjęła ten fakt ze stoickim spokojem. - Gdzie ja schowałam latarkę?

- Powinniśmy przewidzieć taką ewentualność - stwierdził nie bez słuszności. - Pomóc ci?

- Nie, zostań tu. Chyba jest w szafce koło lodówki.

Kiahna po omacku wyszła z pokoju i skierowała się do kuchni. Słyszał, jak otwiera drzwiczki. Po chwili ściany przedpokoju omiół wąski snop światła latarki.

- Znalazłam.

- Która godzina?

Wróciła na swoje miejsce i poświeciła na swój zegarek.

- Piętnaście po dziewiątej.

- Nic dziwnego, że nie chce mi się spać.

Ledwie to powiedział, zorientował się, że wyraził się niezręcznie. Dlaczego nie miałby położyć się wcześniej. Awaria prądu stanowiła doskonały pretekst. Powinien oświadczyć, że jest skonany, grzecznie przeprosić swoją uroczą gospodynię i położyć się na leżance w salonie.

- Mam pomysł - odezwała się Kiahna, kierując światło latarki na serwantkę w rogu pokoju. - Zagramy w pokera?

- W pokera? - roześmiał się. - Co powiedzieliby na to twoi bogobojni rodzice?

- Tato uwielbiał grać w pokera - podeszła do oszklonej szafki, kucnęła i otworzyła dolną szufladę.

Mówił, że gra w karty pozwala ćwiczyć umysł. Ale nie grał na pieniądze, nigdy. - Uśmiechnęła się. - Nauczył mnie grać w pokera, gdy miałam sześć lat.

- Dobrze - zgodził się Connor. - Gdzie będziemy grać?

Wyciągnęła z szuflady talię kart i pudełko żetonów i położyła je na niskim stoliku stojącym przy kanapie.

- Mnie tu będzie wygodnie - oznajmiła, siadając po turecku na podłodze. - Ty możesz usiąść na sofie.

Po zaledwie kilku rozdaniach wszystkie żetony leżały po stronie Kiahny.

- Widzę, że nie mam szans. Tato dobrze cię wyszkolił - Connor, udając złość, rzucił karty na stół i uśmiechnął się do niej. Był urzeczony jej urodą i bezpretensjonalnym sposobem bycia. Łączyła w sobie jednocześnie niewinność i zmysłowość. W jej oczach było coś niezwykłego, co sprawiało, że czuł się przy niej wspaniale. Wiele by dał, żeby Michele znów potrafiła tak na niego patrzeć.

Kiahna nagle posmutniała.

- Tak, był dobrym nauczycielem i... moim najlepszym przyjacielem - spojrzała na Connora i uśmiech ponownie zagościł na jej twarzy. - Jesteś śpiący?

- Nie bardzo.

Przygryzła wargę i rozejrzała się po pokoju. Za oknem słychać było narastające wycie wiatru i jęk drzew gnących się pod naporem wichury.

- Ale nawałnica.

- Mało powiedziane - odparł Connor. Sądząc po tym, co działo się na zewnątrz, siła wiatru musiała dochodzić do siedmiu, może nawet ośmiu w skali Beauforta.

- Chcesz zobaczyć mój pamiętnik? Zaczęłam go prowadzić po śmierci rodziców... takie wspominki z

dzieciństwa.

- Sądzisz, że mnie to uśpi? - lubił się z nią droczyć.

- Cóż... - uśmiechnęła się szeroko. - Jeżeli cię uśpi, to chyba dobrze. Mam po niego pójść?

„Daj spokój, Evans... Powiedz jej „dobranoc” i uciekaj stąd... Uciekaj póki czas”. Connor natychmiast poznał ten głos odbijający się echem w jego sercu. „Słyszę Cię, Boże... Panuję nad sobą. Zresztą, ona mnie nie interesuje”.

- Pewnie. Bardzo chciałbym go zobaczyć - powiedział, przypomniawszy sobie, że Kiahna czeka na jego odpowiedź.

Usiedli obok siebie i zaczęli przeglądać jej pamiętnik. Gdy doszli do ostatniej zapisanej kartki, Kiahna stuknęła w nią palcem.

- To byłoby na tyle.

- A co jest na tych ostatnich stronach? - spytał Connor, widząc, że dziewczyna próbuje przed nim coś ukryć.

Po raz pierwszy od spotkania na lotnisku dostrzegł w jej oczach zakłopotanie.

- Takie tam... Parę wierszy, które napisałam.

- Pozwól mi je przeczytać.

Po chwili wahania zgodziła się i wręczyła mu pamiętnik.

- Dobrze. Ale pamiętaj, że nikomu wcześniej ich nie pokazywałam.

Jej poezja była osobista, przejmująca i bardzo piękna. Connor czuł się uprzywilejowany, mogąc wejść w świat jej emocji i uczuć. Wiersze pozwoliły mu lepiej zrozumieć jej ból i cierpienie po utracie obojga rodziców. Gdy skończył czytać, zauważył, że Kiahna ma łzy w oczach.

Ostrożnie zamknął pamiętnik i odłożył go na stolik.

- Muszę przyznać, że masz talent. Twoje wiersze... naprawdę mi się podobają.

- Nie jestem poetką, ale są moje... Lubię pisać, gdy jestem smutna, bo wiersze pomagają mi przetrwać trudne chwile.

Zaczęli dyskutować o swoich ulubionych książkach i autorach. Wkrótce jednak zmęczenie dało /nać o sobie i Connor mimowolnie ziewnął.

- Pora iść spać.

- Chyba masz rację.

Powiedzieli sobie „dobranoc” i podziękowali za miło spędzony czas. Connor zabrał ze sobą przygotowany wcześniej koc i poszedł do salonu. Pół godziny później prawie już zasypiał, gdy nagle usłyszał krzyk Kiahny. Pomimo panujących w mieszkaniu ciemności, błyskawicznie znalazł się przy niej. W jej sypialni hulał wiatr wpadający przez rozbitą szybę. Na podłodze koło okna błyszczały odłamki szkła. Connor sięgnął po leżącą na stoliku latarkę.

- Coś mnie uderzyło - usłyszał słaby głos Kiahny. Leżała skulona na łóżku i trzymała się za głowę.

- Pozwól, niech zobaczę - Connor zbliżył latarkę do jej twarzy i zauważył głębokie rozcięcie biegnące od końca brwi do skroni. Nie wyglądało dobrze. - Masz tu gdzieś apteczkę?

- Tak - jęknęła cicho. - Niedobrze mi, Connor.

Omiótł światłem latarki okno i zrozumiał, co się stało. Złamana przez wiatr gałąź wpadła do pokoju i

uderzyła śpiącą Kiahnę. Nudności mogły świadczyć o tym, że doznała wstrząśnienia mózgu. Miał nadzieję, że tak się nie stało.

- Przejdźmy w inne miejsce.

Pomógł jej wstać, przejść do salonu i usiąść na leżance. Podłożył jej pod głowę poduszkę i okrył ją kocem.

- Nie kładź się jeszcze. To gdzie jest ta apteczka?

- W łazience - mówiła powoli, ledwie słyszalnym głosem. - Pod umywalką.

Z rany na jej głowie ciągle sączyła się krew.

- Trzymaj tak rękę, dopóki nie wrócę.

- Mmm - zachwiała się lekko i syknęła z bólu.

- Sprawdzę, może telefon już działa.

Connor podniósł słuchawkę, ale nadal nie było sygnału. Sięgnął do kieszeni po komórkę, lecz na wyświetlaczu wciąż widniał komunikat: „Usługa czasowo niedostępna”.

Kiahna pilnie potrzebowała pomocy. Nie było czasu do stracenia. Gdyby jej obrażenia okazały się poważne, był gotów zawieźć ją do szpitala jej samochodem. Pobiegł do łazienki, wyjął z szafki pod umywalką apteczkę, znalazł jakąś gąbkę i zwilżył ją letnią wodą.

- Nie zasypiaj, Kiahno - zawołał, wychodząc.

- Mhmmm.

Obmył krew wokół rany zdezynfekował rozcięcie i złączył jego brzegi przy pomocy siedmiu cienkich samoprzylepnych pasków do zamykania ran. Zabezpieczył je większym plastrem i wkrótce krwawienie ustało.

- Jak się czujesz?

W świetle latarki przyglądał jej się uważnie. Była bardzo blada i widać było, iż jest oszołomiona.

- Nadal masz mdłości?

- Trochę.

- Ale nie straciłaś przytomności?

- Nie, już mi się tak nie kręci w głowie.

Connor doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że każdy uraz skroni jest niebezpieczny. Nawet jeśli Kiahna nie straciła przytomności, powinien regularnie sprawdzać, czy jej stan się nie pogarsza. Zaświecił jej latarką w oczy i z ulgą stwierdził, że jej źrenice reagują na światło. Fakt ten dodał mu nieco otuchy.

- Czujesz się wystarczająco dobrze, żeby tu zostać? Jeśli trzeba, zawiozę cię do szpitala.

- Nie... - pokręciła przecząco głową. - Nie muszę tam jechać. Naprawdę. Jestem zbyt zmęczona, żeby się stąd ruszać.

- Prześpij się tutaj, na leżance. Ja położę się na podłodze i na wszelki wypadek co godzinę będę cię budzić, dobrze?

- Dobrze - wymamrotała. Położyła się na boku i błyskawicznie zasnęła.

Jako pilot Connor przyzwyczajony był do bezsennych nocy. Potrafił zwalczyć senność, gdy wymagały tego okoliczności. W godzinnych odstępach dwukrotnie budził Kiahnę, ale w końcu zmęczenie okazało się silniejsze, a od leżenia na twardej podłodze był cały obolały. Jeszcze raz zapalił latarkę, by sprawdzić, jak się czuje Kiahna. Leżanka, na której spała, była znacznie szersza niż większość mebli tego typu i spokojnie mogli

się na niej zmieścić oboje. Nastawił w zegarku budzenie na trzecią rano i położył się obok Kiahny, odwrócony do niej plecami. Potrzebował przespać się choćby tylko tę jedną godzinę. W ciągu dosłownie kilku sekund zasnął głębokim snem.

Śniła mu się Michele - kobieta, w której się zakochał, która wierzyła w niego, która widziała w nim to, co dostrzegła Kiahna. Michele, dla której był człowiekiem czynu, gotowym do poświęceń i godnym zaufania.

Gdy rozległ się dźwięk budzika, Connor usłyszał go, ale jakby w oddali, jakby dzwonił gdzieś w najdalszym zakamarku jego świadomości. Pograżony w półśnie, po omacku odnalazł swój zegarek na podłodze tuż obok leżanki i wyłączył natrętny alarm.

Michele. Uśmiechnął się, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, wędrując dłonią po jej ciele. Poruszyła się. Zanim zorientował się, co się dzieje, że nie jest w domu, że leżąca obok kobieta nie jest jego żoną, lecz stewardesą, którą spotkał zaledwie parę godzin wcześniej, ich usta połączyły się w pocałunku, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, coraz goręcej.

Gdy odsunęli się od siebie dla złapania tchu, ich spojrzenia spotkały się i dopiero wtedy Connor pojął swoją pomyłkę. Uświadomił sobie coś jeszcze. Wmawiając sobie, że nic do niej nie czuje, okłamywał sam siebie. Była taka śliczna, namiętna i straszliwie samotna. Potrzebowała go... niemal tak bardzo, jak on potrzebował jej.

- Kiahno... - wyszeptał czule.

Wtedy usłyszał ten głos, wyraźny i stanowczy, jak gdyby Pan Bóg stał tuż obok, upominając go, by się opamiętał. „Wstań i przeproś... Odsuń się od niej... Uciekaj, synu... Uciekaj stąd czym prędzej...”. Connor delikatnie pogładził jej ramię. „Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ucieknę za chwilę”.

- Przepraszam...

- Nie musisz przeproszać - jej szmaragdowe oczy błyszczały z podniecenia.

„Uciekaj, synu... Zostaw ją w spokoju...”.

Jego usta ponownie zbliżyły się do jej warg. Ciągnęła go do niej jakaś niewidzialna siła. Nigdy wcześniej nie odczuwał czegoś podobnego. Gdy poczuł jej oddech na swoim policzku, zrozumiał, że jest już za późno. Z każdym uderzeniem serca pragnął jej coraz mocniej.

„Uciekaj, synu...”.

Odchylił głowę i patrzył na nią rozpalonym wzrokiem.

- Kiahno, chodź do mnie.

Przylgnęła do niego całym ciałem. Ostrzegawczy głos stawał się coraz cichszy, coraz dalszy, coraz słabszy. „Uciekaj...”.

Connor złożył na ustach dziewczyny kolejny pocałunek. „Jeszcze tylko chwilę... Zaraz sobie pójdę”. To było ostatnie kłamstwo. Potem już nie myślał o opatrunku na głowie Kiahny, nie zwracał uwagi na wyjący za oknem wiatr ani na deszcz wściekle bijący w szyby. Zatracił się bez pamięci w jej ramionach i upajał się jej bliskością i aksamitnym dotykiem.

Gdy obudził się następnego ranka, czuł się podle i zbierało mu się na wymioty. Co najlepszego zrobił? Dlaczego dopuścił do tego, by sprawy zaszły tak daleko?

W nocy wichura nad Honolulu ustała na tyle, że mogli bezpiecznie wrócić na lotnisko. Po przebudzeniu prawie ze sobą nie rozmawiali. Zjedli lekkie śniadanie i wypili po filiżance kawy. Skaleczenie na skroni Kiahny

okazało się niegroźne i już jej nie dokuczały zawroty głowy.

Connor znacznie bardziej martwił się teraz o swoją głowę. Co go opętało wczoraj wieczorem? Dlaczego tak łatwo stracił nad sobą kontrolę? Dlaczego ją wtedy pocałował? Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na te pytania. Dopiero później udało mu się złożyć w całość kawałki tej koszmarniej układanki. Depresja Michele, kilkumiesięczny pobyt z dala od żony i dzieci, dochodzenie FAA, uciążliwe weekendowe dojazdy z Los Angeles do Orlando i z powrotem, kłótnia z ojcem. I jeszcze to, jak Kiahna na niego spojrzała, dźwięk jej głosu... tak samo mówiła do niego Michele w okresie narzeczeństwa i przez pierwsze lata po ślubie. Wszystko to skumulowało się w jednym czasie z fatalnym skutkiem. Ale do tego wniosku miał dojść dopiero po latach. Tamtego ranka był w zbyt wielkim szoku, by zdawać sobie z tego sprawę. Pragnął tylko jednego - jak najszybciej znaleźć się w domu.

Przez całą drogę na lotnisko nie odzywali się do siebie. Dopiero na parkingu przed terminalem odlotów Kiahna powiedziała przepaszającym tonem:

- Wybacz mi. Pierwszy raz coś takiego mi się zdarzyło. - Patrzyła w ziemię, jakby lękała się na niego spojrzeć. - Czuję się okropnie.

- Ja też - cofnął się o krok, kurczowo ściskając uchwyt walizki. - Przepraszam cię. Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć.

- Czujesz się samotny. Powinam była pójść do sąsiadki.

Samotny? Co chciała przez to powiedzieć?

- Nie, tu nie chodzi o samotność, Kiahno. To mnie nie usprawiedliwia.

- Ale twoja żona? - powiedziała z wahaniem w głosie, po czym zadała pytanie, które na zawsze wryło mu się w pamięć. - Jak długo jesteście w separacji?

- W separacji? - obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. - Mówiłem ci. Mam żonę. To, co między nami zaszło... Na kilka sekund skierował wzrok na chodnik, jakby szukając tam podpowiedzi. - To nie powinno było się zdarzyć. Nie powinienem tak się zachować.

- Ale... mówiłeś, że mieszkasz sam w Los Angeles. Myślałam, że...

Nagle doznał olśnienia. Kiahna myślała, że on i Michele mieszkają daleko od siebie, na przeciwległych krańcach kraju, w oczekiwaniu na rozwód.

- Nie, to... to nie tak. Mieszkam w Los Angeles, bo zostałem tam tymczasowo przeniesiony. Żona i córki zostały w Orlando na Florydzie. Tam jest nasz dom. - Spuścił głowę, chcąc uniknąć jej spojrzenia, i z cichym sykiem wciągnął powietrze przez zęby. Miał ochotę zapaść się pod ziemię, zamknąć oczy, zasnąć i obudzić się w innym miejscu. - Pobyt w Los Angeles związany jest z moją pracą.

- Ach... Przepraszam, musiałam źle zrozumieć oblała się rumieńcem i powolnym, chwiejnym krokiem podeszła do drzwi od strony kierowcy.

Chwytając za klamkę, spojrzała na niego ze smutkiem w oczach i powiedziała:

- Żegnaj, Connorze. Jeszcze raz cię przepraszam.

- To ja cię przepraszam.

To był koniec ich znajomości. Już nigdy więcej jej nie zobaczył i nie miał o niej żadnych wiadomości do zeszłego tygodnia, gdy zadzwonił do niego Marv Ogle.

Głośny plusk przerwał jego rozmyślania.

- Proszę pana! Chyba coś złapałem!

- Świetnie - Connor zamrugał powiekami, odpędzając od siebie wspomnienia. - Trzymaj mocno wędkę.

- Dobrze, proszę pana - odparł uśmiechnięty od ucha do ucha Max. Stał na lekko ugiętych nogach i mocował się z wędką. - Marzyłem o tym, żeby złowić wielką rybę.

Connor zerwał się ze swojego krzeselka, ustawił się za plecami chłopca i, obejmując jego dłonie, mocno chwycił wędzisko.

- Nie mylisz się. Sądząc po tym, jak szarpie, rzeczywiście jest duża.

Razem zacięli, wykonując energiczny ruch wędką, i w tej samej chwili mignął im pod powierzchnią wody srebrzysty brzuch ryby.

- To chyba pstrąg! - wykrzyknął Connor.

Elizabeth i Susan nie zwracały na nich uwagi.

Były zajęte rozmową z dziewczynkami, które też przyszły popływać na kąpielisku. Connor i Max ostrożnie podholowali rybę do brzegu. Gdy byli już pewni, że im nie ucieknie, mężczyzna sięgnął po podbierak i bez większych problemów wyciągnął z wody olbrzymiego pstrąga. Tak na oko ważył co najmniej dwa kilo.

- Wygląda na to, że złapałeś naszą kolację - Connor uroczyście uścisnął dłoń Maxa, gratulując mu sukcesu, po czym wyciągnął haczyk z pyska ryby i wrzucił ją do siatki wędkarskiej ustawionej w płytkiej wodzie tuż przy brzegu.

- No... - przytaknął rozpromieniony Max, z zachwytem patrząc na swoją zdobycz. - Założę się, że to największa ryba w tym jeziorze.

Connor pomógł chłopcu założyć nową przynętę na haczyk i wrócił na swoje miejsce. Wciąż myślał o tym, co powiedział Max, że zawsze marzył o złapaniu wielkiej ryby.

Przymrużył oczy. Kiahna też miała marzenia. Chciała skończyć studia medyczne i zostać lekarką. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to przez niego nie udało jej się zrealizować tych pragnień.

Z tego, co powiedział mu Marv Ogle, wynikało, że Kiahna całe swoje życie podporządkowała swojemu synkowi. Gdy tylko dowiedziała się, że jest w ciąży, postanowiła, że sama będzie wychowywać dziecko, pamiętając, że jego ojciec ma na Florydzie własną rodzinę. Decyzja ta oznaczała rezygnację z wszystkich marzeń. Max dorastał w niewielkim trypokojowym mieszkaniu, niewykluczone, że tym samym, w którym został poczęty pewnej sierpniowej nocy.

Uświadomiwszy to sobie, Connor poczuł bolesne ukłucie w sercu. Wtedy pojawiła się jeszcze jedna myśl. Kiahna powinna być teraz lekarką, przyjmować pacjentów w przychodni, robić obchód w szpitalu albo pracować w laboratorium nad szczepionką na raka. Znalazła się na pokładzie tego nieszczęsnego samolotu linii Western Island Air tylko dlatego, że zaszła w ciążę i musiała dalej pracować jako stewardesa, żeby zapewnić Maxowi godziwe życie.

Okrutna prawda dotarła do niego z całą mocą. Nagle zrozumiał, co powinien zrobić. Przez swoje egoistyczne zachowanie i bezmyślność wystarczająco już skrzywdził tego cudownego chłopca, który w tej właśnie chwili siedział zaledwie metr od niego. Nadeszła pora, by przestać chować głowę w piasek, udając, że nic się nie stało. Poczuł, że musi wkroczyć w jego życie i dołożyć wszelkich starań, by Max był szczęśliwy,

zapewnić mu ciepło domowego ogniska i dać mu poczucie bezpieczeństwa. Zaprzagnął obdarzyć go prawdziwie ojcowską miłością. Może kiedyś zdoła zrekompensować swojemu synowi tych osiem straconych lat. W każdym razie musiał próbować, choćby miało to trwać całe życie.

## ROZDZIAŁ XXIV

Michele próbowała skupić uwagę na toczącej się rozmowie. Margie i Sean zaprosili kilkoro znajomych, dwie pary i Bobby'ego Garrisona, kolegę Michele jeszcze z czasów szkoły średniej. Parę tygodni wcześniej Margie spotkała go przypadkiem na jakimś wernisazu.

Od samego początku widać było, że wszyscy bardzo starają się opowiadać wyłącznie zabawne historyjki i prowadzić rozmowę w lekkim tonie, tak jakby Margie ostrzegła ich, że Michele ma kłopoty małżeńskie i schodzenie na poważniejsze tematy jest niewskazane.

Któryś z mężczyzn opowiadał właśnie o wakacjach spędzonych z żoną na wyspie Sanibel.

- Wiesz, gdzie jest Sanibel Island, Michele, prawda? - mężczyzna spojrzał na nią pytająco, przygotowując grunt pod dalszy ciąg opowieści.

- Tak - zdobyła się na grzeczny uśmiech, jakiś czas temu wybrała się z Connorem na parę dni na południowo-zachodnie wybrzeże Florydy, by uczcić w ten sposób rocznicę ślubu. Nocowali wtedy na wyspie Captiva sąsiadującej z Sanibel. - Znam te okolice.

- Otóż wyobraźcie sobie, że wracamy samolotem do domu z przesiadką w New Jersey - mężczyzna zwrócił się do pozostałych. Widząc ich zdumione spojrzenia, pośpiesznie dodał:

- Wiem, że to nie po drodze, ale...

Jego żona roześmiała się, klepnęła go w kolano i zaczęła opowiadać zamiast niego:

- Mamy jeszcze godzinę do odlotu, gdy John nagle czuje, że musi iść do toalety. A musicie wiedzieć, że przez cały czas dźwigał na plecach taki stary, popielaty plecak z zepsutym suwakiem. Powinniśmy go już dawno wyrzucić, ale przydawał się na różne drobiazgi. Nosiliśmy w nim portfele, coś do jedzenia, książki czy inne rzeczy.

Gdy przerwała na moment, by wziąć oddech, wtrącił się mąż:

- Skąd mogłem wiedzieć, że Melinda włoży do niego swoją kosmetyczkę?

- John wchodzi do męskiej ubikacji, w której aż roi się od stuprocentowych facetów z New Jersey i biznesmenów z Nowego Jorku, aż tu nagle plecak się otwiera i... - nagły atak śmiechu nie pozwolił Melindzie dokończyć.

- I na posadzkę wysypują się damskie kosmetyki. Mówię wam, wszystko: puderniczka, tusz do rzęs, szminki, jakieś kredki do oczu - John ruchem rąk zobrazował swoje słowa, równocześnie naśladując dźwięk wysypujących się kosmetyków. - Rozsypały się po całej podłodze.

Wesołość opowiadających udzieliła się reszcie zebranych. Teraz śmiali się już wszyscy. Melinda dosłownie skręcała się ze śmiechu, ocierając łzy rozbawienia.

- Wszyscy ci faceci kolejno odwracają się, patrzą i widzą Johna, który na czworakach zbiera damskie kosmetyki i pakuje je do swojego plecaka.



Bohater opowieści tylko przewrócił oczami, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Widząc jednak, że Melinda jest w jeszcze gorszym stanie, wziął głęboki oddech i spróbował dokończyć:

- Podnoszę na nich wzrok i mówię im, że... to nie tak, jak myślą. To są kosmetyki mojej żony.

- A wtedy... - Melinda, wciąż zanosząc się śmiechem, dotarła wreszcie do puenty. - Jakiś facet, z wyglądu robotnik budowlany, wystawia głowę zza drzwi i, odchyłając palcem dolną powiekę, mówi: „Tak, na pewno. A mnie tu jedzie czołg”.

Przez następne pół godziny przerzucali się podobnymi historyjkami.

Michele śmiała się wtedy, kiedy trzeba, ale tylko dlatego, że nie chciała zwracać na siebie uwagi. Nie życzyła sobie, żeby ktoś się nad nią użalał. Od czasu do czasu wymieniała spojrzenia z siedzącym na przeciwległym krańcu stołu Bobbym, który w pewnym momencie ruchem głowy zasugerował, by wyszła z nim na taras.

Odczekała, aż Bobby zasunie za sobą przeszklone drzwi, i dopiero wtedy powiedziała:

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy - odrzekł Bobby. Oparł się plecami o balustradę i uważnie przyglądał się Michele. - Miałem wrażenie, że szukasz pretekstu, by się stamtąd wyrwać.

Kobieta zajęła miejsce obok niego i, ściskając poręcz balustrady, wdychała rześkie morskie powietrze. Wiał chłodny wiatr, a wysoko na niebie przetaczały się chmury przesłaniając gwiazdy. Po raz pierwszy tego wieczoru byli ze sobą sam na sam.

- Nie mam dzisiaj nastroju - wyjaśniła.

Przez chwilę milczeli.

- No więc... - odezwał się Bobby, patrząc jej w oczy. - Ile to już będzie lat?

- Chyba ze dwadzieścia - odparła, mierząc go wzrokiem od stóp do głów. - Dobrze wyglądasz.

- Ty też.

Puściła jego komplement mimo uszu. Kiedy ostatnim razem się widzieli, była o prawie piętnaście kilo szczuplejsza.

- Margie mówi, że jesteś artystą.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się, ukazując znajome dołeczki w policzkach.

- Trochę maluję.

- Podobno całkiem nieźle - nie dała się tak łatwo zbyć Michele. - Chciałabym kiedyś zobaczyć twoje prace.

- OK - odpowiedział, rozprostowując nogi i krzyżując je. - Może kiedyś, jak będzie okazja.

Przysunęła się bliżej, by lepiej go widzieć.

- Ożeniłeś się z Tammy?

- Tak - odparł, wzdychając ciężko. - Dwa lata temu zostawiła mnie dla jakiegoś nauczyciela ze szkoły dla pielęgniarek.

Michele poczuła, jak coś ściska jej serce. Czy już nikt nie był bezpieczny?

- Tammy? - zapytała z niedowierzaniem, przenosząc wzrok na widoczne w oddali góry. - Byliście dla siebie stworzeni.

- Też mi się tak wydawało.

Ponownie oboje zamilkli, ale nie było to niezręczne milczenie. Po prostu czuli, że w tej właśnie chwili nie muszą nic mówić. Michele cieszyła się z tego spotkania. Bobby nigdy nie był jej chłopakiem, ale w szkole średniej należeli do tej samej paczki i mieli podobne zainteresowania. Wiele razy długo rozmawiali na tematy związane z teatrem i literaturą.

- Margie wspominała, że masz kłopoty w domu. - odezwał się Bobby, zahaczając kciuki o kieszenie dzinsów.

- Coś w tym rodzaju - Michele ponownie uchwyciła jego spojrzenie. - Okazało się, że osiem lat temu Connor miał romans. Dowiedziałam się o tym dopiero w zeszłym tygodniu.

Bobby skrzywił się, ale nic nie powiedział.

- Zrobił tej dziewczynie dziecko i nawet o tym nie wiedział - Michele skrzyżowała ręce na piersiach, starając się zwalczyć nieprzyjemne uczucie w żołądku pojawiające się za każdym razem, gdy zaczynała o tym myśleć. - Niedawno ona zginęła w katastrofie lotniczej na Hawajach. Jej adwokat odnalazł Connora, bo go o to prosiła w testamencie. Podobno jej synek został sam na świecie.

Na twarzy Bobby'ego pojawił się wyraz zrozumienia.

- Więc dlatego tu jesteś... - raczej stwierdził, niż zapytał.

- Tak - potwierdziła Michele. Przez chwilę obserwowała przez drzwi balkonowe ożywioną dyskusję toczącą się w salonie, po czym ponownie spojrzała na Bobby'ego. - Staram się poskładać na nowo swoje życie.

- No dobrze, moja przyjaciółko z dawnych lat. Podejdz do mnie - Bobby uśmiechnął się do niej i rozpostarł szeroko ramiona. - Zdaje się, że potrzebujesz, by ktoś cię przytulił.

Uścisnęli się serdecznie i na chwilę powróciły miłe wspomnienia, ale był to tylko uścisk dwojga przyjaciół.

- Dziękuję ci, Bobby. Cieszę się, że tu jesteś.

- Ja też się cieszę - powiedział, odsuwając się o pół kroku do tyłu. - Czego tak naprawdę chcesz, Michele? Zastanawiałaś się nad tym?

- Tak - potwierdziła, dziękując mu w myślach, że ją o to zapytał. - Chcę zatelefonować do Connora i powiedzieć mu, że go kocham.

Pokiwał głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- To na co jeszcze czekasz? Zrób to. Gdybyś miała ochotę porozmawiać, będę w pobliżu.

Po raz pierwszy od kilku tygodni Michele poczuła, że jej uśmiech jest szczerzy.

- Nie zmieniłeś się, Bobby. Umiesz słuchać, jak mało kto.

- Cała przyjemność po mojej stronie - ukłonił się szarmancko. - W imię starej przyjaźni jestem gotów do największych poświęceń.

Michele weszła do domu tak, by nikt jej nie zauważył, i wślizgnęła się do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Sięgnęła do torebki po telefon i wybrała numer. Connor zabrał pod namiot swoją komórkę, ale od wyjazdu, a był już czwartek wieczorem, ani razu do niej nie zadzwonił.

Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo brakuje jej Connora. Było to o tyle dziwne, że ze względu na specyfikę swojej pracy, często spędzał poza domem więcej niż trzy dni. Ale do tej pory zawsze wiedziała, że wkrótce znów będą razem. Teraz takiej pewności nie miała.

Połączyła się bez problemu i po trzecim sygnale usłyszała w słuchawce głos Elizabeth.

- Halo?

Michele poczuła ukłucie w sercu. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie swoją starszą córkę siedzącą przy ognisku razem z pozostałymi.

- Cześć, kochanie.

- Mama! - ucieszyła się Elizabeth. - Hej, słuchajcie! Dzwoni mama. - Słysząc było, jak przekazuje dalej radosną nowinę. - Stęskniliśmy się za tobą, wiesz? Żałuj, że z nami nie pojechałaś. Bardzo tu fajnie! Nie mogłabyś do nas przyjechać? Przyjedź, proszę.

Potok słów wylewający się ze słuchawki sprawił, że Michele na moment zaniemówiła.

- Słodka jesteś, ale nie mogę. Też za wami tęsknię, ale jestem bardzo daleko. - Przygryzła wargę, nie wiedząc, czy rzeczywiście chce o to zapytać. - Jak tam Max?

- Super! - odparła entuzjastycznie Elizabeth. W jej głosie nie było śladu wątpliwości, które dręczyły ją przed wyjazdem.

- To dobrze - Michele poczuła złość na samą siebie za to, że wcale jej ta wiadomość nie ucieszyła. - Możesz powiedzieć coś więcej?

- Pierwszego dnia musiałyśmy mu pokazać, do czego służy śpiwór, bo wcześniej nigdy nie spał pod namiotem i się zaplątał. My spałyśmy przy wejściu, a on w środku. Następnego dnia rano zrobiliśmy na śniadanie naleśniki z jagodami i nie uwierzysz: Max takie właśnie lubi najbardziej! - rozemocjonowana Elizabeth wyrzucała z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. - Jeszcze tego samego dnia nauczyliśmy Maxa łowić ryby, ale dopiero wczoraj udało mu się złapać większą sztukę. Tatuś pomógł mu ją wyciągnąć z wody i zjedliśmy ją na kolację, jak na razie nikomu z nas nie udało się złowić większej. Ach, zapomniałabym ci powiedzieć, że wczoraj poszliśmy popływać. Wiesz, mamo, że Max świetnie pływa. Chyba nawet lepiej ode mnie i Susan, a to dlatego, że...

Michele wyłączyła się i dalszej części sprawozdania z biwaku słuchała już tylko jednym uchem. Connor i Max razem łowili ryby? Gdy spróbowała to sobie wyobrazić, znowu poczuła ten dziwny ucisk w żołądku. Po co w ogóle do niego dzwoniła? Słyszając, że Elizabeth nie zamierza skończyć, przerwała jej.

- Jest tam gdzieś w pobliżu tatuś?

- Ach, rozumiem - zachichotała Elizabeth. - Pewnie, że jest. Zaraz ci go dam.

W czasie gdy telefon wędrował z rąk do rąk, Michele słyszała w tle śpiewającą Susan, której dzielnie wtórował chlapiący głos - oczywiście Maxa, bo kogóż innego.

- Już jestem - odezwał się Connor. - Poczekaj chwilę. Wyjdę z namiotu, bo straszny tu harmider.

- Dało się słyszeć szuranie nogami, coś zaszeleściło, a odgłosy dziecięcej zabawy stopniowo ucichły.

- Dobrze, już. Co tam słysząc w Kalifornii?

- W porządku - odpowiedziała i choć doskonale zdawała sobie sprawę, że z jej głosu przebija rozgoryczenie, nic nie mogła na to poradzić. - Po prostu pomyślałam, że zadzwonię do was i zapytam o wrażenia z wycieczki.

- Jak najlepsze - wesoło odparł Connor. - Szkoda, że cię tu nie ma.

Czy on w ogóle nie dostrzegał emocji, które nią targały z każdym dniem coraz silniej? Przymknęła powieki i wolną ręką dotknęła czoła. Ta rozmowa zaczynała tracić sens.

- Wygląda na to, że dobrze się bawicie.

- A żebyś wiedziała... - jakby się zawahał. - Max świetnie dogaduje się z dziewczynami.  
- To samo mówiła Elizabeth.  
- On jest naprawdę niesamowity. Gdybyś tu była, miałabyś okazję przekonać się o tym.  
- Connor... - Michele miała ochotę zawyc z wściekłości. - Nie dzwonię po to, by wysłuchiwać entuzjastycznych opinii o tym chłopcu.

- On ma na imię Max.

Jego słowa wypowiedziane tonem zimnym jak stal dotknęły ją do żywego. Co takiego wydarzyło się w ciągu ostatnich trzech dni? Czy związek między ojcem a synem był już tak silny, że Connor czuł się obowiązku go bronić? Wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić rozkołatane serce i wycodziła przez zaciśnięte zęby:

- Dobrze wiem, że tak ma imię.

- Chciałem tylko zauważyć, że zawsze mówisz o nim „ten chłopiec” - odparł pojednawczo Connor. - Może powinnaś zacząć nazywać go po imieniu.

- Co by to dało? - spytała, tłumiąc w sobie złość. Nie tak miała wyglądać ta rozmowa.

- Łatwiej byłoby ci go zaakceptować - wyjaśnił, po czym zamilkł na chwilę. - Michele, uważam, że powinniśmy poważnie zastanowić się nad zatrzymaniem Maxa. To... to wspaniały chłopiec, który bardzo potrzebuje domu - Connor zrobił kolejną pauzę. - Uważasz, że moglibyśmy go teraz oddać?

Zerwała się na równe nogi.

- Czy ty sam siebie słyszysz? - spytała podniebnym głosem i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. - Wydawało mi się, że przed wyjazdem wyraziłam jasno swoje zdanie. Nie życzę sobie u siebie w domu syna tej wywłoki stewardesy. Jego widok ciągle przypominałby mi o twoim... pokątnym romansie!

- Przede wszystkim - odparł rozzłoszczony już Connor - ona nie była żadną wywłoką. Po drugie, to nie był żaden pokątny romans. Popeliłem błąd, przyznaję, ale dopóki nie pozwolisz mi się wytłumaczyć, nigdy nie zrozumiesz, jak do tego doszło.

Michele kręciło się w głowie i wydawało jej się, że zaraz zemdleje.

- Connorze... - jęknęła, siadając na brzegu łóżka. - Ty jeszcze masz czelność jej bronić?

- Michele, niczego nie rozumiesz - jego złość gdzieś uleciała, ustępując miejsca przygnębieniu.

- Nie, nie rozumiem - dotknęła nasady nosa. - Muszę już kończyć.

- Dopiero zaczęliśmy rozmawiać.

- Nie mam ci już nic więcej do powiedzenia.

- Michele... daj spokój.

- Do widzenia. Zadzwoń kiedy indziej.

- Wracasz w ten sam dzień co my? - spytał na koniec zrezygnowanym tonem. - W sobotę, zgadza się?

- Właściwie... - głos jej się łamał. - Sądzę, że zostanę parę dni dłużej. Sama nie wiem. Dam ci znać.

- Odwlekanie tego w niczym nie...

- Connor! - przerwała mu w pół zdania. Czowała się wyczerpana i nie miała ochoty słuchać jego pouczeń. - Zadzwoń później.

Rozłączyła się, nie powiedziawszy nic z tego, co chciała powiedzieć. Nie poprosiła go, by przekazał

dziewczynkom, że ciągle o nich myśli i bardzo za nimi tęskni. A przede wszystkim nie powiedziała mu, że go kocha. A przecież właśnie po to do niego zadzwoniła.

Trzymając w rękę telefon, padła na łóżko i zasłoniła sobie oczy ręką. Dobrze, więc Connor czuł się związany z chłopcem, ale dlaczego nie poczekał, by jej o tym powiedzieć, gdy się zobaczą? Czy musiał już na początku rozmowy wychwalać Maxa, opowiadać jej, jaki jest wspaniały, jak szybko nawiązał kontakt z ich córkami?

Usiadła i zaczęła rozglądać się po pokoju. Zatrzymała wzrok na torebce, którą zawiesiła na klamce u drzwi. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Choć czuła się o dziesięć lat starsza niż jeszcze kilkanaście minut temu, wstała, poszła po torebkę, by znaleźć w niej notes z adresami i numerami telefonów.

Connorowi nie spodobałby się jej pomysł, ale w tej chwili mało ją to obchodziło. Otworzyła notes na literze „E” i znalazła nazwisko, którego szukała. Loren I Ivans. Pociągnęła nosem, wytarła łzy z kącików oczu i wybrała numer. Odebrał po drugim sygnale.

- Halo?

- Loren? - pilnowała się, by jej ton nie zdradzał przeszywającego ją smutku. - Cześć, mówi Michele.

- Michele, cóż za miła niespodzianka - jego niski, ciepły głos podziałał na nią kojąco. Niemal się uśmiechnęła. - Jak się ma moja mała dziewczynka?

Nie dzwoniła do niego chyba od sześciu miesięcy, ale dawniej często się widywali. „Boże, nie pozwól mu domyślić się, dlaczego tu jestem... proszę”.

- Jestem w Santa Barbara z wizytą u Margie.

Loren przez chwilę milczał, by wreszcie zadać nieuchronne pytanie.

- Z całą rodziną?

- Nie - uspokoiła go, wiedząc, że przyjmie jej odpowiedź z pewnego rodzaju ulgą. Loren chętnie zobaczyłby się z wnuczkami, ale na spotkanie z Connorem z pewnością nie miał ochoty.

- Przyjechałam sama - wyjaśniła, nerwowo strzelając paznokciami. - Mogłabym jutro wpaść do ciebie na chwilę, o ile oczywiście nie jesteś zajęty?

- Nie jestem, psze pani - zażartował, przywołując tym wspomnienia z dawnych lat. - Zawsze znajdę czas dla mojej ulubionej synowej. O której chcesz przyjść?

- Może być po obiedzie? Na przykład o drugiej?

- Świetnie - zgodził się Loren, a po krótkiej chwili wahania zapytał: - Na pewno wszystko w porządku, Michele? Wyczuwam w twoim głosie zdenerwowanie.

Michele nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Takiej właśnie reakcji oczekiwała kilka minut wcześniej od Connora.

- Nic mi nie jest, Lorenie - powiedziała, starając się, by jej słowa zabrzmiały możliwie wiarygodnie. - Pogadamy jutro.

- Jak chcesz. To widzimy się o drugiej.

Odłożyła słuchawkę i włożyła notes z powrotem do torebki. Potrząsnęła głową. Co chciała osiągnąć? Cóż dobrego mogło wyniknąć z krótkiego spotkania z ojcem Connora? Gdyby jeszcze mógł w jakiś sposób na niego wpłynąć! Ale przecież nie rozmawiali ze sobą od wielu lat. Przez dobrych kilka minut, leżąc na wznak na

łóżku, zastanawiała się, co ją do tego skłoniło.

Doszła do wniosku, że powód był tylko jeden. Loren Evans reprezentował część jej przeszłości, którą charakteryzowały uczciwość i prawda. Skończyła się ona w chwili, gdy wyszedł na jaw romans jej męża. Może rozmowa z ojcem Connora pozwoli jej znaleźć wyjście z obecnej sytuacji.

Na chwilę wróciła myślami do przyjęcia odbywającego się w drugiej części domu i do Bobby'ego, który prawdopodobnie na nią czekał, jednak nie miała już ochoty na towarzyskie pogawędki. Przebrała się w piżamę, umyła zęby i położyła się spać.

Przed zaśnięciem rozmyślała o swojej wierze, którą dawniej uznawali za ważny element ich związku. Niestety, w ostatnich latach pokryła się ona grubą warstwą kurzu. Przestali regularnie chodzić do kościoła, wymawiając się - a jakże by inaczej brakiem czasu. Szumne deklaracje o powrocie do wspólnego czytania Pisma Świętego pozostawały pustymi hasłami, a Elizabeth i Susan chyba już nie pamiętały nazwisk swoich nauczycieli ze szkółki niedzielnej.

Może łatwiej byłoby jej przyjąć cios, którym była zdrada Connora, gdyby jej związek z Bogiem miał głębszy wymiar? Może wtedy przebaczenie przyszłoby łatwiej, wcześniej? Pozwoliła myślom błąkać się bez celu i odgrzebała w pamięci pewne wspomnienie z minionego lata. Zadzwoiła do nich sekretarka z parafii z pytaniem, czy życzą sobie, by ich nazwiska nadal figurowały na liście parafian.

- Oczywiście - obruszyła się Michele. - Od zawsze byliśmy członkami naszej wspólnoty parafialnej.

- Miło mi to słyszeć. Po prostu już dawno państwa nie widzieliśmy w kościele i pomyśleliśmy, że warto zapytać - w głosie kobiety pobrzmiwała troska. - Cieszę się, że pod tym względem nic się nie zmieniło.

Ale przecież coś się zmieniło. Connor dopuścił się zdrady i przez tyle lat ukrywał prawdę. Nic dziwnego, że w niedzielę, zamiast iść z rodziną na mszę, wołał pracować w ogrodzie. Poczucie winy prawdopodobnie nie pozwalało mu pójść do kościoła.

A ona sama? Czy gdzieś w głębi serca nie przeczuwała, że Connor ją zdradził, że ich wspólne życie wcale nie było tak wspaniałe, jak z pozoru się wydawało. Usilnie się nad tym zastanawiała, ale nie potrafiła znaleźć prostej odpowiedzi na dręczące ją pytania.

Nie, niczego nie podejrzewała. Nie miała ku temu najmniejszych powodów. Ufała Connorowi bezgranicznie, kochała go i wierzyła w każde jego słowo. Może gdyby była bliżej Boga, wcześniej dostrzegłaby brutalną prawdę. Może bardziej zdecydowanie dopytywałaby się o szczegóły pobytu Connora w Los Angeles lub noc w Honolulu, gdy z powodu burzy jego lot uległ opóźnieniu.

Z jej ust wydobyło się westchnienie zrodzone w najgłębszych zakamarkach duszy.

- Dlaczego, Boże... dlaczego oddaliliśmy się od siebie? - powiadziała ledwie słyszalnym szeptem. - I co powinniśmy zrobić, by ponownie się odnaleźć?

Czekała na odpowiedź, ale jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, były dobiegające z oddali odgłosy przyjęcia.

- Boże... tylko jedna rzecz może uratować nasze małżeństwo - znowu zaczęła mówić na głos. Dzięki temu słowa, które wypowiadała, wydawały się bardziej szczerze. - Boże, proszę... Znajdź dom dla tego chłopca. On musi zniknąć z naszego życia, im szybciej, tym lepiej. Panie Boże, proszę Cię.

Wiedziała, że miną lata, zanim wybaczy Connorowi zdradę. Jeszcze więcej czasu potrzeba będzie, by zapomniała o tym, co jej zrobił. Gdyby jednak ten chłopiec miał z nimi zostać, rany nie zagoją się nigdy. Rzecz

jasna nie chodziło tu tylko o pozamałżeński romans. Chodziło o to, że tamta kobieta dała Connorowi syna, którego zawsze pragnął. A najgorsze było to, że mąż ją okłamał. Jego zakłamanie pozbawiło ją najwspanialszych wspomnień. Cała ich wspólna przeszłość splamiona została przez kłamstwo, które nosił w sobie.

Zasypiając, Michele wciąż nie mogła przestać myśleć o krzywdzie, którą jej wyrządził, o spustoszeniu, jakiego dokonał w ich życiu.

Wszystkie jego wyznania miłości, czułe słowa, wspólne chwile szczęścia wydawały się teraz nic niewarte.

Pomimo rozmowy z Bogiem, Michele nie spała tej nocy spokojnie. Kilka razy budziła się zapłakana i myślała o wycieczce pod namiot, na którą Connor zabrał chłopca. Nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, że obecność Maxa będzie mieć destruktywny wpływ na ich małżeństwo. Wiedziała jednak, że jeśli ktoś inny nie zechce chłopca adoptować, Connor za żadne skarby nie zgodzi się go oddać. To bolało ją najbardziej. Connor nie tylko obrabował ją z przeszłości, ale chciał także zabrać jej przyszłość.

## ROZDZIAŁ XXV

Był piątkowy poranek. Przez ostatnie tygodnie Ramey zawsze o tej porze modliła się o cud. Siedziała w swoim ulubionym fotelu, mając u stóp zwiniętego w kłębek Buddy'ego. Choć w całym bloku nadal obowiązywał zakaz trzymania psów w mieszkaniu, z uwagi na szczególne okoliczności, administrator uczynił dla niej wyjątek. Na kolanach trzymała pamiętnik Kiahny. W ciągu ostatnich kilku dni Ramey przeczytała go od deski do deski, starając się lepiej zrozumieć relacje pomiędzy Kiahną i ojcem Maxa. To, czego się dowiedziała, w równym stopniu wzruszyło ją i zasmuciło. Po rozstaniu z Connorem Evansem Kiahna nigdy nie pokochała już żadnego mężczyzny, poświęcając się wyłącznie wychowywaniu syna.

Skoro Connor tak wiele dla niej znaczył, może rzeczywiście najlepiej byłoby, gdyby Max trafił pod jego opiekę. Może właśnie takie rozwiązanie sprawiłoby, że tam wysoko w niebie Kiahna uśmiechnęłaby się, widząc, że jednak wszystko dobrze się ułożyło.

Pojawił się jednak problem. Kilka dni wcześniej Marv Ogle zadzwonił do Ramey i zrelacjonował rozmowę z panią Evans. Wyglądało na to, że pobyt Maxa u Evansów nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Chłopiec więc wróci do domu i zostanie skierowany do adopcji.

- Jestem w kontakcie z kilkoma prawnikami zajmującymi się na co dzień sprawami adopcyjnymi. Sądzę, że uda nam się znaleźć dla Maxa rodzinę zastępczą - zapewnił ją Ogle.

Właściwie taka wiadomość powinna ją ucieszyć, ale jednak nie potrafiła wykrzesać z siebie choćby odrobiny optymizmu. Po przeczytaniu pamiętnika Kiahny знаła już całą historię. Dowiedziała się o okolicznościach, w jakich spotkali się na lotnisku, a także o tym, że Kiahna z grzeczności zaprosiła go do siebie. Po prostu zwykła wyspiarska gościnność.

Mimo że ich znajomość trwała bardzo krótko, Kiahna pokochała Connora. Jeden z wpisów w pamiętniku szczególnie utkwił w pamięci Ramey, do tego stopnia, że wracała do niego w myślach nawet kilka razy dziennie.

Po narodzinach Maxa Kiahna uświadomiła sobie, że pozwoliła, by coś stało między nią a Bogiem.

Zrozumiała, że był to brak przebaczenia. Nie potrafiła wybaczyć Connorowi, że przespał się z nią, a potem odszedł, nie oglądając się za siebie. Miała urodzić jego dziecko. Czyż nie zasługiwała na coś więcej? Nie mogła i nie chciała pogodzić się z bezduszością, z jaką odszedł z jej życia, po tym, co między nimi zaszło.

Gdy Max przyszedł na świat, zdała sobie sprawę, że miłość jest silniejsza niż wszystko inne. Dotarło do niej, że nosząc w sercu żal, gorycz i nienawiść, nigdy nie będzie w stanie kochać syna tak, jak tego chciała. Po narodzinach Maxa napisała w pamiętniku, że w końcu zrozumiała, czym jest miłość.

Ramey odszukała ten fragment i przeczytała go raz jeszcze: „Miłość polega na umiejętności przebaczenia. Przebaczam Connorowi Evansowi. Część mnie zawsze będzie go kochać. Od dziś nie będę już czuć do niego nienawiści. Ani przez chwilę. Wybaczam mu, bo dał mi Maxa”.

Gdyby tylko żona Evansa zechciała zrozumieć tę prostą prawdę, jeśli ludzie kochają się, potrafią sobie wybaczać.

Ramey przewracała właśnie kolejną stronę, gdy zadzwonił telefon. Nie wstając z fotela, sięgnęła po leżący na stoliku obok aparat bezprzewodowy.

- Tak, słucham?

- Dzień dobry, mówi Marv Ogle. Jak się pani miewa?

Akurat dzień wcześniej była u lekarza, który powiedział jej wprost, że postępująca choroba serca będzie osłabiać ją coraz bardziej. Jednak to nie miało teraz znaczenia. Zależało jej przede wszystkim na tym, by Max znalazł nową rodzinę.

- Wszystko w porządku. Jakie wieści?

- Chyba dobre. Dziś rano dzwonił do mnie prawnik z Dużej Wyspy. Zdaje się, że znalazł małżeństwo, które ma pensjonat przy plaży. Chcą adoptować chłopca, który w przyszłości pomógłby im w prowadzeniu interesu, a potem wszystko po nich odziedziczył.

Ramey zmarszczyła brwi.

- I co w tym takiego dobrego?

- Wiem, wiem... - Ogle starał się, aby jego głos brzmiał optymistycznie. - W pierwszej chwili też tak pomyślałem. Jednak zatelefonowałem do nich i rozmawiałem z tą kobietą. Ich własny syn zginął tragicznie trzy lata temu. Utopił się. Wydawała się bardzo zainteresowana adopcją Maxa.

- Odnoszę wrażenie, że bardziej jej zależy na znalezieniu pracownika najemnego - zauważyła sceptycznie Ramey. Rozłożony u jej stóp Buddy uniósł leniwie głowę i przeciągle ziewnął. - Max jest jeszcze małym chłopcem.

- Wiem. Rozmawiałem z nią na ten temat. Powiedziała, że nauczą go wyrabiać ceramikę i robić meble z wikliny. Pokażą mu, jak powinno wyglądać tradycyjne hawajskie luau. Nie wygląda to źle. Mieszkają na uboczu, w bardzo ładnej okolicy. Pragną adoptować dziecko, bo czują się samotni i chcieliby mieć kogoś, komu mogliby zostawić dorobek życia.

- A co z Buddym? - Ramey zadała to pytanie z premedytacją i wcale nie próbowała tego ukryć. Kiahna kochała Maxa całym sercem. Gdyby chłopiec miał się teraz znaleźć w sytuacji, w której nie mógłby liczyć na taką miłość, byłoby to dla niej największą tragedią w życiu.

- Tu jest pewien problem.



- To znaczy? - spytała Ramey, drapiąc Buddy'ego za uchem.

- Ta kobieta podobno jest uczulona na psią sierść.

Ramey przygryzła wargi.

- Z Maxem to nie przejdzie. Małemu potrzeba teraz dużo miłości. Rozstanie z Buddym w ogóle nie wchodzi w grę.

W słuchawce dało się słyszeć ciężkie westchnienie.

- Droga Ramey, musi pani coś zrozumieć. Dla dzieci w wieku Maxa nie jest łatwo znaleźć rodzinę adopcyjną. Pani Evans powiedziała, że oboje z mężem gorąco pragną, by chłopiec znalazł dom na Hawajach. Sami jednak nie byli zainteresowani zatrzymaniem go u siebie.

- W takim razie wy stwórzcie mu dom - przerwała mu poirytowana Ramey, unosząc głos.

- Już o tym rozmawialiśmy. Oboje z żoną jesteśmy za starzy i nie nadajemy się na rodziców dla Maxa - tłumaczył cierpliwie adwokat. - Oczywiście kochamy go, ale często jesteśmy w rozjazdach, a jeśli już przebywamy na wyspie, to i tak w ciągu dnia nie ma nas w domu. Max potrzebuje rodziny z prawdziwego zdarzenia.

Ramey czuła, jak łzy bezsilnej wściekłości napływają jej do oczu. Zaciśnęła zęby, by się nie rozplakać. Gdy odzyskała mowę, wysiłkiem woli zmusiła się, by jej głos brzmiał naturalnie.

- Chce pan wiedzieć, co o tym wszystkim sądzę?

- Słucham panią - odpowiedział Ogle zmęczonym tonem.

- Sądzę, że Evans chce zatrzymać Maxa. To tylko moje przeczucie, ale za każdym razem, gdy się o to modlę, czuję, że tak właśnie jest - oznajmiła Ramey, bębniąc palcami po okładce pamiętnika Kiahny. - Gdyby tylko udało nam się dzięki modlitwie wpłynąć na jego żonę.

- Zróbmy tak. Pani niech się modli za żonę Evansa, a ja zajmę się tą parą z Dużej Wyspy. W taki czy inny sposób znajdziemy dom dla Maxa. Umowa stoi?

- Zgoda - przytaknęła Ramey. Nie była zachwycona takim postawieniem sprawy, ale tak naprawdę nie miała wyboru. Pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

Buddy przekrzywił głowę i cicho zaskomlał.

- Stęskniłeś się za nim, co?

Pies odpowiedział jej krótkim szczeknięciem.

- Wiem. Ja też za nim tęsknię - westchnęła Ramey.

Podrapała Buddy'ego pod brodą, po czym skierowała swe myśli ku Bogu.

Postanowiła, że będzie modlić się długo, żarliwie i częściej niż do tej pory, bo albo Bóg dokona cudu przebaczenia, albo Max straci wszystko, co mu pozostało po śmierci matki. Z tą myślą skłoniła głowę i zaczęła znów błagać Boga o cud przebaczenia, tak jak robiła to przed wyjazdem Maxa. Lecz tym razem modliła się tak, jak gdyby od tego zależało jej własne życie.

## ROZDZIAŁ XXVI

Przygotowując się na przyjazd synowej, Loren postanowił posprzątać w salonie. Wszystkie zbędne szpargały i papierzyska załadował do kartonowych pudeł, które w liczbie dwunastu skrzętnie poupychał w innych częściach domu. Po skończonej robocie rozejrzał się dookoła i uśmiechnął się do siebie zadowolony z efektu. Było piątkowe popołudnie. Michele miała zjawić się dopiero za godzinę.

Zabrawszy z gabinetu Biblię, którą kiedyś kupił sobie w prezencie na gwiazdkę, przeszedł do jadalni i usiadł przy stole. Na wewnętrznej stronie tylnej okładki znajdowała się odręcznie sporządzona lista intencji modlitewnych. Na pierwszym miejscu umieścił prośbę o pomoc w odbudowaniu zerwanej więzi z synem. Loren nigdy nie przestał wierzyć, że pewnego dnia wspólnie uda im się spiąć mostem brzegi rozdzielającego ich oceanu wzajemnego niezrozumienia. Niespodziewany telefon od Michele zdawał się stanowić nagrodę za tę niezachwianą wiarę i wytrwałość w modlitwie. Jeszcze raz uważnie przeczytał swoją prośbę, ważąc każde słowo: „Boże, pomóż nam zbudować most, który znów nas połączy. Proszę, pomóż nam się pogodzić i porozumieć”.

Tak. Wizyta Michele musiała stanowić odpowiedź na jego modlitwy. Nie miał co do tego wątpliwości, aczkolwiek mógł tylko spekulować, co z niej tak naprawdę wyniknie. Nie wydawało mu się, by rozmowa z synową mogła usunąć największą przeszkodę uniemożliwiającą zasypanie przepaści, która pojawiła się między nim a Connorem.

Chodziło o dumę, cholerną lotniczą dumę. Spędziwszy ponad ćwierć wieku za sterami samolotów wojskowych i cywilnych, Loren wiedział co nieco na ten temat. Doskonale zdawał sobie sprawę, że piloci sami z siebie nie potrafią przyznać się do błędu. Nigdy. Co nie znaczy, że błędów nie popełniają. Gdy jednak im to się zdarzy, nie traktują tego jako własnej pomyłki, lecz jako swoistą zmianę planów czy pojawienie się nowych okoliczności, którym należy stawić czoło. Dla pilota słowo „błąd” mogłoby nie istnieć.

Loren wiedział o tym z własnego doświadczenia i upór Connora nie dziwił go wcale. Niestety tego rodzaju dumy piloci nie wyzbywali się po wyjściu z kabiny samolotu. Ta sama cecha charakteru, dzięki której Connor był świetnym pilotem, stanowiła jednocześnie powód, dla którego od ośmiu lat nie zamienił z ojcem ani słowa.

Loren też nie zamierzał ustąpić, zadowolając się czekaniem. Nadal uważał, że słusznie postąpił, odmawiając Connorowi pożyczki na kupno lotniska. Jego syn nie miał pojęcia o prowadzeniu takiego biznesu. Zdecydował się na ten krok tylko dlatego, żeby uciec jak najdalej od postępowania dyscyplinarnego, jakie wszczął wówczas przeciwko niemu Federalny Zarząd Lotnictwa.

Loren nawet go rozumiał. To żadna przyjemność znaleźć się na celowniku FAA. Wykorzystując dawne znajomości, śledził przebieg tego postępowania, które - tak jak przewidywał - skończyło się uwolnieniem Connora od wszystkich zarzutów. Niewątpliwie to dochodzenie było dla jego syna ogromnie stresującym przeżyciem, ale z drugiej strony taka ciężka próba z pewnością wzmocniła jego psychikę i uczyniła go jeszcze lepszym pilotem.

Tak więc przez pierwszych sześć lat Loren cierpliwie czekał na telefon od Connora. W tym czasie Michele nieraz dzwoniła do niego, mówiąc:

- Proszę cię, Lorenie, nie czekaj aż on zadzwoni do ciebie. Zadzwon pierwszy. To rozwiązałoby wszystko.

Miała dobre chęci, ale nie rozumiała istoty problemu.

Dwa lata temu, gdy zadzwoniła, by złożyć mu życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia, uprzedził ją i sam zapytał:

- Czy Connor już mi wybaczył?

Michele tylko ciężko westchnęła.

- Szczerze?

- Szczerze.

- Nie, Lorenie. Connor uparcie trwa przy swoim, jakby zależało od tego jego życie - mówiła drżącym głosem. - Tak mi przykro. Święta tak blisko. Bardzo... nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym, żeby do ciebie zadzwonił.

Przez kolejnych kilka dni Loren nie mógł przestać o tym myśleć. Ciśnienie, i tak już wysokie, podniosło mu się ponad miarę i nie obeszło się bez wizyty u lekarza.

- Człowiek nie żyje wiecznie, panie Evans - powiedział mu doktor. - Więcej leków hipotensyjnych już panu przepisać nie mogę. Nie chcę pana straszyć, ale jeśli ciśnienie dalej będzie utrzymywać się na tym poziomie, kolejny zawał będzie tylko kwestią czasu.

Smutek w głosie Michele i przestroga lekarza sprawiły, że Loren zdobył się na coś, czego nie robił od śmierci swojej ukochanej Laurel. Poszedł do kościoła, by modlić się w intencji syna. Uświadomił też sobie, że nawet sto telefonów nie zdoła przekonać go, iż nie miał racji. Connor musiał przede wszystkim zrozumieć, że nie powinien wściekać się na ojca z powodu nie udzielonej kiedyś pożyczki. Musiał zdać sobie sprawę, że popełnił błąd, gdy trzaskając drzwiami obwieścił zerwanie wzajemnych kontaktów. Dopóki trwał w swoim uporze, Loren nie miał pola manewru.

Modlił się żarliwie, by syn wreszcie przejrzał na oczy. Od tamtych świąt Bożego Narodzenia nie opuścił ani jednej niedzielnej mszy świętej. Odzyskana na nowo świadomość obecności Boga i jego działania sprawiła, że złagodniał i nie uważał się już za nieomylnego.

Ostatnio rzadziej widywał się z córkami. Mieszkały daleko, miały swoje sprawy i musiały zajmować się dziećmi. Coraz bardziej doskwierała mu samotność, ale starał się o tym nie myśleć. Przynajmniej mógł częściej grać w golfa ze znajomymi z kościoła albo w krokieta z kolegami z rady powierniczej miejscowej szkoły, w skład której jakiś czas temu został wybrany. A przede wszystkim miał więcej czasu, by modlić się za Connora.

Właśnie modlitwą postanowił wypełnić czas pozostały do przyjazdu Michele.

\* \* \*

Wchodząc na werandę domu Lorena Evansa, Michele poczuła, że ma spocone z nerwów dłonie. Ubrana była w luźne, beżowe spodnie i ciemnogrnatowy żakiet. Przed naciśnięciem dzwonka przy drzwiach wygładziła jego fałdy, mając nadzieję, że Loren nie zauważy, że przytyła.

Gdy drzwi się otwały, skarciła się w myślach za swoje przewrażliwienie. Teść na jej widok uśmiechnął się szeroko i, zanim zdążyła się przywitać, uściskał ją serdecznie.

- Michele, moja droga, wyglądasz prześlicznie!

Zawsze taki był, towarzyski, gościnny i bezpośredni. Aż chciało się go odwiedzać. Tylko do jednej osoby odnosił się z rezerwą - do swojego syna. Podobno dlatego - tak przynajmniej twierdził Connor - że oczekiwał

od niego więcej niż od innych. W każdym razie Michele zawsze miała dziwne wrażenie, że Loren traktował jak własne dziecko bardziej ją niż Connora.

Od czasu ich ostatniego spotkania teść mocno posiwiał, ale poza tym niewiele się zmienił. Wysoki, energiczny, wciąż trzymał się prosto, budząc respekt. Jedyne w jego spojrzeniu było coś, czego wcześniej nie dostrzegła. Może to po prostu była starość.

- Co u ciebie, Lorenie? - odwzajemniła jego uśmiech i pocałowała go w policzek.

- W porządku. Może trochę się za wami stęskniłem - odparł, zapraszając ją do środka. - Jak tam moje maleńkie wnusie?

- Nie są już takie maleńkie. - Michele poszła za nim do salonu i usiadła na kanapie, podczas gdy Loren zajął miejsce na ulubionym rozkładanym fotelu. - Nie zapominaj, że Elizabeth ma już dziesięć lat, a Susan osiem. Obie dosłownie rosną w oczach.

- Założę się, że są równie piękne jak ich mama.

Nie, nie myliła się. Wyobraźnia nie splątała jej figła. W jego spojrzeniu była teraz łagodność, której nie dało się wytłumaczyć upływem czasu. Przyglądała mu się uważnie, próbując wyczytać coś więcej z jego twarzy.

- Świetnie wyglądasz. Chociaż trochę jakby inaczej - powiedziała do Lorena.

- To dlatego, że w rodzinie Evansow mężczyźni ładnie się starzeją - odparł żartobliwie i puścił do niej oko.

- Co teraz porabiasz? - zapytała.

- Nic szczególnego. Od czasu do czasu spotykam się ze znajomymi - uśmiechnął się ciepło. - Chodzę do kościoła, czytam Pismo Święte, rozmawiam z Bogiem - nagle jego uśmiech przygasł. - Modlę się za Connora.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewała. Gdy żyła jeszcze żona Lorena, chodził on do kościoła wyłącznie w największe święta, i to tylko dla niej. Zanim się poróżnili, jego brak wiary bardzo martwił Connora. Iak na ironię, dopiero teraz, gdy od tylu lat nie odzywali się do siebie, Loren odnalazł drogę do Boga. Kto wie, być może to właśnie ból spowodowany rozłąką z ukochanym synem przyczynił się do tego.

- A co u Connora, Michele? - Loren odchylił oparcie fotela i położył nogi na wysuwanym podnóżku. - Nadal jest na mnie obrażony?

- Obawiam się, że nic się w tej kwestii nie zmieniło - odpowiedziała cicho. Gardło miała ściśnięte i chciało jej się płakać. - Nie jest dobrze...

Ojciec Connora zacisnął usta w wąską linię i posepnie pokiwał głową.

- Tak podejrzewałem. Domyśliłem się już wczoraj po tonie twojego głosu.

- Pojechał z dziećmi pod namiot nad jezioro. Wiesz... jak co roku.

- A ty wybrałaś się do Kalifornii w odwiedziny do siostry? - Loren spochmurniał. - A zatem jest gorzej niż myślałem.

- Tak.

Loren schował podnóżek i przesunął się na brzeg fotela.

- Opowiedz mi o wszystkim, Michele. Chcę wiedzieć.

Na samą myśl o tym, że po raz kolejny będzie musiała zrelacjonować tę koszmarną historię, zrobiło jej się niedobrze. Musiała jednak zebrać się w sobie. W końcu po to tu przyjechała.

- Connor miał romans.

Na twarzy Lorena jednocześnie pojawiły się zaskoczenie, ból i gniew. Zawsze był dla syna surowy i, jak widać, nie zmienił się pod tym względem.

- Cóż u licha strzeliło mu do głowy?

- To było osiem lat temu, tuż po tym, jak przestaliście się do siebie odzywać.

Loren przytknął na chwilę powieki, a gdy je ponownie otworzył, wyglądał jakby przez tych kilka sekund postarzał się o co najmniej dziesięć lat.

- Czy to się powtórzyło?

- Nie. Connor zapewnia mnie, że to był odosobniony przypadek i - sama nie wiem dlaczego - wierzę mu.

Loren zwinął lewą dłoń w pięść i okrył ją palcami drugiej dłoni.

- Przez wszystkie te lata ukrywał to przed tobą?

- Tak - odparła Michele, mruganiem próbując powstrzymać napływające jej do oczu łzy. - W ogóle nie powiedziałby mi o tym, gdyby parę tygodni temu nie zadzwonił do nas pewien adwokat z Hawajów.

- Z Hawajów? - zdziwił się Loren.

- Tam właśnie miał ten romans - wyjaśniła Michele, po czym, pochlipując, opowiedziała wszystko, co wiedziała. Najgorszą wiadomość zostawiła na koniec. - Gdy zadzwonił do nas ten adwokat, okazało się, że Connor ma siedmioletniego syna. Chłopiec ma na imię Max i jest teraz na biwaku razem z Connorem i dziewczynami.

- Connor ma nieślubne dziecko? - Loren wyraźnie pobladł.

- Tak - Michele szybkim ruchem ręki otarła łzy. - Wcześniej o nim nie wiedział.

- Connor zawsze chciał mieć syna - Loren mówił jak w transie zapatrzony niewidzącym wzrokiem gdzieś w dal. - A teraz... co zamierza? Czy dalej chce z tobą być?

- Tak. Wiem, że tego chce - Michele poczuła, że drży jej podbródek. - To ja nie jestem pewna, czy dam radę. Gdy widzę tego chłopca, cały czas mam przed oczami jego matkę.

- Jest do niej podobny?

- Nie - Michele pociągnęła nosem i zaczęła szukać chusteczki w torebce. - Jest podobny do Connora, a właściwie najbardziej podobny jest do ciebie, Lorenie. Tylko oczy ma po matce... zielone - uniosła brodę i popatrzyła na teścia. - Nie wiem, co mam robić.

- Czy Connor wie, co czujesz?

- Oczywiście - machnęła ręką w geście bezradności. - Szczerze powiedziawszy... nie wiem, czy nasze małżeństwo to przetrzyma.

- Hmmm - Loren podniósł się z fotela, a potem wolnym krokiem przemierzył pokój i usiadł obok niej na kanapie. - Przykro mi to słyszeć, Michele. Wiedziałem, że Connor jest uparty jak osioł, ale nigdy nie przypuszczałbym, że pozwoli sobie na skok w bok. Nigdy taki nie był.

- Dla mnie to też było zaskoczeniem.

- Cóż, wygląda na to, że będę miał jeszcze jeden powód, żeby się modlić - oznajmił z głośnym westchnieniem i poklepał ją pocieszająco po kolanie.

- Proszę cię, Lorenie. Módl się o to, żeby Connor podjął mądrą decyzję, jeśli chodzi o tego chłopca. - Znów po jej policzkach pociekły łzy. - Pomódl się też w mojej intencji, żebym usłyszała to, co Pan Bóg chce mi

powiedzieć. Dobrze?

Loren przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, gładząc się po brodzie w zamyśleniu.

- Czasami Bóg nie mówi nam tego, co chcielibyśmy usłyszeć.

Michele drgnęła, bo jego uwaga wydała jej się dziwna, jeśli chciał przez to powiedzieć, że wolą Bożą jest, by chłopiec z nimi pozostał, musiała zaprotestować. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Loren uśmiechnął się łagodnie i znów poklepał ją po kolanie.

- Ale ze mnie gospodarz! Nawet nie zaproponowałem ci nic do zjedzenia.

\* \* \*

Odprowadzając wzrokiem znikający w oddali samochód, Loren był pewien, że wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku tygodni, nie było dziełem przypadku. Wydarzenia, których kulminacją było nieoczekiwane pojawienie się Maxa, zapewne stanowiły część skomplikowanego planu, który Bóg ułożył specjalnie dla Connora, a być może dla nich wszystkich.

W pierwszym odruchu Loren chciał zaapelować do Michele, by nie kierowała się jedynie rozgoryczeniem i gniewem. Chciał ją przekonać, że może mimo wszystko chłopiec powinien stać się częścią ich rodziny. Szybko jednak uzmysłowił sobie, że takie podejście podszyte było egoizmem i wyrachowaniem. Rozsądek przysłonił mu idylliczny obrazek, który namalował w swojej wyobraźni, przedstawiający trzy pokolenia męskiej gałęzi rodu Evansow. Zorientował się, że podświadomie chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu - pogodzić się z Connorem i mieć wnuka.

„Boże powiedz mi, co mam zrobić”. „Synu... zatrzymaj się i we Mnie uznaj Boga. Twoje drogi nie są Moimi drogami”. Słowa te odbiły się echem w jego duszy. Od tamtych pamiętnych świąt Bożego Narodzenia i momentu odnalezienia wiary Lorenowi nieraz wydawało się, że słyszy głos Pana. Nigdy jednak Bóg nie przemawiał do niego za pomocą słów. Po prostu od czasu do czasu miał wrażenie, że jakaś jego myśl została zesłana prosto z nieba.

Tym razem jednak słowa, które usłyszał, zabrzmiały tak wyraźnie, że aż się obrócił. Nie ujrawszy nikogo, kto mógłby je wypowiedzieć, doszedł do wniosku, że to rzeczywiście musiał być głos Najwyższego.

„Zatrzymaj się i we Mnie uznaj Boga... Twoje drogi nie są Moimi drogami...”. Te dwa wersety z Biblii stanowiły czytelną wiadomość, która objawiła mu Boże intencje. Zrozumiał, że musi przewyciężyć w sobie chęć wzięcia spraw we własne ręce, i w żadnym wypadku nie powinien nakłaniać Michele do zaakceptowania nieślubnego dziecka Connora tylko dlatego, że sam pragnął mieć wnuka. Zamiast myśleć o sobie, powinien pomyśleć o innych i pomóc im wybrać najlepsze rozwiązanie. Najlepsze dla nich, a nie dla niego samego.

Zanim synowa wyjechała, wszystko już sobie obmyślił. Michele wcale nie była egoistką. W końcu nie sama, lecz wspólnie z mężem zdecydowała, że będą mieć tylko dwójkę dzieci. Prowadziła własną firmę i nie mogła sobie pozwolić na dodatkowe obowiązki wychowawcze.

Poza tym chodziło o chłopca, który zawsze przypominałby Michele o zdradzie męża. Może to właśnie Connor postępował egoistycznie, chcąc go przy sobie zatrzymać. Odsyłając chłopca, ponad wszelką wątpliwość udowodniłby swoją miłość do Michele i córek.

Z pozoru wydawało się, że najlepszym wyjściem z sytuacji byłoby, gdyby mógł pozostać pod opieką Connora i Michele. Ale czy na pewno? Mieszkał do tej pory na Hawajach. Tam byli ludzie - adwokat z żoną i

sędziwa opiekunka - którym jego los leżał na sercu. Tam był jego dom. To było miejsce, z którym wiązały go wspomnienia o matce i szczęśliwym dzieciństwie. Tam chodził do szkoły i tam mieszkali jego koledzy.

Loren nie pozwalał, by jego myśli przerodziły się w pobożne życzenia ani nie próbował manipulować wynikiem swoich przemyśleń. Całkowicie zdał się na Boga, wierząc, że Pan wskaże mu właściwą odpowiedź. Tak też się stało.

Po wyjeździe Michele Loren nie tylko był już pewien, czego oczekiwał od niego Bóg, ale także wiedział, że musi działać szybko. Zdecydował się na radykalny krok, którego w ciągu ostatnich ośmiu lat w ogóle nie brał pod uwagę. To, co zamierzał uczynić, naprawdę mogło odmienić ich życie. Musiał tylko poczekać do poniedziałku, do czasu aż Connor wróci z dziećmi znad jeziora. Postanowił zatelefonować do syna i nawet jego własna duma nie mogła go przed tym powstrzymać.

## ROZDZIAŁ XXVII

Max lubił łowić ryby, ale jeszcze bardziej lubił siedzieć obok pana Evansa. To był ostatni dzień ich pobytu nad jeziorem. Pan Evans zaproponował, by tym razem wybrali się na ryby w inne miejsce. Poszli tylko we dwóch, bo Elizabeth i Susan wolały bawić się z nowo poznanymi koleżankami na plaży. Susan zażartowała, że nawet taka nietypowa dziewczynka jak ona czasami ma dość nakładania robaków na haczyk.

Max wcale nie miał dość. Mamusia nieraz obiecywała mu, że nauczy go łowić ryby. Obiecywała mu to, gdy miał pięć lat, a potem gdy miał sześć lat, a tego lata już na pewno by go nauczyła, ale nie zdążyła. Tak właśnie powiedział pan Evans. A teraz wycieczka pod namiot zbliżała się już do końca i Maxowi było smutno.

Zaraz po śniadaniu pan Evans uśmiechnął się do niego i zaproponował:

- A może spróbujemy dziś czegoś innego? Co ty na to?

Max nie wiedział, o co chodzi, więc tylko wzruszył ramionami.

- Dobrze.

Zgodził się, bo ufał panu Evansowi i domyślał się, że to będzie coś fajnego.

Zabrali swój sprzęt wędkarski i ruszyli wzdłuż brzegu. Zatrzymali się przy tym wielkim głazie, na którym kilka dni wcześniej Max siedział, rozmawiając z Panem Bogiem o swojej mamie. Głaz był tak duży, że bez trudu mogli się na nim obaj zmieścić. Wdrapali się więc tam, usiedli obok siebie i zarzucili wędki.

Łowienie ryb było naprawdę fajne, ale siedzenie przy panu Evansie było fajniejsze, bo mogli rozmawiać o różnych sprawach. Max opowiadał mu o Ramey, o Buddym i o tym, jak bardzo brakuje mu mamy. Pan Evans nie traktował go jak małe dziecko. Naprawdę go słuchał! Było to widać. I właśnie to Max lubił najbardziej.

Lubił też opierać się o ramię siedzącego tuż obok pana Evansa. Przyjaciel mamusi był taki duży, miał silne, muskularne ręce i Max czuł się przy nim bezpiecznie. Czasami nawet udawał, że pan Evans jest jego tatą.

Właśnie o tym teraz myślał. Bał się, że nigdy nie uda mu się odnaleźć swojego taty, ale przyszło mu do głowy, że może pan Evans pozwoliłby mu pojechać po Buddy'ego, a potem wrócić na Florydę. Mógłby wtedy tu zamieszkać i już zawsze udawać, że pan Evans jest jego tatą. Elizabeth i Susan go polubiły, więc może nawet ich mama kiedyś też go polubi. Fajnie by było.

Jeszcze w trakcie śniadania Max obmyślił tajny plan. Tajny plan jest wtedy, gdy masz jakiś pomysł, ale

nikomu o nim nie mówisz, nawet dorosłym. Ten plan dotyczył pana Evansa. Max chciał z nim porozmawiać i zapytać go, czy gdyby Buddy zachowywał się grzecznie i za dużo nie szczekał, mogliby razem zamieszkać w domu państwa Evansów.

Chyba nadszedł odpowiedni moment, żeby wprowadzić ten plan w czyn - siedzieli teraz obok siebie i nikogo nie było w pobliżu. Druga taka okazja mogła się nie powtórzyć.

- Proszę pana... - Max spojrzał na przyjaciela mamy. Miał na głowie pożyczoną od pana Evansa bejsbolową czapkę z daszkiem i nie musiał już podnosić dłoni do czoła, żeby osłonić oczy przed słońcem. - Mam pytanie.

- Wal śmiało, Max - odparł mężczyzna, przekładając wędkę do lewej ręki i prawą obejmując Maxa. - O co chciałeś zapytać, kolego?

Chłopiec miał nadzieję, że jego pytanie nie zdenerwuje zbytnio pana Evansa. Chciał, żeby nadal go obejmował i żeby mógł tak przy nim siedzieć bardzo długo. Widząc jego łagodne spojrzenie i uśmiech, uspokoił się.

- Bo... - zaczął Max, przygotowując się do wprowadzenia w życie tajnego planu, gdy nieoczekiwanie na jego wędce, zaledwie kilka centymetrów od ręki, usiadł motyl. - Proszę zobaczyć! - szepnął Max.

- Co ty na to? - pan Evans pochylał się do przodu i też zniżył głos do szeptu. - Wiesz, jak się nazywa taki motyl? To jest monarcha.

- U nas są takie same! - Max cały czas mówił szeptem. Tylko w gardle zaczęło go ścisnąć, bo przypomniały mu się motylkowe dni spędzane z mamą. Kilka łez pociekło mu po policzkach.

- Max? - Pan Evans spojrzał na niego z wyrazem troski na twarzy. - Co ci się stało, kolego? Skąd te łzy?

Max chlipnął cichutko. Motyl wciąż siedział na wędce, nieznacznie poruszając skrzydłami. Max ostrożnie podniósł rękę i otarł łzy, po czym przeniósł spojrzenie na pana Evansa.

- Moja mamusia bardzo lubiła motylki - wyjaśnił. - ja też bardzo je lubię.

- Och! - mężczyzna zrobił smutną minę. - Nie wiedziałem.

Max poczuł, że pan Evans drapie go delikatnie w ramię. Dorośli czasem tak robią, gdy chcą kogoś pocieszyć.

- Lubiliśmy jeździć w takie miejsce, gdzie było ich całe mnóstwo - powiedział, kierując wzrok z powrotem na motyla. - Takie jakby motylkowe miasto.

- Motylkowe miasto, powiadasz - zamyślił się pan Evans. - Chciałbym je zobaczyć. Motyle są bardzo ładne.

- Są najfajniejszymi malowankami Pana Boga.

- Dobrze powiedziane.

Tymczasem motylek zaczął wędrować wzdłuż wędki w kierunku palców Maxa.

- Wie pan, co mojej mamusi podoba się w motylach? - Łzy znowu zatańczyły na jego rzęsach. - Co jej się podobało?

- Co takiego? - Pan Evans posmutniał jeszcze bardziej.

- Mówiła mi, że motylki udowadniają że Pan Bóg daje każdemu drugą szansę.

- Motyle są tego dowodem?

- Tak, bo motylek przez większą część życia jest gąsieniczką i pełza po ziemi. Nie wiedział pan o tym?

- To wiem - odparł pan Evans. Patrzył na chłopca z powagą i był wyraźnie zaintrygowany.



- Aż pewnego dnia - mówił dalej Max, nie odrywając oczu od motyla - gąsieniczka jest już bardzo zmęczona takim pełzaniem i wtedy buduje mały domek, w którym zasypia. - Pilnował się, by nie mówić za głośno, bo nie chciał spłoszyć motyla, który zatrzymał się tuż przy jego ręce.

- Wie pan, co się potem dzieje?

- Co takiego? - Pan Evans nachylił się ku niemu jeszcze bardziej.

- Pewnego dnia, gdy gąsieniczka budzi się, okazuje się, że kiedy spała, Pan Bóg dokonał zadziwiającej rzeczy. Czuje, że coś jej wyrosło na plecach! - Max leciutko poruszał ramionami, żeby zilustrować swoją opowieść, jakby na potwierdzenie jego słów, prawdziwy motyl machnął mocno skrzydłami, ale nie odleciał. - Ogląda się przez ramię i widzi, że wyrosły jej skrzydła. I nie musi już pełzać po ziemi, bo...

- Bo może latać - pan Evans uśmiechnął się szeroko. - To jest ta druga szansa, prawda?

- Tak jest! Mamusia zawsze mówiła mi, że któregoś dnia ona i ja też przestaniemy pełzać po ziemi, bo Pan Bóg kocha nas jeszcze bardziej niż motylki.

Motyl wznowił swoją wędrówkę wzdłuż wędki i wszedł na palce Maxa.

- Ojej! Nigdy wcześniej nie chodził po mnie motylek.

- Jakie to uczucie?

Łzy znowu pociekły z oczu Maxa.

- Max? Co ci jest? - zaniepokoił się pan Evans.

- Przypomniałem sobie, co mamusia napisała w liście. W liście, który przeczytał mi pan Ogle po tym, jak Pan Bóg zabrał ją do nieba.

Pan Evans zrobił dziwną minę i oczy mu się zaszkliły, tak jakby zbierało mu się na płacz.

- Chcesz mi o tym powiedzieć?

- Tak - Max wolno kiwnął głową. - Napisała mi, że teraz, gdy trafiła do nieba... wreszcie dostała swoją drugą szansę.

- Jak motyl? - po policzku pana Evansa spłynęła łza.

- Tak - Max mrugnął kilka razy, żeby lepiej widzieć motyla. - Napisała, że kiedyś znowu będziemy razem i już nie będziemy pełzać po ziemi. Zamiast tego będziemy latać. Już zawsze.

Motyl przez chwilę chodził po jego palcach tam i z powrotem, po czym energicznie zaczął poruszać skrzydełkami, tak że widniejące na nich wzory zlały się w jedną wielobarwną plamę. Po chwili poderwał się do lotu, przez moment krążył nad ich głowami, wznosząc się i opadając, by wreszcie pofrunąć w stronę plaży.

Odprawdzając go wzrokiem. Max żałował, że sam nie ma skrzydeł. Mógłby wtedy za nim polecieć, złapać go i zachować na pamiątkę motylkowych dni. Gdy motyl zniknął w oddali, Max poczuł w sercu ból podobny do tego, który odczuwał, gdy dowiedział się o śmierci mamy.

- Max... - Pan Evans przytulił go mocno. - Dziękuję ci, że mi o tym opowiedziałeś. Wiem, jak wiele to dla ciebie znaczy.

- Mhmm - Max głośno pociągnął nosem. Już nie musiał uważać, żeby nie wystraszyć motyla. Miał ochotę ukryć twarz w dłoniach i rozplakać się, ale chciał jeszcze trochę porozmawiać z panem Kvansem. A płacz przeszkadza w rozmowie. Poza tym mama mówiła mu, żeby zawsze starał się być dzielny. - Mamusia śpiewała mi też naszą piosenkę - wyznał.

- Czy też chcesz mi o tym opowiedzieć? - zapytał mężczyzna łagodnym głosem.

- Ułożyła ją specjalnie dla mnie - odpowiedział Max, poprawiając na głowie czapkę, którą dostał od pana Evansa. Była na niego za duża i co jakiś czas spadała mu na oczy.

Pan Evans przez chwilę milczał. Kręcił powoli kołowrotkiem, wybierając żyłkę. Okazało się, że haczyk był pusty. Wtedy sięgnął po pudełko z przynętą i wyciągnął z niego długą, wijącą się dżdżownicę. Założył ją na haczyk, wstał i szerokim zamachem zarzucił wędkę. Potem usiadł i zapytał:

- Pamiętasz słowa tej piosenki?

- No pewnie - Max uśmiechnął się do niego, ale nadal czuł smutek. Spojrzał na swój splot i postanowił, że też sprawdzi przynętę.

- A mógłbyś mi ją zaśpiewać? - Pan Evans podciągnął nogi i oparł sobie wędkę o kolana.

Max powoli kręcił korbką kołowrotka, jednocześnie zastanawiając się, czy może spełnić prośbę pana Evansa. To była poważna sprawa. Tę piosenkę śpiewał tylko z marną. Gdy umarła, zaśpiewał ją Buddy'emu, ale pies był jego najlepszym przyjacielem. Nikt inny nigdy nie słyszał tej piosenki. Max spojrzał na pana Evansa, próbując dociec, czy poprosił go o zaśpiewanie piosenki tylko dlatego, że chciał być miły, czy może dlatego, że naprawdę chciał ją usłyszeć.

Przyjaciółka patrzyła na niego z powagą i chyba rzeczywiście mu zależało. Chłopiec odłożył wędkę i usiadł w takiej samej pozycji jak pan Evans.

- W czasie śpiewania tej piosenki można też wykonywać rękami specjalne gesty - zaznaczył, krzyżując ramiona na piersi.

- Rozumiem.

Max rzucił na niego jeszcze jedno badawcze spojrzenie, po czym położył sobie obie dłonie na sercu i zaczął śpiewać:

- Nad życie kocham synka mojego... - Kilka razy potarł jedną dłonią o drugą. - Na śniadanie chcę zrobić mu coś pysznego... - Rozłożył szeroko ramiona. - Choć rozdziela nas ocean... - Znowu położył dłonie na sercu. - W twoim sercu jestem ja.

- Bardzo piękna piosenka - mężczyźni zaszklili się oczy.

- Mamusia czasami musiała zostawać na noc w Japonii, bo jej samolot startował dopiero rano. Max znowu poczuł kulę w gardle. - Wymyśliła tę piosenkę, żebym wiedział, że zawsze będzie przy mnie. Nawet wtedy, gdy rozdzielał nas wielki ocean.

Tym razem pan Evans już na pewno był smutny, bo przyłożył sobie palce do kącików oczu. Tak samo robiła mama Maxa, gdy była przygnębiona i czuła się jak gąsieniczka. Po chwili mężczyzna głośno westchnął i przejechał dłońmi po policzkach.

- Mógłbyś mi ją zaśpiewać jeszcze raz?

Max nie dał się dwa razy prosić. Odwrócił się w stronę jeziora i ponownie zaśpiewał piosenkę, cały czas trzymając dłonie na sercu, jakby chciał upewnić się, że mama wciąż tam jest.

- Nad życie kocham synka mojego, na śniadanie chcę zrobić mu coś pysznego. Choć rozdziela nas ocean, w twoim sercu jestem ja.

Gdy skończył, przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Nagle Max przypomniał sobie o przynęcie.

Wyciągnął z wody szałwiarz z haczykiem, ale nie udało mu się zrobić tego tak sprawnie jak panu Evansowi. Mężczyzna wziął od niego wędkę i wprawnym ruchem złapał rozbujaną żyłkę.

- Mogę wybrać robaczka? - zapytał Max.

- Oczywiście - pan Evans zaśmiał się przyjaźnie, podając mu pudełko z przynętą. Max wybrał największą i najgrubszą rosówkę, jaką udało mu się wypatrzeć.

- Rybki będą za panem przepadać, panie robaku.

Pan Evans pomógł mu nawlec przynętę na haczyk i zarzucić wędkę. Potem usiedli i milczeli. W pewnym momencie pan Evans obrócił się w stronę Maxa, jakby o czymś sobie przypomniał.

- Max, zdaje się, że chciałeś mnie o coś zapytać. Pamiętasz? Zanim na twojej wędce usiadł ten motylek.

Max usiadł prosto. Prawie zapomniał o swoim tajnym planie. Odchrząknął i, starając się, by jego głos zabrzmiał pewnie, powiedział:

- Ten wyjazd pod namiot był bardzo fajny...

- Też tak uważam - twarz pana Evansa rozjaśnił uśmiech. - Bardzo miło go będę wspominać.

- A pamięta pan, jak mówiłem, że się modłę o to, żeby kiedyś udało mi się odnaleźć moją tatę?

- Tak - w oczach pana Evansa pojawił się smutek. - Pamiętam.

- Myślałem o tym, co będzie, jeśli nigdy go nie odnajdę - Max chwycił prawą ręką daszek czapki, spoglądając spod rzęs na pana Evansa. - Tak sobie pomyślałem, że mógłbym udawać, że to pan jest moim tatą. Pojechałbym do domu po Buddy'ego i we dwóch wrócilibyśmy tutaj. Może moglibyśmy zamieszkać razem z panem i panią Evans, Elizabeth i Susan. Już na zawsze.

Pan Evans zacisnął usta i skierował wzrok na jezioro. Przez kilkanaście sekund nic nie mówił, po czym odkaslnął i, nie przestając patrzeć w wodę, powiedział:

- Podoba mi się twój pomysł. Byłoby wspaniale.

- Czyli mogłoby tak być? Bo Ramey powiedziała, że bardzo chciałaby się mną opiekować, ale jest już za stara i zbyt chora, a pan Ogle i jego żona ciągle gdzieś wyjeżdżają. Moje mieszkanie musi zostać oddane jakiejś innej rodzinie i ja już nie wiem, gdzie teraz jest mój dom. - Max upomniał się w myślach, żeby nie mówić za szybko. Mama nieraz zwracała mu na to uwagę. Przecież zależało mu na tym, żeby pan Evans usłyszał każde jego słowo.

- Chciałbyś zamieszkać z nami, o to ci chodzi?

- Bardzo tego chcę, proszę pana. Przywiózłbym Buddy'ego i udawałbym, że jest pan moim tatą. Gdyby tylko pan się zgodził.

Pan Evans odłożył wędkę, wyciągnął ramiona i z całych sił go przytulił. Tak samo przytulał Elizabeth i Susan. - Max, też tego bardzo pragnę, naprawdę - powiedział drżącym ze wzruszenia głosem. - Obaj musimy się modlić, żeby Pan Bóg nam w tym pomógł.

Zabrzmiało to tak, jakby z jakiegoś powodu tajny plan mógł się nie powieść. Max poczuł w sercu dziwny niepokój.

- To dlatego, że pani Evans nie chce, żebym został. Dlatego powinniśmy się modlić?

- Pani Evans lubi cię, Max.

Mężczyzna delikatnie przesunął palcami po jego czole i spojrzał mu w oczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Ale tak na wszelki wypadek powinniśmy się pomodlić.

Max wziął sobie do serca te słowa i przez resztę dnia modlił się gorąco. Modlił się podczas wędkowania, gdy zbierali gałęzie na ognisko i gdy jedli kolację. Nie przestał się modlić, gdy wieczorem zmęczony zasypiał w namiocie obok pana Evansa.

Bardzo chciał zostać z przyjacielem mamy i jego bliskimi. Byliby dla niego jak rodzina, a pan Evans byłby jego „niby-tata”. Miałby wówczas pewność, że mama miała rację i Pan Bóg rzeczywiście daje każdemu drugą szansę. Modlił się o to, by Pan Bóg mu na to pozwolił. Wtedy nie musiałby czekać, aż wyrosną mu skrzydełka w niebie. Mógłby sobie latać tu, na Florydzie.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Connor i dzieci byli w domu dopiero od niespełna godziny. Rozpakowywali bagaże i czyścili sprzęt biwakowy. Humory im dopisywały. Dziewczyny były z Maxem w tak dobrej komitywie, że ktoś postronny mógłby odnieść wrażenie, że znają się od urodzenia. „To musi być kwestia genów - pomyślał Connor. - W końcu są ze sobą spokrewnieni, nawet jeśli o tym nie wiedzą”.

Michele nie wróciła jeszcze z Kalifornii. Od czasu niefortunnej rozmowy telefonicznej w połowie ubiegłego tygodnia Connor nie miał od niej żadnych wiadomości. Był na nią zły. Jak miał jej pomóc przyzwyczaić się do nowej sytuacji, skoro cały czas trzymała się od niego na dystans?

Postanowił, że zadzwoni do niej pod wieczór, gdy dzieci będą się bawić w ogrodzie. Najpierw chciał ochłonąć i opanować emocje. Nawet jeśli Michele zbyt dramatyzowała, nie powinien mieć do niej o to pretensji. W końcu nie była niczemu winna.

Dochodziła czwarta po południu, gdy Connor usłyszał, że dzwoni telefon.

- Zaraz wracam - rzucił w stronę Maxa, który pomagał mu wkładać sprzęt do wędkowania do szafek w garażu i szybkim krokiem pomaszerował do kuchni. Zdążył odebrać, zanim włączyła się automatyczna sekretarka.

- Halo?

- Pan Evans?

Głos w słuchawce wydał mu się znajomy.

- Tak, słucham - odparł, opierając się o kuchenną ladę.

- Mówi Marv Ogle, adwokat z Honolulu.

- Dzień dobry, panie Ogle - Connor zerknął na wiszący na ścianie kalendarz. Był dopiero poniedziałek. Do końca pobytu Maxa zostało jeszcze całe pięć dni. - Jeśli chodzi o Maxa, śpieszę donieść, że sprawy układają się bardzo dobrze.

- Och - adwokat wydawał się być zaskoczony tym stwierdzeniem. - Miło mi to słyszeć. Mówiłem, że Max łatwo daje się lubić. - Ogle zrobił krótką pauzę. - Ale do rzeczy... Tak jak państwo prosiliście, skontaktowałem się ze znajomymi prawnikami i pod koniec zeszłego tygodnia udało mi się znaleźć małżeństwo w średnim wieku zainteresowane adopcją chłopca.

Connorowi serce podskoczyło do gardła. O czym mówił ten człowiek? Co miał na myśli?

- Ależ ja o nic takiego nie prosiłem. Przez cały tydzień byłem z dziećmi nad jeziorem.

- Pańska żona powiedziała, że...

Connor poczuł, że robi mu się gorąco.

- Co takiego powiedziała panu moja żona?

- Więc o niczym pan nie wie?

- Proszę pana - Connor uniósł dłoń do czoła i zaczął masować sobie skronie - naprawdę nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Rozumiem - w głosie Ogle'a słychać było zakłopotanie. - Pozwoli pan, że wyjaśnię. - W słuchawce rozległo się głębokie westchnienie. - W zeszłym tygodniu zatelefonowała do mnie pańska żona, twierdząc, że podjęli państwo decyzję w sprawie Maxa. Powiedziała mi, że państwa życzeniem jest, aby po upływie tych dwóch tygodni chłopiec powrócił na Hawaje i jednocześnie poprosiła mnie, żebym jak najszybciej zaczął szukać dla niego rodziny adopcyjnej.

Connor miał wrażenie, że krew w jego żyłach przestała krążyć. Niemożliwie, żeby Michele, którą znał i kochał, zrobiła coś takiego, nie mówiąc mu o tym ani słowa. Nie mieściło mu się to w głowie. Tymczasem Ogle mówił dalej:

- Wy tłumaczyłem jej, że znalezienie chętnych do adopcji dziecka w tym wieku może potrwać kilka miesięcy, a nawet o wiele dłużej. Pana żona powiedziała mi, że modli się o to, by stało się to możliwie szybko. Miałem do państwa zadzwonić, gdy tylko kogoś znajdę.

Connor odruchowo złapał się za głowę. Serce waliło mu jak młot, a pulsowanie w skroniach nasiliło się.

- I właśnie znalazł pan odpowiednią rodzinę?

- Tak - potwierdził Ogle. - Procedura adopcyjna lada dzień zostanie rozpoczęta.

- Jak to? Przecież oni nawet jeszcze go nie widzieli.

- Jak już wspomniałem, jest to bezdzietne małżeństwo w średnim wieku. Mają niewielki pensjonat na Dużej Wyspie - kontynuował adwokat. - O ile zdążyłem się zorientować, kilka lat temu przeżyli tragedię. Ich syn utonął. Chcieliby adoptować kilkuletniego chłopca, który w przyszłości, gdy będą już starzy, pomagałby im w prowadzeniu interesu i któremu mogliby pozostawić dorobek życia.

Connor nie mógł uwierzyć, że sprawy wymknęły mu się spod kontroli, zanim zdążył cokolwiek zrobić. Max lada dzień miał bezpowrotnie zniknąć z jego życia. Nie tylko udało się znaleźć dla niego rodzinę adopcyjną, ale w ogóle życie chłopca zdawało się już być zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Wszystko z powodu jednego telefonu Michele. Miał ochotę krzyknąć głośno, że to nie w porządku, że jego syn zasługuje na inny, lepszy los. „Boże, pomóż mi. To się nie może dziać naprawdę”.

- Przykro mi słyszeć, że jest pan tym wszystkim zaskoczony - zmartwił się Ogle, a jego słowa zabrzmiały szczerze.

- Nie ukrywam, że tak jest - Connor przycisnął policzki do kącików oczu i gorączkowo zastanawiał się, co ma zrobić.

W tej samej chwili do kuchni wpadły dziewczynki, a zaraz za nimi Max.

- Tatusiu, możemy wyjść się pobawić? - Elizabeth i Susan przekrzykiwały się nawzajem. - Prosimy cię,

możemy? Samochód jest już umyty.

- Pewnie - Connor zmusił się do uśmiechu. - Zaraz do was dołączę.

Zanim skończył mówić, nie było już po nich śladu. Przysunął sobie taboret i usiadł na nim. W ustach czuł suchość, a w głowie kłębiły mu się tysiące myśli. Przełknął ślinę i, starając się zachować spokój, oznajmił zgodnie z prawdą:

- Tak się składa, że jeszcze nie miałem okazji porozmawiać z żoną na ten temat.

- A więc wciąż jest szansa, że po upływie tych dwóch tygodni zdecydują się państwo adoptować Maxa?

- Oczywiście, nawet duża szansa - odparł Connor bez chwili wahania. - Ja i moje córki bardzo przywiązaliśmy się do niego i chyba on do nas też.

- A pańska żona?

- Nie pojechała z nami na biwak. Poleciała do Kalifornii w odwiedziny do siostry - wyjaśnił Connor, zaciskając zęby. - Wraca jutro. Jestem pewien, że po powrocie szybko przekona się do Maxa.

- A jeśli nie?

Pytanie adwokata podziało na Connora jak zimny prysznic. A co jeśli Michele nie pokocha Maxa tak jak on? Przez ostatni tydzień wmawiał sobie, że wszystko się ułoży. Łudził się nadzieją, że jego żona wybierze najbardziej oczywiste i najlepsze dla chłopca rozwiązanie. Słowa wypowiedziane przez Ogle'a przyniosły bolesne otrzeźwienie.

Nagle dotarło do niego, że jeśli Michele nie przekona się do Maxa, jeśli nie zgodzi się, by z nimi został, będzie musiał wybierać między miłością do żony a miłością do syna. Na samą myśl o tym zakręciło mu się w głowie, a serce zamarło mu w piersi. Bóg na to nie pozwoli, na pewno. Michele z pewnością w porę się opamięta. A jeśli nie...

- Panie Evans? Jest pan tam? - głos adwokata wyrwał go z zamyślenia. - Muszę wiedzieć, na czym stoję. To małżeństwo, o którym wspomniałem, wydaje się bardzo zainteresowane Maxem. Mam im przesłać jego zdjęcia i możliwie szybko rozpocząć załatwianie niezbędnych formalności. Co mam im odpowiedzieć?

Connor podniósł się z taboretu i podszedł do okna.

- Czy mógłby pan poczekać jeszcze przez kilka dni? - zapytał z nadzieją. - Mówił pan, że mamy dwa tygodnie na podjęcie decyzji, jeszcze zostało nam trochę czasu.

- Dobrze - odparł Ogle po chwili zastanowienia. - Wstrzymam się ze złożeniem wniosku adopcyjnego do czwartku, ale do tego dnia muszę poznać państwa ostateczną odpowiedź.

Connor poczuł ogromną ulgę i wdzięczność dla tego człowieka, którego nigdy nawet nie widział na oczy. Może jeszcze nie wszystko było stracone.

- Dziękuję panu. Będziemy w kontakcie.

Pożegnali się i Connor odłożył słuchawkę. W tej samej chwili usłyszał za plecami skrzypnięcie drzwi. Kątem oka zobaczył uśmiechniętego od ucha do ucha Maxa.

- Nie mam siły - oznajmił chłopiec. - Jestem wypompowany.

- Dziewczyny też są zmęczone? - zapytał Connor, odwracając się w jego stronę.

- Nie. Bawią się w dom.

- I pozwoliły ci odejść?

- Chciały, żebym był ich braciszkiem, ale powiedziałem im, że braciszki też czasami potrzebują odpoczynku.

- Rozumiem - Connor z trudem zdławił śmiech. - Sprytnie się wykręciłeś.

- No - Max przyjął pochwałę z niekłamaną satysfakcją, po czym przeciągnął się i ziewnął.

- Chyba rzeczywiście jesteś zmęczony - Connor otoczył go ramieniem. - Chcesz chwilę odpocząć?

- Mhmm - potwierdził Max i uśmiechnął się do niego.

Przeszli do salonu. Connor usiadł na wielkim fotelu z odchylanym oparciem i poklepał się po kolanie, dając chłopcu do zrozumienia, że może usiąść razem z nim. Maxa nie trzeba było dwa razy prosić. Wdrapał się Connorowi na kolana i wtulił głowę w jego ramię.

- Mogę się trochę przespać? - zapytał sennym głosem.

Connor próbował sobie wyobrazić, jak na ich widok zareagowałaby Michele, gdyby w tej właśnie chwili weszła do pokoju. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na syna, by przestał się tym przejmować.

- Oczywiście, Max - powiedział cicho, głaskając go po plecach. - Tydzień na rybach potrafi człowieka wykończyć.

- Mmmhmm - odparł Max i po chwili spał już w najlepsze.

Connor z rozczuleniem patrzył na lekko zaróżowione policzki chłopca, zmierzwioną grzywkę, gęste, ciemne rzęsy i palce ufnie wczepione w rękaw jego koszuli. Przez cały tydzień bronił się przed tym uczuciem, mimo iż w głębi serca wiedział, że więź, która ich połączyła, już nigdy nie ulegnie zerwaniu i nawet czas jej nie naruszy.

Max oddychał miarowo, cichutko pochrapując. Rzeczywiście musiał być zmęczony zarówno fizycznie po podróży, wyladowywaniu bagaży z samochodu i gonitwach w ogrodzie, jak i psychicznie. Wciąż przecież nie wiedział, co go czeka, kto się nim opiekuje, gdzie przyjdzie mu zamieszkać.

Jak w ogóle Michele mogła pomyśleć o odesłaniu go na Hawaje? Dlaczego na własną rękę zatelefonowała do Ogle'a? To było do niej niepodobne. Z ich dwójga to Michele zawsze była bardziej wrażliwa, pełna dobroci i zrozumienia dla ludzkiego cierpienia. Była wspaniałą matką - kochającą, wyrozumiałą, cierpliwą i opiekuńczą.

Nie mogła choć na chwilę zapomnieć o przeszłości, by spróbować wczuć się w to, co działo się w sercu Maxa? Czy przed wykręceniem telefonu do adwokata nie mogła przynajmniej zapytać o niego?

Ale zaraz, przecież zapytała o niego. Zadała takie pytanie Elizabeth, gdy dzwoniła do nich w połowie tygodnia. Słyszała odpowiedź córki. Elizabeth rozplywała się w zachwytach nad Maxem. Mówiła mamie, że jest bardzo sympatyczny, że razem z Susan już zaprzyjaźniły się z nim, że spodobało mu się łowienie ryb i spanie w namiocie.

Tak więc Michele o tym wiedziała. Miała świadomość, że między Connorem a Maxem zaczęła rodzić się więź, że Elizabeth i Susan wcale nie były o to zazdrosne, a mimo to bez jego wiedzy zadzwoniła do Ogle'a.

Gdy zmagając się z tymi myślami, rozglądał się po pokoju, jego wzrok padł na wiszący na ścianie obraz olejny przedstawiający jego i Michele w dniu ślubu. Obraz ten został namalowany na podstawie jednego ze ślubnych zdjęć. Connor zmrużył oczy i zaczął uważnie przyglądać się twarzy Michele. Wyglądała prześlicznie. Nie chodziło wyłącznie o jej urodę. Była nie tylko piękna, ale miała też złote serce. Roztaczała wokół siebie aurę dobroci i miłości. Taką ją znał, taką ją kochał i chciał pamiętać. Taka była jeszcze do niedawna. Czyżby swoją zdradą sprawił, że utraciła wszystkie te cechy i z dnia na dzień stała się osobą niezdolną do miłości i

współczucia?

Connor musnął wargami czoło Maxa. Chłopiec pachniał trawą, wiatrem i czymś jeszcze, czego Connor nie potrafił nazwać. Odpowiedź na pytanie dotyczące jego żony była oczywista. Michele nie zmieniła się i nadal potrafiła kochać, jej obecne zachowanie było wynikiem wewnętrznego niepokoju, bólu i gniewu.

Nagle przypomniały mu się słowa, które w przeddzień wyjazdu nad jezioro usłyszał z ust pastora, do którego udał się po poradę małżeńską. Zapytał go wtedy, co powinien zrobić, by Michele mu wybaczyła. W odpowiedzi na jego pytanie sędziwy duchowny udzielił mu wskazówki, która wtedy wydała mu się niedorzeczna i zupełnie niezrozumiała. „Zaczę od pana” - powiedział.

Dopiero teraz zrozumiał, o co chodziło pastorowi. Ten romans nie zdarzył się ot tak, sam z siebie. Nie był skutkiem zbiegu niefortunnych okoliczności. Connor nie mógł rzucić winy na Federalny Zarząd Lotnictwa Cywilnego, ani na ojca, ani na depresję Michele, ani na Kiahnę, która zaufała mu tamtej nocy i której zaufania nadużył.

To wszystko zdarzyło się dlatego, że złamał najważniejszą przysięgę w swoim życiu - przysięgę małżeńskiej wierności. To on, Connor Evans, swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem wyrządził wielką krzywdę Kiahnie, Maxowi i Michele. Mało tego, to przez niego mogły też ucierpieć Elizabeth i Susan, a nawet to hawajskie małżeństwo.

Bolesna prawda wreszcie do niego dotarła. Jak to się stało, że wcześniej nie potrafił dostrzec, że nie był ofiarą, lecz sprawcą? To przez niego Kiahna zaszła w ciążę, przez niego musiała zrezygnować z marzeń o studiach medycznych. Pośrednio to on ponosił winę za to, że znalazła się na pokładzie Lotu 45 linii Western Island Air z Honolulu do Tokio. To on nie znalazł w sobie odwagi, by po rozstaniu z Kiahną, spojrzeć w twarz Michele i przyznać się do zdrady. To przez niego Max wychowywał się bez ojca i to przez niego Michele pograżyła się teraz w rozpacz.

Ogarnął go smutek, przytłaczający i czarny jak smoła. Równocześnie uzmysłowił sobie coś jeszcze. Uświadomił sobie, że nigdy nie okazał najmniejszej nawet skruchy z powodu tego, co się stało. Nikogo nie przeprosił: ani Kiahny, ani Ogle'a, a w szczególności Michele. Za każdym razem, gdy mówił o swoim romansie, starał się tylko usprawiedliwić siebie, znaleźć okoliczności łagodzące. Nigdy nie spojrział Michele w oczy i nie poprosił jej, by mu wybaczyła. Dlaczego nie chciał lub nie umiał przyznać się do błędu i uznać swojej winy?

Max poruszył się we śnie. Connor położył dłoń na jego plecach. Najciszej, jak potrafił, szepnął mu do ucha:  
- Max... co ja narobiłem...

Przymknął powieki i spróbował wyobrazić sobie, co Bóg myśli o jego postępowaniu.

„Boże, cóż za hipokryta ze mnie? Do tej pory tylko uciekałem przed tym wszystkim... przed Michele, przed prawdą, a zwłaszcza przed Tobą. Nie zdziwiłbym się, gdybyś się ode mnie odwrócił”.

Wtedy w głębi duszy usłyszał głos: „Synu, nie opuszczę cię ani nie pozostawię... Wróć do Mnie”.

„Wróć do Mnie?”. Czyżby po tym wszystkim, co uczynił, Bóg wciąż czekał na niego i był gotowy przebaczyć mu jego winy? W sercu Connora zaświtał promyk nadziei. Otworzył oczy i spojrział na Maxa. „Boże, on jest moim synem, kocham go, jeśli go utracę, to tylko z własnej winy”.

Musiał teraz dokonać wyboru. Musiał zdecydować, czy chce zostać z Maxem, czy z Michele. Także i za to



nie miał prawa winić nikogo prócz siebie. Z pozoru sprawa była prosta. Otworzył oczy i jeszcze raz spojrzął na pamiątkowy portret ślubny Decyzję podjął już dawno temu w pewnym kościele w Kalifornii w obecności blisko setki krewnych i przyjaciół.

Wiedział, że zrobi to, czego zażąda od niego żona. Zbyt wiele jej zawdzięczał. Odruchowo mocniej przytulił Maxa. Jemu też był coś winien, ale Michele miała pierwszeństwo. Zawsze i wszędzie.

Łączyło go z nią coś wyjątkowego i cudownego, coś, czego doświadczały tylko niektóre pary małżeńskie. Było tak, odkąd się poznali, i nawet ten nieszczęsny skok w bok niczego pod tym względem nie zmienił. Pewnie dlatego nigdy nie wyznał jej prawdy. Po powrocie z Los Angeles między nim a Michele wszystko układało się znakomicie, lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Connor nie chciał niepotrzebnie narażać tak wspaniałego związku. Wydawało mu się wtedy, że prawda przyniosłaby więcej szkody niż pożytku.

Dopiero teraz zrozumiał, że nie miał racji. Gdyby od razu przyznał się do zdrady, umocniłoby to ich związek. Oczywiście nie uniknęliby dylematu związanego z nagłym pojawieniem się Maxa w ich życiu, ale jakże inaczej by to wyglądało.

Pocałował śpiącego chłopca w czubek głowy i poczuł na policzku miękkość jego włosów. Niewątpliwie mógłby go zatrzymać przy sobie, obdarzyć ojcowską miłością, zająć się jego wychowaniem i przez resztę swoich dni cieszyć się z posiadania nie tylko dwóch wspaniałych córek ale i syna, który nosić będzie jego nazwisko.

W żadnym wypadku nie mógł jednak dopuścić do rozpadu małżeństwa z Michele. Kochał ją całym sercem, całą duszą i całym sobą. Nie wyobrażał sobie życia bez niej. Postanowił, że gdy tylko Michele wróci z Kalifornii, jeszcze raz za wszystko ją przeprosi i będzie błagać o wybaczenie.

Wciąż miał nadzieję, że żona zmieni zdanie. Wiedział jednak, że jeśli do czwartku nie uda mu się jej przekonać, nie pozostanie mu nic innego, jak zadzwonić do adwokata i poprosić go o skontaktowanie się z małżeństwem zainteresowanym adopcją Maxa. Liczył się z tym, że być może już wkrótce przyjdzie mu pogodzić się z faktem, że jego syn nieodwołalnie zwiąże swą przyszłość z tymi ludźmi. Będzie kochać swoich przybranych rodziców, będzie im pomagać w prowadzeniu pensjonatu na największej wyspie archipelagu hawajskiego, a pewnego dnia zostanie jego właścicielem.

Na myśl o tym, że Max dorastać będzie z dala od niego, nie wiedząc o jego miłości, Connor poczuł w sercu rozdierający ból. Zdawał sobie sprawę, że tracąc Maxa, bezpowrotnie utraci część samego siebie. Ale czymś jeszcze gorszym byłaby utrata Michele.

Próbował pocieszyć się myślą, że gdy Max dorośnie, wspomnienia o mieszkającym na Florydzie przyjacielu mamy, o biwaku nad jeziorem, o pierwszym złowionym pstrągu i o motylu wydawać mu się będą odległe, błahe i nieważne. Mógł tylko mieć nadzieję, że z czasem chłopiec zapomni o swoim pragnieniu, by stać się częścią rodziny Evansów i mówić do niego „tato”.

## ROZDZIAŁ XXIX

Michele cieszyła się z powrotu do domu, ale tylko dlatego, że stęskniła się za córkami, bowiem od rozwiązania życiowych problemów była równie daleko jak przed wyjazdem. Na pokładzie samolotu i w

taksówce wszystko jeszcze raz przemyślała, lecz wnioski do jakich doszła, nie dawały jej podstaw do optymizmu. Wielogodzinna podróż wykończyła ją zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie.

Było gorąco i parno. Choć podczas pobytu u siostry udało jej się zrzucić prawie dwa kilo, czuła się lepka i ociężała. Początkowo zamierzała przyjechać dopiero wówczas, gdy Max wróci na Hawaje. Sama świadomość, że nie zastanie go w domu, poprawiłaby jej nastrój i pozwoliłaby z większą nadzieją patrzeć w przyszłość.

Postanowiła jednak przyspieszyć powrót do domu. Musiała wrócić, zanim chłopiec wyjedzie. Chciała na własne oczy zobaczyć, jak ułożyły się jego relacje z Connorem podczas jej nieobecności. Nie miało to już wprawdzie większego znaczenia, bo klamka zapadła, jeśli Connorowi zależało na ich małżeństwie, chłopiec musiał zniknąć. Wiedziała jednak, że nawet po jego wyjeździe Connor dalej będzie nosić go w sercu. Chciała więc przekonać się, jak mocna więź zrodziła się między nimi: ojcem i synem.

Postawiła walizki w holu i wygładziła zagniecenia na spodniach. Szybkie spojrzenie w lustro upewniło ją, że wybrała złą bluzkę. Ta opinała jej biodra, uwydatniając fałdki w talii. Michele westchnęła i zmarszczyła materiał, by ukryć niedoskonałości swojej figury.

- Hej! Wróciłam - głośno obwieściła swoje przybycie, ale nikt jej nie odpowiedział. W domu panowała cisza. Dopiero po chwili dobiegły ją głosy i śmiechy dochodzące gdzieś z ogrodu.

Obawiając się tego, co za moment zobaczy, niepewnie podeszła do szklanych drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Connor, trzymając Susan na barana, galopował po ogrodzie, a przyglądający się im z boku Elizabeth i Max krzyczeli coś, pękając ze śmiechu. Gdy przejazdka Susan dobiegła końca, Elizabeth zajęła jej miejsce i zabawa zaczęła się od nowa. Susan wzięła Maxa za rękę i oboje podskakiwali jak piłeczki.

- Wio tato, wio! - dopingowała ojca Susan. - Szybciej! Szybciej!

Michele obserwowała ich z ukrycia. Connor zrobił jeszcze dwie rundki dookoła ogrodu, po czym zszedł Elizabeth obok pozostałej dwójki i zdyszany padł na kolana. Dzieci natychmiast do niego podbiegły, rzuciły się i zaczęły go łaskotać. Po chwili cała czwórka leżała na trawie, śmiejąc się i chichocząc radośnie. Po kilku minutach Elizabeth i Susan zerwały się na nogi i popędziły w stronę huśtawek.

Tymczasem Max przyłożył ucho do piersi Connora i zaczął rytmicznie kiwać głową, roześmiany od ucha do ucha. Jego uśmiech do złudzenia przypominał ten, który Michele tysiące razy widziała na twarzy Connora.

Co on wyprawia? Czyżby wsłuchiwał się w bicie serca Connora? Gdzie podziała się ta pełna rezerwy nieufność, z którą odnosił się do niego, zanim wyjechała?

Michele zrozumiała, że popełniła błąd. Powinna była pojechać razem z nimi nad jezioro. Dopilnowałaby, żeby Connor spędzał jak najwięcej czasu z nią, a tym samym nie mógł poświęcić go Maxowi, który skazany byłby na towarzystwo dziewczyn. Niestety, nie pojechała i stało się. Dziewczyny na pewno znalazły tam koleżanki i najchętniej bawiły się z nimi, a Connor i Max mieli czas dla siebie.

Pozorując krańcowe wyczerpanie, Connor podniósł się z wysiłkiem i udawał, że ślania się na nogach. Max objął go w pasie i, patrząc do góry, powiedział coś, czego Michele z tej odległości nie była w stanie usłyszeć. Wtedy Connor wziął chłopca pod pachy i, uniósłszy go wysoko w górę, zakręcił nim w powietrzu, a następnie przytulił mocno, dokładnie tak samo, jak robił to z Elizabeth lub Susan. A może nie tak samo. Michele miała wrażenie, że trzymał chłopca w ramionach trochę dłużej.

Postawiwszy Maxa na ziemi, Connor nachylił się i pocałował go w czubek głowy. W tej chwili ją zobaczył.

Powiedział coś do Maxa, a chłopiec tylko pokiwał głową i pobiegł do dziewczyn. Connor ruszył w jej stronę. Na jego twarzy malował się uśmiech pełen nadziei. Otworzył usta i z ruchu jego warg wyczytała, że mówi: „Cześć!”.

Odruchowo cofnęła się o krok. Najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię. Po tym, co zobaczyła, rozmowa z Connorem była ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę. Niestety, na ucieczkę było za późno.

Connor otworzył rozsuwane drzwi, wszedł do środka i zamknął je za sobą.

- Cześć. Kiedy wróciłaś? - zapytał jak gdyby nigdy nic.

- Przed chwilą - odparła, siląc się na uśmiech. - Stęskniłam się za dziewczynami.

- Ach tak - początkowy entuzjizm w oczach Connora nieco przygasł. - A za mną nie?

Michele wbiła spojrzenie w podłogę i mało przekonującym tonem odpowiedziała:

- Za tobą oczywiście też.

Connor zacisnął usta i głośno wypuścił powietrze przez nos.

- Michele... - zaczął, przeczesując palcami włosy. Było widać, że chce zrzucić z siebie jakiś ciężar. - Musimy porozmawiać.

- Jak chcesz - skrzyżowała ręce, oczekując, co powie. Mógł na nią patrzeć tym szczerym spojrzeniem, ale ona i tak wiedziała swoje. Była pewna, że lada moment znowu będzie próbował nakłonić ją, by mimo wszystko zgodziła się zatrzymać chłopca. Będzie jej wmawiać, że to tylko kwestia czasu i prędzej czy później ona też pokocha Maxa. Niestety jego słowa nie mogły zmienić faktu, że dla niej ten chłopiec był synem kobiety, która przespała się z jej mężem.

Connor przeszedł do salonu i usiadł na kanapie, gestem zapraszając ją, by usiadła obok niego. Miała wielką ochotę odmówić i znaleźć krzesło w przeciwległym końcu pokoju, ale z drugiej strony chciała patrzeć mu w oczy, gdy będzie jej serwować te nedorzeczne argumenty o konieczności przygarnięcia chłopca. Nieśpiesznie podeszła do kanapy i siadła na drugim jej końcu, zwrócona twarzą do męża.

Ściągnąwszy brwi, Connor przyglądał jej się badawczo, jak gdyby nie była już tą Michele, którą poślubił. Gdy na chwilę odwrócił wzrok, mogła podziwiać jego profil, mocno zarysowaną zuchwę, ładnie wykrojone usta i prosty nos. Dawno nie wydawał jej się równie przystojny.

- Michele, muszę ci coś powiedzieć. Powinienem ci o tym powiedzieć dawno temu.

Wsluchując się w jego głos, Michele czuła się wewnętrznie rozdarta. Jedna jej połowa chciała rzucić mu się na szyję i powiedzieć, że wspólnie znajdą rozwiązanie, które sprawi, że nie tylko przetrzymają tę próbę, ale jeszcze wyjdą z niej wzmocnieni. Niestety, druga jej połowa, która nakazywała nienawidzić męża za to, co uczynił jej samej, a także ich córkom, okazała się silniejsza.

- Słucham cię - wzruszyła ramionami, starając się przybrać możliwie obojętny wyraz twarzy. - O co chodzi?

Oschłość, z jaką to powiedziała, zaskoczyła nawet ją samą. Dlaczego rozmawiała z nim w ten sposób? Czyż nie tęskniła za nim? Czy to nie tęsknota za mężem była jednym z powodów, dla których wróciła do domu wcześniej, niż planowała? Dlaczego nie przywitała się z nim serdecznie, gdy kilka minut temu podchodził do niej wyraźnie uradowany, że ją widzi? Odpowiedź na te pytania brzmiała „nie”, bo Connor wciąż nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił. Zaślepiiony pragnieniem posiadania syna nie zauważał krzywdy, którą jej wyrządził.

- Nie ułatwiasz mi tego - stwierdził z wyrzutem.

- Ty też niczego mi nie ułatwiłeś - Michele nie pozostała mu dłużna.

Spuścił wzrok i zacisnął usta. Gdy ponownie na nią spojrzął, w jego oczach dostrzegła żal.

- Michele, to, co wtedy zdarzyło się w Honolulu... to była moja wina - mówiąc to, uniósł rękę na znak, by mu nie przerywała. - To przeze mnie nie widywaliśmy się wystarczająco często. To ja wpakowałem się w kłopoty z FAA. To ja zgodziłem się spędzić noc w mieszkaniu dopiero co poznaney stewardesy. To z mojej winy ta znajomość skończyła się w taki sposób.

Michele z wrażenia aż otworzyła usta. Nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej Connor powiedział: „To moja wina”. Przygryzła wewnętrzną stronę policzka i czekała, co powie.

- To wszystko moja wina. Chciałem cię prosić, żebyś mi przebaczyła. - Connor zwilżył językiem dolną wargę i spojrzął Michele w oczy, jakby szukając w nich odpowiedzi. - Powiniennem przyznać się do wszystkiego zaraz po powrocie z Los Angeles, ale wmawiałem sobie, że to był wypadek, na który nie miałem żadnego wpływu. Pomyślałem sobie, że będzie lepiej dla nas obojga, jeśli ci o tym nie powiem.

- Cóż, źle to sobie wykombinowałeś - wypaliła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Connor odchylił się gwałtownie z wyrazem osłupienia na twarzy.

- Wiem - powiedział z udawanym spokojem. Widać było, że pod maską opanowania cały aż się trzęsie. - Dlatego teraz ci o tym mówię. - Znów oparł się o kanapę. - Próbuję ci powiedzieć, że to wszystko zdarzyło się z mojej winy. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale odkąd dowiedziałem się o istnieniu Maxa, nie mogę przestać myśleć, że jestem mu coś winien, że...

- Co takiego? - krzyknęła, podrywając się na równe nogi. - Jesteś mu coś winien?

Connor rozpaczliwie westchnął przez zaciśnięte zęby.

- Nie tylko jemu. Pozwól mi dokończyć - powiedział cicho i ukrył twarz w dłoniach w geście bezradności. - Michele, w ogóle mnie nie słuchasz.

- Słyszę cię wyraźnie. Gdy tylko powiedziałaś mi, że chcesz ze mną porozmawiać, wiedziałam, że tak to będzie wyglądać. Takie przygotowanie gruntu. Najpierw powiem jej, że jest mi bardzo przykro, bo potem łatwiej mi będzie ją przekonać, że chłopiec powinien z nami zostać. - Wbiła w niego ostre spojrzenie. - Nie mógłbyś po prostu powiedzieć „przepraszam”? Nie mógłbyś ograniczyć się tylko do tego? Ten jeden raz?

Nie czekając na jego reakcję, obróciła się na pięcie i szybkim krokiem wyszła z pokoju. Zabrała z holu walizki i poszła na górę. Wchodząc po schodach, słyszała, jak Connor wstaje z kanapy i wychodzi do ogrodu.

Dopiero gdy zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni, w pełni poczuła ból przeszywający jej duszę. Prawie dała się nabrać. Dopóki Connor nie wspomniał, że jest chłopcu coś winien, była skłonna mu uwierzyć. Zdawało jej się, że wreszcie uświadomił sobie ciężar swojej winy. Chciała mu przebaczyć, naprawdę tego chciała. Nie uczyniła jednak tego, bo w porę zorientowała się, że w rzeczywistości usiłował tylko dopiąć swego, po raz kolejny próbował wymusić na niej zgodę na pozostawienie Maxa w ich domu.

Otworzyła walizkę i zaczęła wyjmować z niej bluzki, szorty i spodnie, oddzielając te przeznaczone do prania od tych, które mogły wrócić do szafy. Gdy skończyła, podeszła do okna sypialni wychodzącego na ogród.

Connor, Max i dziewczyny grali teraz we frisbee. Śmiali się i kibicowali sobie nawzajem, przybijając sobie piątki, gdy udało im się złapać dysk w szczególnie widowiskowy sposób. Smutek ścisnął Michele za gardło i

ły napłynęły jej do oczu.

Tyle były warte przeprosiny Connora. Ich rozmowa najwyraźniej nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Nie myliła się. Poprosił ją o rozmowę w jednym tylko celu. Zależało mu tylko na tym chłopcu. Im dłużej przyglądała się tej wesoło bawiącej się gromadce, tym większa wzbierała w niej chęć, by dać Connorowi to, czego tak pragnął. Miała ochotę spakować swoje rzeczy i wyjechać. Ale już nie na tydzień lub dwa, lecz na zawsze.

Connor miał w głowie całkowity mętlik. Dlaczego wszystko poszło nie tak? Przecież od chwili, gdy Max zasnął mu na kolanach w dniu powrotu z biwaku, starannie dopracowywał każdy szczegół planu. Postanowił, że gdy tylko zobaczy Michele, uśmiechnie się do niej, przywita się serdecznie i poprosi ją o chwilę rozmowy na osobności, a gdy już zostaną sami, uzna swoją winę i będzie błagać o wybaczenie. Zamierzał wziąć na siebie całą odpowiedzialność i przy okazji porozmawiać z żoną o tej szczególnej więzi, jaka zrodziła się między nim a Maxem. Niestety, Michele opacznie zrozumiała jego intencje.

Wcale nie zamierzał nakłaniać jej do zatrzymania Maxa. Owszem, pragnął tego całym sercem, ale to ona miała podjąć decyzję. Dobrze wiedział, że jego nalegania, tylko wzmogłyby jej sprzeciw. Nawet gdyby uległa namowom, z pewnością wypominałaby mu to potem do końca życia. A tego oboje by nie zniesli.

Misterny plan wziął w łeb już na starcie. Nie zdążył powiedzieć Michele nawet połowy tego, co zamierzał. Teraz była już dziesiąta wieczór i, siedząc sam jak palec w ciemnym pokoju, mógł co najwyżej rozmyślać o tym, czy ich małżeństwo da się jeszcze uratować. Może mylił się co do Michele. Może było już za późno. Wątpliwą pociechą było to, że Max będzie mógł z nim zostać, jeśli żona postanowi od niego odejść, zabierając ze sobą Elizabeth i Susan. Nie tak to sobie wyobrażał. Dlaczego nie dała im najmniejszej nawet szansy?

Connor jeszcze raz cofnął się myślami do minionego popołudnia. Gdy godzinę po scysji w salonie Michele w końcu zeszła na dół przywitać się z dziećmi, zdawała się dostrzegać wyłącznie Elizabeth i Susan. Gdy do niej podbiegły, przytuliła je do siebie i, obejmując ramieniem, zaprowadziła do domu. Maxa potraktowała tak, jakby w ogóle nie istniał. Biedaczek rozglądał się bezradnie dookoła, nie wiedząc, co robić. Connor, który widział całe to zdarzenie przez okno, natychmiast wyszedł do niego, oferując, że zagra z nim w piłkę. Chłopiec nie dał się zwieść.

- Pani Evans nadal się na mnie gniewa, prawda?

- Nie na ciebie. Max. Na mnie. Jest na mnie zła za coś, co zrobiłem.

- Na pana? - zdziwił się Max. - Nie wydaje mi się. Chodzi raczej o mnie.

Po zjedzonej w milczeniu kolacji, resztę wieczoru spędzili osobno. Michele poszła z dziewczynami na górę, żeby im poczytać przed snem i, jak to ostatnio miała w zwyczaju, przepadła bez śladu. Pewnie położyła się spać w pokoju któregoś z nich. Connor z Maxem zostali na dole, by obejrzeć film w telewizji. Chłopiec zasnął przed końcem filmu i Connor zaniósł go na rękach do pokoju. Łóżko było już pościelone. Ułożył syna do snu, otulił go starannie kołdrą i postanowił chwilę przy nim posiedzieć.

Biblia Maxa zawierająca jego najcenniejsze skarby leżała tam, gdzie zawsze. Przez ostatnich kilka dni co wieczór Max czytał Connorowi na głos fragmenty Pisma Świętego, a potem razem się modlili. Connor zauważył, że Max nie sięga już tak często po zdjęcia mamy i Buddy'ego. Cieszył się z tego powodu, bo wyglądało na to, że chłopiec zaczyna kochać go równie mocno, jak on jego pokochał. Connor nachylił się nad

Maxem i pocałował go w policzek, po czym wstał i po cichu wyszedł z pokoju.

Gdy był już na korytarzu, usłyszał dzwonek swojej komórki. Przyspieszył kroku, kierując się do sypialni. Sięgnął po leżący na nocnym stoliku aparat i nacisnął przycisk z zieloną słuchawką.

- Halo?

Po drugiej stronie nikt nie odpowiedział. Connor już miał się rozłączyć, gdy nagle usłyszał znajomy głos.

- Connor...

- Tak?

- Connor, to ja - twój ojciec...

W ciągu ostatnich ośmiu lat Connor wielokrotnie wyobrażał sobie tę sytuację i spodziewał się, że gdyby do niej doszło, w co wątpił, jego początkowe zaskoczenie nieuchronnie przerodzi się w złość. Teraz jednak, wciąż jeszcze czując zapach swojego synka, zupełnie nie wiedział, jak zareagować. Poczł, że nogi się pod nim uginają, i usiadł na łóżku, jedyne słowo, które zdołał z siebie wydusić, przepełnione było bezbrzeżnym smutkiem.

- Tato?

- Co u ciebie, synu? - zapytał ojciec zdławionym głosem.

Connor nigdy wcześniej nie rozpaczał z powodu zerwania kontaktów z ojcem, ale teraz w sercu poczuł ogromny żal. Najpierw pomyślał o Maxie, a zaraz potem o sobie i ojcu. Może ojciec czuł do niego to samo, co on do Maxa, tyle, że nie potrafił tego okazać. Na zgliszczach wieloletniego milczenia zajaśniał nagle promyczek nadziei.

- Nieciekawie, tato. Nieciekawie.

- Słyszałem - Loren zrobił pauzę. - Kilka dni temu była u mnie Michele.

Connor chciał się na nią rozzłościć, ale nie potrafił. Kurczowo ściskając w dłoni telefon, cieszył się z tego, że znowu może rozmawiać z ojcem.

- Zawaliłem sprawę.

- Wiem. Każdemu może się zdarzyć.

Czy ojciec naprawdę to powiedział? Czyżby chciał się przyznać, że odwracając się od syna, popełnił błąd? Connor opadł na wznak na łóżko i przez łyż wpatrywał się w sufit.

- Nie potrafiłem dostrzec w tym swojej winy - powiedział, zasłaniając sobie ręką oczy. - Dopiero parę dni temu to do mnie dotarło.

- Wiesz dlaczego tak było, prawda? - głos ojca brzmiał wyjątkowo łagodnie.

- Właśnie o to chodzi, że nie bardzo.

- Lotnicza duma, synu. Obaj na to cierpimy.

- Lotnicza duma? - Connor wykrzywił twarz w grymasie zdumienia. - Co moja praca ma z tym wspólnego?

- Więcej niż ci się wydaje - Loren wziął głęboki oddech. - Piloci, dobrzy piloci, noszą w sobie rodzaj dumy, która sprawia, że swoje błędy postrzegają wyłącznie w kategoriach problemów, które należy rozwiązać. Gdyby pilot przyznał się przed samym sobą, że jest zdolny do popełnienia błędu, nie potrafiłby zasiąść za sterami samolotu wiozącego kilkuset pasażerów. W tym zawodzie niezbędna jest niezachwiana pewność siebie. Taka postawa doskonale sprawdza się w powietrzu. - Loren zniżył głos o pół tonu. - Ale na ziemi już niekoniecznie.

Lotnicza duma? Connor powtarzał sobie w myślach te dwa słowa. Czy rzeczywiście to było przyczyną? Czyżby w swoim zaślepieniu przedkładał własną fałszywie pojętą dumę ponad dobro tych, których kochał.

- Co skłoniło cię, żeby do mnie zadzwonić?

- Od dawna chciałem z tobą pogadać o pewnych sprawach - Loren rozpogodził się nieco. - Bóg dał mi zielone światło.

- Bóg? - powtórzył Connor z niedowierzaniem. Jego ojciec nigdy nie przywiązywał większej wagi do spraw religijnych. W ich domu było to domeną mamy, która zaszczepiła w sercach swoich dzieci głęboką wiarę.

- Tak. Od czasu naszego ostatniego spotkania moja lotnicza duma znacznie osłabła. Bóg chciał, abym poczekał, aż nadejdzie odpowiedni moment. Gdy przyjechała do mnie Michale, zrozumiałem, że właśnie ta chwila nadeszła. Dla mnie. - Loren nagle spoważniał. - Dla nas.

- Czy to chciałeś mi powiedzieć? - zapytał Connor. Pragnął, by ta rozmowa trwała jak najdłużej, czując, że taka szansa może się nie powtórzyć.

- Nie tylko to - ciągnął dalej ojciec. - Chcę, żebyś wiedział, że bardzo mi przykro z powodu tego, co zaszło między nami - głos mu się załamał. - Żałowałem tego przez wszystkie te lata.

- Naprawdę? - wykrztusił Connor przez ściśnięte gardło.

- Tak - Loren przerwał, jakby szukając właściwych słów. - Nadal nie uważam, żeby kupno lotniska było w tamtych okolicznościach właściwą decyzją, ale mogłem inaczej do tego podejść. Powinienem wtedy o tym z tobą porozmawiać, cierpliwie wysłuchać twoich argumentów i spokojnie spróbować ci to wyperswadować. Tak czy owak... - westchnął głośno i pełnym bólu głosem powiedział: - Przepraszam.

Connor zrozumiał, że teraz to on powinien przeprosić, ale nie potrafił ubrać w słowa swoich uczuć. Usiadł tylko i mocniej przycisnął słuchawkę do ucha.

- Tak bardzo mi ciebie brakowało, tato.

- Ja też za tobą tęskniłem - ojciec nie wydawał się rozczarowany faktem, iż jego przeprosiny pozostały bez odpowiedzi. - Słyszałem, że mam wnuka.

Na wzmiankę o Maxie, smutek w duszy Connora nasilił się jeszcze bardziej.

- Tak... jest do ciebie podobny, tato. Wygląda tak samo jak ty, kiedy byłeś chłopcem.

- W takim razie jest też podobny do ciebie.

- Jest - odparł Connor, patrząc niewidzącym wzrokiem przez okno. - Kocham go, tato. Pokochałem go całym sercem.

- O tym też chciałem z tobą porozmawiać - odezwał się Loren po chwili milczenia.

- O Maxie? - Connor nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Tak, synu. Gdy Michele powiedziała mi o chłopcu, domyśliłem się, że za wszelką cenę będziesz chciał go zatrzymać przy sobie. Byłem gotów modlić się o to, by Michele pokochała go tak samo jak ty. Ale wtedy usłyszałem w duszy głos Pana, który przypomniał mi o czymś. Sądzę, że powinienem przekazać ci Jego słowa.

Connor nie wierzył własnym uszom. Bóg kazał jego ojcu z nim porozmawiać? Connor podniósł się z łóżka i wolnym krokiem zaczął przemierzać pokój, próbując zebrać rozbiegane myśli. Jego ojciec uległ zdumiewającej metamorfozie.

- Co takiego usłyszałeś, tato?

- Drogi Pana nie są naszymi drogami, synu. To właśnie chciałem ci powiedzieć - odrzekł Loren i zrobił pauzę. Gdy odezwał się ponownie, ton jego głosu wydawał się być jeszcze bardziej przygaszony. - Musisz odesłać tego chłopca.

Connor zatrzymał się w pół kroku i zwiesił głowę. Wciąż czuł dłonie Maxa ufnie obejmujące go za szyję, wciąż widział jego zmartwione spojrzenie, gdy w czasie gry w piłkę rozmawiali o Michele. Wciąż pragnął uleczyć jego złamane serduszko.

- Też o tym myślałem, tato - odparł, przykładając palce do kątek oczu. - Ale po tym, jak Michele wróciła z...

- A więc nie udało wam się dojść do porozumienia?

- Michele zmieniła się nie do poznania. Zachowuje się ostatnio okropnie. - Wyrwawszy się z odrętwienia, Connor ruszył w stronę okna. - Chyba chce ode mnie odejść.

- A więc już podjąłeś decyzję.

Connor zdławił w zarodku wzbierającą w nim złość. Zbyt wiele lat zmarnował, by teraz złościć się na ojca za coś, za co sam ponosił winę.

- To ona zdecydowała za mnie.

- Posłuchaj, synu. Łączy was silna i głęboka więź, która powinna wytrzymać tę próbę, jest jednak pewien problem. Jesteś skłonny pozwolić jej odejść, bo podświadomie czujesz, że zyskasz dzięki temu powód, by zatrzymać chłopca.

Connor wsparł się ręką o framugę okna i przybliżył twarz do zimnej szyby, opierając się o nią czołem. Tak właśnie było. Próbował przekonać Michele, ale skoro go odrzuciła, był gotów związać swój los z Maxem.

- OK... - powiedział z rezygnacją w głosie. - Co według ciebie powinienem zrobić?

- Zaufaj Bogu. A to oznacza, że powinieneś stanąć po stronie Michele, okazać jej swoją miłość i wspierać ją w tych trudnych chwilach. Oznacza to, że powinieneś odesłać Maxa, gdy tylko dobiegną końca te dwa tygodnie.

Connor w myślach przyznał ojcu rację. Podświadomie czuł, że tak powinien zrobić, ale do tej pory starał się tego do siebie nie dopuszczać. Teraz zrozumiał, że musi posłuchać jego rady i poddać się woli Bożej, nawet jeśli oznaczało to bezpowrotne rozstanie z Maxem. Zostały mu już tylko trzy dni na gromadzenie bezcennych wspomnień na resztę życia. Nie było innego wyjścia. Wiedział, że któregoś dnia Michele w końcu dostrzeże swoją pomyłkę i oboje będą żałować tego, co stracili, ale żeby to się stało, musiał odesłać chłopca.

- Dobrze, tato - wyszeptał cicho, czując, że nie zniesie dłużej tej rozmowy. - Dobrze.

- Zrobisz to?

- Tak. W piątek Max wróci na Hawaje.

- Przekonasz się, że to słuszny wybór.

Connor nie miał takiej pewności, ale to nie był odpowiedni moment, by o tym mówić.

- Dziękuję, tato. Dzięki, że zadzwoniłeś. Tyle czasu minęło.

- Odezwę się znowu za parę tygodni. Opowiesz mi wtedy, jak to się skończyło.

- Dobrze - odparł Connor, uświadamiając sobie, jak okrutna ironia losu kryje się za wypowiedzianymi przez ojca słowami. Odzyskując ojca, jednocześnie tracił syna.



- Aha, jeszcze jedno, Connor.

- Tak?

- Szkoda, że nie mogę go zobaczyć. Maxa, ma się rozumieć.

- Mhmm - mruknął Connor, masując sobie dłonią kark. Niezależnie od tego, co ojciec zaledwie parę chwil wcześniej powiedział o odesłaniu Maxa do domu, los chłopca najwyraźniej nie był mu obojętny. Zależało mu na nim i miał świadomość, że ból związany z utratą wnuka nigdy nie minie. Chyba nikt nie był w stanie lepiej go zrozumieć niż Connor.

- Ja też żałuję.

- Posłuchaj - powiedział Loren łamiącym się głosem. - Pewnie nigdy się z nim nie spotkam, ale... mógłbyś coś dla mnie zrobić? - zawahał się przez moment jakby obawiając się reakcji Connora. - Zanim go odeślesz, czy mógłbyś zrobić mu zdjęcie i mi je przysłać?

- Oczywiście, tato - odparł Connor, zagryzając wargę. - Obaj będziemy mieć pamiątkę.

## ROZDZIAŁ XXX

Max znów czuł się, jakby połknął złotą rybkę. Był już czwartek, dwutygodniowy pobyt na Florydzie dobiegał końca. Po kolacji pan Evans powiedział, że muszą o czymś porozmawiać. Ale to chyba nie miała być rozmowa o łowieniu ryb, motylach lub graniu w piłkę. Na pewno nie, bo pan Evans miał smutny wyraz twarzy, gdy mu o tym mówił.

Możliwe, że pan Evans chciał z nim porozmawiać o powrocie do domu. Max przypadkiem usłyszał, jak pani Evans o tym wspomniała. Tęsknił za Buddym i chciał wrócić do domu, ale nie chciał tam zostać. Chciał pojechać po swojego najlepszego przyjaciela i wrócić na Florydę, żeby już na zawsze mieszkać z rodziną pana Evansa.

Pragnął tego tym bardziej, że od dwóch dni pani Evans była dla niego miłsza. Przedwczoraj nawet go zapytała, co najbardziej lubi jeść, a on odpowiedział jej, że naleśniki z jagodami i bitą śmietaną albo grzanki z masłem orzechowym i bananami. Wczoraj przygotowała mu na śniadanie naleśniki, a dziś rano grzanki. A gdy w czasie gry w piłkę z Elizabeth i Susan zasupłało mu się sznurowadło, pani Evans zawołała go do siebie i pomogła mu je rozplątać. Oczywiście potem jej podziękował, tak jak uczyła go tego mama. I wtedy zdarzyła się najfajniejsza rzecz. Pani Evans uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Jesteś bardzo miłym i grzecznym chłopcem, Max.

Może państwo Evansowie postanowili, że będzie mógł u nich zostać. Tak mu się wydawało, ale po tym, jak pan Evans smutnym głosem powiedział mu, że musi z nim porozmawiać, nie był już wcale tego pewien.

Kolację zjedli w milczeniu. Tylko Susan w pewnym momencie zapytała:

- Jutro wyjeżdżasz?

- Porozmawiamy o tym później - ucięła rozmowę pani Evans, posyłając jej groźne spojrzenie.

To wystarczyło, by Max zrozumiał, że stało się coś niedobrego.

Po kolacji pan Evans zaprowadził go do pokoju i usiadł obok niego na brzegu łóżka.

- Max, muszę ci o czymś powiedzieć.

Jego słowa sprawiły, że złota rybka znów zatrzepotała ogonkiem.

- Tak?

- Jutro musisz wrócić do domu - oznajmił pan Evans. Głos mu się łamał, a oczy błyszczały, jakby za chwilę miał się rozplakać. - Pan Ogle znalazł bardzo miłe małżeństwo, które chce cię adoptować. Pragną, żebyś z nimi zamieszkał na stałe.

- Ale... ja myślałam... - wyjąkał Max. Słowa pana Evansa wzbudziły w nim strach i złość. Chciał z wrzaskiem wybiec z pokoju, ale coś go powstrzymało.

- Wiem... - pan Evans zacisnął usta w wąską linię. - Też chcieliśmy, żebyś z nami został, ale... ale Pan Bóg powiedział nam, że będzie lepiej dla ciebie, jeśli wrócisz na Hawaje.

- Tylko po to, żeby przywieźć Buddy'ego - Max miał sucho w gardle, zupełnie tak, jakby dopiero co przybiegł gdzieś z daleka. - Potem tu wrócę, prawda? - dodał z nadzieją w głosie, chwytając pana Evansa za rękę. - Nie chcę mieszkać gdzie indziej.

Pan Evans milczał przez długą chwilę.

- Przykro mi, Max. To już postanowione.

Po głowie Maxa zaczęły krążyć dziesiątki pytań. Kim byli ci państwo, którzy chcieli go adoptować, i skąd się o nim dowiedzieli? Dlaczego pan Evans na to pozwolił? Jak ma odnaleźć swojego prawdziwego tatę, skoro będzie musiał mieszkać z nowymi rodzicami? Spośród wszystkich tych pytań wybrał jedno, które wydało mu się szczególnie ważne.

- To dlatego, że pani Evans nadal się na mnie złości, prawda?

- Już ci mówiłem. Max... taka jest wola Pana Boga - pan Evans na moment spuścił głowę, a gdy ją podniósł w kącikach oczu miał łzy. - Chcę jednak, żebyś wiedział, że nigdy nie zapomnę tych dwóch tygodni, które spędziliśmy razem.

„Bądź dzielny i silny... bądź dzielny i silny... bądź dzielny i silny...”.

- Ja też nigdy ich nie zapomnę - Max ścisnął dłoń pana Evansa. Ten tylko wyciągnął przed siebie rękę, a Max rzucił mu się w ramiona, przytulając się do niego mocno.

- Mogę o coś zapytać? - powiedział Max, odchylając głowę do tyłu, by widzieć twarz pana Evansa.

- Słucham - odparł pan Evans bardzo smutnym głosem. Bez wątplenia było mu żal, że ich wspólny plan się nie powiódł.

Max czuł, jak serce zaczyna mu bić coraz szybciej. Postanowił w końcu zadać pytanie, które kotłowało się w jego głowie przez cały czas pobytu w domu państwa Evansów. Zapytałby o to już wcześniej, ale nie wiedział jak. Musiał je zadać, bo gdyby teraz tego nie zrobił, nie miałby już okazji.

- Czy kochał pan moją mamusię?

Pan Evans spojrział w bok, chyba w stronę okna - tak przynajmniej wydawało się Maxowi - i przez kilkanaście sekund milczał. Potem znów spojrział na niego i powiedział:

- Znałem twoją mamę bardzo krótko.

- Ale czy pan ją kochał?

- Nie aż tak bardzo jak ciebie - odparł pan Evans, dotykając dłonią jego policzka.

Choć zabrzmiało to nieco tajemniczo, serce Maxa fiknęło koziołka i to z dwóch powodów. Po pierwsze, tak

jak przypuszczał, pan Evans kochał jego mamusię. Nie tak jak mąż, ale w każdym razie kochał ją. A to oznaczało, że rozumiał jego smutek po jej odejściu. Po drugie, pan Evans kochał też jego i to nawet bardziej!

Uściskali się jeszcze raz i zeszli na dół, gdzie czekały na nich pani Evans i dziewczyny. Wieczór spędzili, grając w makao, chrupiąc prażoną kukurydzą i oglądając film o Piotrusiu Panie. Byłoby super, gdyby nie to, że nazajutrz musiał wyjechać.

\* \* \*

Michele cieszyła się, że Max wreszcie wyjedzie, wciąż jednak nie była gotowa na powrót do małżeńskiej sypialni i spanie w jednym łóżku z Connorem. Tę noc postanowiła spędzić w pokoju Susan. Próbowwała usnąć, ale sen nie nadchodził. Było już po północy, gdy usłyszała czyjś płacz. W pierwszej chwili pomyślała, że to płacze Elizabeth, która miewała złe sny i czasami budziła się w nocy zlaną zimnym potem. Michele wstała, wsunęła pantofle i poszła do pokoju starszej córki. Ta jednak, zwinięta w kłębek, smacznie spała. A to znaczyło, że płakał Max.

Mogła mieć swoje zdanie na temat romansu Connora i Kiahny, ale płacz małego chłopczyka obudził w niej współczucie. Zwłaszcza teraz, gdy wiadomo już było, że Max nie zostanie w ich domu, łatwiej jej było wykrzesać z siebie odrobinę empatii.

Od czasu powrotu z Kalifornii w środę rano zdążyła się przekonać, że Connor miał rację. Max był bardzo miłym i dobrze wychowanym chłopcem. Zawsze mówił „proszę” i „dziękuję”. Potrafił bardzo ładnie się bawić. Miał śliczną buzię i ujmujący uśmiech. Michele nawet go polubiła.

Było jej wstyd za to, jak go do tej pory traktowała i zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby to Maxowi wynagrodzić. Zdawała sobie sprawę, że ta sytuacja nie była jego winą. Nie ponosił odpowiedzialności ani za zdradę Connora, ani za to, że nieoczekiwanie wtargnął w ich życie. Nie było też jego winą to, że miał zielone oczy, tak jak jego matka. Był po prostu małym chłopcem, który stracił mamę. Poza tym nie przyjechał na Florydę z własnej woli, lecz został tu przysłany.

Nacisnęła klamkę i popchnęła lekko drzwi. W pokoju było ciemno i tylko nikły blask księżyca wpadający przez szerokie okno pozwalał dostrzec kontury mebli.

- Max?

Chłopiec leżał na łóżku z twarzą wtuloną w poduszkę. Słyszając jej kroki, odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- Tak?

- Max, kochanie, dlaczego płaczesz? - zapytała z troską w głosie. Podeszła do niego i przysiadła na brzegu łóżka. - Jest już bardzo późno.

Obrócił się na plecy i podciągnął kołdrę pod samą brodę. Oczy miał zapuchnięte, a na jego policzkach widać było ślady łez.

- Nie mogę zasnąć.

Dla Michele nie miało w tej chwili znaczenia, że nie był jej dzieckiem. Widziała przed sobą zapłakanego i przestraszonego malca. Zrobiło jej się żal chłopca i miała ochotę go przytulić. Nie zastanawiając się dłużej, odruchowo przesunęła palcami po jego ramieniu.

- Tęsknisz za mamą?

- T-t-tak - Max pokiwał głową twierdząco, po czym wyjął coś spod poduszki. W wyciągniętej ręce trzymał

fotografię. - Tak wyglądała moja mamusia. Czasem... czasem wieczorem przytulam jej zdjęcie do serca.

Michele odwróciła wzrok. W panującym w pokoju półmroku i tak nie byłaby w stanie dostrzec, co było na tej fotografii, ale wolała na nią nie patrzeć. Tak na wszelki wypadek. Uświadomiwszy sobie bezsens swojego zachowania, przywołała się w myślach do porządku. W tej rozmowie nie było miejsca na trawiącą ją zazdrość i jej poczucie niedowartościowania.

Tu nie chodziło o Kiahnę, lecz o chłopca, który tęsknił za mamą.

Max oddychał szybko i cały się trząsał od tłumionego szlochu.

- Po... powiedziała mi, że... że na zawsze będzie mieszkać w moim sercu - wyjąkał przez łzy, wsuwając pod kołdrę rękę, w której wciąż trzymał fotografię mamy. - Czy to prawda, proszę pani? Czy myśli pani, że ona nadal mieszka w moim serduszk?

- Tak - zapewniła go Michele. Serce jej się krajało na widok tej delikatnej buzi, na której ma lowały się ból i cierpienie. Wzięła chłopca za rękę i przytrzymała ją w delikatnym uścisku. W ten sam sposób starała się pocieszać Elizabeth lub Susan, gdy z jakiegoś powodu były smutne.

- Tak, maleńki, jestem pewna, że twoja mama zawsze będzie mieszkać w twoim serduszk.

Max jakby trochę się uspokoił. Wyciągnął prawą rękę spod kołdry, już bez zdjęcia mamy, i zasłonił nią sobie buzię. Drugą rączkę nadal trzymał w dłoni Michele.

- Proszę pani? - odezwał się nieśmiało.

- Tak, słucham cię.

- Pani nie znała mojej mamusi, prawda?

„To jeszcze mały chłopiec... O niczym nie wie...". Michele odpędziła ogarniające ją uczucie zazdrości.

- Nie, Max. Nie znałyśmy się - ponownie ścisnęła dłoń chłopca. - Ale na pewno była bardzo miła.

- Moja mamusia była bardzo kochana - Max kilka razy pociągnął nosem. - Chciałem, żeby znalazła sobie męża, żebym mógł mieć tatę, ale nigdy tego nie zrobiła. Mówiła, że oprócz mnie nikogo nie potrzebuje.

Michele aż zatkało. Co chciał przez to powiedzieć? Kobieta taka jak Kiahna z pewnością zmieniała mężczyzn jak rękawiczki. Przypadkowy seks i przelotne miłości, z których jedna zakończyła się niechcianą ciążą - tak musiało wyglądać jej życie. Tak przynajmniej to sobie wyobrażała od chwili, gdy dowiedziała się o zdradzie Connora.

Gorączkowo zaczęła zastanawiać się nad słowami Maxa. Wiedząc, że chłopiec czeka na jej odpowiedź, stwierdziła spokojnym tonem:

- Na pewno mówiła prawdę.

- Ale ja i tak chciałem mieć tatę - Max podłożył sobie rękę pod głowę, żeby lepiej ją widzieć. - Moja mamusia bardzo kochała Pana Jezusa. Wiedziała pani o tym?

- Doprawdy? - wybełkotała Michele.

W głowie jej się kręciło. Obraz wyłaniający się ze słów chłopca całkowicie różnił się od jej własnych wyobrażeń. Kiahna nie uganiała się za mężczyznami? Kochała Pana Jezusa? Nagle przypomniało jej się coś, co powiedział jej Connor. Kiahna była porządną dziewczyną... porządną dziewczyną...

Nie uwierzyła mu wtedy. Jaka porządna dziewczyna zaprasza do swojego mieszkania obcego mężczyznę? Do tej pory odpowiedź wydawała się oczywista. Teraz już jakby mniej. Michele przygryzła wewnętrzną stronę

policzka, uważnie przyglądając się zapłakanej buzi chłopca. Jak ważne musiały być dla niego takie chwile jak ta, gdy mógł rozmawiać o swojej mamie tak, jakby nadal żyła.

- Wierzy pani w Pana Jezusa, prawda? - nieoczekiwanie zapytał Max.

- Oczywiście, że wierzę w Pana Jezusa i kocham Go całym sercem - odparła Michele bez wahania, ale słowa te wydały jej się puste, pozbawione głębszego znaczenia, zapakowane w plastikową folię.

Była wstrętna dla siedmiolatka, który niedawno stracił matkę. Pozwalała sobie na jadowite uwagi pod adresem męża, nie dając mu żadnej szansy na usprawiedliwienie się lub przeprosiny, a gdy nadarzyła się okazja, by wszystko jakoś wyprostować, podwinęła ogon i uciekła do siostry. Czy tak postępowałby ktoś, kto kocha Pana Jezusa?

Przypomniał jej się cytat, chyba z Listu św. Jakuba: „Wierzysz, że jest jeden Bóg? Słusznie czynisz - lecz także i złe duchy wierzą i drżą”. Werset ten zawierał oczywiste przesłanie. Wiara nie poparta czynkami jest martwa, jak to się miało do niej? Od momentu, gdy Connor powiedział jej o swoim romansie, potrafiła okazywać miłość wyłącznie samej sobie.

- W zeszłym roku mamusia kupiła mi Pismo Święte - oznajmił Max, sięgając po leżącą na nocnym stoliku książkę w białych okładkach. - Widzi pani... czytam je codziennie.

Jeszcze tylko tego brakowało. Kiahna była osobą wierzącą. Uczyła swojego synka czytać Pismo Święte. Czyżby dotychczasowe wyobrażenia Michele na jej temat były aż tak błędne. Nagle zapragnęła dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Max, opowiesz mi o swojej mamie?

- Naprawdę pani tego chce?

- Tak - nachyliła się nad nim i wolną ręką odgarnęła mu z czoła grzywkę. - Mówienie o tych, których kochaliśmy, pozwala im żyć w naszej pamięci.

- Też tak myślę - odparł cichutko i uśmiechnął się do niej. Wziął kilka głębokich wdechów i zaczął opowiadać.

Michele spodziewana się od niego usłyszeć, że Kiahna była śliczna, zgrabna i elegancko się ubierała, że miała ładną buzię i że nigdy nie widział piękniejszej mamy. Zamiast tego powiedział jej o piosence, którą specjalnie dla niego ułożyła, o motylkowych dniach i spacerach wzdłuż plaży. Ani razu nie wspomniał o wyglądzie matki. Czy Kiahna przejmowała się swoją wagą? Pewnie nie. A jeśli nawet, dla Maxa i tak nie miało to najmniejszego znaczenia.

Nagle jej własna obsesja na punkcie wyglądu, wagi, jedzenia lub niejedzenia wydała się głupią stratą czasu, zwykłą zasłoną dymną. Prawda objawiła jej się w całej okazałości i po raz pierwszy Michele nie odwróciła głowy. Dotarło do niej, co tak naprawdę było przyczyną zdrady Connora. Wtedy, gdy to się stało, była zbyt pochłonięta własną osobą, potrafiła myśleć tylko o sobie, nie zwracała uwagi na kłopoty męża w pracy, jego zatarg z ojcem, nie wspierała go, nie okazywała mu miłości, nie zrobiła nic, by mu pomóc.

Owszem, miała swoje zgryzoty, ale odcinając się od Connora, popełniła niewybaczalny błąd. Dopiero teraz zrozumiała, że jej kompulsywne objadanie się było tylko sposobem na ucieczkę od emocjonalnych problemów.

Connor nigdy by jej nie zostawił tylko dlatego, że miała nadwagę. Miłość nie sprowadza się do tego, jak ktoś wygląda. W miłości powinno być miejsce na rozmowę, wzajemne zrozumienie, wspólnie spędzany czas.

Ważne jest, jak się żyje i jak się kocha drugą osobę. Tylko to tak naprawdę się liczy.

- Wie pani... - Max mówił teraz wolniej, ciszej. - Ja nie płakałem tylko z tego powodu.

- Nie tylko? - Michele wciąż trzymała go za rękę. - Co jeszcze cię martwi?

- Bo... - Max ziewnął i potarł piąstkami oczy. - Bo ja nie chcę jutro wracać na Hawaje.

Michele nachyliła się nad nim i przytuliła go czule.

- Och, Max... Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Chłopiec znów się rozplakał.

- Ja chciałem... Chciałem, żeby pan Evans został moim „niby-tatą”.

- Twoim „niby-tatą”? - Michele znieruchomiała i patrzyła na niego w osłupieniu.

- Mamusia napisała mi w liście, że mam tatę, ale on mieszka gdzieś daleko, nie wiadomo gdzie i być może nigdy go nie odnajdę, bo na świecie jest bardzo wielu tatusiów. Dlatego prosiłem Pana Jezusa, żeby pan Evans został moim tatą tak na niby.

Michele nie chciała płakać, ale łzy same cisnęły jej się do oczu. Chłopiec otworzył się przed nią. Jak na dłoni ujrzała wszystko, co działo się w jego skołatanej duszy. „Weź się w garść” - upomniała się w myślach. Max musiał wrócić na Hawaje, nie ze względu na nią, lecz dla jego własnego dobra. Tam chodził do szkoły, tam miał przyjaciół, tam czekało na niego bezdzietne małżeństwo, które się nim zaopiekuje i obdarzy miłością, której tak bardzo potrzebował.

- Max, przekonasz się, że kiedyś znajdziesz swojego tatę. Pan Jezus na pewno zaplanował dla ciebie coś dobrego.

- Ale ja chcę tylko pojechać po Buddy’ego i wrócić t-t-utaj... - Max zatopił głowę w jej ramieniu i ponownie zaniósł się płaczem. Michele delikatnie głaskała go po włosach, dopóki się nie uspokoił. Gdy szloch zamienił się w ciche pochlipywanie, chłopiec odchylił się do tyłu i, patrząc Michele prosto w oczy, powiedział:

- Szkoda, że nie pojechała pani z nami nad jezioro.

Jego słowa trafiły ją prosto w serce. Choć nie zdawał sobie z tego sprawy, w tym jednym zdaniu zawarł wszystko, przed czym tak rozpaczliwie się broniła, jak gdyby wiedział, że nie pojechała z nimi dlatego, by przypadkiem go nie pokochać.

Koniuszkami palców otarła łzy spływające mu po policzkach i wypowiedziała jedyne słowa, które przychodziły jej na myśl:

- Przepraszam cię, Max. Przepraszam, że z wami nie pojechałam.

- Ja się już na panią nie gniewam - odpowiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Chciałbym pani powiedzieć jeszcze coś...

- Tak? - zdławionym głosem zapytała Michele. Świadomość tego, jak bardzo się myliła, chwyciła ją za gardło żelaznym uściskiem. Dopiero teraz dotarło do niej, że pomyliła się co do niego pod każdym względem.

- Miłość polega na przebaczeniu - Max uśmiechnął się znacząco. - A to znaczy, że ja panią kocham.

- Ja też cię kocham. Max - odparła cicho.

W tej samej chwili uzmysłowiła sobie, że to prawda. Tego dziecka nie można było nie kochać. Tak bardzo przypominał Connora, a zarazem miał w sobie coś niepowtarzalnego. Przytuliła go do siebie i gładziła czule po plecach, pocieszając, że wszystko będzie dobrze i Pan Bóg z pewnością obmyślił już dla niego plan na

przyszłość. Równocześnie przemyślała wszystko jeszcze raz i zdała sobie sprawę z tego, że w głębi jej serca zaczyna tlić się, na razie nieśmiało, płomyczek miłości do tego chłopca.

Gdyby tylko zorientowała się wcześniej. Teraz sprawy nabrały już biegu. Podświadomie czuła, że wybrali najlepsze możliwe rozwiązanie. Ten plan musiał się powieść. Jutro o tej samej porze chłopiec będzie znów w Honolulu, a ich drogi rozejdą się na zawsze.

## ROZDZIAŁ XXXI

Ramey siedziała na kanapie, patrząc na Maxa i Buddy'ego stojących obok siebie o dwa kroki od niej. Był poniedziałek. Od powrotu Maxa minęły już trzy dni. Za piętnaście minut mieli zjawić się u nich państwo Mollerowie, by po raz pierwszy spotkać się z chłopcem.

- Ramey, jak wyglądam?

Buddy uniósł łeb i cicho zaskomlał. Max pochylił się i poklepał go uspokajająco po grzbiecie.

- Nie ty, Buddy. Rozmawiam z Ramey.

- Wyglądasz świetnie, Max. Jesteś bardzo przystojny.

- A Buddy? - zapytał Max, zawiązując niebieską apaszkę wokół szyi przyjaciela.

- Buddy też jest przystojny.

Pies wydał z siebie krótkie szczeknięcie, jakby chciał podziękować za komplement.

- Nie szczekaj - upomniął go Max, klękając na jedno kolano i ujmując głowę psa w dłonie. - Państwo Mollerowie mogą nie lubić piesków. Siedź cicho, dobrze?

Ramey była na siebie zła, że w ogóle zgodziła się na ich wizytę. Nie podobał jej się pomysł z wystawianiem Maxa i Buddy'ego na pokaz i prezentowaniem ich przed obcymi ludźmi, jakby byli używanymi przedmiotami. Wciąż modliła się o cud przebaczenia, ale z każdym dniem szanse na to, że jej prośby zostaną wysłuchane, malały.

Od powrotu Maxa Evansowie nie odezwali się ani razu.

Ramey ustaliła z Oglem, że do czasu sfinalizowania formalności związanych z adopcją, Max i Buddy pozostaną u niej, o ile oczywiście Mollerowie zdecydują się adoptować chłopca. Gdyby do tego nie doszło, Max miał zamieszkać z adwokatem i jego żoną. Ale to oznaczałoby konieczność zmiany szkoły i przeprowadzki w zupełnie nowe miejsce. Ramey i Ogle byli zgodni co do tego, że skoro chłopca i tak czeka wstrząs związany ze zmianą otoczenia, to niech to przeżyje za jednym razem.

Na razie więc Max nadal był pod jej opieką. Była zadowolona, że nadal ma chłopca przy sobie, chociaż dla niego najlepiej by było, gdyby został u Evansów. Może jednak Kiahna pomyliła się w ocenie tego mężczyzny. Z jej pamiętników i dołączonego do testamentu listu wynikało, że Connor Evans będzie dobrym ojcem dla Maxa. Skoro jednak po dwóch tygodniach spędzonych razem postanowił odesłać go z powrotem, być może Kiahna nie miała racji.

W każdym razie Ramey cieszyła się, że Max może u niej jeszcze trochę pomieszkać. Bardzo za chłopcem tęskniła i wiedziała, że ciężko jej będzie znieść rozstanie z nim, niezależnie od tego, czy przygarną go państwo Mollerowie, czy też Marv Ogle z żoną. Nawet te dwa tygodnie, które spędził u Evansów, zdawały jej się

wiecznością. Wcześniej nigdy nie zdarzyło się, by nie widziała go dłużej niż parę dni.

Owszem, miała przez to więcej pracy. Czasami brakowało jej tchu i Max musiał przynosić jej butlę z tlenem, ale był do tego przyzwyczajony i razem stanowili zgrany zespół. Zresztą w tej sytuacji jej własne zdrowie było sprawą drugorzędną.

- Długo jeszcze, Ramey? - zapytał zniecierpliwiony Max, skończywszy besztac Buddy'ego. Patrzył na nią ze zbolaną miną, przestępując z nogi na nogę. - Chcę to już mieć za sobą.

Ramey mimo woli uśmiechnęła się, bo powtórzył dokładnie te same słowa, których użyła w rozmowie z adwokatem: „Niech pan ich przyśle. Chcę to już mieć za sobą”. Poczowała, że znów dopadły ją wyrzuty sumienia.

- Nie podchodź tak do tego, Max. Oboje nie powinniśmy do tego tak podchodzić.

- Już ci mówiłem, Ramey - odparł Max, rozsiadając się na podłodze obok Buddy'ego, który natychmiast położył się przy nim, opierając głowę o jego kolano. - Nie chcę być adoptowany. Jeśli nie mogę mieszkać z Evansami, chcę mieszkać tutaj, z tobą. A kiedy już będziesz bardzo stara i umrzesz, chciałbym zamieszkać w niebie z moją mamusią i z tobą.

Zrobił krótką pauzę, oczekując na jakąś reakcję z jej strony.

- Dobrze, Ramey? Dobrze?

- Nie powinniśmy tak do tego podchodzić, bo państwo Mollerowie to bardzo mili ludzie. Dowiedzieli się o tobie i pomyśleli, że mógłbyś zostać ich synkiem. To byłaby dobra rzecz, Max. Spróbuj spojrzeć na to z tej strony.

- No tak, ale...

Rozległo się pukanie do drzwi i w pokoju nagle zapanowała cisza. Ramey podniosła się z wysiłkiem fotela.

- Pójdę otworzyć.

Wydawało jej się, że minęło pół minuty, zanim dowlokła się do drzwi. A przecież to było tylko dwadzieścia kroków. Otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą nieznanego mężczyznę i towarzyszącą mu kobietę.

- Dzień dobry - przywitał się mężczyzna.

- Dzień dobry. Państwo Mollerowie?

- Tak, to my - tym razem odezwała się jego towarzyszka.

- Proszę, niech państwo wejdą - powiedziała Ramey, wykonując zapraszający gest.

Weszli do środka, zatrzymując się w przedpokoju.

- Czy Max jest w domu? - zapytała pani Molier, zaglądając przez ramię gospodyni w głąb mieszkania.

Ramey przez chwilę taksowała gości wzrokiem, po czym obróciła się i zaprowadziła ich do dużego pokoju. Byli starsi, niż myślała. Wyglądali na pięćdziesiąt parę lat. Uśmiechali się ciepło, ale na ich twarzach malowała się niepewność, jak gdyby nie wiedzieli, czego się spodziewać.

Ramey pierwsza weszła do pokoju i ustawiła się z boku, ciekawa reakcji państwa Molier na widok chłopca. Ujrawszy go, pani Molier uśmiechnęła się i pomachała do niego ręką. Jej mąż zatrzymał się o pół kroku za nią, obdarzając Maxa sympatycznym spojrzeniem.

- Witaj, Max. Nazywam się Moller, a to jest moja żona - przedstawił się.

Kobieta podeszła do Maxa i wyciągając dłoń na powitanie, powiedziała:

- Miło nam ciebie poznać, Max.



Max zerwał się z kanapy. Głowę miał opuszczoną, ale po chwili wahania zebrał się na odwagę i podniósł wzrok na panią Moller.

- Dzień dobry - odpowiedział grzecznie.

Oparta o ścianę Ramey przyglądała się tej scenie. „Dzięki Ci, Boże. Wygląda to nieźle... Takie przynajmniej można odnieść wrażenie”. Zmrużywszy oczy, czekała na dalszy rozwój wypadków.

Pan Moller dołączył do żony i, wskazując na Buddy'ego, zapytał:

- To twój piesek?

- Tak, proszę pana - odparł Max, prostując się nieco. - To jest Buddy. On też chce pojechać.

- Och... - zmieszał się Moller i, kręcąc nieznacznie głową, przeniósł spojrzenie na Ramey, jakby szukał u niej pomocy.

- Jakby ci to powiedzieć, Max...

Widząc jego błagalny wzrok, Ramey bezradnie wzruszyła ramionami. Sam musiał to rozegrać.

- Po-wo-dze-nia! - wysylabizowała tylko, bezgłośnie poruszając wargami.

Zdany na samego siebie pan Moller poklepał Buddy'ego po głowie.

- Nie możemy mieć psa, Max - zwrócił się do chłopca z wyrazem troski na twarzy, po czym kładąc dłoń na ramieniu żony, dodał:

- Pani Moller jest uczulona na sierść psów.

Oczy Maxa zrobiły się wielkie jak spodki.

- Ale proszę pana, Buddy... to mój najlepszy przyjaciel.

Pani Moller przykucnęła, próbując go pocieszyć.

- Jeśli chcesz, kupimy ci złotą rybkę albo zółwia, zwierzątko, które można trzymać w akwarium - zaproponowała, gładząc dłonią jego policzek.

- Co ty na to?

- Bez Buddy'ego nigdzie nie jadę - krzyknął Max. Kategorie sprzeciw w głosie kontrastował z wyrazem paniki i przerażenia w jego oczach. Oddychał szybko, jak gdyby dopiero co wbiegł po schodach. Chwycił psa za obrozę i z rozżaleniem powiedział:

- Chodź, Buddy. Oni nas nie chcą.

Zanim wyprowadził go na zewnątrz, do patio, obrócił się raz jeszcze, rzucając pod adresem gości jedno zdanie:

- Jeśli on tu zostaje, ja zostaję razem z nim.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, pan Moller skinął uprzejmie głową, mówiąc:

- Dziękujemy za czas, który zechciała nam pani poświęcić.

- Rozumiem, że nie jesteście już państwo zainteresowani - Ramey bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Ależ skąd, jesteśmy nadal zainteresowani i to bardzo. Dzieci potrafią poradzić sobie ze stratą lepiej niż dorośli. Z początku będzie tęsknił za tym pieskiem, ale z czasem się przyzwyczai - wtrąciła pani Moller tonem pełnym współczucia. - Pewnie bardzo ciężko przeżywa całą tę sytuację, w której się znalazł.

- Mało powiedziane - westchnęła Ramey, która powoli zaczynała nawet odczuwać sympatię do tej kobiety.

Pan Moller wyciągnął dłoń, by się pożegnać.

- Damy mu kilka dni na oswojenie się z tą myślą, a potem skontaktujemy się z panem Ogle.

- Tak - zawtórowała mu żona, przyciskając torebkę do piersi. - Chcielibyśmy zabrać go do siebie jak najszybciej. To śliczny chłopczyk. Przykro patrzeć, jak cierpi.

Pan Moller objął żonę ramieniem, tuląc ją lekko do siebie, już za progiem dodał na odchodne:

- Będziemy w kontakcie.

Po ich wyjściu Ramey dostała najpierw lekkich duszności, jej tętno przyspieszyło, a chwilę później poczuła znajome klucie w sercu. Ból nasilił się i zaczął promieniować do lewego barku i ramienia. Przez chwilę myślała, że to już koniec. Lekarz powiedział jej wprost, że w jej przypadku zawał to tylko kwestia czasu.

Powłócząc nogami, poczłapała do kuchni, gdzie w szafce przy zlewie trzymała nitroglicerynę. Wyjęła dwie tabletki i wsunęła je pod język. To powinno pomóc. Nie chciała umrzeć tu i teraz - w chwili, gdy Max i Buddy byli tuż obok, w patio. Powolnym krokiem wróciła do salonu i usiadła ciężko na ulubionym fotelu.

Mollerowie byli miłymi, dobrymi ludźmi. Nie mogła jednak pozwolić na to, by Max zmuszony został do zamieszkania z kimś, kto nie mógł przygarnąć także Buddy'ego.

Serce jakby trochę się uspokoiło, a ból w klatce piersiowej ustąpił. Oddychała głęboko, spoglądając od czasu do czasu na leżący na stoliku przy lampie pamiętnik Kiahny. To przecież Kiahna wierzyła w drugą szansę, w przebaczenie. Czyż nie o to modliła się przez całe życie?

„Panie Boże, ja też się o to modliłam. I co?“. Ramey wbiła wzrok w sufit. „Prosiłam się Cię usilnie o cud przebaczenia, a Ty oferujesz mi coś takiego?“. Zacisnęła usta w niemym grymasie. „Będę z Tobą szczerą. Boże. Wyznam ci, że mam teraz ochotę dać sobie spokój z modlitwami. Nawet jeśli tam jesteś, zaczynam wątpić, czy lubisz mnie na tyle, żeby wysłuchać mych prośb. Pozwól, że Ci coś powiem. Może i oni, państwo Molier, są sympatyczną parą, ale nie takiej odpowiedzi się spodziewałam“.

Złożyła dłonie na brzuchu, próbując uporządkować myśli. Nagle przypomniała sobie jeszcze jeden wpis z pamiętnika Kiahny. Mimo że jej życie nie potoczyło się tak, jak to sobie planowała, Kiahna nigdy nie przestała wierzyć w to, że nawet w najczarniejszych chwilach Bóg zawsze jest w pobliżu i zawsze może sprawić cud.

Przez szklane drzwi do patio Ramey widziała Maxa, który z twarzą ukrytą w dłoniach leżał na brzuchu obok Buddy'ego, prawdopodobnie wypłakując sobie oczy. Uniosła głowę i ponownie spojrzała na sufit. „Powiedz, Boże, czy mogłoby go spotkać coś jeszcze gorszego“. Znow popatrzyła na chłopca. A jeśli Kiahna miała rację? A co jeśli w tej z pozoru beznadziejnej chwili Bóg dokonuje właśnie cudu?

„Boże, już sama nie wiem, co mówię. Oczywiście, że nie przestanę się modlić. Proszę Cię, pokornie błagam Cię o cud w życiu Maxa. On już wystarczająco cierpi. Daj mu szansę. Nadal uważam, że ten cud będzie wiązać się z łaską przebaczenia. Dlatego ześlij ją proszę“. Ramey poczuła ogarniające ją uczucie zawstydzenia. „Ach... jeszcze coś. Przepraszam za to, co powiedziałam kilka minut temu. Nie wiem, co mnie napadło. Naprawdę wierzę, że możesz to uczynić. Inaczej nie prosiłabym Cię o to“.

Dopiero uczyła się rozmawiać z Bogiem i nie bardzo wiedziała, jak zakończyć modlitwę. Spojrzała więc tylko jeszcze raz w górę i wyszeptwała:

- Dziękuję, Boże. Będę czekać dalej.

\*\*\*

Max jeszcze nigdy nie bał się tak jak teraz. W głowie miał mętlik, a serce chciało wyskoczyć mu z piersi.

Mama zawsze mówiła mu, żeby grzecznie zwracał się do obcych, ale dziś zapomniał się i nakrzyczał na tych państwa. Na pewno tam, w niebie, mamie było teraz przykro. Bardzo się tym zmartwił, bo skoro jej było przykro, musiała też być smutna. Już wolałby, żeby była na niego zła, byle tylko nie była smutna.

- Nie smuć się, mamusiu - wyszeptał cichutko tuż przy uchu Buddy'ego, który cały czas głośno dyszał. - Przepraszam cię... przepraszam.

Ale nie tylko to go martwiło. Wystarczyło popatrzeć w oczy pana Mollera, żeby wiedzieć, że w sprawie Buddy'ego nic nie da się zrobić. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien rzucić się na ziemię, kopiąc i krzycząc. Nigdy wcześniej tego nie robił ze względu na mamę. Dobrze pamiętał, że krzywo na niego patrzyła, gdy parę razy płaczem próbował coś na niej wymusić. Ale kiedyś widział, że jakiś pierwszoklasista, który nie chciał zostać w szkole, zaczął rzucać się i kopać. Wtedy przyszedł pan dyrektor i go zabrał. Czyli kopanie pomaga, chyba.

Maxowi też przyszło na myśl, żeby wypróbować numer z napadem złości, i już miał to zrobić, ale wtedy pan Moller popatrzył na niego w taki szczególny sposób. Uśmiechał się, a jednocześnie był poważny. W tej chwili Max zrozumiał, że czego by nie zrobił, i tak będą chcieli go adoptować, ale nie zgodzą się na Buddy'ego.

Czegoś tu nie rozumiał. A co na to Pan Bóg? Mama zawsze powtarzała mu, że ma dla niego plan. Max nie był pewien, czy Bóg cały czas nosi ten plan przy sobie, czy może trzyma go w szufladzie swego biurka w niebie. Był jednak pewny, że taki plan istnieje, bo mama mu o tym powiedziała, a mama nigdy, przenigdy go nie okłamała.

Poza tym, to samo powiedział mu pan Evans wtedy, gdy żegnając się z nim na lotnisku, mówił mu, że go kocha. On też stwierdził, że Pan Bóg ma dla niego plan. To samo mówiła pani Evans. Dlaczego Bóg miałby zapomnieć o Buddym?

Przełknął głośno ślinę, wsuwając dłoń pod nowiutką niebieską apaszkę Buddy'ego. W sobotę specjalnie poszedł razem z Ramey do sklepu po tę chustkę, bo chciał, żeby Buddy wyglądał ładnie, kiedy przyjdą państwo Moller. Oczywiście jego przyjaciel wyglądał ładnie i bez niej, ale niektórzy ludzie lubią, żeby pieski nosiły coś takiego.

Max chciał też, żeby Ramey kupiła obcinacz, ponieważ pazury Buddy'ego były za długie. Przecież mamusia nieraz mówiła, że o paznokcie trzeba dbać. A pazury to takie paznokcie, jednak Ramey stwierdziła, że państwo Mollerowie raczej nie będą patrzeć na pazury Buddy'ego, a w każdym razie nie podczas pierwszej wizyty. Poza tym obcinacz kosztował cztery dolary i dziewięćdziesiąt siedem centów.

Tak w ogóle to nie obchodziło go, co to małżeństwo sądzi o nim i Buddym, bo nie chciał, żeby go adoptowali. Ale Ramey powiedziała, że to jego jedyna szansa, i zrobiło mu się z tego powodu jeszcze bardziej smutno, bo to wcale nie była jego jedyna szansa. To była jego druga szansa. Pierwszą szansą byli pan i pani Evans.

Wtulił buzię w ramię i zaczął prosić Pana Boga o pomoc: „Kochany Panie Boże, bardzo się boję. Powiedz mi proszę, co mam teraz zrobić. Jeśli muszę obciąć pazurki Buddy'emu, zrobię to, ale proszę... proszę nie każ mi mieszkać z panem i panią Moller”.

Ze strachu znów dreszcz przebiegł mu po plecach. Przytulił się mocniej do psa, nie przestając się modlić: „Panie Boże, mamusia mówiła mi, że dajesz ludziom drugą szansę. Wierzę Ci, bo mamusia niedawno dostała

od Ciebie drugą szansę w niebie".

Bardzo mu zależało, żeby Bóg usłyszał jego następne słowa, więc zaczął mówić na głos:

- Ale co ze mną? Proszę Cię, Panie Boże... Czy nie mógłbyś i mnie dać drugiej szansy, żebym mógł zostać z panem Evansem i jego rodziną? A gdyby się nie dało, pomóż mi proszę znaleźć innego tatę.

Przeważnie po skończonej modlitwie czuł miłe ciepło w brzuszku. Mamusia wytłumaczyła mu kiedyś, że to się nazywa wewnętrzny spokój. Tym razem jednak serce dalej tłukło mu się w piersi jak oszalałe, a niespokojne myśli kłębiły się w jego głowie jak stada czarnych ptaków. Wciąż słyszał głos mamy, czuł jej zapach i delikatny dotyk. „Bądź dzielny, Max... gdy będziesz się czegoś bał, staraj się być dzielny”.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że chociaż bardzo się starał, nie potrafił być dzielny. Nie pamiętał nawet, jak to jest być dzielnym.

## ROZDZIAŁ XXXII

Był wtorek rano. Michele z całych sił starała się przywrócić ich życiu normalny bieg. Pozwoliła, by w piątek Connor i Max sami pojechali na lotnisko, a gdy mąż wrócił do domu w grobowym nastroju, objęła go czule na powitanie.

- Przepraszam cię - powiedziała cicho, kładąc głowę na jego piersi. - Byłam okropna.

Oczy miał zaczerwienione, ale wciąż tlił się w nich nikły płomycek nadziei.

- Oboje byliśmy.

- Ale jeśli chodzi o ten twój romans... Była w tym też moja wina. Byłam... - Michele na moment zwiesiła głowę. - Myślałam tylko o sobie i zapomniałam, że powinnam ciebie kochać.

Connor uściśnął ją mocniej i wsparł czoło o jej ramię.

- Nie ma o czym mówić. Byłaś wtedy chora. Nic nie mogłaś na to poradzić. To ja zawałem sprawę, Michele. To tylko i wyłącznie moja wina.

- Nie - odchyliła się, próbując pochwycić jego spojrzenie. - Nawet jeśli czułam się nienajlepiej, postąpiłam źle. Przepraszam. Chciałam, żebyś to wiedział.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, patrząc na siebie. Widać było, że Connor ma wilgotne oczy. W końcu wykrztusił zdławionym głosem:

- Dzięki.

Michele pocałowała go.

- Aha, jest coś jeszcze. Wcześniej nie byłam gotowa wysłuchać tego, co miałeś mi do powiedzenia na temat matki Maxa. Ale jeśli... jeśli chcesz mi coś powiedzieć teraz, jestem gotowa.

- Nie - odparł zrezygowany. - Było, minęło. To już bez znaczenia.

Tej nocy spali w jednym łóżku, ale nic ponadto. Znowu byli razem, ale Michele nie przestawała zastanawiać się, czy głęboka rana, którą zadała Connorowi, nie odcisnie się na zawsze na ich związku. Niewątpliwie wciąż mu na niej zależało, w przeciwnym razie nie odesłałby Maxa. Ale czy kiedykolwiek jeszcze będzie ją kochał tak jak dawniej? W ciągu następnych kilku dni Connor co wieczór do późna przesiadywał na werandzie pogrążony w myślach, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy dowiedział się o chłopcu. Za

każdym razem, gdy go na tym przyłapywała, podchodziła do niego i kładła mu ręce na ramionach lub obejmowała za szyję, pragnąc poznać jego odczucia.

- Hej... Ładna noc dzisiaj? - próbowała zagaić rozmowę.

On tylko podnosił na nią wzrok i uśmiechał się lekko, ciągle jakby nieobecny.

- Tak. Przyjemnie posiedzieć na powietrzu.

- No więc... - nie dawała się zbić z tropu i przysuwała sobie krzesło. - O czym tak rozmyślasz?

- O życiu. O tym, jakie jest dziwne. Jak jedna decyzja może trwale wpłynąć na los wielu ludzi.

Raz czy dwa zdarzyło mu się udzielić bardziej konkretnej odpowiedzi:

- O Maxie. Co on teraz sobie myśli.

Jego słowa boleśnie uzmysławiały jej przemianę, jakiej uległ w ciągu minionych kilku tygodni. Dawny Connor odpowiadałby standardowym: „Nic takiego, kochanie” i szybko przeniósłby ciężar rozmowy na nią. Ale teraz było inaczej. Teraz stał się otwartą księgą w dużo większym stopniu niż kiedykolwiek wcześniej w trakcie ich wspólnego życia. Michele uznałaby to nawet za swój sukces, gdyby nie jedno „ale”. Ta księga nie zawierała nic prócz smutku, żalu i tęsknoty.

Z jednej strony Connora dręczyło poczucie winy z powodu tego, co zrobił. Obwinał się, że swoim postępowaniem zranił tak wiele osób. Z drugiej strony jego smutek i przygnębienie wynikały z uczucia, którego nie potrafił i chyba też wcale nie chciał ukrywać. Tęsknił za synem.

Michele nie miała mu już za złe, że tak wyraźnie to okazywał. Niewidzialna nić zrozumienia, która niespodziewanie pojawiła się między nią a chłopcem w przededniu jego wyjazdu, gdy tak szczerze ze sobą porozmawiali, zdołała nawet wzbudzić w niej pewną empatię. Zresztą dziewczynki też nie mogły przeboleć wyjazdu Maxa.

- On był taki zabawny, mamó - oznajmiła w niedzielę wieczorem Susan, mówiąc tęsknym tonem. - Nikt inny tak się nie wspinał ze mną na drzewo przed domem. Tylko Max. Nie mógłby do nas znowu przyjechać, proszę?

Elizabeth okazała się bardziej przenikliwym obserwatorem:

- Tato chyba za nim tęskni, nie sądzisz?

- Na pewno, kochanie. To normalne. Max spędził u nas dwa tygodnie.

- Wydaje mi się, że Max chciałby u nas zostać dłużej niż dwa tygodnie.

- Może masz rację, ale chłopiec musiał wracać na Hawaje. Udało się znaleźć bezdzietne małżeństwo, które chce go adoptować.

- Wiem - odparła Elizabeth, gapiąc się przez okno na usłane gdzieniegdzie chmurami niebo. - Tato mi mówił. Ale bezdzietna para to nie jest to samo, co rodzina taka jak my.

Czasami Michele miała ochotę stanąć na środku kuchni i krzyknąć na cały głos: „Dajcie już z tym spokój!”. Max nie był częścią ich rodziny. Niech się nim zajmie ta para z Honolulu. Pora o wszystkim zapomnieć i zająć się własnym życiem.

Bywały chwile, że zastanawiała się, co powiedziałyby dziewczyny, gdyby знаły prawdę. Gdyby dowiedziały się, że Max w rzeczywistości jest synem ich tatusia, że ich tatuś zdradził ją z inną kobietą, choć przysięgał, że nigdy tego nie zrobi. Czy nadal tak bardzo lubiłyby chłopca?

Czasem przechodziło jej przez myśl, że może powinni jeszcze raz zadzwonić do Ogle'a i powiedzieć mu, że

zmienili zdanie, że jednak chcą Maxa. Ale myśli takie zniknęły równie szybko, jak się pojawiały. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, była o wiele bardziej skomplikowana. Jeszcze długo po tym, jak wybaczyłaby Connorowi jego zdradę, Max pozostawałby dla niej bolesną pamiątką z przeszłości.

A co ze szkolnymi koleżankami i kolegami ich córek, albo z ich rodzicami i znajomymi z kościoła? „Poznajcie się. To jest Max, syn Connora. Tak... dopiero niedawno dowiedzieliśmy się o jego istnieniu.

Zgadza się, Connor miał przelotny romans, ale potem nie utrzymywał już kontaktów z tą kobietą. Mmmm, hmmm, wcześniej nic nie wiedzieliśmy o chłopcu". Na samą myśl o tym, Michele robiło się niedobrze.

Oczywiście byłoby zupełnie inaczej, gdyby Max nie miał nikogo, gdyby nie udało się znaleźć chętnych do adopcji. Ale to małżeństwo na Hawajach wydawało się idealnym rozwiązaniem problemu. Co z tego, że prowadzili pensjonat i chcieli, aby Max pomagał im w codziennych obowiązkach? Odrobina pracy jeszcze nikomu nie zaszkodziła, a zresztą na pewno okażą mu wiele miłości i ciepła.

Do wtorku Connor był w trasie, wliczając w to nocleg w Atlancie, i miał wrócić dopiero w środę po południu. Zaraz potem, we czwartek, znowu wylatywał i wracał w niedzielę późnym popołudniem. Sam poprosił o te dodatkowe godziny, żeby odpracować wolne, które wziął sobie w związku z wizytą chłopca.

Korzystając z tego, że Connor był w pracy, a dziewczyny w szkole, Michele postanowiła posprzątać w domu, a przy okazji znaleźć chwilę na modlitwę. Czuli się bezradna wobec zaistniałej sytuacji i chciała o tym porozmawiać z Bogiem. Zaczęła od łazienki dzieci i, idąc po kolei, dotarła do pokoju gościnnego, w którym sypiał Max. Pościel zmieniała już wcześniej, teraz pozostało tylko poście- rać kurze z parapetów i mebli.

Miała właśnie zabrać się za odkurzanie stolika nocnego - tego, na którym Max trzymał swoją Biblię - gdy nagle coś zauważyła na podłodze.

Pod stolikiem leżała mała biała koperta. Jak to się stało, że nie widziała jej wcześniej, gdy zmieniała pościel? Schyliła się, podniosła ją i podeszła do okna, by lepiej jej się przyjrzeć. Trzy odręcznie napisane na kopercie słowa sprawiły, że serce podskoczyło jej do gardła. „Dla pani Evans”.

Michele powoli usiadła na łóżku. Od kogo mógł być ten list? Chyba nie... z pewnością nie od matki Maxa? Wetknęła paznokciec pod zaklejone skrzydełko koperty i ostrożnie ją rozdarła. W środku była zgięta na pół pojedyncza kartka papieru. Rozłożyła ją i zaczęła czytać:

Szanowna Pani!

Ponieważ się nie znamy, na wstępie chciałabym się przedstawić. Nazywam się Ramey Aialea i jestem opiekunką Maxa. Zajmowałam się nim właściwie od jego narodzin. Kiedy jego mama, Kiahna, musiała iść do pracy, chłopiec zostawał u mnie.

Przez te wszystkie lata nie byłam osobą jakoś szczególnie wierzącą. Szczerze mówiąc, nie wierzyłam w Boga. Jednak teraz, gdy patrzę na Maxa i myślę o tych miesiącach i latach, które jeszcze są przed nim, chcę wierzyć. Chcę wierzyć całym sercem.

Marv Ogle powiedział mi, że jesteście wierzącymi chrześcijanami, tak samo jak Kiahna. Czytałam pamiętnik, który po sobie pozostawiła, mając nadzieję, że pozwoli mi to lepiej zrozumieć sytuację Maxa. To, co w nim znalazłam, zrodziło we mnie wiarę na tyle silną, że zaczęłam prosić Boga o cud przebaczenia dla Maxa.

Nie jestem wykształcona, ale wiem, że potrzebny będzie cud przebaczenia, by życie potoczyło się tak, jak

chciałaby tego Kiahna i - śmiem twierdzić - sam Pan Bóg.

Piszę ten list, ponieważ spełnienie tej woli w największym stopniu zależy od Pani i może być dla Pani bardzo trudne. Prawdopodobnie nie wiedziała Pani o związku Connora i Kiahny. Jeśli tak było, jestem pewna, że nie zechce Pani Maxa, nie od razu. Przypominałby o tym, o czym chce Pani zapomnieć.

Michele opuściła rękę, w której trzymała list. Drugą chwyciła brzeg łóżka i zamknęła oczy, by powstrzymać cisnące się do nich łzy. Tak... ta kobieta bezbłędnie odgadła, co działo się w jej sercu. Gdy na powrót otworzyła oczy, by odnaleźć miejsce, w którym przerwała czytanie, odczuwała ogromny ciężar przytłaczający jej duszę.

Jednak w należącej do Maxa Biblii znalazłam coś, co może Pani pomóc. To fragment Pierwszego Listu św. Jana. Brzmi on następująco: „Po tym poznaliśmy miłość, że On oddał za nas życie swoje. My także winniśmy oddać życie za braci”.

Nie wiem, czy te słowa pomogą Pani podjąć decyzję, ale mogę powiedzieć jedno. Przez ostatnich siedem lat Max był najjaśniejszym promyczkiem w moim życiu. Jestem już stara i moje serce już długo nie wytrzyma, ale bardzo pragnę, by Max znalazł rodzinę, która doceni skarb, który trafił w ich ręce. Tak, Max jest skarbem. Modłę się, by mogła się Pani o tym sama przekonać.

Gdyby miała Pani jakieś pytania, proszę do mnie zadzwonić. Jeszcze raz... przepraszam, jeżeli sprawiłam Pani ból, ale Max potrzebuje domu. Zrobiłabym wszystko, żeby go znalazł.

Z poważaniem

Ramey Aialea

Na dole kartki znajdował się numer telefonu.

Michele głośno westchnęła. Dłonie trzęsły jej się tak bardzo, że omal nie upuściła listu na podłogę. „Boże drogi... dlaczego? Dlaczego teraz to znalazłam? Czego ode mnie chcesz?”.

„Córko... zatrzymaj się i we Mnie uznaj Boga. Twoje drogi nie są moimi drogami”. Słowa te - zapamiętane wiele lat temu podczas lektury Pisma Świętego - były dla jej duszy niczym kojący balsam. Powracały do niej echem, dopóki drżenie rąk nie ustało.

Gdy już się uspokoiła, przeczytała list od opiekunki Maxa jeszcze raz. Wzmianka o Biblii należącej do chłopca i cytat z Pierwszego Listu św. Jana przebiły się przez pancierz jej dotychczasowych przekonań niczym ostrze miecza.

Czy kiedykolwiek oddałaby za kogoś swoje życie? Za córki, tak, oczywiście w przerośni. Jednak poświęcanie siebie dla dobra własnych dzieci wynikało z definicji rodzicielstwa. Michele czuła, że nie o to chodziło w wersecie z Pisma Świętego. Przecież Jezus oddał życie za ludzi, którzy z niego szydzili i pluli mu w twarz, za ludzi okrutnych, zawziętych i niezna- jących przebaczenia. Za ludzi takich jak ona.

Łzy napływające coraz obficie do jej oczu powodowały, że co chwilę musiała mrugać powiekami, by móc czytać. W ciągu ostatnich kilku tygodni rzadko zdarzało jej się płakać, a jeżeli już, to użalała się wyłącznie nad sobą. Nawet w noc przed wyjazdem Maxa jej smutek i łzy wynikały z egoizmu i wiązały się z koniecznością podjęcia trudnej decyzji.

Tym razem jednak ból i smutek przeszywające jej serce były skutkiem zesłanych przez Boga wyrzutów sumienia. Nie, nigdy nie oddała za nikogo swojego życia. Teraz to Connor był gotowy oddać życie w ręce Boga i posłusznie wypełnić Jego wolę. Jeśli oznaczało to przyjęcie Maxa pod swój dach, przyjąłby go bez

wahania. Jeśli powinien pozwolić mu odejść, zrobiłby to.

Nawet dziewczynki zdawały się lepiej od niej rozumieć Pismo Święte. Owszem, tuż po przyjeździe Maxa były trochę zdezorientowane, ale szybko przezwyciężyły swoje obawy i początkową nieufność i pokochały go takim, jakim był.

„Twoje drogi nie są moimi drogami... Jak mam to rozumieć, Boże? Czy to znaczy... czy to znaczy, że Max nie miał zostać odesłany?“. Michele pociągnęła nosem i włożyła list z powrotem do koperty. Następnie ukryła twarz w dłoniach i gorzko zapłakała, uświadomiwszy sobie, jak bardzo się myliła, jak bardzo była ślepa, jak bardzo samolubna.

Słowa Ramey towarzyszyły jej przez cały dzień. Nie chcąc, by córki czegoś się domyśliły, umyła twarz i ponownie nałożyła makijaż. W jej duszy zakiełkowała decyzja, którą powinna była podjąć o wiele wcześniej. Musiała tylko zadzwonić do kilku osób.

W czwartek rano, tuż po tym, jak Connor pojechał na lotnisko, wiedząc, że nie będzie go przez cztery dni, Michele zawołała dziewczyny do salonu, usadziła je na kanapie i wyjaśniła, że musi pilnie jechać na Hawaje i nie wie, jak długo jej nie będzie. Za pół godziny miała przyjść Renee, której powierzyła opiekę nad córkami.

- Będziesz widzieć się z Maxem? - klasnęła w dłonie Susan. - Powiedz mu, że za nim tęsknimy!

- Ale wróć szybko, dobrze? - wtrąciła jak zwykle poważna Elizabeth, przygryzając wargę. - Nie lubię, gdy wyjeżdżasz.

Uznawszy, że nadeszła odpowiednia chwila, Michele wzięła głęboki oddech. „Boże, proszę Cię... Podsuń mi właściwe słowa“.

- A teraz najważniejsze, więc słuchajcie uważnie, dziewczyny. Chodzi o Maxa...

\* \* \*

Ramey nie była pewna, ale to właśnie mógł być cud, o który tak bardzo się modliła. Lada chwila miała zjawić się w jej mieszkaniu Michele Evans, jej samolot lądował tuż po czternastej. Miała nadzieję, że uda im się porozmawiać, zanim Max wróci ze szkoły.

Ramey czekała na nią, siedząc w fotelu i rozmyślając nad ostatnimi wydarzeniami. Wczoraj po południu niespodziewanie zadzwoniła do niej Michele Evans, twierdząc, że dopiero teraz przeczytała jej list. Znalazła go przypadkiem, gdy sprzątała pokój Maxa.

- Chciałabym z panią porozmawiać o oddawaniu życia - oznajmiła. - Czy mogę przyjść do pani jutro?

- Tak - odparła Ramey, czując, że podłoga usuwa jej się spod stóp. Musiała uszczypnąć się w kolano, żeby przekonać się, że to nie sen. Z drugiej strony nie chciała okłamywać swojej rozmówczynie.

- Ale, droga pani Evans, postępowanie adopcyjne jest już w toku. Nie jestem pewna, czy to coś zmieni.

- Pan Bóg o wszystkim zadecyduje - głos w słuchawce był silny i zdecydowany. - Chciał, żebym tu przyjechała, więc tak zrobiłam. Pragnę dowiedzieć się czegoś więcej o Kiahnie, zobaczyć ją na zdjęciach z Maxem. Chcę przekonać się, co chłopiec stracił.

Ramey nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić, niemniej jednak zaprosiła panią Evans do siebie. Teraz, gdy do umówionej godziny pozostało zaledwie parę minut, Ramey postanowiła poświęcić je na modlitwę.

„Może jednak słyszysz mnie tam, na górze. Musisz bardzo kochać Maxa, bo nigdy nie byłam dobra w pisaniu listów, a ta kobieta mówi, że przyjechała tu pod wpływem mojego listu. - Pokręciła z niedowierzaniem



głową. - Panie Boże, nie mam pojęcia, co zamierzasz, ale chcę to zobaczyć z pierwszego rzędu".

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi. Pośpiesznie powiedziała Panu Bogu „do widzenia”, ale zaraz zmieniła zdanie i poprosiła Go, by czuwał przy niej cały czas. Ciężko sapiąc, podeszła do drzwi, otworzyła je i ujrzała kobietę, którą do tej pory znała tylko ze słyszenia. Przez dłuższą chwilę stały naprzeciwko siebie w milczeniu, po czym spontanicznie padły sobie w ramiona.

- Dziękuję ci, Ramey. Dziękuję za to, że otworzyłaś mi oczy!

- Ja tylko... - Ramey pierwsza uwolniła się z uścisku, ukradkiem ocierając kręcącą się w oku łzę. - Naprawdę nie ma o czym mówić.

- To ja jestem Michele Evans - przedstawiła się kobieta, wchodząc do przedpokoju. - Gdyby nie pani, nie byłoby mnie tu teraz. To było straszne. Zupełnie się pogubiłam.

Przytruchtał do nich Buddy z wywieszonym z powodu gorąca jęzorem. Przysiadł na tylnych łapach i przyglądał się im z zaciekawieniem.

- To jest Buddy - wyjaśniła Ramey.

Pani Evans podeszła do psa i delikatnie podrapała go za uchem.

- Wygląda na sympatycznego pieska.

- Max dałby się za niego pokroić - powiedziała Ramey, starając się jednocześnie wyczytać coś z twarzy swojej rozmówczyni. - Dlaczego nie przyszła pani z mężem?

Michele Evans zrzędała mina.

- On nie wie, że tu jestem.

W duszy Ramey włączył się dzwonek alarmowy.

- Czyli nie może pani nic zrobić w sprawie...

- Mój mąż już dawno podjął decyzję, jeśli chodzi o Maxa - przerwała jej Michele. - Dziś rano rozmawiałam o tym z naszymi córkami i też jesteśmy w tej kwestii jednomyślnie.

Rozmawiały o tym jeszcze chwilę, po czym Michele zapytała, czy mogłaby zobaczyć zdjęcia Kiahny i Maxa. Ramey ruchem głowy wskazała na regał z książkami.

- Tam, na dolnej półce znajdzie pani albumy ze zdjęciami. Kiedyś należały do Kiahny. W jednym z nich znajdują się jej fotografie z dzieciństwa. Zdjęcia z Maxem są w tym żółtym, z motylem na okładce.

Michele sięgnęła po żółty album i, trzymając go w wyciągniętej dłoni, zapytała:

- Mogę?

- Proszę bardzo - odparła Ramey i przesunęła się na kanapie, robiąc miejsce dla swojego gościa. - Na niektórych są razem - dodała mimochodem.

Michele ostrożnie otworzyła album i zaczęła powoli przewracać kolejne strony.

- Była bardzo ładna. - Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w zdjęcie Kiahny trzymającej na ręku malutkiego Maxa. - Mniej więcej tak ją sobie wyobrażałam.

- Tak... mogłaby mieć każdego faceta na wyspie - Ramey puknęła palcem w fotografię. - Ale jej nie interesowały takie rzeczy. Nigdy.

Michele spojrzała na nią pytająco.

- Myślałam... Sądziłam, że spotykała się z wieloma mężczyznami.

Ramey w pierwszym odruchu chciała w zdecydowany sposób stanąć w obronie Kiahny, ale powstrzymała się. Nie było winą tej kobiety, że niczego nie rozumiała. Wiedziała jedynie, że Connor zdradził ją z Kiahną.

- Więc nic pani nie wie? Nie wie pani, jak doszło do jej spotkania z pani mężem?

Pani Evans nieco pobladła.

- Nie, ja... Nigdy o to nie pytałam. Nigdy wcześniej.

- Kiahna była wyjątkową dziewczyną, pani Evans. Gdy poznała pani męża, miała dwadzieścia jeden lat i nigdy wcześniej nie była z mężczyzną - Ramey zaczęła opowiadać, kątem okaz zerkając na zdjęcia w albumie.

Opowiedziała Michele o wszystkim, dzieląc się z nią szczegółami, o których sama dowiedziała się dopiero z pamiętnika Kiahny. Opowiedziała o tym, jak Connor i Kiahna spotkali się na lotnisku i o zaufaniu, które w niej wzbudził, o burzy, odwołanych lotach i braku wolnych miejsc w hotelach na wyspie. Wreszcie o tym, że Kiahna zaoferowała Connorowi nocleg u siebie ze zwykłej grzeczności.

- Tego właśnie nie rozumiem - przerwała jej Michele, a w jej oczach malowały się ból i udręka. - Musiała wiedzieć, w co się pakuje.

- Rzeczywiście, można tak sobie pomyśleć - Ramey pokiwała głową w zadumie. - Ale z jej pamiętników wyłania się zupełnie inny obraz ich krótkotrwałego związku. Czula się samotna, niedawno straciła rodziców i nagle spotkała na swej drodze Connora, tak jak ona chrześcijanina, który wydał jej się człowiekiem głęboko wierzącym i oddanym Bogu. - Ramey zawahała się. W dodatku powiedział jej, że mieszka sam.

- Sam?

- Tak - Ramey uniosła brew. - Owszem, przyznał się, że jest żonaty, ale nie omieszkał dodać, że jego żona mieszka na Florydzie, podczas gdy on zmuszony jest mieszkać w Los Angeles. Powinna pani wiedzieć jeszcze coś. - Ramey nachyliła się ku Michele i ściszyła głos. - Nie miał na palcu obrączki.

- O Boże! - wyrwało się Michele. Zwilżyła językiem dolną wargę i gwałtownie odchyliła się do tyłu, z całej siły zaciskając dłoń na poręczu kanapy, aż zbieleły jej palce.

„Biedna kobieta”. Ramey, widząc, co się dzieje, postanowiła chwilę odczekać. Najwyraźniej Connor Evans nigdy nie ujawnił żonie żadnych szczegółów. Jej twarz była równie blada jak jej palce. Zniknęły z niej gniew i uraza, ustępując miejsca rozpaczy przeradzającej się w odrętwienie. Bez wątpienia Michele Evans była w szoku.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Michele kręciło się w głowie. Do tej pory całą winę za to, co się stało, zrzucała na Kiahnę. Ale po tym, co przed momentem usłyszała... Connor nie miał obrączki? Mówił tej dziewczynie, że mieszka sam? Michele miała wrażenie, że tam, gdzie wcześniej było jej serce, ziała teraz pustka. Czyżby o tym właśnie chciał jej powiedzieć przed przyjazdem Maxa lub wtedy, gdy wróciła z Kalifornii? Faktycznie, kilkakrotnie mówił, że to była wyłącznie jego wina, ale dopiero teraz skrywana wcześniej prawda wyszła na jaw.

Michele rozglądała się dookoła, rozpaczliwie próbując znaleźć sposób, by powstrzymać wirowanie ścian. W końcu przestała kurczowo ścisnąć poręcz kanapy i przymknęła na chwilę oczy. Nadal chciała złożyć swe życie w rękach Stwórcy, ale nie spodziewała się, że będzie to tak bolesne.

Gdy ponownie otwierała oczy, spojrzała na Ramey.

- Kiahna rzeczywiście nie miała pojęcia, że Connor nadal jest żonaty?

- Zorientowała się, kiedy było już za późno - Ramey zawahała się. - Proszę pani, Kiahna chciała zostać lekarką. Nie chciała zakochać się, wyjść za mąż i mieć dzieci przed skończeniem studiów medycznych.

- Gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, dlaczego... dlaczego nie powiedziała o tym Connorowi?

- Wiedziała już, że ma żonę. Zresztą nie zamierzał się z nią więcej widywać. Tyle zdążył jej powiedzieć, zanim wyjechał z wyspy. Dlaczego miałaby mu mówić o dziecku?

- Nigdy mu nie powiedziała?

- Nigdy - odparła Ramey, nie odrywając oczu od albumu z fotografiami. - Po urodzeniu Maxa, miała czas już tylko dla swojego synka i dla Pana Boga.

Michele w głębi duszy zaczynała wszystko rozumieć. Biedna dziewczyna! Sama, w ciąży, zmuszona porzucić marzenia o studiach medycznych. Tak, po powrocie z biwaku Connor powiedział jej prawdę. Ten romans, ta koszmarna sytuacja, to tylko i wyłącznie jego wina.

Teraz mogła Connorowi przebaczyć albo kazać jemu i Maxowi - a właściwie całej rodzinie - płacić przez resztę życia za jego grzechy. Mogła poświęcić swoje życie w imię miłości lub trzymać się go kurczowo, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że do końca swych dni towarzyszyć jej będą ból i rozgoryczenie. Michele wydała z siebie ciche westchnienie. Powzięła już decyzję. Nie przyleciała do Honolulu po to, by się teraz wycofać.

Przypomniała sobie rozmowę z córkami. Przyjęły jej postanowienie o wiele łatwiej, niż można się było spodziewać, i słuchały jej wyjaśnień z wyraźnym zrozumieniem.

- Pamiętajcie, jak Max chciał odnaleźć swojego tatusia - tego, o którym mówił, że na pewno gdzieś tam na niego czeka?

- Tak - Elizabeth i Susan spojrzały na siebie zdziwione, po czym przeniosły wzrok na nią w oczekiwaniu.

- Cóż, dowiedzieliśmy się czegoś w tej sprawie. Okazało się, że wasz tato jest też tatą Maxa.

Reakcja Susan był natychmiastowa.

- Naprawdę? Wspaniała wiadomość, mamó! To znaczy, że Max tu wróci i będzie naszym bratem, prawda?

W odróżnieniu od siostry Elizabeth zafrasowała się nieco.

- Więc tato jednak kochał mamę Maxa?

Michele postanowiła być z nią szczerą.

- Tak. Przez krótki czas.

Wyglądało na to, że jej córki nie potrzebowały żadnych dodatkowych wyjaśnień. Cokolwiek zaszło kiedyś między mamą Maxa a ich ojcem, szczegóły nie miały znaczenia. Ich tato zawsze był ich tatą i wiadomo było, że zawsze nim będzie. Jeśli oznaczało to, że Max jest teraz ich bratem, to tym lepiej.

- Czy on z nami zamieszka? - spytała Elizabeth, a na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Chyba powinien, co mamó? Skoro jest naszym bratem, a tato jest jego tatusiem.

Dziewczynki kierowały się dziecięcą miłością, która wita wszystko z otwartymi ramionami, nie bacząc na okoliczności.

- Chciałabym, żeby tak było. Ale obie musicie się o to pomodlić, dobrze?

Zapewniły ją, że będą się modlić, i na tym stanęło. Koniec dyskusji. Prawda, której ujawnienia tak bardzo

obawiali się z Connorem przed przyjazdem Maxa, została wyjawiona i zaakceptowana tak szybko, jakby chodziło o ustalenie, co ma być na kolację.

Wspomnienie uleciało, a Michele przewracała kolejne strony albumu, zatrzymując się nieco dłużej przy niektórych zdjęciach. Na jednej z ostatnich stron zobaczyła fotografię przedstawiającą Maxa i Kiahnę trzymających się za ręce i spacerujących po plaży. Obok nich biegł Buddy. Zdjęcie musiało zostać zrobione niedługo przed jej śmiercią. Max miał lekko zarumienione po spacerze policzki, a wiatr rozwiewał mu włosy. Kiahna, ubrana w szorty i podkoszulek, uśmiechała się tak, jakby chciała powiedzieć całemu światu, że bardzo kocha swojego synka.

Max był dla Kiahny wszystkim. Popelniła jeden błąd i płaciła za to całym życiem, zbliżając się do Boga, ucząc Maxa wiary i poświęcając mu możliwie jak najwięcej czasu.

Przeniósłszy wzrok na Maxa, Michele dostrzegła w jego oczach mieszankę ufności i wiary - chłopięce przekonanie, że świat jego dzieciństwa zawsze będzie szczęśliwy. Biegący przy nim Buddy również sprawiał wrażenie zadowolonego z życia. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Max bardzo kochał czworonożnego przyjaciela. Trzymał go delikatnie za obrożę, a pies wiernie patrzył na swego pana.

Michele długo wpatrywała się w postać chłopca znajdującego się wśród tych, których kochał najbardziej. Niestety, tragiczny wypadek wszystko zmienił.

Na samo wspomnienie o tym, jak potraktowała Maxa, gdy był u nich w domu, Michele miała ochotę zapaść się pod ziemię. Gdyby tylko wiedziała o tym wcześniej... Wysiłkiem woli przezwyciężyła ogarniające ją emocje. Nie było teraz na to czasu. Tyle jeszcze pozostało do zrobienia.

- No cóż, będzie mi potrzebna pani pomoc - Michele zamknęła album i spojrzała pytająco na Ramey. - Proszę mi powiedzieć coś więcej o tym małżeństwie, które chce zaadoptować Maxa.

- Są nawet dość sympatyczni - Ramey odchrząknęła i wykonała dłonią nieokreślony gest. - Niestety, ta pani Moller ma uczulenie na psią sierść.

- Nie życzą sobie Buddy'ego?

Nieodgadnione ścieżki Pana stały się jakby nieco bardziej zrozumiałe.

Ramey pokręciła przecząco głową.

- Jej mąż oświadczył, że pies nie wchodzi w rachubę. - Oddech kobiety stał się płytki i musiała na moment przerwać. - Myślałam, że po tym, jak Max wybiegł z pokoju, zmienią zdanie i może zgodzą się trzymać psa w budzie przy domu.

- Ale zdania nie zmienili?

- Nie. Uważają, że z czasem Max się przyzwyczai, zapomni i tak dalej.

Michele rzuciła okiem na wiszący na ścianie zegar. Zgodnie z tym, co wcześniej mówiła Ramey, Max lada chwila powinien wrócić ze szkoły.

- Droga Ramey, czy może pani coś dla mnie zrobić?

- Jeśli tylko mogę w czymś pomóc... - odparła Ramey, powstrzymując atak kaszlu.

- Chciałabym, żeby zadzwoniła pani do pana Ogle'a i zapytała go, czy możemy uciec się do czegoś drastycznego.

Starsza pani obrzuciła Michele zdumionym spojrzeniem i powtórzyła z niedowierzaniem: - Drastycznego?

- Tak. Chcę, żeby powstrzymał tę adopcję.

\* \* \*

Max wracał do domu razem z Jerrym, który mieszkał po drugiej stronie ulicy. Ramey czuła się coraz gorzej i coraz rzadziej wychodziła po niego na przystanek, ale nie miał o to do niej pretensji, zwłaszcza w taki upał. Dopóki czekała na niego w domu razem z Buddym, mógł maszerować na piechotę choćby i sto mil.

Szedł niedbałym krokiem, gapiąc się na płyty chodnikowe. Nie miał ochoty rozglądać się dookoła po tym, co usłyszał od Ramey.

Powiedziała mu, że lada dzień pan Ogle dogra wszystkie szczegóły związane z adopcją, a to oznaczało, że już wkrótce będzie musiał się spakować i przeprowadzić do nowego domu. Nie omieszkał powiedzieć Ramey, że to nie w porządku, ale jego zdanie się nie liczyło.

Poprzedniego wieczora pan Ogle wpadł do nich na chwilę i nawet przeproszał za to, że państwo Mollerowie nie chcą Buddy'ego.

- Bardzo cię polubili, Max. Rozmawiałem też z ich krewnymi i przyjaciółmi. Zobaczysz, jeszcze ich pokochasz.

Max i tak wiedział swoje, jeżeli nie zechcą wziąć Buddy'ego, z pewnością ich nie pokocha. Poza tym za bardzo będzie tęsknić za innymi bliskimi jego sercu osobami. Za swoją mamusią i Ramey, no i rodziną pana Evansa.

W zamyśleniu przyspieszył kroku i dotarł do domu szybciej niż zwykle, już unosił rękę, by zapukać, gdy zauważył, że drzwi wejściowe były nieznacznie uchylone.

Wzruszył tylko ramionami. Pewnie Ramey zostawiła je otwarte, żeby nie musieć wstawać z fotela. Z każdym dniem przychodziło jej to z coraz większym trudem i coraz częściej martwił się z tego powodu.

Popchnął lekko drzwi, żeby nie narobić hałasu, i miał właśnie obwieścić swoje przybycie, gdy usłyszał dobiegające z głębi mieszkania głosy. Strach złapał go za gardło i poczuł, że ręce zaczynają mu drżeć. A jeśli to byli państwo Mollerowie? Czyżby już przyjechali po niego?

Cichutko wszedł do przedpokoju i zobaczył Buddy'ego.

- Ciiii - położył palec na ustach, dając psu do zrozumienia, żeby nie szczekał. Pocziwy Buddy przydreptał do niego, polizał go po palcach i posłusznie położył się na podłodze u jego stóp. Dopiero teraz Max mógł usłyszeć szczegóły rozmowy.

- Zadzwoiłam do adwokata, tak jak pani prosiła.

To na pewno mówiła Ramey. Poznał ją po głosie i tym charakterystycznym płytkim oddechu.

- No i... co powiedział?

Max zamarł w miejscu, a serduszko zaczęło mu bić szybciej. Ten drugi głos też brzmiał znajomo. Przez moment wydawało mu się, że to głos pani Evans, ale to niemożliwe, żeby to była ona, bo przecież mieszkała daleko stąd, na Florydzie.

- Natychmiast zadzwonił z drugiego aparatu do Mollerów. - Ramey zawiesiła głos, jakby szykowała jakąś niespodziankę. - Początkowo nie byli zachwyceni, ale potem wyszło na jaw, że tak naprawdę wcale nie chcieli chłopca. Woleliby dziewczynkę, najlepiej trochę starszą.

Kobieta, która mówiła jak pani Evans, wydała z siebie głośnie westchnienie ulgi.

- Och, dzięki Bogu, Ramey! To właśnie mówił mi Bóg przez cały wczorajszy dzień. Wiedziałaś, że muszę tu przylecieć i osobiście przekonać się, czy Max ma zostać z nimi... - Przerwała na moment, starając się opanować drżenie w głosie. - Czy też powinien zostać z nami.

Max poczuł, jak jego serce odzyskuje normalny rytm. Był już pewien, że tą kobietą w sąsiednim pokoju była pani Evans! Nie mogło być inaczej. Nie będąc już w stanie ustać w miejscu, rzucił plecak na podłogę i wpadł jak burza do salonu. To naprawdę była ona.

Pani Evans obróciła się i zobaczyła jego uradowaną buzię.

- Max!

- Sły... słyszałem, o czym rozmawialiście - mówił, nieco zacinając się, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

- Czy tego właśnie chcesz, Max? - pani Evans uklękła na wprost niego, siadając na piętach. - Czy chcesz mieszkać z nami?

- Tak, bardzo tego chcę, bardzo. Tak samo Buddy.

Pani Evans wyciągnęła do niego rękę i powiedziała tylko:

- Chodź do mnie. Max.

Oczy miała pełne łez, ale nie wstydziła się ich. Podbiegł do niej i przytulił się do niej najmocniej, jak potrafił. Gdy po chwili oboje odsunęli się od siebie o krok, on też już niewiele widział przez łzy i musiał ocierać oczy piąstkami.

- Czy mówi pani poważnie? Naprawdę chcecie państwo przyjąć mnie do swojej rodziny?

Z oczu pani Evans łzy płynęły teraz strugami, ale jednocześnie uśmiechała się.

- Tak, Max. Chcemy, żeby tak było już zawsze.

Max nagle przypomniał sobie o czymś. Kawałek skały dla Ramey! Zupełnie o nim zapomniał.

- Zaraz wracam.

Popędził do swojego pokoju i zaczął przekopywać stertę ubrań przygotowanych do prania. Znalazł go. Lśniący czarny kamień z czterema biegnącymi w poprzek białymi paskami.

Ściskając go kurczowo, pobiegł z powrotem do Ramey.

- To dla ciebie - oznajmił otwierając dłoń. - Żebyś o mnie nie zapomniała.

Teraz to Ramey miała wilgotne oczy. Wzięła od niego kamień i, nie mogąc opanować wzruszenia, uściskała Maxa tak mocno, że przez chwilę ledwo mógł złapać oddech. Gdy go puściła, poczochnęła go po włosach i łamiącym się głosem powiedziała:

- Nigdy cię nie zapomnę. Max. Póki żyję.

- Wiesz co, Ramey? - oznajmił chłopiec, wskazując na kamień, który trzymała w ręce. - Tylko Pan Bóg potrafi robić takie skały jak ta.

Ramey posłała mu specjalny uśmiech przeznaczony tylko dla niego.

- Jak zwykle masz rację, Max.

- A więc... - dopytywał się chłopiec, unosząc brwi. - Naprawdę będę mieszkać w domu państwa Evansów?

- Tak - Ramey uśmiechnęła się łagodnie, a z jej oczu spłynęły dwie łzy. - W końcu doczekałeś się swojego cudu.

Michele Evans wyciągnęła dłoń i wzięła go za rękę.

- Chodź, spakujemy twoje rzeczy, dobrze?

W tej samej chwili Maxowi wydało się, że widzi swoją mamę uśmiechającą się do niego w niebie. Uśmiechała się, bo miała rację. Pan Bóg naprawdę dawał każdemu drugą szansę. Wtedy Max zrozumiał, że już więcej nie będzie musiał pełzać po ziemi. Od tej pory, tak jak jego mamusia, będzie latać.

\*\*\*

Ramey doskonale wiedziała, że nadmiar emocji jej nie służy, ale co tam. Ocierając łzy płynące po policzkach, cieszyła się widokiem uradowanego Maxa tonącego w ramionach pani Evans. We dwoje uosabiali to, w co tak mocno wierzyła Kiahna.

Miłość polega na umiejętności przebaczenia.

Co z tego, że serce kłuło ją nieco mocniej. Czyż nie taki właśnie skutek uboczny od czasu do czasu niesie ze sobą miłość? Zresztą nie zwracała na to uwagi, ponieważ zbyt zajęta była dziękowaniem Bogu za to, że czuwał nad nimi tego popołudnia. Dziękowała mu za to, że uczynił dokładnie to, o co go prosiła, a może raczej należałoby powiedzieć - to, czego się domagała. Zesłał na nich cud przebaczenia.

Nawet jeśli miałyby żyć jeszcze tylko tydzień lub dwa, wiedziała już, że odejdzie z tego świata szczęśliwa. Bo dobry Bóg dał jej miejsce w pierwszym rzędzie, by mogła to wszystko zobaczyć z bliska.

## ROZDZIAŁ XXXIV

W sobotnie popołudnie, tuż po czwartej, Connor wjechał na podjazd przy domu z mocnym postanowieniem, że już więcej nie da się namówić na taki maraton.

Pomimo napiętej atmosfery ostatnich tygodni, nie cierpiał być poza domem dłużej niż jeden, góra dwa dni. Poza tym, skoro miał ułożyć sobie życie z Michele - a był na to zdecydowany - musiał teraz spędzać z nią jak najwięcej czasu.

Za pomocą pilota otworzył bramę garażu i zaparkował swojego pick-upa obok minivana Michele. Odczuwał większe niż zazwyczaj zmęczenie, którego nie dawało się wytłumaczyć wyłącznie czasem spędzonym za sterami w ciągu ostatnich trzech dni. Dobrze wiedział, co było prawdziwym tego powodem. Chodziło o Maxa.

Tęsknota za chłopcem powodowała niemal fizyczny ból. Zastanawiał się nawet, czy tego po nim nie widać, bo czasem miał wrażenie, że przytłoczony ciężarem rozłęki ślania się na nogach. Wciąż miał przed oczami te chwile nad jeziorem, gdy uczył Maxa łowić ryby i gdy na wędce chłopca usiadł przepiękny motyl.

Wciąż wracał pamięcią do tego wieczoru, gdy siedzieli razem w fotelu i Max usnął z głową wtuloną w jego ramię... nie mówiąc już o pożegnaniu na lotnisku.

Codziennie po kilkadziesiąt razy odtwarzał te sceny w swoim umyśle i choć modlił się o uwolnienie od cierpień, nic nie było w stanie zatrzeć jego wspomnień. Mógł jedynie mieć nadzieję, że czas naprawdę leczy rany. A może był skazany na przeżywanie tego przez resztę swoich dni? Czyżby tak właśnie miała wyglądać kara za błędy z przeszłości?

Wyłączył silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki i wysiadł z samochodu. Torba z jego rzeczami została na tylnym siedzeniu, ale postanowił przyjść po nią później. Teraz chciał jak najszybciej zobaczyć się z Michele i córkami i

podziękować Bogu za to, że zechciał zostawić mu przynajmniej tych, których zdradził. Kochał swoje dziewczyny chyba bardziej niż dawniej, w szczególności Michele, za to, że wciąż przy nim trwała, choć na to nie zasługiwał.

Rozglądając się wokół, stwierdził, że garaż jest zagracony. Postanowił, że zajmie się tym rano. Niewątpliwie trzeba też było skosić trawę w ogrodzie. Miał przed sobą dwa dni wolnego, więc na pewno i na to znajdzie się czas. Gdy przeciskał się między samochodami, znowu dopadły go myśli o Maksie.

Co teraz robił? Czy zamieszkał już z tą rodziną zastępczą i zaczął ich bliżej poznawać? Czy wspominał czasem te dwa tygodnie spędzone na Florydzie i to, jak chciał, aby Connor był jego „niby-tatą”? A może dusił w sobie złość z powodu odrzucenia i zdrady doznanych od ludzi, którym zaufał i którzy mogli odmienić jego życie na lepsze.

Connor wydał z siebie głębokie westchnienie, które zdawało się pochodzić z najdalszych zakamarków jego duszy. Myśli o Maksie musiały poczekać. Pragnął teraz zobaczyć się z żoną i dziewczynkami, poczuć ich bliskość i upewnić się, że po tym wszystkim nadal go kochają.

Z ogrodu dobiegły go jakieś głosy, zdaje się że dziewczynek i chyba też Michele. Normalnie poszedłby do ogrodu przez dom, ale ponieważ nie było go tak długo, wpadł na pomysł, że sprawi im niespodziankę i wyjdzie do nich przez tylne drzwi garażu.

Drzwi zaskrzypiały - kolejna rzecz do zrobienia. Otworzył je na oścież i wyszedł na trawnik. Przylegający do ściany domu komin zasłaniał mu część ogrodu po lewej stronie. Zamierzał właśnie wychylić się zza niego i zaskoczyć dziewczyny, gdy nagle zza rogu wypadł żółty labrador.

Zanim Connor zdążył zareagować, pies podbiegł do niego, merdając ogonem, i polizał go po ręce. Connor zmarszczył brwi i uważnie przyglądał się przyjaźnie nastawionemu zwierzęciu. Co u licha? Dziewczyny przygarnęły jakiegoś przybłędę? Chyba tak, chociaż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdzieś już tego psa widział. Może należał do kogoś z sąsiedztwa albo przyprowadzili go już kiedyś do nich znajomi.

Nagle coś go tknęło. Labrador wyglądał zupełnie tak jak Buddy, najlepszy przyjaciel Maxa. Ten, którego widział na zdjęciu i za którym Max tak bardzo tęsknił podczas pobytu u nich. Oparłszy się o podmurówkę komina, Connor usiłował zebrać myśli.

Nie, to nie mógł być pies Maxa. Dlaczego w ogóle przyszło mu to do głowy? Pewnie ze zmęczenia wszystko już mu się plątało.

- Chodź no tu. Zobaczymy, czy masz obrozę.

Connor wyciągnął rękę i pogłaskał psa. Następnie ostrożnie wsunął palce pod zawiązaną wokół jego szyi niebieską apaszkę i stwierdził, że pod spodem pies ma obrozę. Była też przywieszka. Odwrócił ją, by zobaczyć, czy jest na niej coś napisane.

Było tam tylko jedno słowo: „Buddy”.

- Buddy... - gdy wypowiedział głośno to imię, serce zabiło mu gwałtowniej i poczuł nagły przypływ adrenaliny. W tej samej chwili usłyszał za plecami jakiś szelest.

- Niespodzianka! - krzyknęło chórem kilka głosów.

Elizabeth, Susan... i Max z otwartymi ramionami biegli mu na powitanie. Nieco z tyłu szedł jego ojciec, a tuż za nim Michele. Loren postarzał się, posiwiał jeszcze bardziej, ale widząc go tu i teraz, Connor miał



wrażenie, że te osiem lat, przez które nie widzieli się ani razu, trwało ledwie parę chwil. Na moment powróciło wspomnienie wypadku samochodowego, którego był świadkiem. A gdyby tym człowiekiem za kierownicą był jego ojciec... „Boże... Dziękuję Ci za to, że dałeś nam tę drugą szansę. Dziękuję Ci”.

- Tato... - powiedział bezgłośnie. Jego ojciec zatrzymał się w odległości kilku metrów i skinął głową, wskazując na pozostałych i dając Connorowi do zrozumienia, że ich sprawa może poczekać.

- Tatusiu! Wróciłeś! Zobacz, kto do nas przyjechał! - Susan i Elizabeth dopadły go pierwsze, rzucając mu się na szyję. Connor wykonał pełny obrót z uwieszonymi u szyi córkami ku ich wielkiej ucieście. Kątem oka spojrzął na zamykającą korowód powitalny Michele. Płakała i śmiała się jednocześnie.

- Tak, widziałem - odparł Connor, rozglądając się za Maxem. Chłopiec stał nieco z boku i promieniał szczęściem. Connor wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom. Cała ta scena była zbyt wspaniała, zbyt cudowna, by mogła wydarzyć się w jego ogrodzie. Pochylił się, by mieć twarz na wysokości jego buzi i zawołał go po imieniu:

- Max...

Chłopczyk padł mu w objęcia.

- Wróciłem, proszę pana. już tu zostanę. Pani Evans przyleciała na Hawaje, żeby zabrać mnie i Buddy'ego. Ramey zadzwoniła do pana Ogle'a i powiedziała mu, że nie chcę mieszkać z tymi Mollierami, no i przyjechałem. Czy to nie cud?

Connor odszukał wzrokiem Michele. Kiwnięciem głowy potwierdziła, że wszystko to było prawdą. Chyba jednak nie śnił, bo wyraźnie czuł na karku dłoń Maxa.

- Tak, mój mały. To największy cud, jaki mnie spotkał w życiu. Większego nie mógłbym sobie wyobrazić - powiedział wzruszony i z całych sił przytulił chłopca.

Elizabeth tymczasem puściła się pędem w stronę huśtawek, wołając pozostałych, by do niej dołączyli. Susan i Max nie dali się długo prosić. Connor w pierwszym odruchu chciał pobiec razem z nimi, ale Michele dyskretnym skinieniem dała mu sygnał, by podszedł do ojca. Connor wolnym krokiem ruszył w kierunku Lorena, który pomimo upływu lat wciąż budził respekt swoją sylwetką. Gdy stanęli naprzeciwko siebie, zrobili coś, co wcześniej rzadko im się zdarzało. Uścisnęli się serdecznie.

Loren w ojcowskim geście, za którym Connor zawsze tęsknił, położył dłoń na karku syna i przyciągnął go do siebie, jakby nadal był małym chłopcem. Zanim zdążył się odezwać, Connor wyprostował się i, patrząc mu prosto w oczy, powiedział:

- Przepraszam cię, tato. Nie miałem odwagi ci tego powiedzieć przez telefon, ale naprawdę przepraszam - słowa więzły mu w gardle i był zbyt oszołomiony, by płakać. - To, co się między nami wydarzyło... to była moja wina.

Nigdy wcześniej nie widział, by jego ojciec uronił choćby jedną łzę. Teraz po pobrużdżonych policzkach Lorena łzy spływały jedna za drugą, a gdy otworzył usta, by coś powiedzieć, nie mógł wydobyć z siebie słowa, jeszcze raz zatem przyciągnął do siebie Connora ojcowskim ramieniem i stali tak przez dłuższą chwilę, obserwując bawiące się w oddali dzieci.

Gdy odsunęli się od siebie, w umyśle Connora, który otrząsnął się już z pierwszego szoku, zaczęły tłoczyć się pytania.

- Nie mogę uwierzyć, że tu przyjechałeś... Jak to się...?

- To ona do mnie zadzwoniła. Z Honolulu. Powiedziała mi, co się stało i co zamierza. - Tym razem to ojciec się nachylił i musnął wargami jego czoło. - Otwarcie powiedziałem jej, że takiej okazji nie mógłbym przepuścić  
- Loren zrobił pauzę. - Masz ślicznego syna, Connor.

Zerkając przez ramię ojca, Connor patrzył, jak Max biega w kółko dookoła Susan.

- Tak, wspaniały z niego chłopak.

- Twoja żona - rzekł Loren, wskazując na Michele - nie tylko jest piękną kobietą, ale ma też wielkie serce.

- Wiem o tym - potwierdził Connor, przenosząc na nią wzrok. - Chyba będę musiał sam jej to powiedzieć.

- Tak, synu. Sądzę, że tak będzie najlepiej - Loren poklepał go po ramieniu.

Connor zostawił ojca z dziećmi i podszedł do Michele stojącej przy drzwiach do patio. Na twarzy miała ten sam łagodny uśmiech, który zaledwie parę minut wcześniej dał mu pewność, że to, co zobaczył, nie było przywidzeniem. Gdy on był w trasie, ona dokonała rzeczy wprost nieprawdopodobnej.

- Michele... co takiego...? - zupełnie nie wiedział, jak zacząć. Zbyt wiele myśli naraz kłębiło się w jego głowie.

Nic nie mówiąc, objęła go w pasie i splotła dłonie za jego plecami. Ich usta spotkały się w pocałunku, który choć krótki, niósł obietnicę czegoś więcej, gdy zostaną sam na sam. Zanim zdążył coś powiedzieć, odsunęła się o pół kroku, kładąc palec na jego ustach.

- Ciiii. Porozmawiamy o tym później.

- Ale jak ci się... - nie dawał za wygraną.

- Później - uciszyła go, uśmiechając się delikatnie. - Najpierw powinieneś powiedzieć coś temu małemu chłopcu - to mówiąc, popatrzyła na dzieci biegające za Buddym, który wesoło baraszkował, ciesząc się z nowego domu i nowych towarzyszy do zabawy. - Dziewczyny już wiedzą, że jesteś jego tatą. Powiedziałam im we wtorek rano - uprzedziła kolejne pytanie męża.

- I jak to przyjęły? Nie sprzeciwiały się?

- Nie. - Spojrzenie, którym go obdarzyła, rozwiało jego obawy. - Przyjęły to nadszpiewanie dobrze. Teraz pora, żebyś przekazał tę wiadomość Maxowi.

Co? Connor miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Czy przypadkiem się nie przesłyszał? Czy Michele mówiła na serio? Jeszcze pół godziny temu myślał jedynie o tym, czy kiedykolwiek będzie w stanie pozbierać się po rozstaniu z dopiero co odnalezionym synkiem, o którym zawsze marzył i który tak bardzo był do niego podobny, a teraz... Potrząsnął energicznie głową, by zebrać rozbiegane myśli. Co takiego wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni? Niewątpliwie zdarzył się cud.

- Michele.... - nie potrafił znaleźć słów, które należycie wyraziłyby jego przeogromny żal z powodu tego, na co ją naraził. Doskonale zdawał sobie sprawę z ceny, jaką przyszło zapłacić żonie za jego egoistyczne zachowanie tamtej nocy przed dziewięciu laty. - Przepraszam za wszystko. Wierzysz mi?

- Tak - w jej tonie dało się wyczuć napięcie, ale uśmiechała się szczerze. - I co więcej, już ci wybaczyłam. Wiesz dlaczego?

Nie miał najmniejszego pojęcia.

- Nie, chyba nie wiem.

- Bo miłość polega na umiejętności przebaczenia - dotknęła palcem swego nosa, a jej głos balansował gdzieś na granicy między śmiechem a płaczem. - Max mi to powiedział.

Connor spojrział na nią raz jeszcze, ale ona tylko skinęła głową w stronę dzieci.

- Mam już przygotowaną kolację. Zagonię resztę towarzystwa do środka tak, żebyście z Maxem mogli zostać na chwilę sami. - Złożyła dłonie w trąbkę i zawołała: - Pora coś zjeść. Wszyscy marsz do łazienki umyć ręce!

Loren musiał być wtajemniczony w ten plan, bo natychmiast szepnął coś na ucho Maxowi, a następnie otoczył ramionami Elizabeth i Susan i, odwracając ich uwagę, poprowadził je w kierunku domu.

- To fajnie, ale wie pan co? - Oczy chłopca zrobiły się wielkie jak spodki. - Ja już nie chcę tamtego taty. Ja chcę zostać z panem.

- To dobrze się składa - Connor uśmiechnął się szeroko. - Widzisz, Max, okazało się, że to ja jestem twoim tatusiem. Tym, o którym mówiła ci mama.

Przez dłuższą chwilę Max przyglądał mu się badawczo, jak gdyby sądził, że po prostu źle usłyszał albo że to tylko żart. Nie znalazłszy nic, co potwierdzałoby jego podejrzenia, przełknął głośno ślinę i, zniżając głos do szeptu, na wszelki wypadek zapytał:

- Jest pan... jest pan moim tatą? Moim prawdziwym tatą?

- Tak, Max.

- To znaczy... - Max roześmiał się cicho. - To znaczy, że Pan Bóg wysłuchał wszystkich moich prośb, wszystkich!

Connor poczuł rozlewającą się w jego duszy ulgę. Max nie był na niego zły.

- Tak... i nawet wiem dlaczego.

Chłopiec wydawał się być w jednakowym stopniu zaskoczony, uradowany i oszołomiony.

- Dlaczego?

- Bo gdzieś tam wysoko w niebie, twoja mama dzień w dzień wierciła Panu Bogu dziurę w brzuchu, żeby wszystko tak właśnie się skończyło.

Przez moment Connor miał wrażenie, że Max wzbije się w powietrze i będzie latać ze szczęścia. Chłopiec rzucił mu się na szyję, szepcząc do ucha:

- Czy mogę do pana mówić „tato”, tak jak Elizabeth i Susan?

- Tak, syneczku. Możesz tak do mnie mówić przez całe życie.

Wypowiadając te słowa, Connor uświadomił sobie, że nigdy wcześniej nie czuł się równie szczęśliwy, równie wolny. Niemal w tej samej chwili wpadły w podskokach do ogrodu Elizabeth i Susan, radośnie pokrzykując:

- Tatusiu, tatusiu! Zobacz, co dziadziu złapał!

W pewnej odległości za nimi kroczył jego ojciec, niosąc coś w złączonych dłoniach, ale Connor nie był w stanie dojrzeć, co to było.

Gdy chwilę później w drzwiach stanęła Michele, Connor puścił do niej oko, dyskretnie dając jej do zrozumienia, że już porozmawiał z Maxem i najtrudniejsze zadanie zostało wykonane. Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem, którego blask rozświetlił nie tylko jej twarz, lecz również ich wspólną przyszłość.

Max dołączył do dziadka i dziewczynek.

- Co to jest? - dopytywał się, usiłując zobaczyć, co takiego mogło wzbudzić aż tak wielkie zainteresowanie.

Widząc ojca w otoczeniu swoich dzieci - wszystkich swoich dzieci - Connor odczuwał niewysłowioną radość i wdzięczność.

- No i? - zapytał z udawaną drwiną. - Co takiego złapał? Wielką brązową ropuchę?

- Wcale nie - odparł Max, odwracając się i patrząc mu w oczy. - Nie uwierzysz, tato - na buzi chłopca pojawił się uśmiech, który zdawał się trwać w nieskończoność.

- No powiedz wreszcie - Connor nie wytrzymał i ruszył w ich stronę. Dźwięk słowa „tato” wciąż rozbrzmiewał echem w jego sercu.

Max wziął go za rękę i, wskazując na otwartą dłoń dziadka, powiedział:

- To motyl.

Rzeczywiście był to motyl. Bajecznie kolorowy monarcha. Najpiękniejszy motyl, jakiego w życiu widział.